UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 01559235 5

ADAM SZYMAŃSKI

SZKICE

SRUL Z LUBARTOWA. — PAN JĘDRZEJ KRAWCZYKOWSKI. — MACIEJ MAZUR. — STOLARZ KOWALSKI. — PRZEWOŹNIK. — HANUSIA. — DWIE MODLITWY. — PAN ANTONI. — UROCZYSTA WIGILJA. — ŁZY.

Z SŁOWEM WSTĘPNEM

ADAMA GRZYMAŁY SIEDLECKIEGO

LWÓW
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA UL. NOWY-ŚWIAT L. 69
KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, ULICA ŚW. ANNY L. 11
POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
1921

ADAM SZYMAŃSKI

SZKICE

SRUL Z LUBARTOWA. — PAN JĘDRZEJ KRAWCZYKOWSKI. — MACIEJ MAZUR. — STOLARZ KOWALSKI. — PRZEWOŹNIK. — HANUSIA. — DWIE MODLITWY. — PAN ANTONI. — UROCZYSTA WIGILJA. — ŁZY.

Z SŁOWEM WSTĘPNEM

ADAMA GRZYMAŁY SIEDLECKIEGO

LWÓW
WARSZAWA KRAKÓW
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH
WARSZAWA, KSIĘGARNIA WŁASNA, UL. NOWY-ŚWIAT L. 69
KRAKÓW, FILJA WYDAWNICTWA, ULICA ŚW. ANNY L. 11
POZNAŃ, SKŁAD GŁÓWNY, KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA
1921

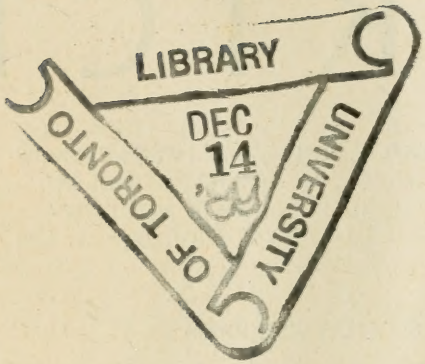

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IMIENIA OSSOLIŃSKICH

SŁOWO WSTĘPNE.

W nowem wydaniu, w starannej literackiej redakcji, ukazuje się dzieło, które w piśmiennictwie naszem ma swoją odrębną rubrykę i którego pojawienie się stanowiło datę w dziejach nowelli polskiej.

Starsi czytelnicy nie zapomnieli zapewne tego wzruszenia, jakie w społeczeństwie wywołały „Szkice“ syberyjskie Adama Szymańskiego, gdy ukazały się pod schyłek ósmego lat dziesiątka XIX stulecia. Była to epoka „Trylogji“ i „Lalki“, żywe jeszcze jaśnienie Asnyka, rozkwitała Konopnicka, nie przebrzmiały tony Ujejskiego, żyła w sercach Orzeszkowa, a kult dla herkulesowej pracy Kraszewskiego potężniał w manifestacyjnym akcie jego jubileuszu: dorobek literatury przedstawiał się bogato, a czas ówczesny szczelnie usadzony lasem talentów i arcydzieł. Przedrzeć się przez gąszcz tych dębów i róż nie należało do zadań łatwych. Uczuciowość zbiorowa miała w czem wybierać i nauczyła się wiele wymagać od każdej nowej książki. A jednak te skromne opowiadania nieznanego wówczas autora, wypuszczone w świat pod nazwą „Szkiców“, uczyniły się naraz ukochaną książką pokolenia. Kto jej wówczas nie znał? Kto nie rozczytywał się w niej z nastrojem modlitewnym? Kto nie mówił o niej, często ze łzą rozrzewnienia!

„Szkice“ Adama Szymańskiego stały się własnością serc polskich.

I.

Co w „Szkicach“ syberyjskich przykuwało wrażliwość czytelnika? Co go wiązało z niemi we wspólną całość emocjalną?

Niewątpliwie te wszystkie wartości duchowe, które postaram się w dalszym rozwoju swej myśli ukazać i wysunąć: uderzała zapewne owa głęboka skiba moralna, swoiste Szymańskiemu myślicielstwo sumienia, na którem wyrasta czar jego opowiadań.

Nie ono jednak stało się pewno tem najbezpośredniejszem ogniwem, splatającem dzieło z wrażliwością czytelnika. Nie był to bowiem czas, któryby w Polsce sprzyjał rozrostowi uczuć ogólno-ludzkich. Instynkt samozachowawczy niewolnego społeczeństwa dobierał entuzjazmowi zbiorowemu tematy przedewszystkiem narodowe i na nich kazał nam kształtować nawet wyobrażenia o pięknie. Patrjotyzm w sztuce był polskim sposobem zachowania gatunku. Tego też patrjotyzmu szukały odruchowo wymagania estetyczne ówczesne, patrjotyzmu bezpośredniego, lub wtórnego, przejawiającego się w tezie politycznej, socjalnej, etnograficznej, t. j. w tych wszystkich pobocznych krawędziach, które do ekstazy romantycznej przynitowała epoka pozytywizmu warszawskiego. To nastawienie duchowe społeczeństwa wychwyciło w „Szkicach“ natychmiast strunę patrjotyczną, dźwięczącą w nich niewątpliwie i dzisiaj, ale rosnącą w tych utworach, jako kwiat niezasiany, żyjący obok zboża „Szkiców“, jako poniewolny wytwór gleby. Tym dźwiękiem była Syberja, nabrzmiały bólem pokoleń obraz czyśćca narodowego.

Syberja! Znana Polakom już od konfederacji barskiej, po utracie państwowości wrosła ona w rdzeń naszego bytu, jakby coś nieodłącznego, tragicznie koniecznego w całokształcie polskiej niewoli. W sumie udręczeń politycznych, ona to przeraźliwością swego oddalenia, dan-

tejskością klimatu, okrucieństwem losu, na jaki skazywała wygnańców — Syberja streszczała w sobie całą niemoc narodu ujarzmionego i wszystko męczeństwo społeczeństwa, co nie chce się z ujarzmieniem pogodzić. Obraz Sybiru żył w każdej jednostce i sam ten wyraz: Sybir mroził uczucie polskie. Gdy wyraz ten padał, milkli słuchacze i w serca rodzin wpełzała wizja kosmicznego potworu, rozciągniętego na tysiące mil lodów i śniegów, w których próchnieją niepowrotne kości męczenników. Nad splotem bolesnej rzeczywistości polskiej obraz Sybiru unosił się, jak zamrożona kopuła potwornych niebios, gdzie Mściwość i Śmierć zamiast Boga zamieszkały.

„Szkice“ syberyjskie Szymańskiego ukazały się w dwadzieścia kilka lat po powstaniu r. 1863, kiedy apokaliptyczność Sybiru nabrała w Polsce wyjątkowo żywego w swej męczeńskości wyrazu. Wszystko, co jeszcze w siłach narodu było żarliwego, „buntownego przemocy“, co się prężyło do czynu z orężem, — znalazło się na tym oceanie lodowego zatracenia. Tysiące rodów powiązały się bólem z podziemiami Nerczyńska, z odludziami jakuckich pustek, z bezpowrotem tamtego świata, ujętego w brzegi złowieszczych nurtów Leny i Angary, w niesamowitość tundr i tajg, w rozpaczliwość katorgi. Szły stamtąd do Polski listy, modlitwy i beznadzieja. Groza życia zesłańczego stała się jakby filją Polski, nikło geograficzne oddalenie, Syberja przestała być czemś odległem, rozpościerała się wprost za psychiczną tkanką serca polskiego i cały jej potworny ogrom mieścił się w zakącie między Prosną, Wisłą i Bugiem. Zamrażające wyrazy, jak te właśnie: tundra, tajga, katorga, jurta, posielenie, brodiaga, — cały ten słownik, wyciśnięty z łez i umęczeń, wszedł już wówczas w skład mowy polskiej, jakby jej rodowita przynależność. Całość uczucia polskiego nasycał już Sybir. Nie było tylko w literaturze dzieła, któreby tym uczuciom dało wyraz plastyczny, któreby psychiczną substancję

ujęło w krystalizację. Istniała coprawda mistyczna wizja Anhellego, ale ta właśnie przez swą pozamaterjalną zwiewność nie różniła się niczem od niezartykułowanych wyobrażeń o Sybirze, jakie osiadały po sercach Polaków, nie było jeszcze Sieroszewskiego: „Szkice“ Szymańskiego pierwsze w piśmiennictwie rzuciły na uczuciowe przędziwo konkretny deseń barwy i rysunku. Dzieło Szymańskiego otworzyło wrota, poprzez które ujrzano po raz pierwszy, jak naprawdę, nie w snach, lecz w rzeczywistości, wygląda ten kraj, stojący na pograniczu między życiem a śmiercią; ujrzano kilkaset tysięcy mil kwadratowych śniegu i lodu, a na tej zauważonej powierzchni kilkadziesiąt istnień umęczonych, kilkadziesiąt figur, stanowiących świat „Szkiców“, garstkę ludzi, co starczą za ludzkość, jeśli cierpienie jest miarą ludzkości.

Językiem prostym, umyślnie niewyszukanym, dalekim od poezji i patosu, opowiedziały te szkice dzieje serc, rzuconych w ciemności syberyjskiego tartaru, w królestwo lodowego Plutona.

Nietylko jednak przyrodzona talentowi Szymańskiego prostota zapanowała nad powstańczą smugą wygnańców. Dołączył się do niej dojmujący akord niedomówienia. „Szkice“ swoje tworzył Szymański w okresie niezwykłego okrucieństwa cenzury rosyjskiej. Nie wolno było wówczas pisarzowi polskiemu użyć wyrazu: „ojczyzna“. Nikt z piszących nie marzył o tem, by z pod pióra wymknąć mu się mogło słowo: „powstanie“, „powstaniec“, „rok 1863“. Tajemnemi znakami skojarzeń słownych i katakumbowemi dźwiękami pojęć porozumiewała się literatura polska ze swoim czytelnikiem. Krępowało to niewątpliwie autorów. Czy jednak odejmowało wagę i powagę hermetycznym znakom tej wiedzy tajemnej, w jaką niewola i cenzura przemieniły piśmiennictwo polskie? Zdaje mi się, że wręcz przeciwnie. Między pisarzem a inteligencją czytelnika stawała jakaś pieczęć umowy sakralnej, a w pieczęci tej

każda zgłoska dźwięczała tysiącem brzmień porozumienia patrjotycznego. Przypomnijmy sobie z „Lalki“ opowiadanie Rzeckiego o zebraniu konspiracyjnem z r. 1861, na którem mówca zapytuje, kto z uczestników decyduje się wstąpić do szeregów przyszłego powstania, a jeden tylko Wokulski odpowiada: „ja!“. Prus nie mógł tej sceny przedstawić wprost, nie mógł rzucić słowa: „powstanie“, zamiast więc wyraźnego powiedzenia wkłada w usta mówcy owo niezapomniane zapytanie: kto z was decyduje się skoczyć z Nowego Zjazdu (z wysokości czterech pięter) na bruk? A Wokulski odpowiada wśród głuchej ciszy: „ja!“. I stało się, że przez użycie tej przymusowej metafory o Nowym Zjeździe i o zabójczej determinacji Wokulskiego rzecz wzbogaciła się jakiemś nieoczekiwanem spotężnieniem artystycznem, nabrała w siebie na zawsze mocy przejmującego obrazu i obrazowości. Taką samą tajnię porozumienia mieć też będą wszystkie fragmenty „Szkiców“, w których Szymański mówi o powstaniu r. 1863. Gdy p. Jacenty Siekierka opowiada o swoim sukcesie w marszu poprzez lasy, między Bugiem a Narwią rozciągnione, autor ani jednem słowem nie zdradza, że był to marsz powstańczy, a jednak czytelnikowi ówczesnemu sam dźwięk tego wyrazu: „las“, ustawiony między słowami: „rozkaz“, „gromada“, „mapa“, „komenda“ — wystarczył, by wiedzieć, że ten obecny zesłaniec syberyjski, p. Jacenty Siekierka, dowodził oddziałem powstańczym i by z tego powodu na postać Siekierki spłynęła jakaś pozłota glorji... W milczeniu słowa twórczego odbywała się rozmowa dusz ówczesnego społeczeństwa, a zakaz używania pewnych nazw nadawał im charakter mitologicznego wywyższenia. Zakazane wyrazy stawały się rodzajem bóstw, których imienia wymówić nie wolno, na znak ich świętości.

Milczenie to obrzędowe w „Szkicach“ Szymańskiego miało pozatem swoje własne, odrębne znaczenie i uzasadnienie. Wypływało ono artystycznie, choć bezwiednie dla

autora, z ducha tych przestrzeni syberyjskich, na których los porozrzucał tęsknoty zesłańców. Już w pierwszym naszym odruchu wyobrażenia o tych tysiącach mil zamarzłych tkwi wizja jakiegoś nieobjętego m i l c z e n i a. W bezmiarach pustki zamiera zdolność mówienia; człowiek samotny odwyka od używania głosu. A gdy się zejdzie z drugim wygnańcem — strzeże się czujnie, by nie wymawiać nadaremnie słów najdroższych: ojczyzna, rodzina, kąt ojczysty, kraj macierzysty — bo słowa te niepotrzebnie ranią. Rozmowa toczy się o wszystkiem, oprócz tego, co najserdeczniej obchodzi. Rozmowa taka jest głośnem milczeniem. Później znowu pozostaje sam — i słyszy tylko głos swój wewnętrzny. W głuchości odbywa się rozmowa z samym sobą. Taką też syberyjską mową milczenia opowiadają nam „Szkice“ o dziejach powstańczych Macieja Mazura, Pana Antoniego, Jacentego Siekierki i innych.

Ale równocześnie znamy inne znowu zjawisko, dostrzegane w ciszy pustek. Oto słuch nasz takiej nabiera wrażliwości, że usłyszy najdelikatniejszy szmer, najcichszy szept. Ucho dochodzi do jeleniej subtelności zmysłu, dosłyszy, jak na niewidzialną odległość niebaczna noga ludzka nadeptała zeschłą grudkę liści brzozowych, w ciszy gór zimowej wędrownik słyszy pełnię akustyczną drobin śniegowych, spadających z wyżyny. Szmer staje mu się muzyką. Narracyjny czar skrótów cenzuralnych w „Szkicach“ Szymańskiego wywołuje w nas podobne wrażenie. Przywykły do syberyjskiego rezonansu pustki, autor odzywa się do nas przedziwnie stonowaną dyskrecją efektów, a my znowu, wciągnięci w tonację jego wymownego milczenia, — w poszczególnych sylabach, zaniesionych w księgę z lodowej ciszy odludzia, odnajdujemy całą symfonję emocyj narodowych. Uczymy się wsłuchiwać w zamrożone drobiny krwi, staczające się z wyżyny serca w niewidzialne przepaście tęsknoty, wsłuchujemy

się w krzyczący nacisk, jakim stopa rzeczywistości nadeptuje grudę wspomnień wygnańczych. W pustce lodów, w bezmiarze osamotnienia te nikłe szmery wołają do nas nieukojonem poczuciem zgrozy.

Wśród wszystkich charakterów powstańczych, jakie nam ukazują „Szkice", przewodzi niewątpliwie Maciej Mazur. Już w strukturze fizycznej tego chłopa, w postaci mocarnej, w żylastych ruchach olbrzymiego ciała jest coś sugestywnego. Głębsze atoli jeszcze wrażenie wywołuje psychika wielkoluda. Tam, w jego wnętrzu, odbywa się nieustanny proces przypływów i odpływów udręczenia. Niema takiej chwili, w którejby ten chłop rozstawał się w myśli ze swą rodziną, niema takiej minuty, w którejby poprzez tysiące mil oddalenia nie patrzył w źrenice ukochanych dziecisk, żony; niema takiego dnia, w którymby choć raz, przez okamgnienie, nie uczuwał w swych dłoniach dotyku pługa, zostawionego na zagonie, tam hen na niepowrotnem Podlasiu — a jednak ani jednem westchnieniem nie zaskarży się Bogu i ludziom na swój los. Z tą samą pańszczyźnianą cichością, z jaką przed powstaniem spełniał na wsi swoją dworską powinność, — tu na Syberji odrabia nędzne zajęcie, dające mu kęs twardego chleba. Nie zamiotał nim żaden bunt, nie naszła nań rozpacz. Po odłożeniu ostatniej karty „Szkiców", on to, Maciej Mazur zostaje nam, w szeregu typów powstańczych, jako postać najbardziej wyrazista i najgodniejsza. W boleściwym przelewie cierpień syberyjskich jego spokojne oczy świecą nam iskrą otuchy.

II.

Byłoby omyłką jednak sądzić, że „Szkice" Szymańskiego mają na myśli przedewszystkiem dramat powstańczy Polski.

Autor tej książki, aczkolwiek zesłany na Sybir za działania patrjotyczne, w „Szkicach“ swoich daje w pierwszym rzędzie owoc przemyśleń ogólno-ludzkich. Kto znał osobiście Adama Szymańskiego, kto umiał wpatrzeć się w jego duszę, ten nie mógł nie wynieść wrażenia, że najczulej nastrojoną struną tej duszy, to ewangeliczność, linja chrystjanicznego na świat spojrzenia. Oczywiście nie były mu obce te wszystkie uczucia i namiętności narodowe, które targały jego ojczyzną, nie żył poza splotem zagadnień socjalnych i politycznych, ale najbezpośredniejszy ton jego jestestwa oddychał swobodnie dopiero w tych warunkach poznania, w których, poza tumultem przemijających skłębień doczesności, widzi się duszę ludzką postawioną oko w oko z Bogiem.

Cichy, łagodny, odziany w dobrotliwy uśmiech, rozświetlający surowe raczej rysy jego twarzy, rozgrzewał się wówczas, gdy mówić mógł o człowieku jako chrześcijanin. W człowieku też kochał on każdą iskierkę człowieczeństwa, chociażby ją przyduszał najgrubszy nalot przywar i błędów. Z wytrwałą skrzętnością odrzucał te zwierzchnie warstwy zła i doszukiwał się w sercach boskiego pierwiastku. On z tych, którzy konkretnie widzą przyszły stan Królestwa Bożego na ziemi — i ile sił było w tem wątłem, zbiedzonem syberyjskiemi przejściami ciele, tyle ich targał ze siebie, by pracą swoją przyśpieszać przyjście tego Królestwa.

Polityczny stan Polski, niewola tego globu zakątka, który ukochał najgoręcej i poza którymby żyć nie chciał, uciemiężenie ojczyzny rozumiał nietylko bólem patrjotycznym, ale i żalem nad niedoskonałością ludzkości. Rozbiory i wszystko, co z nich powstało, widział jako przejaw tego barbarzyństwa, tej powierzchownej tylko przynależności do nauki Chrystusowej, które cechuje świat t. zw. oświecony. Apostołować więc bez przerwy! — to hasło stanowiło treść duszy Szymańskiego. Apostołował

też umiejętnością wyrzeczenia się w życiu własnem wszelkich dostatków, uciech, wszystkiego tego, na co stoiczna mądrość patrzy jak na zachciankę niemowląt; apostołował uśmiechem, kochającym każdego z bliźnich; apostołował przedziwnem nieraz słowem wsłuchania się we wnętrze ludzkie, smętkiem serdecznym nad tem, co w świecie się dzieje, niezłomną wiarą w lepsze jutro. Stęsknioną ciekawością rozczytywał się w książkach i czasopismach, doszukując się w nich wieści o najwątlejszych choćby przejawach czyjejś szlachetności, podniosłości, chrystusowego poblasku w poczynaniach ludzkich. Rozumiał, że w nowoczesnym rozpędzie świata niema już mowy o postępie moralnym bez należytego rozpowszechnienia wiedzy. Rozumiał zwłaszcza, czem może być szkoła, — uprawa charakteru dziecka, instrument, co tę czystą uczuciowość kraje w skiby, idące w nieuchwytną dal ideału. Problemat szkolnictwa i problemat dziecka stał się dlań wybraną dziedziną wysiłku. Z dumą i z rozjaśnieniem szczęścia stwierdzał nieraz fakt, że polską książeczkę Promyka uznano na międzynarodowym konkursie za najlepszy elementarz świata... Walcząc z zatruwającą go chorobą, ostatnie lata życia poświęcił redagowaniu i wydawnictwu dzieł o reformie szkolnej. Czem było dziecko w całokształcie jego chrześcijańskiego idealizmu, świadczy kilkadziesiąt wierszy, poświęconych duszy dziecięcej w „Szkicach“:

„Jeżeli kto z was, szanowni czytelnicy, wychowywał się w mieście, w którem oprócz szkoły znajdowało się i więzienie, ten prawdopodobnie pamięta choć jedną taką chwilę z lat dziecięcych, gdy wezwany ogólnym krzykiem dziatwy, bawiącej się na podwórzu: „kajdaniarze, kajdaniarze idą!“ porzucał zabawę i nasłuchawszy chwilkę, aby się przekonać, czy go nie zwodzą, gdy złowił ostrym słuchem dziecięcym zimne dźwięki ogniw żelaznych, pośpiesznie wybiegał za bramę popatrzeć na rzadkie widowisko.

Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek z małych ludzi samowolnie naigrawał się nad niedolą człowieczą; owszem, do dziś żywo tkwią w mej pamięci gwałtowne przeobrażenia twarzy dziecięcych, do dziś widzę, jak wesoło błyszczące w śmiejących się oczach źrenice rozszerzały się gwałtownie, przygotowane do wesołego okrzyku usta zastygały rozwarte, z piersi, mających zadzwonić srebrnym śmiechem młodego wesela, wyrywały się głębokie westchnienia i ruchliwe twarze, jak gdyby obumierając odrazu, odbijały jak zwierciadła ową gwałtowną zmianę uczuć, w niezakrzepłych jeszcze sercach zachodzącą.

Z małych twarzy, świecących szczerą radością, biła złowieszczą łuną człowiecza niedola: rozlewał się strach bezwiedny, wychylało zawsze trwożliwe współczucie"...

Tak więc w duszy dziecięcej widział Szymański najprawdziwszy obraz człowieka, nie skażony jeszcze złemi namiętnościami, nie pokaleczony konsekwencjami walki o byt, nie pokrwawiony tym nieubłaganym systematem życia, który nas pcha w kolisko przestępstwa i wykroczeń. Jasne spojrzenie i niewinność czynów, serce kryniczne dzieci — to było najprawdziwsze, najbardziej bliźnie społeczeństwo Szymańskiego.

Zesłańczy pobyt na Syberji mógł tylko spotęgować przyrodzone, ewangeliczne strony uczuciowości Szymańskiego. Znalazł się on tutaj w społeczeństwie jednostek, z których każda pozostawiła za sobą swój dodatek do człowieczeństwa: stan socjalny, tradycje, stanowisko, znaczenie, majątek; nawet wykształcenie, jakiem rozporządzała, mało tu znaczyło w stosunkach, przekreślających potrzebą erudycji. Na tym oceanie pustki każda jurta posieleńcza jest jakby wyspą Robinsona. Trzeba było przystąpić do budowania życia od nowa, ze swoich przy-

rodzonych zdolności. W walce o byt materjalny wygrywała przemyślność we współżyciu z towarzyszami niewoli, nie rozum i nie dawne znaczenie, nie przywileje losu i nawet nie zalety charakteru, lecz nagi dźwięk duchowy, ten nieuchwytny dźwięk psychiczny, z którym albo bez którego człowiek się rodzi, by być lubianym. Równość absolutna, równość nicości prawnych i obywatelskich, wyeliminowanie wszelkich różnic. Więc każdy tu przemawiał do Szymańskiego niczem innem, jak tylko właśnie tem człowieczeństwem, którego chrystjanizm autora „Szkiców“ poszukiwał tak namiętnie.

Warto śledzić, jak ten stan rzeczy odbił się na treści i obrazach jego syberyjskich opowiadań. Chcemy czuć i rozumieć, że warstwa powstańców to arystokracja duchowa katorgi, ale w sposobie traktowania tematów nie uwidoczniła się nawet ta drobna różnica, jakaby mogła dzielić tę warstwę górną od „demokracji“ zesłańców, od przestępców, pokutujących za czyny słusznie karane. Każdy z bohaterów „Szkiców“ jest tylko człowiekiem; do patrjoty czy do przestępcy zbliża się autor z jednakowym samarytanizmem, jak lekarz do łoża chorego, jak kapłan do spowiedzi umierającego. Grzechów i żałości bezwinnej wysłuchuje niemal z jednakową cierpliwością współczucia, nie wierzy bowiem, by grzech nie był też bólem, o ile rozpamiętywa go serce nie doszczętnie zezwierzęcone. Nie wkraczają „Szkice“ w świat Rosjan i tubylców, zatrzymują się na społeczeństwie Polaków, przykutych do lodów syberyjskich, — ale w tem społeczeństwie znajdziemy wszystkich: bohaterów walki o niepodległość i zwyczajnych zbrodniarzy, zabójców i dzieciobójczynię. Każde z nich cierpi, więc jest obywatelem w myśl tej najstarszej z konstytucyj, którą oktrojował dla całego świata krzyż Golgoty...

III.

Tu pora rzucić zestawienie „Szkiców“ z „Martwym domem“ Dostojewskiego.

Notatki z „Martwego domu“ powstały z tegoż samego tworzywa, co i książka Szymańskiego. Ta sama Syberja i ten sam świat zesłańców do katorgi, zarówno przestępców politycznych, jak i zwykłych zbrodniarzy. Dostojewskij, zesłany tutaj za udział w tajnym związku rewolucyjnym, jak Szymański za udział w tajnym związku narodowym, nie porusza również w „Martwym domu“ struny politycznej; tak samo, jak Szymańskiego, zajmuje go teza psychologiczna. Co więcej: tutaj to właśnie, na Sybirze, Dostojewskij przeistoczył się w pisarza sumień, czyli stał się w zasadzie typem odczuwania, podobnym do tkanek duchowych Szymańskiego. A jednak — jakaż olbrzymia różnica!

Mówiąc: r ó ż n i c a, mam na myśli nie wymiary talentów, lecz odmienność usposobień. Rosjanin, człowiek północy, Dostojewskij głosi w „Martwym domu“ postulat sumienia przykładami zła i nikczemnienia. Bohaterowie jego, to naogół ludzie, w których mało ludzkiego dopatrzyć się można. To są jednostki bezpowrotnie upadłe. Żyją rozpędem wad i skamienieniem występków. W duszne kazamaty więzienia zanieśli swarliwość, oszustwo, zbójectwo, mroczność instynktów i zatwardziałość serc. Nawet na swej wyspie pokuty nie pozbawiają się tego wszystkiego, co ich do zbrodni doprowadziło. Nienawidzą siebie, nienawidzą ludzi i nie chcą poprawy. Tego w swoich typach doszukał się przyszły twórca „Zbrodni i kary“.

Jakże innym jest świat Szymańskiego! Ludzie jego „Szkiców“ cierpią, męczą się, ale byli i są ludźmi. Prości duchem, czy już postawieni na wyższym szczeblu intelektualnym, przybici i znękani, czy jeszcze mocujący się z losem przestępcy, czy li tylko męczennicy — wszyscy

oni zwróceni są twarzą ku słońcu. Nad duszami ich unosi się nie bizantyjska mroczność, lecz ta jasność, którą rasom zachodnim dała cywilizacja, ze źródeł latyńskich płynąca i nadzieja, jakiej najbardziej nawet upośledzonemu nie skąpią dogmaty wiary rzymskiej. Szymański na pewno nie mniej od Dostojewskiego widział upadków, może nawet zwyrodnienia, ale nie w nich szuka tematu. Jego mechanizm twórczy wówczas dopiero zaczyna działać, gdy się zetknie z czemś szlachetniejszem, z czemś mówiącem o nieśmiertelności pierwiastków Jasnoboga, w serce człowiecze zaklętych. To, co dla pisarza rosyjskiego jest normą, to dla Szymańskiego jest wyjątkiem, chociażby ten wyjątek był stale i powszechnie działającym przykładem. Dostojewskij dostrzega w swoich postaciach te właściwości, po których dusze jego rozpoznają się w piekle, — Szymański ze wzruszeniem przygarnia te cechy i błyski, które kiedyś, choćby po pokutnym czyśćcu, zaprowadzą dusze do nieba.

Ławą więc w „Szkicach“ idą przedewszystkiem te najpierwotniejsze przejawy szlachetności, jakiemi są tęsknoty za ziemią ojczystą. Od napół biologicznej nostalgji, aż po świadomy ból utraconej ojczyzny — znajdziemy tu wszystko, podane w przejmującej sile wyrazu. Pierwszy już akord, jaki przed trzydziestu z górą laty uderzył w serce czytelników „Szkiców“, ów „Srul z Lubartowa“, mówi nam o tych przeżyciach tęsknoty. Jakby umyślnie na introdukcję wybrany nie Polak, lecz Żyd, a z pośród wszystkich możliwych typów semickich ten właśnie ciemny ortodoks, nie znający innej ojczyzny poza abstrakcyjnym Syjonem, a przytem fizycznie niemal odrażający, brudny i cuchnący, zapewne przestępca, a przed swojem przestępstwem w Lubartowie o niczem nie wiedzący, jak tylko o tem, gdzie na czem zarobić, choćby oszukać: więc zespół cech, z których wszystkie niemal działają na nas odpychająco. A jednak i ten Srul jest

człowiekiem! — woła miłosierdzie Szymańskiego i pokazuje nam jego człowieczeństwo w tej właśnie tęsknocie za Lubartowem. Na całej przestrzeni nowelli nie natrafimy ani na jedno słowo efektu stylistycznego: wszystko, co autor pisze od siebie, twarde jest niemal, a wszystko, co mówi Srul, dalekie też literackiego liryzmu, ale właśnie ta nieporadność zdań, wynurzających się z jego zakopconego mózgu, wysiłek żmudny uczucia, przebijającego się przez twardą skorupę trudności językowych, ten dręczący trud afektu, szukający sobie odpowiedniego w mowie dźwięku — przydają opowiadaniu niewypowiedzianego czaru prawdy i rzewności. Któż z nas zapomni kiedy treści owych najprostszych zwrotów rozmowy, jak ten naprzykład:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było, czy ciepło?

— Ciepło zupełnie, jechałem z początku w letniem ubraniu.

— Nu! patrz pan? A tu mróz.

— Cóż to, zapomniałeś, czy co, przecież w kwietniu pola już u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone!

— Zielone?! — radość błysła w oczach Srula.

Dopóki żył na swobodzie w Lubartowie, nie obchodziła go natura, nie obchodziło go zapewne nic, co nie było jego interesem. Pod naciskiem nieszczęścia z duszy Żyda zaczyna się wydobywać nieznana mu przedtem bezinteresowność. Jego, Żydka, handlarza, przestępcę radością obejmuje myśl, że w Lubartowie jest zielono, że wokół na polach pięknie i wesoło. Dostojewskiego Srul z Torżka czy z Nieżyna przeklątby w tem miejscu zieleń i wiosnę, przeklątby Torżek i Nieżyn, znienawidziłby ludzi, którzy mogą tę wiosnę i piękno natury oglądać. Szymańskiego Srul z Lubartowa rozpromienił się szczęściem i cieszy się za wszystkich Żydków, którzy, siedząc

wśród tej radosnej zieleni, nie wiedzą może, w jakim Edenie żyją, nie przeczuwają, jaką *chazukę* Pan Bóg sercom ich nadał.

A potem fragment następny:

— Nu, niech mi pan powie, czy jest u nas teraz... tylko, ot widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem, — tłumaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy — to jest białe takie, jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielgich kijach?

— Fasola?

— A! to właśnie! Fasola, fasola — powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

Oto jest jeden z takich uchwytów duszy, które padają naraz, jak ujrzany znienacka z poza szarych wąwozów widok słonecznego zakątka. To jedna z najbardziej nieoczekiwanych, a dziwnie prawdziwych możliwości. Dostojewskij położyłby tutaj akcent rozpaczy, wtłoczyłby nas w ponurą ciemnię tej udręki, która do takich możliwości doprowadza: pisarz polski wyłuskuje z tych możliwości jak najintensywniejszą słoneczność, przygważdża moment radości, każe Srulowi n a z a w s z e wrazić w pamięć tę radosną sumę zgłosek prostego słowa, by mu ś w i e c i ł a w jego niedoli.

A potem, po „Srulu z Lubartowa", rozsnują się te tęsknoty za ziemią polską — we wszystkich niemal następnych nowellach. Będą one niejako tłem, z którego wyrastają dalsze postrzeżenia autorskie. Przejawią się one tęsknotą bądź w smutku, bądź w rozpaczy, w szukaniu zapomnienia, w niesamowitych wesołościach, w hulaszczem zaczarowywaniu wygnania, w westchnieniach i marzeniach.

Łatwo zauważyć, że ta dominanta uczuć wciska się niejako sama w „Szkice". Nie może jej nie być, skoro

tu na Sybirze, na wygnaniu, działać musiała nieodzownie nieodwołalnie i nieodpornie, jak działa klimat kraju, jego położenie geograficzne, pejzaż. To natomiast, czego szuka Szymański, do czego dokopuje się w głębokich wierceniach psychoznawczych, co wydobywa z ludzi, jako owoc swego zwycięstwa twórczego, — to będzie coś znacznie ważniejszego i coś dla autora o wiele cenniejszego. Tą osobistą jego zdobyczą jest doszukanie się w cierpieniu uszlachetniających dźwigni moralnych.

I znowu przychodzą na myśl podobieństwa i różnice z Dostojewskim.

Nie da się zaprzeczyć, że na tych to samych bez, miarach syberyjskich, w katordze, w martwem zamknięciu przed światem, Dostojewskij, eks-rewolucjonista, doszedł do zrozumienia cierpienia, jako waloru pozytywnego w dziedzinie moralności. Przeświadczeniu temu dał wyraz dobitny w „Zbrodni i karze“, zapowiedział, jaką będzie dla Raskolnikowa ulgą cierpienie katorgi po spełnionej zbrodni morderstwa. Ale rzecz to dla Dostojewskiego znamienna, że pozytyw swojej tezy ukazuje czytelnikowi dopiero w epilogu; zanim dojdzie do tego luźnego dodatku, przez całe dzieło zajmuje się nie tematem ekspiacji, lecz wyczerpującą analizą zbrodniczości. Wbrew naczelnej idei, ona to, psychologja zbrodni, nie kara absorbuje jego władze twórczę. Mesjanizm cierpienia stanowi natomiast rdzeń tematów Szymańskiego. Zbrodnia czy przestępstwo w nowellach jego to nic więcej, jak tylko niezbędny szczegół ekspozycji. Możnaby je z tekstu usunąć, a nie wzruszyłaby się zasadnicza linja utworu. Pod tym względem nic bardziej nie charakteryzuje usposobienia Szymańskiego, jak ta monumentalna opowieść o sumieniu ludzkiem: „Hanusia“.

Hanusia jest dzieciobójczynią. Ale sam akt zbrodni w dziejach jej grzechu wymyka się niejako z pod uwagi czytelnika. Opis tego momentu trwa tak krótko,

jak krótko i pomimo jej woli trwał w przeżyciach Hanusi. Zamordowała nieprzytomna ze strachu, przerażona, że ojciec jej może usłyszeć pisk niemowlęcia i dowie się o jej występnej miłości, którą przed nim zataiła. Wszystko, co było przed tą chwilą w nowelli, to nie zbrodnia i nawet nie grzech chyba, — tylko przecudna psychologja młodości; wszystko, co po tej chwili, cała korona utworu, to już dzieje pokuty, kary niemal dobrowolnej, bo wystarczyłoby jej powiedzieć przed sądem, w jakich okolicznościach, pod jakim przymusem nieodpornym i w jakim stanie nieprzytomności spełniła swój czyn — a, kto wie, czy sądby jej nie uniewinnił. Ale Hanusia jest szczepem z ogrójca Szymańskiego; w sumieniu jej rozgorzała żądza pokuty. Więc sama oskarża się przed sądem. „Ot temi rękami podłemi udusiłam". I nad to ani słowa.

Gdyby Szymański był nowelistą tylko, majstrem literackim i nic więcej, to niewątpliwie na tym momencie kończyłby się utwór Ale spowiednik dusz, Szymański umie z dalszego życia skazanej wysnuć jeszcze głębiej zarzynającą się brózdę moralną. Bo oto w drodze do katorgi wdaje się Hanusia w transakcję, praktykowaną nieraz w dziejach etapów syberyjskich: inna kobieta za odpowiednie wynagrodzenie godzi się wejść w jej więzienne losy i odsiedzieć za nią lata ciężkich robót. Hanusia zgadza się. Podstawia za siebie przepłacone indywiduum, a sama uratuje się ucieczką. Wiemy, czem się skończyło. Oto towarzysze ucieczki, zbóje zawodowi rabują ją z resztek zasobów, a potem sprzedają ją do domu publicznego. Dziewczyna stacza się na dno udręki życiowej. W chwili, kiedy ją poznajemy w utworze, całą tę przeszłość ma już poza sobą... Dziś, za pośrednictwem autora czyni spowiedź z całości przejść swoich. I tu, w czasie tego wyznania pokutnego, przychodzi moment, który nie może nie wstrząsnąć uczuciem, umiejącem przejąć się wysokością moralności ludzkiej: Hanusia wyznaje, że wszystkie

te upodlenia i wszystkie dopusty losu, jakie ją po próbie uniknięcia kryminału spotkały, to nic innego, jak tylko najsłuszniejsza odpłata boska za zbrodnię ucieczki przed cierpieniem, jakiej się chciała dopuścić przez podstawienie innego człowieka zamiast siebie do katorgi. Nie wolno unikać zasłużonej kary, bo kara, bo męczeństwo, to jedyna Łaska, jakiej zbrodniarz może jeszcze od życia oczekiwać.

Sceptycznej umysłowości takie posunięcie uczuć może się wydać sztuczną kombinacją egzaltacji, ale kto czyta nowellę Szymańskiego, kogo owionie hipnoza prostoty, z jaką Hanusia wyznaje i z jaką głosi imperatyw kary, ten nie może nie powziąć przekonania, że autor wysnuł swoje opowiadanie nie z głowy, jako logiczną konstrukcję, lecz, że ten klejnot psychologiczny przyniosła mu najwierniejsza rzeczywistość, że zasłyszał całą opowieść z najprawdziwszej spowiedzi ludzkiej. Z treści utworu wieje taka prawda, takie bezpośrednie dotknięcie rozbolałego istnienia, taka głęboka szczerość, że to biedne stworzenie, ten sponiewierany nieszczęściami łachman losu, Hanusia — wyrasta do wysokości monumentalnej. Na postumencie zaskrzepłych w kamień łez stoi pokutnica, za cały skarb życia mająca swoją włosiennicę i tę włosiennicę tuli do siebie z nie wiedzącą o sobie ekstazą.

IV.

Rzuciłem już przed chwilą uwagę nawiasową, że Adam Szymański nie był beletrystą profesjonalnym. I „Szkice“ jego powstawały niewątpliwie nie jako zamiar literacki. Nie o wartości artystyczne mu chodziło w pierwszym rzędzie, lecz o danie świadectwa prawdzie. Napisać je musiał, jak musi się wyznać to, co przepełnia nasze poczucie sprawiedliwości, jak musi się z pośpie-

chem zgłosić do sądu człowiek, który przypadkiem dowiedział się o okolicznościach łagodzących czyn oskarżonego.

Mam wrażenie, że minimalny jest udział fikcji w tych nowellach. Prawie jestem pewny, że w odludziach syberyjskich znał autor tych ludzi, których opisuje, albo znał bliźniaczo do nich podobnych. Być może, iż na całość tej lub owej postaci, w „Szkicach" ukazanej, składało się kilka indywidualności, lub kilka biografij. Być może, że wyobraźnia podsuwała mu ten lub ów szczegół wydarzenia, ale bodaj, że absolutnie rzeczywistą jest główna pręga psychiczna w każdym z tych utworów.

Nie fantazja kreśliła te drogocenne pamiątki, zebrane z dusz wygnańczych, lecz ta wrażliwość moralna, ta na wysokiej chrześcijańskiej miłości wyrobiona zdolność wsłuchiwania się w rany i cierpienia duchowe. Setki innych towarzyszów niedoli przechodziły koło tych samych zdarzeń i tych samych ludzi i nie dostrzegały ich zgoła. Autor „Szkiców" co chwila napotykał niezwykłość w najzwyklejszym człowieku. Możnaby powiedzieć, że jest to dar każdego twórcy, gdyby nie okoliczność, że Szymański dostrzegał swoje głębie nie jako rozciekawiony artysta, lecz jako pocieszyciel umęczonych. Może nawet tam, na Sybirze, współżyjąc z tymi, których potem uwiecznił, nie przypuszczał, że staną mu się kiedyś materjałem artystycznym. Wsłuchiwał się w nich, by zadość czynić swojemu wrodzonemu popędowi współczucia. W jego litościwych oczach, w jego kojącem nabrzmieniu głosu, w jego mądrej wyrozumiałości nieszczęśliwcy odczuwali serce, które się nie zniecierpliwi wysłuchiwaniem wyznań, czuli, że z ust tych spłynie pociecha — i roztwierali przed nim swoje tajemnice.

A on, czyż mógłby się poważyć nie brać tych bólów jako swoje własne, skoro z niemi przychodzi doń człowiek?! On, który z seraficką rozciągłością współczucia nawet w oczach cierpiącego konia dojrzał łzy,

znamię człowieczeństwa?! („Łzy“) A cóż dopiero, gdy wydźwigiem wszechwładnego cierpienia z pod skorupy zakamieniałych milczeń, sękatych przeżyć twardej doli — wydobywała się jakaś niespodziewana jasność, jakieś niezagasłe światełko wyższości etycznej? Ileż radości, ileż poczucia nagrody odbierać wówczas musiał za trud dźwigania na sobie swojego świeckiego konfesjonału?! Dla spełnienia swego ludzkiego obowiązku i dla tego li tylko, zbierał te siewne ziarna swoich przyszłych „Szkiców“, a miłosierdzie dobroci i ono li tylko było tą soczewką obserwacji, która mu się potem odpłaciła bujnem owocobraniem — w dziedzinie pisarskiej.

Do tworzenia nowel z tego przebogatego materjału zabrał się później, po powrocie z wygnania. Wrażenia bezpośrednie wzbogaciły się tysiącem pogłębień bezinteresownego przemyśliwania, podchodzenia do tematu od strony wszelkich możliwych ocen myślicielskich. Odpadało z nich wszystko przypadkowe, drugorzędne; zacierało się w pamięci wszystko, co mąciło i wyginało zasadniczą linję moralną. Pozostawał niezapomniany pień istoty rzeczy. Dlatego też „Szkice“ Szymańskiego są takie nieodwołalne w swej treści, tak dojrzałe duchowo, takie pełne w doborze nieodzowności każdego niemal zwrotu, choć pozornie mają charakter dygresyjnej narracji.

Nieodzownym jest tu każdy zwrot dla intencyj autora, dla jego celów docierania do najdrobniejszych tkanek sumienia. Bo nadużyciem sympatji byłoby twierdzić, że „Szkice“ są wzorem budowy artystycznej, zwłaszcza z punktu widzenia nowożytnej techniki pisarskiej. Być może, iż niejeden z mistrzów beletrystyki umiałby tę lub ową nowellę zamknąć w bardziej zwartych ramach, jak znowu z tematu „Hanusi“ zdołałby wydobyć całą powieść i jak malowniczą! — ale nie wiem, czy znalazłby się inny pisarz, któryby, odrzucając pokusę beletrystyczną, idąc jedynie za potrzebą spisania swoich wrażeń,

zdolen był dać poniewoli taką sumę artystycznych wartości, wydobytych nie formą, lecz zawartością prawdy, samym protokołem psychologicznym. Nie sztuka, lecz żar sumienia formował te obrazki w wyraz dzieła sztuki. I stał się ten fenomen, że są one dziełem sztuki, że i dziś przykuwają one do siebie czytelnika, że wraca się do nich chętnie, jak do każdej książki, która nie jest zabawką. Obrazy i portrety dusz maluje tu ręka, zgrubiała od mrozu syberyjskiego, ale linje rysunku dochodzą do prawdziwej delikatności, a zarazem i wyrazistości pod nakazem wezbranego uczucia.

W tem miejscu należy też zwrócić uwagę na jedną jeszcze właściwość artystyczną „Szkiców“: na dyskrecję środków, jakie autor zużywa na wydobycie plastyki. Niema w tych utworach ani jednego punktu, któryby przemawiał do nas krzykliwym efektem, każde dotknięcie słowa jest wytworne, ściszone, nie napraszające się i krańcowo odległe od wulgarności. Autor nie przegląda się w krasie swojej roboty, nie zabiega o podziw czytelnika. Niema też ani jednej sztuczności, ani jednego fałszu estetycznego.

To samo, co o strukturze, powiedzieć można o języku „Szkiców“. Nie znają one sekretu powabów stylistycznych. Zdarzy się czasem słowo, psujące zdanie lub zwrot; zdarzy się wyraz, niedość szczelnie chwytający myśl, lub odwrotnie: wyraz nazbyt prymitywnie ścisły. Ale jakże mogło być inaczej w dziele, które przedewszystkiem troszczyło się o wyrzucenie z ducha zdobytej treści, które śpieszyło się z rozsianiem radosnej wieści o pięknie ludzkiem, w krainie zatracenia skazanem na zamarcie. Zagadnienie, jak się to wyrazi, w jakim doborze słów, w jakim szyku składni — stawało się zadaniem wtórnem. A jednak, czy poważymy się powiedzieć, że chropowaty nieraz, surowy, zamknięty w sobie, jak więzień, nierozrzutny w słownictwie język Szymańskiego nie przemawia do nas skupieniem swojej uroczystej prostoty? Napór

prężącego się uczucia i niezłomna prawda treści wynajdują sobie raz po raz słowo, które tu jest jedynie możliwem, które ze wszelkich innych najbardziej przekonywująco uzmysławia wewnętrzne brzmienie myśli. Nie z beletrystyki językiem należy porównywać „Szkice", lecz z mową *„De Civitate Dei"* lub „Naśladowaniem Chrystusa", z piśmiennictwem religijnem. Bo z tych samych źródeł zamiaru powstały.

*

Trzydzieści lat minęło od chwili, gdy „Szkice" ukazały się po raz pierwszy. Wątpię, czy znajdzie się choć jeden z dawniejszych czytelników, któryby nie wziął ich napowrót do ręki — i z upodobaniem. Narosło dość pokolenia, które nie zna „Szkiców". Dzisiejsi czytać je będą niewątpliwie inaczej, niż je brała w siebie generacja ostatnich dwudziestu lat XIX wieku. Przedewszystkiem z łoskotem hymnu zamknęły się te wrota męczeństwa, które Polaków wiodły w czeluście syberyjskie. Sybir stał się już legendą, objektem raczej dziejopisarskim lub abstrakcyjną już tylko wizją artystyczną, gdy trzydzieści lat temu był dotykalnem wydłużeniem polskiej rzeczywistości. Powstańcza strona tych opowieści zacznie zwolna przechodzić w dal niemal cecorską. Oczywiście, że i ta strona przemówi zawsze, bo w plemiennnych dorobkach społeczeństwa przeszłość nie przestaje być żywą zjawą każdorazowej teraźniejszości, ale znika już ta bezpośredniość, którą w „Szkicach" chwytała Polska naszych lat młodych. To w nich pozostanie, jako historycyzm. Wyrasta natomiast strona inna opowiadań, mniej może dostrzegana i przeżyta przez czytelników wówczas, gdy książka Szymańskiego po raz pierwszy się ukazała: to właśnie ten ogólno-ludzki, do głębin moralnych docierający nurt odczuwania, to prześwietlenie zachodnio-europejskim tołsto-

izmem, albo raczej polską nutą św. Franciszka z Assyżu — prześwietlenie psychiki człowieka cierpiącego. Wyrasta też dziś w „Szkicach", mimo posępność tematów, — ten rzeźwiący, do życia podrywający ton wiary w człowieczeństwo, który był pionem duchowym i osłodą życia Adama Szymańskiego.

Adam Grzymała-Siedlecki.

SRUL Z LUBARTOWA.

Było to w roku... ale mniejsza o rok, dość że było, a było w Jakucku, w początku listopada, w kilka jakoś miesięcy po moim przyjeździe do tej stolicy mrozów.

Ciepłomierz spirytusowy Réaumura wskazywał 35 stopni zimna. Ze strachem więc myślałem o przyszłym losie mego nosa i uszu, które, jako niedawno przywiezione z zachodu, dotąd zawsze dotkliwie dla mnie znaczyły swój protest cichy przeciw aklimatyzacji przymusowej, a dziś właśnie miały być wystawione na przydłuższą próbę. Groziła im ta próba, ponieważ parę dni temu w szpitalu miejscowym umarł jeden z członków naszej kolonji, Kurp, Piotr Bałdyga i dziś rano mieliśmy oddać mu ostatnią usługę: złożyć w ziemi zamarzłej jego sterane kości.

Czekałem tylko na jednego ze znajomych, który miał zawiadomić mnie o czasie pogrzebu; czekałem niedługo i zabezpieczywszy najstaranniej nos i uszy, podążyłem za innymi ku szpitalowi.

Szpital był za miastem.

W podwórzu, trochę opodal od innych budynków, stała szopa niewielka — trupiarnia.

W tej to trupiarni leżało ciało Bałdygi. Otworzono drzwi, weszliśmy i wnętrze na całej naszej garstce przykre wywarło wrażenie; było nas z dziesięciu, może kilkunastu, i wszyscyśmy mimowoli spojrzeli po sobie: staliśmy wobec rzeczywistości zimnej i nagiej, nie okrytej żadnym łachmanem pozoru... W szopie, nie mającej ani stołu, ani stołka,

nic okrom ścian, ubielonych śnieżnym szronem, na podłodze śniegiem zasypanej, leżał również ubielony, zawinięty w jakieś prześcieradło czy koszulę, ogromny, wąsaty trup. Był to Bałdyga.

Ciało zmarzło okropnie i aby łatwiej je włożyć w przygotowaną już trumnę, przysunięto je do drzwi, ku światłu.

Nigdy nie zapomnę twarzy Bałdygi, którąm ujrzał teraz w świetle dziennem, oczyszczoną ze śniegu. Surowe oblicze nacechowane było dziwnym jakimś, nieopisanym bólem, a z szeroko otwartych oczu wielkie źrenice, zda się, z wymówką sterczały het daleko ku mroźnemu, surowemu, niebu.

— Zmarły był chłop zacny, — opowiadał mi tymczasem jeden ze sąsiadów, czując wrażenie, jakie na mnie wywarł widok Bałdygi, — zawsze był zdrów i pracowity, więc zawsze przygarniał i przytulał koło siebie kogoś z biedniejszych; tylko, że to i uparty był, jak Kurp, więc wierzył do końca, że wróci nad Narew. Widocznie jednak, przed śmiercią zrozumiał, że tak nie będzie.

Włożono tymczasem skamieniałe zwłoki do trumny, postawiono na małe, jednokonne sanki jakuckie, i gdy krawcowa W., pełniąca w danym razie, jako praktyk religijnych świadoma, obowiązki księdza, zaintonowała donośnie: „Witaj Królowo nieba w smutku i radości“, podtrzymując ją urywanemi głosami, ruszyliśmy ku cmentarzowi.

Szliśmy prędko, mróz krzepł i zachęcał do pośpiechu. Jesteśmy nareszcie na cmentarzu, rzucamy po grudce zmarzłej ziemi na trumnę, kilkanaście wprawnych uderzeń rydlem... i po chwili tylko mała, świeżo usypana, kupka ziemi świadczy o niedawnem jeszcze istnieniu Bałdygi na świecie. Świadczyć jednak będzie niedługo, kilka miesięcy zaledwie; nadejdzie wiosna, ogrzana słońcem kupka mogilna roztaje; zrówna się z ziemią, porośnie trawą i ziel-

skiem; po roku, dwóch, wymrą lub rozejdą się po świecie szerokim świadkowie pogrzebu i choćby cię matka rodzona szukała, nie znajdzie już nigdzie na ziemi! Aleć i szukać tu nikt zmarłego nie będzie i pies nawet o cię nie zapyta.

Wiedział o tem Bałdyga, wiedzieliśmy i my i w milczeniu rozchodziliśmy się do domów.

* * *

Nazajutrz po pogrzebie mróz stężał jeszcze. Po drugiej stronie dość wąskiej ulicy, przy której mieszkałem, nie było widać ani jednego budynku: gęsta mgła śnieżnych kryształów, jak chmura, nawisła nad ziemią. Z poza mgławicy tej nie wyzierało już słońce; ale chociaż na ulicy żywej duszy nie było, powietrze, niepomiernie od wielkiego zimna zgęszczone, donosiło ciągle do mych uszu to metaliczne dźwięki skrzypiącego śniegu, to huk rozsadzanych w ścianach domów, grubych bierwion lub pękającej szerokiemi szczelinami ziemi, to podobny do jęku, żałosny śpiew jakuta. Widocznie zaczynały się owe mrozy jakuckie, wobec których bledną najokropniejsze zimna biegunowe, wobec których strach jakiś niewypowiedziany ogarnia człowieka, a każdy organizm żywy, czując swą niemoc zupełną, choć skupia się w sobie i kurczy, jak pies znędzniały, otoczony zgrają ciętych brytanów, wie dobrze, że to napróżno, że wróg nieubłagany prędzej czy później zwycięży.

I Bałdyga, jak na jawie, coraz częściej stawał przede mną. Od godziny siedziałem nad rozłożoną robotą; robota jednak nie kleiła mi się jakoś, pióro samo wypadało z ręki i myśl nieposłuszna wyrywała się daleko poza granice śnieżnej i mroźnej ziemi. Napróżnom odwoływał się do mego rozsądku, napróżnom powtarzał sobie po raz dziesiąty rady lekarza; dotąd, trawiącej mnie od kilku tygodni, chorobie stawiłem jaki taki opór, dziś czułem się

zupełnie obezwładniony, bezsilny. Tęsknota za krajem pożerała mnie, trawiła nielitościwie.

Tyle już razy nie mogłem oprzeć się ułudnym marzeniom; czyżbym dziś mógł się ostać pokusie? I pokusa była silniejszą i ja sam słabszy niż zwykle.

Precz więc mrozy i śniegi, precz rzeczywistość jakucka! Rzuciłem pióro i otoczony chmurami dymu tytoniowego, puściłem wodze rozgorączkowanej wyobraźni.

Więc i poniosłaż mnie swawolna!...

Przez tajgi i stepy, góry i rzeki, przez carstwa i ziemie niezliczone, pomknęła myśl lotna na daleki zachód, roztaczając przede mną czary prawdziwe: nędzy i złości ludzkiej pozbawione, piękna i harmonji pełne, moje niwy nadbużne. Ustom mym dziś nie opowiedzieć, pióru nie opisać tych czarów!

Widziałem łany pozłociste, łąki szmaragdowe, lasy starce, dawne dzieje mi szemrzące.

Słyszałem szum fal kłosistych, gwar bożych piewców skrzydlatych, howor dębów olbrzymów, hardo wichrom urągających.

I napawałem się wonią tych lasów balsamicznych i tych pól kwiecistych, ubarwionych dziewiczą świeżością chabrów niebieskich, krasą wiosny — fiołkiem niewinnym.

... Każdy mój nerw odczuwał muskanie powietrza rodzinnego... Czułem ożywcze działanie promieni słonecznych, a choć na dworze mróz zgrzytał jeszcze wścieklej i coraz groźniej szczerzył do mnie na szybach swe zęby, krew jednak żywo zakrążyła w mych żyłach, zapałała głowa i jak zaklęty, zapatrzony, zasłuchany, nie widziałem i nie słyszałem już nic około siebie...

* * *

Nie widziałem i nie słyszałem, jak drzwi się otwarły i wszedł ktoś do mnie; nie spostrzegłem kłębów pary, buchających tu za każdem drzwi otwarciem w takiej ilości,

że wchodzącego i nie dojrzysz odrazu; nie czułem zimna, które z jakąś bezczelną, rozmyślną natarczywością wrywa się tu do ludzkiej siedziby; nie widziałem i nie słyszałem nic i dopiero, gdym poczuł blisko siebie człowieka, wprzód zanim go dojrzałem, mimowoli rzuciłem mu zwykłe w Jakucku pytanie:

— *Toch nado?* [1]).

— To ja, proszę pana, *z miełoczem torguju* [2]) — brzmiała odpowiedź.

Podniosłem oczy. Nie wątpiłem, że przede mną, pomimo wpakowanego nań przeróżnego ubrania, skór bydlęcych i jelenich, stał typowy, małomiasteczkowy żyd polski. Kto go widywał w Łosicach lub Sarnakach, ten pozna go nietylko w jakuckich, lecz i w patagońskich skórach. Poznałem go przeto odrazu. A ponieważ, jak to rzekłem, i pytanie swe, niezupełnie jeszcze przytomny, rzuciłem mu prawie bezwiednie, więc żyd, stojący teraz przede mną, nie przerywał mych dumań zbyt brutalnie, nie był dlań kontrastem zbyt przykrym. Przeciwnie. Z pewną przyjemnością wpatrywałem się w znajome mi rysy; zjawienie się żyda w chwili, gdym myślą i sercem przeniósł się do ziemi rodzinnej, wydało mi się dość naturalnem, parę zaś słów polskich mile pogłaskały ucho. W pewnem tedy jeszcze zapomnieniu przyglądałem się mu przyjaźnie.

Żyd postał trochę, następnie odwrócił się, cofnął ku drzwiom i pośpiesznie zaczął ściągać z siebie przeróżną swą odzież.

Wtedy dopiero opamiętałem się i spostrzegłem, żem mu nic nie odpowiedział i że domyślny współziomek, wytłumaczywszy sobie najopaczniej moje milczenie, zechce mi rozłożyć swój towar. Pośpieszyłem wyprowadzić go z błędu.

---

[1]) Czego potrzeba; pierwsze słowo — jakuckie.

[2]) Drobiazgiem handluję.

— Bój się Boga, człowieku, co robisz?! — zawołałem żywo. — Nic nie kupuję, nic mi nie potrzeba, nie rozbieraj się napróżno i ruszaj z Bogiem dalej!

Żyd przestał się rozbierać i pomyślawszy chwilkę, wlokąc za sobą napoły ściągniętą *dochę* [1]), zbliżył się do mnie i głosem urywanym, prędko i bezładnie tak mi prawić zaczął:

— To nic; ja wiem, że pan nic nie kupi. Widzi pan, ja tu dawno już jestem, bardzo dawno... Ja dotąd nie wiedziałem, że pan przyjechał. Pan z Warszawy przecie? Wczoraj mi dopiero powiedzieli, że pan tu już cztery miesiące przeszło. Co za szkoda, żem się tak późno dowiedział! Byłbym zaraz przyszedł. Dziś szukałem pana z godzinę; byłem aż na końcu miasta, a tu mróz taki, niech go djabli wezmą!... Niech pan pozwoli, ja długo przeszkadzać nie będę, kilka słówek tylko...

— Czegoż ty chcesz ode mnie?

— Ja tylko chciałbym pogadać trochę z panem.

Odpowiedź ta nie zdziwiła mnie wcale; ludzi rozmaitych, przychodzących jedynie poto, aby „pogadać trochę“ z człowiekiem niedawno przybyłym z kraju, spotykałem już niemało; byli pomiędzy nimi i żydzi. Przychodzący interesowali się przedmiotami najróżnorodniejszemi; bywali i prości ciekawscy i gadulscy, bywali i ludzie, którzy o krewnych pytali, bywali i politycy, pomiędzy którymi niejednemu już się zupełnie w głowie przewróciło. Wogóle jednak pomiędzy przychodzącymi polityka miała zawsze szczególny mir i poważanie. Nie zdziwiło mnie więc, powtarzam, żądanie nowego przybysza i chociaż radbym był uwolnić mą chatę co prędzej od nieprzyjemnego zapachu, źle zwykle wyprawianych, bydlęcych

[1]) Odzież wierzchnia zimowa. Zwykle ze skór podwójnych sierścią nawierzch i wewnątrz zszyta. *Dochy* szyją się ze skór jelenich, biedniejsi noszą bydlęce.

skór dochy, poprosiłem go uprzejmie, aby się rozebrał i usiadł.

Żyd, widocznie ucieszony, po chwili już siedział koło mnie i teraz mogłem mu przyjrzeć się uważniej.

Wszystkie najordynarniejsze rysy plemienia żydowskiego, zdaje się, wcieliły się w siedzącą obok mnie postać: i gruby, pałkowaty, trochę na bok zakrzywiony nos, i przenikliwe, jastrzębie oczy, i broda klinowata, barwy dobrze dojrzałego ogórka, i wreszcie czoło niskie, grubym włosem okolone, wszystko to posiadał mój gość, lecz, rzecz dziwna, wszystko to, razem wzięte, być może, skrasszone wyrazem twarzy znędzniałej, tchnącej jakąś szczerą otwartością i przyjaźnią, nie sprawiło na mnie w tej chwili złego wrażenia.

— Powiedzże mi, skąd jesteś, jak się nazywasz, co tu porabiasz i czego chcesz się dowiedzieć ode mnie?

— Jestem, proszę pana, Srul z Lubartowa, może pan dobrodziej wie, to zara kiele Lublina; nu, bo u nas wszyscy myślą, że to tak bardzo daleko, dawniej i ja tak myślałem, ale teraz, — dodał z przyciskiem, — to my wiemy, że Lubartów od Lublina bardzo blisko, zara kiele niego.

— A dawno tu jesteś?

— Bardzo dawno, trzy lata bezmała.

— To jeszcze nie tak dawno przecie, są tacy, co po dwadzieścia lat przeszło tu mieszkają, a w drodze spotkałem staruszka z Wilna, co blisko pięćdziesiąt lat tu mieszka; ci rzeczywiście są dawno. — Ale żyd mnie ofuknął:

— Jak oni, to ja nie wiem, ja wiem, że jestem tu bardzo dawno.

— Zapewne sam tylko jesteś, jeżeli ci czas tak długim się wydaje?

— I z żonem i z dzieckiem — z córkiem; miałem czworo dzieci, kiedy tu szedłem, ale to podróż taka, niech Bóg zachowa, szliśmy rok cały; pan nie wie, co to etapy?... Troje dzieci odrazu mi umarło, w jednym tygodniu, to

jakby odrazu. Troje dzieci?! łatwo powiedzieć... nawet pochować nie było gdzie, bo cmentarza naszego tam niema... Ja husyt jestem, — dodał ciszej, — pan wie, co to znaczy... zakonu pilnuję... i Bóg mnie karze...

I umilkł wzruszony.

— Mój kochany, w takiem położeniu trudno już o tem myśleć, wszystko to jedno przecie, ziemia Boża wszędzie, — starałem się go choć czemkolwiek pocieszyć, ale żyd skoczył jak oparzony.

— Boża! jaka Boża! co za Boża! co pan mówisz? To psia ziemia! Tfu! tfu! Boża ziemia? Nie mów pan tak, wstydź się pan! Boża ziemia, co nigdy nie rozmarza? To przeklęta ziemia! Bóg nie chce, żeby tu ludzie mieszkali: żeby On chciał, nie byłaby taką. Przeklęta, podła! Tfu! tfu!

I zaczął pluć koło siebie i tupać nogami; z zaciśniętemi usty, skurczonemi palcami groził niewinnej ziemi jakuckiej, szeptał jakieś przekleństwa żydowskie, aż zmęczony wysiłkiem, upadł raczej, niż usiadł, na stołku koło mnie.

Wszyscy zesłani, bez względu na religję i narodowość, nie lubią Syberji; widocznie jednak fanatyczny chasyd nie umiał nienawidzić połowicznie. Czekałem, aż się uspokoi. Wychowany w twardej szkole, żyd prędko przyszedł do siebie, prędko owładnął wzruszeniem i gdym po chwili spojrzał mu w oczy pytająco, odpowiedział mi natychmiast:

— Niech pan daruje, ja z nikim o tem nie mówię, bo i z kim tu mówić?

— Alboż żydów tu mało?

— Czy to żydzi, panie? To już tacy, jak tutejsi... zakonu nikt nie pilnuje. — Bojąc się jednak nowego wybuchu, nie dałem mu skończyć, postanowiłem skrócić rozmowę i zapytałem wprost, o czem to on chciał ze mną pogadać.

— Chciałbym się dowiedzieć, co tam słychać, panie? Tyle lat tu jestem i jeszcze nigdy nie słyszałem, co się tam dzieje.

— Kiedy pytasz trochę dziwnie, nie mogę ci przecież opowiedzieć odrazu wszystkiego; nie wiem, co cię interesuje, polityka może?

Żyd milczał.

Sądząc, że gość mój, jak i wielu innych, interesuje się polityką, nie rozumiejąc samej nazwy przedmiotu, zacząłem stereotypową już dla mnie, ze względu na wielokrotne powtarzanie, opowieść o politycznem położeniu Europy, naszem i t. d., ale żyd zakręcił się niecierpliwie.

— Więc to cię nie interesuje? — zapytałem.

— Nigdy o tem nie myślałem — odparł otwarcie.

— A! teraz wiem, o co ci chodzi, pewno chcesz wiedzieć, jak się żydom powodzi, jak handel idzie?

— Im się lepiej powodzi, jak mnie.

— Słusznie. W takim razie pewno chcesz wiedzieć, czy życie u nas teraz drogie, jakie ceny na targach, po czemu mąka, mięso i t. d.

— Co mi z tego przyjdzie, kiedy tu nic dostać nie można, choćby tam najtaniej było.

— Jeszcze słuszniej; ale ostatecznie o cóż u licha ci chodzi?

— Kiedy ja nie wiem, proszę pana, jak to powiedzieć? Widzi pan, ja tak nieraz myślę, myślę, że aż Ryfka, to moja żona tak się nazywa, pyta się: „Srul, co tobie?" A co ja jej mam powiedzieć, kiedy ja sam nie wiem, co mi jest. Bo to może nawet i ludzie śmieliby się ze mnie? — dodał, jakby badając, czy i ja zeń śmiać się nie będę.

Ale ja się nie śmiałem. Byłem zaciekawiony: widocznie gniotło go coś, z czego sam sobie sprawy zdać nie umiał i wypowiedzenie czego w języku, którym władał nadzwyczaj słabo, było dlań jeszcze trudniejszem. Aby dopomóc mu, uspokoiłem go, żeby się nie śpieszył, że

robota moja niepilna, nic na tem nie straci, jeżeli pogadamy z godzinę i t. d. Żyd podziękował mi wzrokiem i po krótkim namyśle rozpoczął taką rozmowę:

— Kiedy pan wyjechał z Warszawy?

— Podług ruskiego kalendarza w końcu kwietnia.

— A czy wtedy zimno tam było, czy ciepło?

— Ciepło zupełnie, jechałem z początku w letniem ubraniu.

— Nu, patrz pan? A tu mróz!

— Cóż to, zapomniałeś, czy co, przecież w kwietniu pola już u nas zasiane, wszystkie drzewa zielone!

— Zielone? — radość błysła w oczach Srula — a tak, tak, zielone, a tu mróz!

Teraz już wiedziałem o co mu chodzi; chcąc się jednak upewnić, milczałem; żyd ożywił się widocznie.

— Nu! niech mi pan powie, czy jest u nas teraz... tylko, ot widzisz pan, nie wiem już, jak się nazywa, już po polsku zapomniałem — tłumaczył się zawstydzony, jak gdyby umiał kiedy — to jest białe takie, jak groch, tylko nie groch, koło domów w ogrodach latem, na takich wielgich kijach?...

— Fasola?

— A to właśnie! Fasola, fasola — powtórzył sobie kilkakrotnie, jak gdyby chciał wrazić sobie to słowo na zawsze.

— Rozumie się, jest i dużo, a tu czyż niema?

— Tu! Bez całe trzy lata ani jednego ziarnka nie widziałem, tu groch taki, co u nas, z przeproszeniem tylko... tylko...

— Świnie jedzą — podpowiedziałem.

— Ny tak! Tu na funty sprzedają i to nie zawsze dostać można.

— Czy tak lubisz fasolę?

— Nie to, że lubię, ale to właśnie, ja sobie tak nie-

raz miślę o tem, bo to ładnie przecie, nieprzymierzając, jakby lasek rośnie wedle domu. Tu nic niema!

— A teraz, — zaczął znowu — teraz, niech mi pan powie, czy w zimie są u nas jeszcze małe, ot takie — i na palcu pokazywał — szare takie ptaki? także zapomniałem, jak to się nazywa. Dawniej dużo ich było! Bywało modlę się koło okna, a tego maleństwa jak mrowia się nazbiera. No, ale ktoby tam na nich patrzył. Wie pan co, nigdybym nie uwierzył, że o nich kiedy myśleć będę!? Bo tu, tu wrony nawet na zimę uciekają, to maleństwo takie tem bardziej nie może wytrzymać, ale u nas pewnie są jeszcze? Ny, panie, są?...

Ale teraz ja mu nie odpowiadałem, nie wątpiłem dłużej, że żyd stary, chasyd fanatyczny, tęsknił za krajem tak samo, jak i ja, że obaj byliśmy chorzy na jedną chorobę; niespodziane takie znalezienie współkolegi cierpienia rozrzewniło mnie wielce, wziąłem go więc za rękę i sam zkolei zapytałem:

— Więc to o tem pogadać ze mną chciałeś? Więc ty nie myślisz o ludziach, o swej doli ciężkiej, o biedzie, która cię gniecie, lecz tęsknisz do słońca, powietrza, ziemi rodzinnej?... Myślisz o polach, łąkach i lasach, o ich mieszkańcach Bożych, których w życiu swem biednem nie miałeś nawet czasu poznać dobrze, i dziś, gdy obrazy miłe znikają z twej pamięci, boisz się pustki, która cię otoczy, sieroctwa wielkiego, które cię dotknie, gdy się zatrą drogie wspomnienia? Chcesz, żebym ci je przypomniał, odświeżył, chcesz, abym ci opowiedział, jaką jest ziemia nasza?...

— O tak, panie, tak, panie! poto tu przyszedłem — i ściskał me ręce i śmiał się, jak dziecko, radośnie.

— Słuchajże, bracie!...

. . . . . .

I słuchał mnie Srul, cały w słuch zamieniony, z otwartemi usty, wlepionym we mnie wzrokiem; wzrokiem tym

palił mnie i podniecał, wyrywał mi słowa, chwytał je spragniony i kładł głęboko, na dnie swego serca gorącego... kładł tam, nie wątpię, bo gdym kończył swą opowieść: *„O, weh mir, o wej mir!“* — zajęczał żyd boleśnie, zatrzęsła się broda ryża i łzy duże, łzy czyste potoczyły się po znędzniałej twarzy... I długo szlochał chasyd stary i ja płakałem z nim razem.

* * *

Dużo wody od tego czasu upłynęło w zimnej Lenie i łez ludzkich niemało zapewne spłynęło po twarzach zbolałych. Dotąd jednak, choć to dawno już było, w ciszy nocnej, w czasie nocy bezsennej, często staje mi przed oczyma posągowa, stygmatem bólu wielkiego ożywiona twarz Bałdygi i obok niej zawsze się zjawia zżółkła i pomarszczona, łzami czystemi oblana twarz Srula. I gdy wpatruję się dłużej w te widziadła nocne, nieraz, zda mi się, widzę, jak się poruszają drżące i blade wargi żyda i głos cichy, rozpaczliwy szepcze koło mnie: „O Jehowo, czemuś taki niemiłosierny dla jednego z najwierniejszych Twych synów?...“

Strielica nad Wietługą
w sierpniu r. 1885.

PAN JĘDRZEJ KRAWCZYKOWSKI.

— A niechże go, a niechże go! — powtarzał z uczuciem, jak gdyby dobierając stosownego wyrażenia, wysoki mężczyzna, wchodzący do mego przedpokoju. — Chu, chu! — to chuchał na palce, to trzepał niemi, to przykładał ręce do uszu. „A niechże go drzwi ścisną!“ — ulżył sobie nareszcie, ukazując mi jednocześnie i swą twarz, na czerwonem tle której sterczały, podobne do miotełek puchem śnieżnym omszonych, potargane, gdzie niegdzie soplami lodu iskrzące się wąsy. „Pochwalony Jezus Chrystus!“ — witał mnie przybyły już w pokoju, poważnie i ceremonjalnie podając mi swą zziębłą rękę. „A toż smali, a toż smali!“ — ciągnął, widocznie jedną myślą opanowany i ocierał twarz chustką i dotykał ostrożnie to rozmarzających potrochu rzęs, to nosa, ponsowemi świecącego barwami. „Piętnaście lat mieszkam w Syberji i o podobnym mrozie nie wiedziałem i nie słyszałem nawet; toż gdyby nie wstyd mi było, z drogi byłbym uciekł do domu. Zakrywam się i tak i siak — nic nie pomaga; no, myślę sobie, pójdę prędzej, aleć i dziesięciu kroków nie uszedłem, gdy Jakut, co zmijał się ze mną, krzyczeć coś zaczął do mnie po swojemu; oczy wytrzeszczam i choć zimno, przystanąłem, ale nie rozumiem; dopiero, jak mi wrzasnął: „*Nos konczajsia tojon!*“ [1]), domyśliłem się; ja za nos, a nos, panie, jak kopyto! No, ale roztarłem, chwała Bogu, spuchł tylko, jakbym z tydzień poniedział-

[1]) Nos umiera panie! Ostatnie słowo — jakuckie.

kował. He, he, he! — roześmiał się nareszcie opowiadający, uspokojony dobroczynnem ciepłem mieszkania, — bo to, widzi pan, u nas nad Angarą bywają także mrozy dobre, co prawda, nieraz, ale nic podobnego tam niema, a najgorszy ten chijus przeklęty".

P. Jędrzej Krawczykowski miał rację.

* * *

Ogromna ziemia jakucka od dwóch miesięcy zamarła w żelaznym uścisku najsurowszej zimy na świecie: mrozy wielkie, niezmierzone[1]) urągały światu i światłu, człowiekowi i słońcu. Zimno, dla oznaczenia którego nasz język nie ma wyrazu, wionęło na ziemię takiem tchnieniem lodowatem, takim mrozem przejmującym, że zdawało się, życie wszelakie zamrze na ziemi tej nieszczęsnej. Zima jakucka, gdy się rozwinie należycie, nie szaleje już, jak to u nas nieraz bywa, ale z majestatyczną powagą siły, nie znającej oporu, mrozi i zabija spokojnie. Nie stawi jej tamy ni słońce, pokazujące się zaledwie na kilka godzin nad horyzontem, ani ziemia na setki stóp zamarzła i nawet latem nie rozmarzająca głębiej nad dwie stopy. Stopniowo i bezustannie wzrastające mrozy zgęszczają coraz bardziej powietrze, które nareszcie słupem nieruchomym staje nad krainą nadleńską, zdaje się, gniecie i dusi ją swym ciężarem. Zgęszczonej masy powietrznej nie poruszają już chociażby najsilniejsze, zawszeć jednak lżejsze prądy powietrzne ani z morza Lodowatego, ani z oceanu Spokojnego, ani z wielkich przestworów kontynentalnych na zachodzie i południu leżących. Nieruchomy, groźny ciężar odbija od swego, mirjadami iglic śnieżnych

[1]) Pierwszych obserwacji lepszemi instrumentami dokonano nad temperaturą zimy w Jakucku, w latach 1882 i 83. Sami jednak obserwujący byli ludzie nie wykształceni. Obserwacje owe zaznaczyły najniższą temperaturę w styczniu 1883 r. — 52° R.

błyszczącego cielska najwścieklejsze zapędy wichrów morskich i lądowych, ujarzmia je, ostudza i włącza do wielkiego zbiornika chłodu, który starczyć ma później na całoroczne oziębianie Syberji.

I mijają dnie i noce, mijają tygodnie i miesiące, a mróz nigdy nie słabnie, nigdy się nie zmniejsza. Przyzwyczajony do zmiennej i pobłażliwej zimy zachodu, człowiek męczyć się zaczyna tą ciągłą, nieskończoną walką z nigdy nie słabnącym, zawsze czujnym wrogiem. Siły bezustannie naprężone wyczerpują się powoli. Człowiek widzi, że pozostawiony sam sobie nie wytrwa w zapasach nierównych.

I słońca, i ciepła, i dnia, i światła pragnie wtedy dusza stęskniona, jak tylko pragnąć może konający... Nie państwa, nie mienia, życiabyś oddał połowę, krwibyś utoczył za to słońce, ale słońce daleko i coraz dalej, coraz to prędzej ucieka na zachód, a mróz coraz większy...

* * *

Oznaki wielkich mrozów zjawiają się dopiero. Mrozy wyciskają z powietrza wszelką wilgoć, która w postaci delikatnego pyłu śnieżnego formuje gęste śnieżne mgławice, tumanami tu zwane. Księżyc ukazuje się okolony wielkim srebrnym pierścieniem. Słońce, jak gdyby do pomocy w borykaniu się z wrogiem potężnym, wyprowadza ze sobą jakieś nowe światła niebieskie [1]) i „wszystko to na mróz, na mróz jeszcze większy" — powtarzają mieszkańcy.

A gdy jeszcze wystrzelą z lodów biegunowych to mleczne i srebrzyste, a nikłe, jak słabe promienie fosfo-

[1]) Słońca fałszywe. To, jak i poprzednie zjawiska, jest zwykle następstwem wielkich mrozów, lud jednak miejscowy uważa je zawsze za przyczynę takowych.

ryczne, to krwawo-czerwone i straszne, jak gdyby ręką Boga niewidzialnego z bezdennej niebios przepaści miotane, ogniste słupy zorzy północnej — mrozy dochodzą zenitu. Wytrwałe psy jakuckie, czy to czując instynktowo zbliżające się zimna jeszcze większe, czy to przerażone wielkiem zjawiskiem przyrody, wyją wtedy przeraźliwie. Z ostatniemi blaskami słupów ognistych, zwalających się w poczerniałą otchłań niebieską, milkną i te jedyne, a tak posępne, głosy żywe i noc czarna, cisza grobowa zalegają nad obumarłą ziemią.

Cisza to jednak pozorna.

Czułe na najlżejsze drgnienia powietrze rozbrzmiewa powoli szczególnemi dźwięki. Śnieg nie chrzęści i nie skrzypi już, lecz dźwięczy jakoś przeraźliwie, metalicznie: wydychane powietrze z sykiem wydziela z siebie wilgoć, krzepnącą w mikroskopijne śnieżne kryształy. Wśród ciszy powszechnej rozlega się coraz głośniej okropna muzyka mrozu. Przywykłe do dziękczynnego gwaru stworzenia ucho ludzkie, z osłupieniem przysłuchuje się suchym i ostrym dźwiękom śmierci i zniszczenia, zwycięskiej i ponurej pieśni nocy i zimna.

I pragnie wtedy od życia i ruchu odcięty człowiek — życia, ruchu i głosu żywego, jak tylko pragnąć może żywcem w mogile złożony, i wsłuchuje się ucho w tę ciszę grobową i w pozgrzyty mrozu nielitościwe do halucynacji, ale nic oprócz tej ciszy, nic oprócz tych pozgrzytów nie słyszy...

* * *

I zwierzęta i człowiek przyzwyczajają się jednak powoli do wielkiego zimna: zwierzęta porastają długą i gęstą sierścią, człowiek w zimnie samem szuka ratunku i obrony. Jakutka swe dziecię nowonarodzone obciera śniegiem. Domy i jurty obrzucają śniegiem suchym, obma-

zują mokrym, w okna wstawiają wielkie tafle lodu i życie, choć wyparte z przestworów szerokich, choć zamknięte jak w więzieniach, tętni jeszcze uparcie pod zaspami śniegu, poza oknami z lodu. Biada jednak człowiekowi, biada wszelkiemu stworzeniu Bożemu, gdy się poruszy groźna, bo okropnie oziębiona masa powietrzna, przesuwając się najczęściej ku południowi. Ciepło zwierzęce, ciepło sztucznie podtrzymywane promieniuje wtedy z niesłychaną szybkością przez najgęstszą sierść, przez najgrubsze bierwiona, śniegiem i lodem opancerzone.

W najcieplejszych mieszkaniach zimno wtedy. Mróz smali i piecze, opalając jak ogniem wysunięte z ukrycia ciało. Zahartowany koń jakucki, odszukujący sobie i w zimie pod śniegiem nędzne pożywienie, ucieka pod opiekę człowieka, pies już nie wyje, lecz skomli żałośnie, zagrzebując się w siano zupełnie. Myśl ludzka już nie pracuje swobodnie, lecz zwraca się ku jednemu wyłącznie: ku ciepłu, ku ogniowi.

Hardy pan stworzenia dzwoni zębami i jak ów pies łańcuchowy, uciekający haniebnie ze swego posterunku do budy napełnionej sianem, tak i on tuli się do ognia, okrywa skórą i sierścią zwierzęcą. Myśl, spędzana z wyżyn abstrakcji coraz niżej i niżej, schodzi na ziemskie niziny i widzi przerażona, że jest niczem w porównaniu z potęgą przyrody, czuje, że jeden, dwa podmuchy i rzekomy władca ducha potężnego zamarznie, jak stoi, jak zamarzły na ziemi tejże świadki życia prastarego — olbrzymie mamuty.

I widzi wtedy człowiek, że on nie panem przyrody, ale jej niewolnikiem.

Że jest on maluczki i równy innemu stworzeniu.

I wstyd i upokorzenie gnębią człowieka, a jego cierpienia moralne są wielkiemi cierpieniami.

I drży on od zimna, jak drży liść osinowy wichrem silnym miotany i jak trup, co już zastygł i jest trupem

dla świata, ale tleje może jeszcze wewnątrz ostatnią iskrą życia i z przerażeniem ogląda swą nicość, słyszy on wielki głos wewnętrzny, powtarzający nielitościwie: „Na ziemię, nędzarzu, na ziemię! nie na wyżynach iść ci z bogi o lepsze, tu na ziemi obok maluczkich, obok najmniejszych twe miejsce!...“

* * *

Wszelki, nawet tak lekki ruch wysoce oziębionego powietrza, że i wiatrem go nazwać nie można, zowie się po jakucku *chijus*[1]).

Gdy w czasie silnych mrozów wionie chijus zabójczy, w mieście i okolicy znajdują zawsze kilka zamarzłych trupów.

* * *

Rozumie się, gdyby p. Jędrzej był wiedział, co to jest chijus, byłby sobie siedział pod piecem; p. Jędrzej jednak przyjechał do Jakucka niedawno. Poznałem go przed kilku dniami i wiedziałem o nim tylko, że wbrew nazwisku swemu jest szewcem i do Syberji dostał się przed piętnastu laty, ale o tem, co go zagnało teraz do Jakucka, dokładnie nic nie wiedziałem. Przyszedł on dziś do mnie po raz pierwszy, a ponieważ chijus nieznośny już drugi dzień trzymał mnie w oblężeniu prawdziwem, każdemu przeto człowiekowi radbym był niewypowiedzianie, a cóż dopiero rodakowi? Zakrzątałem się tedy, aby ogrzać swego gościa, jak czas i okoliczności pozwalały.

Po chwili mały, pyzaty samowar piszczał sobie pod piecem przeróżnemi głosy, na stole, obok niezbędnej w Ja-

[1]) Prawidłowo *chijos*, wymawiają jednak *chijus*.

kucku butelki, tłusty *pupok*[1]) z octem i pieprzem przypominał dawno niewidzianego śledzia. Pod wpływem ciepła i choć kiepskiej, ale dobrą miarą odmierzonej „wody życia", p. Jędrzej prędko zapomniał o cięgach zadanych mu na dworze i rozgadał się na dobre.

Szewcem był on oddawna; wysoki i kształtny, zgiął się tylko od pracy wieloletniej na stołku trójnożnym; muskuliste ręce jego naznaczone były szerokiemi czarnemi kręgami, wyraźnem świadectwem sumiennego dociągania dobrze nasmolonych dratew; prawidłowe, a nawet piękne rysy twarzy, jak należy wąsatej i starannie wygolonej, ożywiała ta widoczna praca myśli, która tak wyróżniała u nas dotychczas członków kunsztu sławetnego z pomiędzy innych cechów.

To piętno człowieczeństwa, nie zatarte ciężką pracą, pociągało mnie ku memu gościowi i ciekaw byłem teraz podwójnie opowieści szczegółowej o jego życiu dotychczasowem. P. Jędrzej, jak to nadmieniłem, rozgadał się i ja z przyjemnością prawdziwą wsłuchiwałem się w najdrobniejsze szczegóły jego żywota. Coraz wyraźniej odsłaniał się przede mną człowiek, choć prosty i niewykształcony, lecz pracowity, silny i energiczny; nieprzyjemnie tylko dotykało mnie przebijające niekiedy z opowieści p. Jędrzeja, jak mi się wydało, przesadne hołdowanie pozorom, uwielbienie jakieś dla wszystkiego, co choćby pozornie „porządne". Ale wrażenie to prędko przemijało pod wpływem szczerego opowiadania i wznowiło się dopiero, a nawet wzrosło, gdym się dowiedział, że p. Jędrzej do Jakucka z miejsca swego pierwotnego pobytu został sądownie wysłany, że obecnie należy on już, jak

---

[1]) Dosłownie znaczy pępek, a właściwie brzuszek ryby. Brzuszki solone wielkich i tłustych ryb, poławianych przy ujściu Leny, należą do codziennych potraw w Jakucku.

sam się wyraził, do kategorji *grażdańskich* zesłanych[1]). Syberja przyzwyczaja ludzi do wielu rzeczy, przyzwyczaja przedewszystkiem prędko do zredukowania tej skali moralnej, którą w Europie mierzymy średniego człowieka. Skala ta zniża się tu do minimum. Ja jednak mieszkałem w Jakucku zbyt niedawno, przyjąłem p. Jędrzeja jako człowieka moralnie nieupadłego i dlatego myśl, że być może podejmuję zbója lub złodzieja poprostu, przyznam się, nie sprawiała mi przyjemności. Dopytywać się jednak natarczywie, przyśpieszyć wyjaśnienia nie mogłem, aby nie wzbudzić w gościu swym jakichkolwiek podejrzeń. Wszyscy tacy deportowani są na wszelkie wyjaśnienia skąpi i dowiedzieć się od podobnego zesłanego o prawdziwej przyczynie kary jest rzeczą dość trudną.

Wypiliśmy już z pół samowara i p. Jędrzej doprowadził mnie dopiero do swego wyjścia z Aleksandrowskiego Zawodu[2]); korzystając z przestanków, parę razy zagabywałem go zniechcenia: — No i jakżeż wkońcu dostał się pan tutaj? — Ale rozochocony wspomnieniami szewc odpowiadał mi zawsze tak stanowczo: — A to, panie, cała historja i będzie na końcu! — i popierał swe słowa tak głębokiem kiwnięciem głowy i znaczącem otwarciem oczu, uśmiechając się przytem dobrodusznie, że nie pozostawało już nic innego, jak czekać i słuchać cierpliwie.

Czekałem więc i słuchałem, wpatrując się w p. Jędrzeja, który zgięty we dwoje, jakby na swym stołku okrągłym, żywo gestykulując przywykłemi do ruchu rę-

[1]) *Grażdańskimi* zowią w Syberji tych wszystkich deportowanych, którzy nie należą do kategorji politycznych zesłanych, a właściwie oni sami tak zowią siebie, gdyż ludność i administracja zowie ich *ugołownymi*.

[2]) Aleksandrowskij Zawod — więzienie dla odbywających ciężkie roboty.

kami, wtajemniczał mnie w warunki swego rzemiosła nad Angarą.

Czy to długa opowieść p. Jędrzeja i zmęczenie fizyczne, czy też niespodziane wyznanie opowiadającego, dość, że słuchałem go teraz daleko obojętniej; świeca łojowa słabo oświecała mieszkanie i przy mgławem jej świetle wyraźne kontury siedzącego przede mną p. Jędrzeja powoli zacierać mi się w oczach zaczęły. Upłynęło jeszcze chwil kilka i nie widziałem już rysów twarzy tak mi sympatycznych z początku, nie napawałem się miłemi uchu dźwiękami mowy ojczystej. Człowiek siedzący przede mną z niepojętą szybkością zamieniał się w jakąś marjonetkę drewnianą, w jakąś istotę bezduszną. Nie rozumiałem go już teraz, nie słyszałem wreszcie wcale.

Na dworze ciemno było zupełnie, mróz prowadził wytrwale swe dzieło zniszczenia, ale i usłyszany przeze mnie huk pękającego w ścianie domu bierwiona nie wyrwał mnie z zapomnienia, przeciwnie, pogrążył w nie głębiej.

To wróg nieubłagany naciera, rozsadza i szturmuje ostatnią ucieczkę człowieka. Jak zwierz w najbłębszem swem legowisku poruszony, nastawiłem ucho ku oknu: nazwyczajony słuch odrazu uchwycił ostre i suche dźwięki.

Nie widziałem już p. Jędrzeja: widmo śmierci surowej, zimnej, niezwyciężonej stało mi przed oczami.

I myśli dziwne, myśli natrętne przychodzić mi zaczęły do głowy: a co, jeżeli ten człowiek, który coś tam mówi do siebie, zadał gwałt bezbronnemu i zewsząd uciśnionemu stworzeniu, wydarł mu podle to, co mu i bez niego gwałtem i nielitościwie odjętem zostanie; co, jeżeli był on nie bratem, lecz katem dla jednego z maluczkich?

I myśl natrętna, instynktowo powtarzała mi: był, był... I wstręt i nienawiść głęboką uczuwałem do gesty-

kulującego przede mną manekina i odsuwałem się odeń na sam koniec kanapki.

Ale myśl pracowała dalej: a co, jeżeli ten nieszczęśliwy nie wiedział, co czyni, jeżeli on zatracił poczucie braterstwa nietylko ku stworzeniu wogóle, lecz nawet ku człowiekowi? Jeżeli pomimo swego surduta ten człowiek porządny stoi niżej od Jakuta dzikiego, nigdy nie zabijającego, lecz i nie bijącego nietylko człowieka, lecz nawet bydlęcia i konia swego?...

I myśl instynktowo podpowiadała mi: zatracił, zatracił... I ból wielki ściskał mi serce i oko łzą zachodziło i bliżej przysuwałem się ku mówiącemu.

Ale cóż to? drgnąłem; to coś gorącego dotknęło mej zimnej ręki; przecieram czoło, staram się przyjść do siebie — to ręka p. Jędrzeja dotyka mojej; widzę jego twarz ożywioną, słyszę wyraźnie śmiech wesoły, rozróżniam nareszcie słowa dźwięczne:

— He, he, he! bo proszę pana, co jest mężczyzna bez kobiety? He, he, he! to, bez urazy, jak but bez podeszwy, co z wierzchu niby to jak się patrzy, a jak tylko stąpisz na ziemię, to i błocisko i paskudztwo różne lipnie do ciebie. Ni to człek zje, ni się ubierze, ni się wyśpi po ludzku. Tak też i ja: mam dom, mam garbarnię, mam czeladzi kilkoro, a wygody i porządku żadnego. Więc kalkuluję sobie, jeżeli Adam, panie tego, nie mógł się obejść bez niewiasty, choć był w raju, więc ja w Syberji bez żadnej obrazy Boskiej niewiastę wziąć mogę, he, he, he! Racja?

— Najsłuszniejsza.

— A no widzi pan... A że wpadła mi tam w oko dziewczyna, panie i szparka i z twarzy gładka, więc bez długich ceregielów...

— Ożeniłeś się pan?

— To jest, niby to, bo widzi pan, niezupełnie, a tak

sobie *sybirskim brakiem*[1]). Z rodzicami się umówiłem, dziewczyna się nie sprzeciwiała, bo i cóż? Sam, nie chwaląc się, jestem sobie niczego, he, he, he? W domu, panie, jest chleb i do chleba, interes skończyłem w parę tygodni. Anim się obejrzał, jak mi rok zleciał, jakby z bicza trzasnął. Dziewczyna, choć to i roboty było niemało, bo i samego chleba napiec na tylu ludzi, to i to dosyć, ale przy dostatku rozkwitła, panie, jak ta malina prawdziwa, a gdym ją ogarnął jeszcze należycie, to, dalibóg, jak malowana jaka! Ale tu i sęk właśnie! Z początku wszystko szło dobrze i szłoby i dalej także, gdyby licho nie przyniosło tego Goldmana łajdaka. Choć to on z niemieckiem nazwiskiem, ale Polak był, więc, rozumie się, znaliśmy się. Prawda, że odrazu zmiarkowałem, iż ladaco z niego, bo, bez przechwałek, mam węch do ludzi, o, mam! Więc byliśmy zawsze zdaleka, ale że to widać, od tego, co przeznaczone, trudno uciec, nie uciekłem więc i ja od zła swego. A zły to był człowiek, niestateczny, choć miał żonę i dzieci, bo wiary pan nie dasz, gdy powiem, kobieciarz, jakich pod słońcem niema. Niech mu tylko jaka w oko wpadnie, na nic nie zważa, nie uszanuje ani siebie, ani ludzi; nic nie widzi, nic nie słyszy. Tfu! przepadnijże raz! prawdziwie, powiadam, jak ten cietrzew na toku. Otóż, jak mi mój Goldmanek Dunię zobaczył, jakby go warem oblało: i już chodzi i zagląda, a krawaty, a fontazie — ot takie wiąże, a czupryna mu aż błyszczy, wąsy codzień szuwaksuje, kołnierzyki aż pod uszy wysadza! i mizdrzy się i szasta, jak ten indyk głupi. Źle będzie, myślę sobie, bo Goldmanek lata, jakby się lubczyku objadł. Aż tu przychodzi raz do mnie, niby to, ma się wiedzieć, lakierki obstalować.

— Niema czasu! — powiadam.

---

[1]) *Sybirskij brak* — dosłownie małżeństwo syberyjskie, a właściwie to, co u nas zowie się życiem na wiarę. Małżeństwa takie we wschodniej Syberji są bardzo rozpowszechnione.

— Dobrze płacę, bo potrzebne, — mówi, a miał się nieźle nicpoń.

— Słowo droższe od pieniędzy; — powiadam — co się rzekło, to się zrobi i za tanie pieniądze, cudzego nie potrzeba, a i swego nie dam, wara! — I patrzę mu prosto w oczy, a to taki bezczelny był, że roześmiał się tylko i odcina się jeszcze.

— Naturalnie, naturalnie, boć kijem tego, co nie pilnuje swego. — O! niby to przytyk do mnie, a może i miał rację, bo z Dunią nic nie mówiłem, bo i cóż tu gadać z babą, kiedy na kieł weźmie.

Ale widzę, w parę dni później zaczyna mi moja Dunia znikać z domu; to za tem, to za owem, całemi wieczorami przepada.

— Trzeba było rozłączyć się, — wtrąciłem.

— Rozłączyć się nie mogłem, bom się i zatracił, a i ustępować pierwszemu wiercipięcie nie wypadało. Zresztą, gdyby tak na mnie tylko, nicby jeszcze, bo i cóż? Pal cię licho! Polata i przestanie. Ale, że żyłem porządnie, miałem znajomych dużo: i kupcy i mieszczanie i urzędnicy nawet bywali u mnie, więc przekpiwać mnie zaczęli i ciągle tylko: szu, szu! hi, hi, hi! Krawczykowska i Krawczykowska. Jednem słowem, widzę, poniewiera mi baba nazwisko. Szanowali mnie wszędzie i raptem wietrznica jakaś szargać mi dobre imię zaczyna, a ja nikomu nic nawet powiedzieć nie mogę. A niedoczekanie twoje, myślę sobie, poczekajże, zadam ci pieprzu, lanie sprawię anielskie! Akurat w sobotę to było. Roboty i w warsztacie i po domu, jak to zwykle przed świętem, niemało, ale Dunia moja, panie, jak ta cewka w postawie, boć mówiłem, szparka zawsze była, lekka i zwinna, jak łania, a tu nie to, że sporzy się, ale warczy wszystko w jej ręku, co i gadać zresztą, patrzeć miło było; a co nie spojrzę, to żal serdeczny mnie przejmuje: zmarnieje dziewczyna, odbije się od domu zupełnie. Tylko nie obejrza-

łem się, a ona: szust! i już jej niema. A no niema, to niema. Szukać cię nie pójdę, a wzięłaś na kieł ty, wezmę i ja... Nigdzie nie idę, siedzę w domu i czekam; ale czekam i czekam, a jej jak niema, tak niema; a od tego czekania to mi te wszystkie przekpiwania przychodzą do głowy; po północku już było, a ja wciąż siedzę; świecy nie zapalam. Pierwsze kury zapiały... przychodzi.

— Skąd? — pytam.

A ona — nic.

Ja do niej bliżej, a od niej — Jezu Ty mój! — jak od pieca tego... oczy błyszczą, jak węgle, dyszy ni to ogniem na mnie!...

— Od Goldmana! — zawołałem i zatrzęsło mnie jak w febrze.

A ona — nic. W oczach mi pociemniało... Zacząłem bić... a ona? taki upór babski, żeby choć słówko do mnie?...

W słowach mówiącego zadźwięczała dziwna nuta żalu.

— Żeby choć słówko do mnie — powtórzył ciszej. — Biłem, biłem i... zabiłem.

* * *

P. Jędrzej umilkł i pogrążył się w naładowywanie swego nosa olbrzymiemi szczyptami tabaki; nie umilkła tylko wyobraźnia moja, podrażniona już dziś kilkakrotnie i dopowiadała mi teraz żywo to, o czem nie mówił zabójca; dopowiadała i oświecała popełnioną zbrodnię tak jaskrawem światłem, że wszystkie szczegóły strasznej śmierci „lekkiej i zwinnej, a i trwożliwej zapewne jak łani“ dziewczyny, stały przede mną w całej swej przerażającej grozie.

Jakiem prawem ten człowiek, może przeżyty, może na skraju własnej mogiły stojący, zabierał życie młodemu

stworzeniu, do którego nie miał żadnego prawa, które kupił poprostu od jej zbydlęconych rodziców? A jam ściskał, jak bratnią, rękę, co zabijała, widziałem człowieka w tem zwierzęciu spodlonem! I wstręt i nienawiść obudziły się we mnie ku temu człowiekowi i, czuję to dziś, gotów byłem wtedy zabić nieszczęśliwego, zabić go *moralnie* i zabiłbym go; ale w chwili, gdym drżeć zaczynał tą gorączką, którą drżał może i p. Jędrzej, gdy zabijać zaczął, ręka jego spoczęła na mojej i w oczy moje zajrzało dwoje oczu czystych i jasnych jak woda kryniczna, niewinnych i spokojnych jak oczy dziecięcia.

Zadrżałem, ale zadrżałem teraz nad sobą: ja, tak nienawidzący obecnie wszystkiego, co wrogie życiu, wszystkich, co zabijają, omałom sam nie popełnił zbrodni. Człowiek, patrzący mi w oczy, nie mógł być i nie był winien zabójstwa.

Zmęczony zakryłem twarz rękami i gdym po chwili drżącym głosem zapytał p. Jędrzeja: — Powiedziałeś mi p. Jędrzeju tyle, powiedzże szczerze, czyś chciał ją zabić? — on, kładąc na piersi obie swe spracowane, bo śladami pracy ciężkiej jak pręgierzem na wieki naznaczone ręce, wyrzekł uroczyście: — Skarz mnie Boże tąż samą śmiercią, jeżelim myślał o tem...

* * *

P. Jędrzej poszedł. Zamykając drzwi za nim, wyjrzałem na dwór; chijus ucichł, ziemia milczała, skuta kajdanami lodu. Na mroźnem niebie iskrzyło się świateł tysiące, świateł zimnych, oczami bogacza patrzących bezdusznie na nędzę ludzką. Myśli smutne i ciężkie rozsadzały mą głowę, a pytanie: któż winien, jeżeli nie winien p. Jędrzej? — przewijało się wśród tych myśli najczęściej.

Charków
w lutym r. 1886.

MACIEJ MAZUR.

Po wyjeździe z Jakucka zamieszkałem w X., lichej mieścinie, rozłożonej nad tąż samą Leną, mniej tu zimną i szeroką, więcej za to dziką i posępną. Osady ludzkie, chociaż kraj ten leży o parę tysięcy wiorst bliżej od świata, są tu rzadkie, ziemia skalista i górzysta i na wszystkie strony świata na setki, na tysiące wiorst tajgą odwieczną pokryta.

Zapewne rzadko gdzie na świecie spotkać można bardziej dzikie i ponure krajobrazy, niż te, które się przedstawiają oku człowieka na ogromnej przestrzeni, zraszanej Leną, poczynając od połowy górnego jej biegu pod sam Jakuck prawie. Tajga bezbrzeżna, tajga ponura, dzika i niedostępna, zwarta jak ściana, pokrywa tu wszystko: i góry i wąwozy i równie i rozdoły. Gdzie niegdzie tylko na czarnem tle tajgi wznosi się, jak obelisk potrzaskany lub grobowiec olbrzymi, szara, obsypująca się skała; kiedy niekiedy zatoczy nad pustynią niezmierzoną majestatyczne swe kręgi sęp poważny, kiedy niekiedy ryknie i zahuczy pan jedyny tej puszczy — niedźwiedź gniewliwy.

Rzadkie siedziby człowieka tulą się u podnóża skalistych wybrzeży Leny, jedynej arterji, jedynej drogi nietylko tego, lecz i jakuckiego kraju, a ludzie, w siedzibach tych mieszkający, w ciągłem obcowaniu z dziką przyrodą, zdziczeli sami tak dalece, że u rolników z szerokich dolin, w wierzchowiskach Leny leżących i u pasterzy ziemi jakuckiej znani są pod nazwą — wilków.

Klimat tu także surowy, a chociaż mrozy nie by-

wają nigdy tak wielkie i stałe jak w Jakucku, ziemia ta, jako najbliższa sąsiadka ziemi najzimniejszej wystawioną jest na wiatry nie mniej zimne, owe jakuckie boreasze okrutne, sięgające w swych zapędach dalekiego Uralu.

Przy ujściu jednego z wielkich prawych dopływów Leny znajduje się dość wielka kotlina, wspólnem działaniem dwu potężnych rzek wyrwana i następnie zamulona. Kotłowina ta, zewsząd okolona dość wysokiemi, to pologiemi, to stromemi górami, przy swem ujściu na północo-wschód zamknięta jest szczególniej wysokiem i skalistem pasmem górskiem, w którem obie rzeki, rwące się w tym kierunku, przebiły i wyryły sobie łożysko. W tym to północno-zachodnim kącie kotliny na niewielkiej i niewysokiej skale, oddzielonej dziś od głównego pasma korytem Leny, a w części i u podnóża tej skały, pomiędzy obiema rzekami, leży X., stolica kraju, wilczem plemieniem ludzi nasiadłego. Wysokie pasmo górskie, formujące przeciwny brzeg Leny, tuż naprzeciw miasta, wznosi się w kształcie ogromnego, skalistego cypla, którego wierzchołek wywietrzał już i porósł lasem, strona zaś zwrócona ku miastu sterczy przed niem w odległości kilkuset sążni jak prostopadła, gładko lodami wyszlifowana ściana, zmniejszając na czwartą część i tak niewielki widnokrąg kotliny. Jakby dla zwiększenia dzikości krajobrazu, który miejscowość ta wraz z okalającemi ją górami i skałami, pokrytemi tajgą sczerniałą, przedstawia, panujące tu ciągle wichry potężne, przeważnie północne, niosąc latem wczesne przymrozki, zimą — wiejki, śnieżyce i mrozy jakuckie, wyprawiają tu codzień człowiekowi djabelską muzykę. Wichry, wpadając w kotlinę, odbite od skał i powtórzone we wnętrzach tajgi wielokrotnem echem, napełniają całą jamę takiem wyciem, takim jękiem przeróżnym, że nieraz się wydaje, żeś wpadł w iście wilcze lub niedźwiedzie ostępy i legowiska.

* * *

Było to jakoś w połowie listopada, na miesiąc przeszło przed świętami Bożego Narodzenia. Wichrzysko jak zwykle wył różnemi głosy, pędząc i kręcąc w swym tańcu szalonym całe tumany suchego śniegu. Na ulicę i psa-byś nie wygnał. Ludzie-wilki pochowali się w swych domach, popijając *czaj* gorący z *twiordymi* i *miahkimi* [1]), wilki prawdziwe wtórzyły zapewne wilczemu wyciu wichru. Czekałem z godzinę, czy nie ścichnie, — nie ścichało jednak i chociaż niechętnie, wyruszyłem z domu.

Przed kilku dniami przyrzekłem był p. Stanisławowi Światełce, że w ciągu tygodnia przyjdę do niego któregokolwiek dnia, aby mu napisać listy do kraju, listy, jak mówił, dość pilne; była już sobota i dłużej swego pójścia odkładać nie mogłem. P. Stanisław był kulawy i jużto z powodu swego kalectwa, jużto z powodu zajęcia, rzadko bardzo wychodził z domu. Pochodził on z ziemi krakowskiej, o ile sobie przypominam, z Wiślicy; szczycił się tem, że ród Światełków należał do najstarszych mieszczańskich rodów prastarego grodu i niezmiennie, jak pamięcią sięgnąć mogli i ojce i dziady, pilnował kunsztu szewckiego. Szewcem był tedy i p. Stanisław, szewcem w swoim rodzie ostatnim, bo chociaż ród jego na nim się nie kończył, jednakże, jak sam się wyrażał: „zrządzenie Boże było już takie", że przekazać synowi rzemiosła ojców nie mógł.

— Bóg go wychowywał, mój panie i widocznie wola Jego była, aby na mnie szewce Światełki skończyli się — mawiał p. Stanisław, a mawiał zwykle prędko, jakby groch sypał na ścianę. Czasami tylko, ale chwile te rzadko bywały, gdy mu co dodało otuchy, a obcych ludzi nie było, dodawał: „Chociaż niezbadane są wyroki

[1]) Herbata z chlebem jęczmiennym, który zwykle na drugi dzień po upieczeniu bardzo twardnieje, nazywa się *czaj s twiordymi*, a z chlebem razowym, żytnim — *s miahkimi, s miagońkimi*.

Jego... a nuż?... No, wtedy już wnuk szewcem będzie!“ — i bladł zwykle od wypowiedzenia myśli swej tajnej, odwracał się szybko, szukał czegoś niby to, kręcił się i parę razy podpatrzyłem i podsłuchałem, spluwał nieznacznie i szeptał do siebie: „Nie w złąby godzinę. Panie!“ — urok odpędzał od życzeń najdroższych.

Wzrostu średniego, blondyn, w połowie już osiwiały, brodaty, bez zębów, z nieforemnym, szerokim nosem, wielkiemi, głęboko wpadłemi oczami, dopóki siedział i milczał, trudno było odgadnąć: kto zacz? Ale niechno tylko poruszył się, pomimo nieodłącznego kija zawsze jakoś gorączkowo, gwałtownie prawie, niechno tylko sypnął swym językiem jak kołowrotem kilkanaście słów wartkich, to chyba tylko kto nigdy nie widział starego, czysto polskiego mieszczaństwa, nie poznałby w nim nieodrodnego tego mieszczaństwa syna. P. Stanisław rzemiosło swe uprawiał w X. niedługo; uciuławszy trochę grosza na majsterce, założył sklepik malutki, ale słynął w miasteczku jako jedyny fabrykant dobrych kiełbas polskich. Mieszkanie miał przy sklepie, z jednego pokoiku i maluczkiej kuchenki złożone. Służącej nie trzymał: gotował mu jeść, służył do towarzystwa, usługi i obrony skutecznej wielki chłop, Maciejem zwany, którego jednak dotąd bliżej nie poznałem.

Bywałem u Światełki nie często, przychodziłem zwykle w dzień, gdy mi co kupić potrzeba było, gawędziliśmy w sklepie, tak, że Macieja widywałem przelotnie i zwróciłem tylko nań uwagę, jako na coś niezwykle wielkiego. Rzeczywiście, chłopisko to był ogromny i, co rzadko się zdarza, nietylko wzrostem, ale i objętością jednakowo obdarzony. Objętość ta, proporcjonalna do wielkiego wzrostu, nadawała całej figurze te właśnie cechy, które sprawiały, że Maciej wydawał się nie wielkim, ale imponował swemi rozmiarami.

W mieszkaniu, obliczonem na ludzi zwykłych, ciasno

mu było; meble i sprzęty, rozstawione z zastosowaniem się objętości przeciętnego człowieka, krępowały ruchy Macieja. Dwóch kroków nie mógł on zrobić w mieszkaniu, aby nie zaczepić, nie potrącić o sprzęt jakowy; idąc, stąpał ostrożnie, powolutku, ozierając się ustawicznie i miał zawsze zawstydzoną minę człowieka, czującego się nie na miejscu i przekonanego, że najusilniejsze starania nie ustrzegą go od popełnienia niedorzeczności. Parę razy widziałem Macieja, gdy w czasie nieobecności Światełki, zastępował go w sklepie dość ciasno zastawionym: na szerokiej twarzy jego malowało się wtedy cierpienie prawie, szczególniej widoczne, gdy dochodząc do przejścia, pomiędzy półkami i kontuarem ciągnącego się, zatrzymywał się trochę i wzrokiem niespokojnie mierzył wielkość niebezpieczeństwa. Niebezpieczeństwo, rzeczywiście, istniało, bo półki zastawione były szkłem i naczyniem wszelakiem i jedno potrącenie mogło narobić szkody niemało. Była to dla niego prawdziwa Scylla i Charybda; wyglądał on tu zawsze arcykomicznie, a męczył się tak, że po kilku minutach takowego stania pot kroplisty zraszał mu czoło. Zastałem go raz, gdy stał tam jak na torturach, oczekując czyjegokolwiek przyjścia. Zdało się mu bowiem, gdy wychodził z owego przejścia po załatwieniu kupującego, że zaczepił za coś ztyłu, a bojąc się poruszyć i nie mogąc się upewnić, za co mianowicie, stał i czekał, dopóki kto nie nadejdzie.

— Chwałoć Bogu, ze pon przysed — zawołał ucieszony, — dyć stoję tu, jak zyd na weselu, a on posed i ani myśli wracać! A ze tyz, Chryste Ponie, ciasno tu u niego, zacepiułem za cajnicek jakowyś i nijok rusyć się nie mogę, bo, strzez Boze, polecom do ciorta wsyćkie te połecki... A gdym go uwolnił, biadał dalej: „I to cięgiem tak, skaranie Boze z tom ciasnotom, ale co to jemu? Som ot — tyćki, to chocia i z kijem zawdy, a jak frygo tu lata.“

„On“, rozumie się, był to szewc, z którym ścinali

się o byle głupstwo, zawsze jednak dość spokojnie i chłodno. Nerwowego i ruchliwego szewca drażniła ociężałość i niezgrabność Macieja i nawzajem Maciej nie mógł zrozumieć szewckiej prędkości. Ale nie to jedno tylko było przyczyną antagonizmu: szewc był mieszczaninem, człowiekiem do pewnego stopnia kastowym prawie, z głębokiem przeświadczeniem o swej stanowej wyższości, chodził w surducie i miał potrzeby, które Maciej uważał za zupełnie zbyteczne, pańskie poprostu. W dodatku zaś szewc był gospodarzem, chlebodawcą Macieja.

Bez względu jednak na to wszystko, antagonizm, ujawniający się w ich wzajemnych stosunkach, nie sięgał głębiej, był właściwie dość powierzchowny i miałki. Szewc zrzędził na Macieja i podkpiwał sobie nad nim czasami, ale robił to zawsze po koleżeńsku, z zachowaniem należnego poważnemu włościaninowi respektu, t. j. używając zawsze względem niego formy „wy," a nie „ty." Maciej zrzędzenie szewckie zwykle przyjmował w milczeniu, na docinki jednak odpowiadał i odpowiadał czasami dość koląco. Na tak znośne ustosunkowanie się dwu stanów w jednej izdebce, oprócz wspólnej doli i obecnej równości przed prawem, wpływały i inne przyczyny dość poważnej natury.

Szewc w porównaniu z Maciejem posiadał inteligencję, o jakiej ten nawet i marzyć nie mógł. Szewc umiał czytać i, co dodawało mu w oczach Macieja szczególnego uroku i powagi niemałej, umiał chociaż powoli i z zachodem zawsze dość znacznym nakreślić osiemnaście liter, składających jego imię i nazwisko. Ze strony Macieja znowu, oprócz mocy fizycznej, tej siły brutalnej, co to gnie i niekulawych ludzi, stał fakt, że służył on nie tyle z potrzeby, ile z pobudek koleżeńskich, gdyż miał własny kapitalik, kilkaset rubli wynoszący, u szewca obecnie złożony i, co najważniejsza, był człowiekiem sumiennym i uczciwym. Gdym, nie wiedząc jeszcze o tem, w roz-

mowie swej z szewcem zapytał go jakoś, czy ufa zupełnie Maciejowi, mieszkając z nim sam jeden i zostawiając go nieraz w sklepie, szewc powtórzył me pytanie z takiem zdziwieniem, że odrazu zrozumiałem zupełną jego niestosowność, powtórzył i, wymawiając już każde słowo nieprędko, jak zwykle, ale powoli i dobitnie, dał mi taką odpowiedź: „Maciej, panie, człowiek — złoty."

* * *

Natychmiast po mojem przyjściu zamknięto sklep i weszliśmy do mieszkania. W pokoiku pod jedynem oknem stał stolik niewielki z dwoma krzesełkami po bokach; za jednem z nich wzdłuż ściany bocznej mieściło się łóżko, za drugiem obok przeciwnej ściany — mała drewniana kanapka. W czwartej ścianie naprzeciw stolika dość wąski otwór wiódł do kuchni, mieszkania Macieja. Zasiedliśmy do narady, co i jak pisać należy. Nietylko szewc, ale i Maciej nawet był w nastroju wysoce poważnym, widocznie obaj do pisania listów przywiązywali wagę niemałą. Szewc dostał z kuferka sporą paczkę, zawiniętą w arkusz papieru i wyjąwszy z niej ostatnie listy od żony i syna, podał mi je ostrożnie. Maciej wcisnął się do kuchenki i nie wrócił już do nas, ale po chwili głowa jego, ale tylko głowa z wielką, czerwoną twarzą ukazała się jak księżyc na czarnem tle otworu.

— Cóż to, Macieju, tak daleko uciekacie? — zapytałem.

— Ee! kiedy to, widzi pon, na ty słabiźnie siedzieć nijako, a tu se sporządziłem ławeckę trocha mocniejszą.

Szewc mruknął coś o łamaniu jakichś krzesełek, ale Maciej zakrzątał się około fajki, jakoby zagasłej i nie słyszał, czy udał, że nie słyszy mruknięcia.

Zacząłem czytać listy. List od żony był zwykłem opowiadaniem o troskach codziennych, przeplecionem życzeniami powrotu, nadzieją zobaczenia się jeszcze. List od

syna, już od pół roku wyzwolonego czeladnika stolarskiego, był dość lekkomyślny; zawiadamiając ojca o swych wyzwolinach, syn pisze, że robota bywa nie zawsze, wskutek czego, nie mogąc sam zebrać sobie pieniędzy, potrzebnych mu na kupno zegarka, prosi go o przysłanie mu kilkunastu rubli w tym celu. Przeczytałem i spojrzałem na szewca, który wpił się we mnie oczami, śledząc wrażenia treścią listów wywołanego. Starałem się wyglądać najobojętniej. Czy i w jakiej mierze to mi się udało, nie wiem, bom nie patrzył już nań wcale, tylko po chwili przekonałem się, że usiłowania moje próżne były, usłyszałem bowiem trwożliwe pytanie: „No i cóż, panie?" Okazało się, że szewc listem syna był bardzo zgryziony, bardziej nawet niż przypuszczałem.

— Ja tu staram się, zabiegam jak mogę, żeby na wypadek i wrócić o czem było i ręki na starość nie wyciągać, a ten błazen!...

Zaczęliśmy mu oba przekładać, że brać tego do serca zbytnio niema co, że chłopak może być najlepszy i jest takim zapewne, tylko może rozpieszczony trochę, szczególniej jeżeli był jeden u matki.

— A jakże nie jeden, kiedy i tego nie widziałem nigdy.

— Jakto nigdy?

— A tak właśnie, że nigdy, bo, jak dziś pamiętam, w piątek przed wieczorem coś tam dłubałem na podwórzu koło domu, gdy sąsiad Kwiatkowski krzyknął mi z za parkanu: „Bój się Boga, p. Stanisławie, po ciebie idą!" A to tylko zdążyłem dopaść do okna i zawołałem: „Bądź zdrowa Basiu, a pamiętaj, niechże i jemu św. Stanisław będzie patronem!" Tylko te słowa wymówiłem; Basia akurat była w ósmym miesiącu, ale już jej więcej nie widziałem; dobrze się więc zrobiło, żem powiedział, zawszeć jest pamiątka po mnie.

— Chwalić Boga, ze je, ale gdyby tak nie syn buł...

Nie skończył jednak Maciej, gdy szewc zgorszony karcić go zaczął surowo.

— Głupstwa pleciecie, Macieju, choć nie dzisiejsi jesteście! A czy to kościół nie nadaje imienia św. Stanisławy? A czy nakoniec, choć grzeszny jestem, jak każdy człowiek, nie mogę przypuścić, że słowo wymówione w taką minutę nie znaczyło coś przed majestatem? Czy to nie w ręku Boga wszystko?...

Maciej spuścił oczy i tylko westchnienie głębokie świadczyło o pożądanym skutku szewckiej wymowy.

Okoliczność, opowiedziana przez p. Stanisława, ułatwiła nam bardzo zadanie, a gdy jeszcze przypomniał on sobie, że matka na syna nigdy się nie skarżyła, przeciwnie, zawsze była zeń zadowoloną, udało się uspokoić ojca, zbytnio zatrwożonego o los jedynego dziecka. Aby jednak załatwić sprawę gruntownie, stanęło na tem, że należy napisać do kogoś z poważnych a światłych ludzi, aby wyegzaminował chłopca, jak należy i, mając go nadal na oku, zawiadomił ojca o rezultacie egzaminu. Stanęło na tem dlatego, że matka, jako kobieta prosta, niewykształcona i być może wielce w jedynaku rozmiłowana, mogła być sędzią zbyt pobłażliwym i ślepym. Chodziło tylko o wybór osoby, co było rzeczą dość trudną: ten umarł, tamten zbogaciał, ów rozpił się ostatecznie; medytowaliśmy długo i medytowalibyśmy jeszcze dłużej, gdyby nareszcie szewc z miną człowieka przekonanego, że dobrze mówi, nie wyrzekł stanowczo:

— Napiszemy do księdza! — co, gdy Maciej, rad, że uciążliwa medytacja skończona, a może też, rehabilitując się z dowiedzionej mu niedawno głupoty, poparł śpiesznie:

— A no, do probosca najlepi, — przystąpiłem i ja do większości. Pewne trudności, wynikające z tego względu, że ksiądz nie był Światełce osobiście znanym, praktyczny szewc, poparty również przez Macieja, że „lady jaki w takiem mieście proboscem nie bandzie“, usunął w ten spo-

sób, że, zamawiając u księdza solenną wotywę żałobną za duszę swych rodziców, na co posyłał rubli dziesięć, przy tej już jakoby sposobności polecał i syna łaskawym względom dobrodzieja.

Zacząłem pisać listy, których trzy być miało: do żony, do syna i księdza. W ciągu swego pobytu w Syberji tyle podobnych listów napisałem, że w pisaniu takowem wprawy nabrałem niemałej. Informując się więc o niektórych szczegółach, pisałem prędko. Szewc przesunął się z łóżka, na którem dotąd siedział, na drugie krzesełko, przy stole stojące i z głową nad tym stołem pochyloną śledził uważnie ruch mojego pióra, gotów do odpowiedzi; Maciej pykał ze swej lulki w milczeniu. Skończyłem listy i przystąpiliśmy do czytania.

Żonie posyłał p. Stanisław pięćdziesiąt rubli, a ponieważ o wiernej mu Basi zachował najserdeczniejsze wspomnienie, kochał ją dziś bardziej może, niż przed dwudziestu laty i nigdy nie mógł mówić o niej bez głębokiego wzruszenia, więc i list do niej odpowiadał młodym uczuciom szewca.

Słuchał on listu bledszy niż zwykle, chciał coś mówić, ale usta mu drżały i słowa więzły w gardle i tylko gdy skończyłem czytanie, p. Stanisław zakręcił się po swojemu i wytarłszy nos kilkakrotnie, wymówił nareszcie: „Zaraz podpiszę". Po wynalezieniu w stoliku okularów, należytem osadzeniu takowych na nosie i wskazaniu miejsca, w którem podpis ma być umieszczony, szewc zaczął:

— *Es, te* — i usta już otwierał na wymówienie trzeciej litery, gdy Maciej nieopatrzny, zachowujący się w czasie mego pisania najprzyzwoiciej, ni stąd ni zowąd palnął niespodziewanie:

— Azeby tyz pon...

Palnął i rozumie się, nie skończył: szewc położył pióro i wysoko podniósłszy głowę, aby przez okulary

spojrzeć na Macieja, napewno żałującego już niewczesnego odezwania się, wyrzekł sucho:

— Macieju, przeszkadzacie.

Maciej sponsowiał i naturalnie słowa już nie pisnął; szewc dopisał swe nazwisko bez przeszkód, wyjął pieniądze, które, aby uniknąć na drugi dzień pomyłki, włożyłem zaraz wraz z listem w zaadresowaną kopertę.

List do syna, jakkolwiek w czasie narad p. Stanisław żądał natarcia uszów „durniowi", był nie tyle surowy, ile wyrozumiały. Łatwo było domyśleć się, czem był ów syn nie widziany jeszcze, owa jedyna nadzieja staromieszczańskiego rodu, dla Światełki! Jeżeli kaleka szewc pracował lat tyle wytrwale i uczciwie, jeżeli zmagał dotąd dolegliwości przeróżne, jeżeli samotny i opuszczony z pokus łatwego zbogacenia się, któremi Syberja łudzi naiwnych nowicjuszów, wyszedł zwycięsko, zawdzięczał to bez wątpienia w pewnej mierze zasadom uczciwym, z domu i kraju wyniesionym i charakterowi swemu, ale też, nie ulega wątpliwości, w niemniejszej mierze owemu synowi, w którego urodzeniu samem widział niejako rękę Bożą. Jasną to było rzeczą, że marzył biedaczysko o stawieniu się przed dziecięciem ukochanem, jak marzy asceta o zjawieniu się przed sądem Bożym. Myśl, że będzie mu mógł powiedzieć kiedyś, powiedzieć głośno i śmiało: nie przyniosłem ci, synu, nic okrom imienia nieskalanego wśród przejść najcięższych i pokus największych — była gwiazdą przewodnią jego życia. Mając to tedy na względzie, nie nacierałem „durniowi" uszów, nie karciłem, ale z miłością pouczałem, czem są pieniądze, które ojciec rodzinie posyłał, pieniądze krwawo zapracowane, nieraz może sobie od ust odjęte; pouczałem, czem być winien i mógłby już obecnie chłopiec, mający silne i zdrowe barki, dlaczego żądanie pieniędzy na marną błyskotkę zakrwawiło serce ojcowskie i t. d. Pisałem obszernie i spokojnie, słowy prostemi, stosując się do pojęć

młodego rzemieślnika, gorąco go wkońcu błogosławiąc na nową drogę życia.

Czytanie to odbywało się już z ciągłemi przerwami, gdyż zatrzymywałem się, aby się dowiedzieć, czy wiernie tłumaczę uczucia i życzenia ojca. Że tak było, przekonałem się o tem już na początku listu i w miarę czytania w przekonaniu tem zupełnie się utwierdziłem. P. Stanisław za każdym razem, gdym nań pytająco spoglądał, odpowiadał mi śpiesznie: „Tak, tak, tak właśnie chciałem". Ale im dalej czytałem, tem krótsze, tem prędsze stawały się owe: „tak, tak". W środku listu jakoś otworzył on wprawdzie jeszcze raz usta, ale widziałem tylko, jak one poruszyły się bezdźwięcznie. Spojrzałem jeszcze raz: broda szewca leżała na stole i łzy płynęły po jego bladej twarzy. Nie kręcił się już on, jak to zwykle przedtem robił, gdy uczucie jego wzbierało, nie chrząkał, nie wycierał nosa; oparł tylko brodę o stół o kilka piędzi ode mnie, przed samą świecą i jej światłem oświetlony płakał przed nami spokojnie; nie drgał, nie łkał: łzy tylko, dawno zapewne z tych oczu zapadłych nie płynące, płynęły dziś z nich obficie. Gdym umilkł, szewc, nie podnosząc głowy i patrząc na mnie swemi wielkiemi, rozumnemi oczami, dziękował mi: „Bóg zapłać, Bóg zapłać panu!" a Maciej, już i poprzednio wyrażający swe zadowolenie to oddzielnemi słowy, to jakiemś mruczeniem niekreślonem, korzystając z przerwy przydłuższej, zdobył się na całą mowę:

— Ummm, pięknie! Różne listy słychiwałem, bo to i na *pryiskach* [1]) i mnie i drugiem różni pisywali, a i tu, choćby X. dobrze pise, ani słowa; ale cóż, kiej napise to mądrze jakby z książki, a słuchas i som ani krzty nie rozumies, takich słów ci natko, nie po ludzku jakościć: zaro widać, ze to abo ze zydów, abo z panów wielgich,

[1]) W kopalniach złota.

abo z ludziami nie zywał; a tu właśnie za serce imo, po ludzku. O! to chłopacysko, jak przecyto, to się spłace napewniako, nijok baba na kazaniu. Azeby tyz pon, kiedy prosić nie śmie – i głos jego rzeczywiście brzmiał bardzo nieśmiało — moim tyz — ot takuśki liścicek! oj to babsko moja rycałazby dopiro, rycała!

W czasie czytania listu do księdza Maciej zachowywał się spokojnie, słuchał uważnie, a może i myśleć zaczął nad tem, co też ja jego babsku napiszę, czy odpowiem pokładanym we mnie nadziejom. Ale, gdym doszedł do miejsca, w którem proszę księdza o wotywę za umarłych rodziców szewca, w otworze do kuchni wiodącym zatrzeszczało coś gwałtownie i Maciej stanął przed nami w całej swej imponującej wielkości. Wyjście jego było tak niespodziane i z takim hałasem dokonane, że patrzyliśmy nań zdziwieni. Maciej był niezwykle zmieniony i wydało mi się nawet, iż drżał cały; wszedł on w milczeniu i stanąwszy tuż przed nami, z nogami jak zawsze szeroko rozstawionemi, szukać zaczął kieszeni, ale czy to szukać było niełatwo w fałdzistych hajdawerach, czy też z innej jakowej przyczyny, znalazł ją nieprędko. Znalazłszy, wyciągnął z niej mały woreczek i po długiem rozwiązywaniu, ku czemu i zębów używał, wyjął z woreczka pomięty trzyrublowy papierek. Z papierkiem tym postał trochę i, kładąc go nareszcie trzęsącą się ręką na stół, głosem proszącym, urywanym, tak przemówił:

— A kiedy juz tak, to przy tej okazji, przy tej świętej wotywie za umarłych mozeć i za nos, za niescęśliwych westchnienie zaniesie... a niechajze pon napise... niech tam... niech do Najwyzsego... do Przenajświętsej... choćby kości zaniść... a mozeć... a się zlitują...

— Może się zlitują — powtórzył jak echo i szewc, już obok Macieja stojący.

I stali przede mną obaj ci ludzie starzy, w nieszczęściach osiwiali, jak stoją dzieci małe, niemoc swą czujące,

przed ojcem surowym: stał szewc kaleka z głęboko zapadłemi oczami, na swym kiju oparty, stał i chłop ten potężny z rękami opuszczonemi, z głową kornie przechyloną, zanosząc cichym szeptem swą prośbę błagalną...

. . . . . .

* * *

I siedzielibyśmy długo zapewne w ciężkiej zadumie, gdyby szewca wśród nas nie było; p. Stanisław pierwszy ocknął się z letargu, w którym byliśmy pogrążeni.

— Cóż do licha, na nic zbabiejemy! Macieju, ruszcieno się! Toż kiełbasa tam się spali i gorzałka wywietrzeje! Ej, Macieju, a żywiej!

Maciej sunął do kuchni i choć niezbyt żywo wprawdzie, wrócił ku nam, poprzedzony zapachem dobrze podrumienionej kiełbasy. Otrząsaliśmy się jednak z owego letargu tak powoli, że nawet i szewc raźny więcej miną nadrabiał. Toast na rzecz szczęśliwej minuty dla pisania dzisiejszego był tego pierwszym, a „amyn" Maciejowe dla owego toastu, amen, poparte westchnieniem, jak z miecha kowalskiego wyrzuconem — drugim dowodem. Wódka jednak zrobiła swoje: wzruszenie, któregośmy doświadczyli, potęgowało jej działanie i po dwóch kieliszkach, tylko z listów, leżących w kuferku p. Stanisława, człowiek nie w ciemię bity mógłby się domyśleć, cośmy tu czuli i myśleli przed chwilą. Ostatnie może resztki smutków rozpłynęły się wraz z piosenką, którą sobie zanucił p. Stanisław:

„A gdzie drzewo rąbią,
Tam wióry padają:
Wtenczas ojcom miłe dzieci,
Gdy im się chowają."

Ale i przeciw tak słabemu echu owych smutków rozweselony Maciej energicznie zaprotestował:

— Ee! dałby juz pon pokój tym dzieciom, ja ta pięciu mom i nietyla się o nich troskam, co pon o idnego!

Szewc widocznie uznał wielką słuszność tej śmiałej uwagi, bo zamilkł i machnąwszy tylko ręką, zaproponował mu nastawienie samowaru. Głośno i wesoło spełniał Maciej swą robotę w kuchence. O ulubionym swym posterunku, „ławecce trocha mocniejsej", zapomniał on zupełnie i wyszedł ku nam niebawem. Głos jego z wymogami akustyki pokojowej zawsze, w najzupełniejszej niezgodzie będący, brzmiał teraz, jak może kiedyś w one lata na polach i niwach mazowieckich. A gdy mówił, to jednym krzykiem, intonacją wyrazistą nie ograniczał się wcale: mówił o robocie jakiej, to gestykulował, wymachiwał rękami; gdy wstać należało, wstawał natychmiast, siąść — siadał; zżymał się, cofał; ściskał i rozwodził palce, ale robił to wszystko tak, jak mówił, powoli i dokładnie. Nie wymówił ani jednego słowa, nie opowiedział ani jednego faktu, aby opowiadania swego nie poprzeć, nie ilustrować wyrazistą mimiką, ruchem, pozą, które, o ile mógł, starał się zawsze zrobić odpowiedniemi rzeczywistości. Ot i teraz, gdym wskutek jego protestacji przeciwko smutkom szewckim zapytał:

— A to aż pięciu synów macie, Macieju?

— Pięciu, jak pięć tych paliców u ręku — odparł Maciej i rozwinął mi przed oczami swą pięść ogromną, rozczapierzając palce starannie. A śmiał się z byle czego, zawsze długo i serdecznie, trzęsąc się całem ciałem, śmiał się tym śmiechem, którym się tylko dzieci śmieją.

Ale nietylko śmiech jego był podobny do dziecinnego. Wielka, szeroka twarz Macieja przypominała mi swym spokojem wewnętrznym, który się na niej malował, twarz dziecka, tę twarz dziecka malutkiego, której rysów jeszcze myśl wewnętrzna ni upięknia, ni wykrzywia. Głowa Macieja w porównaniu z jego wielkością i objętością wydawała się mniejszą, niż była w rzeczywistości. Kark szeroki

jeszcze bardziej ją zmniejszał; gdy zaś usiadł, ręce zawsze o kolana opierając, to ztyłu głowa ta nikła jakoś zupełnie i podobny on był wtedy bardzo do kopy siana ostro zakończonej, a z boku przypominał mi owe niezgrabne, lecz poważne figury i wyobrażenia, które ludzie wieków minionych na skałach i kamieniach wykuwali.

Wogóle im dłużej mu się przyglądałem, tem silniejszą stawała się we mnie chęć poznać tego wielkiego chłopa trochę bliżej, dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Postanowiłem więc skorzystać z okoliczności, która być może nie prędkoby się później przytrafiła i przesiedzieć już cały wieczór u szewca.

Maciej rozgadał się ogromnie, gadał pytany i niepytany, był mówniejszy, niż się spodziewałem; chociaż jednak mówił dość bezładnie, od przedmiotu odstępował zawsze dość daleko, słuchałem go ze wzrastającem zajęciem. W opowiadaniu swem teraz nawracał on najczęściej do życia swego w kopalniach złota, na pryiskach jak sam mówił. Jakkolwiek życie tamtejsze znane mi było z wielu najrozmaitszych opowieści, słuchałem go cierpliwie, ciekaw wskazówek w kwestji dość drażliwej, w jaki to sposób zebrał on kilkaset rubli tam, gdzie środki zbogacenia się są zawsze, rzadko jednak godziwe.

* * *

— I holowałemże ja, holowałem na tych pryiskach — ciągnął Maciej po powrocie z kuchenki — postawili mnie z początku w siachcie, ale jakoś zobaczuł mnie sam *uprawlajuszczy* [1]).

— A cto jeto za wielikon takoj, — po naszemu niby to wielgolud, pyto, o! jakby to ludzi, psionkrew, nigdy nie widział.

---

[1]) Zarządzający kopalniami. Mowa tu o prywatnych kopalniach złota tak zwanego olekmińsko-witymskiego okręgu.

Powiadają mu: to Maciej bandzie, iz Polaków.

— Chorosy ze Polak, dawać tu jego!

Posłali po mnie; przychodzę, czapkę zdjęnem — i Maciej sięgnął rękami do głowy — ale się nie kłaniom, ni! bo co mi ta?

— A to taki głupi, — pyta się, — ty otkuda? — Hi hi, hi! a otkudaże mam być, kiedy z Polski jezdem! A potem znowu: a chleb ty umiesz piec?

Na przekpiwanie mnie wzion czy co, pomyślałem, ale nie pokazuje tego po sobie i powiadam: kiej to babska rzec, to jest niby babskie dzieło, a nie muzyckie, tłumaczę jemu; zrozumiał czy nie zrozumiał, licho go wie, tylo kazał wziąć mię do pomocy *chlebopiokom* [1]).

Ale w tej piekarni rozpusta, pijaństwo a złodziejstwo, Boże odpuść! Ale we nic się nie wtrącam, robię, co mi każą, a pilnować czy naglądać nie kazali przecie. Tylko moje chlebopioki, jak zobaczyli, że się ich słucham i mogę za dwóch, a do niczegoj się nie wtrącam, dawaj hulać jeszcze lepiej — pijatyka jak w karczmisku. Przychodzi uprawlajuszczy raz, drugi, chlebopioki pijane, ja tylo jeden harcuję kule chleba tego. Popatrzał i poszedł. Przychodzi na drugi dzień znowuj, a u nas batalja cała idzie: pobili się z tego pijaństwa. Kazał ich pozamykać do *kałałażki* [2]) i pyta znowuj:

— A umies chleb piec tero, naucyłsia? — Ano tom zrozumiał, że nie przekpiwa, śmieję się, i „ajakze, naucyłsia, naucyłsia", powiadam. Kazał mi być starszym chlebopiokiem. Co było mąki w piekarni wzięni i wydali mi preporcyjom na cały tydzień. A mąki było niemało, bo więcej jak na dwiestu ludzi piekło się u nas. Piekę se tedy i kalkuluję tak, żeby mi starczyło. Tylko tydzień kończy się akurat, uprawlajuszczy jest znowu:

---

[1]) Piekarzom.

[2]) Do kozy.

— No cóż, Matwiej, powiado, mąki chwaciło?

Nic nie mówię i wiodę go do stancji, w której mąka leżała i ot pokazuję, co się ostało, a ostało się bez mała trzy *kule* [1]). To, jak zobaczył, oczy tylo wytrzeszczył:

— Ano choroso, choroso! powiada. Zawołał zara *materjalnego* [2]) i kazał mu, aby z kóżnego ostatku zapisował zawdy połowę na ekonomijom do magazynu, a połowę dla mnie na nadgrodę.

Ale że to na takim pryisku różnie bywa, to ludzi coniemiara i tknąć ich niema gdzie, to znowu jak zaczną uciekać i do siachtów nie starczy, stałoć się i wtedy tak: tu robota pilna na gwałt, a tu ludzi mało.

Wzięli mi z początku jednego robotnika, później drugiego i po tygodniu i więcej, z jednym się tylko ostawałem, a to dzień, dwa i zupełnie sam. Od świtu do świtu stoję przy dzieży i przy piecu. To już jak mi robotników zabiorą, uprawlajuszczy, widząc, jak się ze mnie pot ciurkiem leje:

— Wódki, — krzyczy, — dawać Matwieju, ila zechce! Pij, powiada, ila chces. — Ja se wódki nie żałuję, aleć zawsze źle już szklanka, a to i pół butelki co dnia się ostanie. To już moje i kiepsko rubla codzień mam z tego [3]).

Ale czy od holowania tego, czy co, zaniemogem jakoś odrazu, odjęło mi ręce i nogi, plamy czarne poszły po ciele, a zęby jak klawisze we organach latają. Do

---

[1]) *Kulem* zowie się worek, zawierający 5 pudów mąki.

[2]) *Materjalny* — oficjalista, zarządzający magazynem prowjantowym.

[3]) Wódka w kopalniach znajduje się tylko w magazynach i składach właścicieli kopalń i wydaje się wszystkim w porcjach ograniczonych. Wskutek tego kontrabanda wódki jest tu bardzo rozwiniętą. Wiadro spirytusu sprzedaje się zwykle za sto rubli i to spirytusu bardzo lichego. Trzeźwy i mocny robotnik, który przy ciężkiej pracy może się obejść bez wódki, sprzedaje zwyczajnie swą porcję i z tego ma grosz ładny.

śpitala. Doktór mówi: *cynga*[1]). Cynga czy nie cynga, tylo ze mną coraz gorzej. Aż tu dopiero jeden z *roboczych*[2]), co w bolnicy takoż leżał, ruski jakiś, człek stary i *brodiaga*[3]) bywały, powiada mi: „Ty ich nie słuchaj, nie słuchaj i doktora, bo cię zaleczą na tamten świat, a ot posłuchaj dobrej rady: poślij kogo po muchomory do tajgi, nałóż ich pełną butelkę i jak postoi, a nabierze mocy, pij w dzień jeden kieliszek nastoju i wódki, ile wlezie.“ Zrobiłem akuratnie, jak kazał i po tygodniu, jak rękom zdjęno.

Tylko ten sam roboczy znowu, widzę, przychodzi, myślę sobie po poczęstunek, postawiłem poczęstunek dobry, a on powiada:

— No i cóż ty myślisz?

— A jo myślę, ze to dobra śtuka, tylo nie do trzech raz.

— I dobrze, myślisz, on znowuj, widział ty, powiada, jak *powar*[4]) dla uprawlajuszczego mięso ze żyłow oczyszcza na kutletki?

— A jakże nie miałem widzieć, widziałem, powiadam.

— No to widzisz, jak tu ostaniesz, to i z ciebie wszystkie żyły powyciągają, siłę twoją wielką zabiorą. Zebrałeś trochę grosza, to i ruszaj stąd, nie oglądaj się na nic.

Wyszedłem tedy ze śpitala i po *razciot*[5]). Ale korowodów miałem niemało: „ostań się i ostań“, powiadają, „i pensyjom damy większą i to, i sio“. Ale jo ni, dobre pinądze wase, alić drogie, powiadom. Uprawlajuszczy okrutnie się rozgniewał; *durak*, krzyczy — i roz-

[1]) Skorbut — zwykła choroba w kopalniach złota.

[2]) Robotników.

[3]) Włóczęga; *brodiagą* zowie się deportowany, który uciekał z Syberji, zmieniał nazwisko i t. p.

[4]) Kucharz.

[5]) Rachunek.

rachowali mię, a dostałem do ręki bez putorasta tysiąc rubli równo.

* * *

— I czyż rzeczywiście piliście ów nastój, Macieju?

— Aa! pirse likarstwo! — odparł zapytany, ale gdy szewc, zrozumiawszy budzące się we mnie wątpliwości, usuwał je znacząco wypowiedzianem objaśnieniem:

— Aktualnie, takiej maszynie i dwie butelki muchomorów nie zaszkodzi — Maciej miana tego już nie przyznał za sobą:

— Cy to ja tero masyna; bój się pon Boga! a dyć ze mnie połowy się nie ostało!

— Więc grubszy byliście?

— A no, mówię przecie, nie taki bułem! I do cego to ja tero podobny, jak ten charcisko ścieniałem! abo to ręka? — i odwinąwszy rękaw koszuli, ukazał nam rękę, którejby niejedna noga pozazdrościła. — Cy to noga? — i obcisnąwszy rajtuzy szerokie, z politowaniem szczerem patrzył na jej łokciową objętość. — Nie taki bułem, — zakończył z westchnieniem.

Domyśleć się łatwo, że mi o westchnienia podobne bardzo chodziło; grunt zresztą już był nieźle przygotowany i Maciej, tak rzadko zapewne doznający ulgi wywnętrzenia się szczerego, dziś już i tak wzburzony, nie potrzebował silnej podniety. Dość było, żem go słuchał z niekłamanem zajęciem, dość więc było, gdym powtarzać zaczął częściej i z naciskiem silniejszym: a co, a jak, a czyż? Na każde takie pociągnięcie „ho, ho!“ Maciejowe odpowiadało coraz głośniej, twarz silniej kraśniała i gdy zagotował się samowar, Maciej wymówił już szewcowi posłuszeństwo i nie chciał nalewać herbaty.

— Cy to jo nigdy i pogadoć nie mogę i cy to jo gadom z kim kiedy? Pon we śklepie, pon wi, jak i obyjść się i gadać z ludziami, a jo przecie nijok nie mogie; boć

nietylko z tutejsemi, ze swemi nijako mi, taki jo prosty! Kucno samymu i z ciała spadom nie darmo, aleć do nikogoj nie lazę, bo i ludzie ze mnom kucejo. A tu panisko kożne słowo ludzkie rozumi, nie wydziwia, nie wyśmiewo i jok ze swym se gadom. I na sercu lzy zaro. Nalijze pon som, a mnie juz nie trza tygo caju głupiego.

Szewc, jakkolwiek oburzony tak wyraźnem przewróceniem porządku społecznego, udobruchał się jednak i zajął herbatą, a Maciej, uwolniony od jednego z najprzykrzejszych swych obowiązków, stał się jeszcze weselszy.

Usadowiliśmy się oba na kanapce. Maciej miał mi opowiadać swe dawniejsze dzieje. Czerwony on był jak piwonja, ale, rzecz dziwna, usiadł i zamilkł i choć już parę razy zagadywałem go: „no i cóż Macieju?" — Maciej milczał. Tylko głębokie sapanie wskazywało, że milczenie owo nie oznacza zamilknięcia zupełnego. Przeciwnie, to myśl, zwolna pracująca, roznieca i rozpala mego narratora.

Maciej siedział, jak zawsze, prosto, z szeroko rozstawionemi kolanami, na których spoczywały obie ręce, siedział tak chwil kilka z oczami, jakby w przestrzeń daleką utkwionemi, siedział nieruchomo w ową przestrzeń, która się może przed nim odkrywała, zapatrzony i tylko twarz jego pałała. I już rzucić mu miałem nowe energiczniejsze pytanie, by go wyrwać z zadumy głębokiej, gdy Maciej, nie patrząc ni na mnie, ni na szewca, tak sam zaczął:

* * *

... Słychałżeć pon pewno o wodzie wielgiej, rzyce bystrej i carnej, co Narwiom się zowie?

Niedalecko od ty rzyki je trzy wsie niemałe Mocarzami zwane.

Duzo wsiów różnych widywałem, na ludzi różnych patrzałem; widziałem i tatarskie wsie wielgie, i celdońskie [1]) ni to miasta rozległe, i brackie [2]) ułusy i nad Angarą, i zamorskie [3]) takóz, i we wsiach u siemiejskich, co za morzem mieskają i Polakami się zowią [4]), a zyją dostatnio, bywałem i nikaj, nikaj, wsiów nad nase Mocarze nie widziałem.

Cegoz bo tam niema, co bo tam nie jest, Chryste mój miły! I podniósłszy obie swe ręce, Maciej wyciągnął je przed siebie.

A te błonia, a pola, a te sianozęcia, jak łany! A te gaje, dąbrowy, a te zboża, jak złoto.

Tu wielgie to wsyćko, a nieraźne jakościć: co tu w tajdze obacys, cem tu się w polu uciesys? Zokoła jak grobem cię obdaje: w górze sęp zaświscy, w tajdze miedźwiedź zarycy — ot i radość caluśka! U nas inacy.

Wyjdzies rano, a huknies po rosie, to jak dzwonem zadźwięcy w powietrzu! Spojrzys na to stworzenie wesołe, a posłuchos świergotu, co i ze ziemi, i z drzewa, i zwysoka z pod niebiosów się niesie, toć wesoło na dusy! A pociągnies wonności, co z tych polów, z tych łąków az biją, jak z kadzielnicy w kościele, nabierzes tygo powietrza we siebie, to i siły przybywa we dwoje! Nigdzie i nikiej nie cułem w sobie ty siły, co w Mocarzach, kiedy o wcesnym poranku słonko nase witałem! Tu i ranek nijaki, świat nie raduje się jemu: ni to ptak, ni to zwierz, ni to celdon go nie zno. U nas inacy...

Tyle ziemiów widziałem, całą tę wielką Syberjom

---

[1]) Wszyscy deportowani, bez różnicy wyznań, Rosjan syberyjskich zowią czełdonami, ci zaś deportowanych — warnakami. Są to nazwy pogardliwe. Warnak od *wor nag* — nagi złodziej.

[2]) Burjatów zowie ludność miejscowa brackimi.

[3]) Zamorskiemi zowią się ziemie, leżące za Bajkałem.

[4]) Staroobriadcy, mieszkający za Bajkałem, zowią się siemiejskimi v. Polakami; wysiedleni tu w XVIII w. z Polski.

do morza przesedem i ziemi zamorskiej kawał niemały, a ziemi takiej jak nasa nigdzie nie nalazem! Aleć o tem tu się dopiro dowiedziałem. Tu dopiro! Cy jo tylo! Som ze u nas ludzie mądre, som i księdze, som i pany, som i chłopy głowace i nikt nie wi, co majom!...

* * *

...Te wsie Mocarzami zwane, kożna ma swoje przezwisko. Jedne niby to najstarsze zowią się Korzeniste, drugie — Suche, a trzecie najmłodsze — Mokre. Ja bande z Mocarzów Suchych.

Wieś to tyż duża. Dziedzicem naszym był pan Olszeski, a byliśmy pańszczyzniani. Przy pańszczyznie, jak wiadomo, nie powiem, żeby dobrze się działo. Podrosem, miałem już pewno lat ze dwadzieścia, gdy Olszeski wziąść mnie kazał do dwora.

A choleryk był z niego: zółty, suchy i mały, a i zły tyż, powiadam, jak ten ciort nad duszami. Tylko że zły to on był prawdziwie, ale wtedy tylko, jak się rozgniewa, chociaż gniewał się byle o co i wtedy to pienił się ze złości, łaska Boska, zawdyć jednak niedługo. Nakrzyczy się, namiota, pożółcieje jeszcze gorzej, ale jak tylko przestanie, mogli mu później wszyćko mówić, słucha i choć go trzęsie, nie gada. Był sprawiedliwy. Młodzi, to nie można powiedzieć, żeby go lubili, ale co starsi, a gospodarze, zawszeć nam mawiali: nie zważajta, że krzyczy, z dwóch psów zawdy lepszy ten, co głośno szczeka. I prawdę mawiali; nikogoj on prawdziwie nie skrzywdził, ludzi nie mordował, ale o tem już się później dowiedziałem. Tymczasowie wiedziałem jedno, że zły nasz Olszeski i bałem się go jak ognia. No i dalej zawdy ode złego. Tylko nie wiem już z jakowej przyczyny, ja od niego dalej, a on zato bliżej. Czepia się do mnie cięgiem, wydziwia, Bóg wie nie co, a wymyśla i beśta

jak nieboskie stworzenie. No ale nie zapominający, co mi tatuś nakazowali, nie zważaj, że zły, pamiętaj, że sprawiedliwy, cierpię i cierpię i ni słowa nie pisnę. I długobym cierpiał tę poniewierkę, gdyby moj Olszeski nie przesoluł. Wydziwiał rozmaicie i nakoniec, żeby mi już dopiec do żywego, zacząn mię zwać, to i tero nawet nieprzyjemnie spominać: „skurcybykiem i głupim drongalem". Jak tylko bywało przyjdzie na podworze, co nie zrobię, co mnie nie zobaczy, choć uciekam przed nim, jak zając przed psem, zaraz krzyczy: „Ej ty skurcybyku, ej ty głupi drongalu!" A głos miał wcale nie wedle siebie, prawda, cienki i piskliwy, ale taki syczący, przejmujący, że go słychać było jak świstawkę. To jak mi krzyknie tego „skurcybyka" abo „drongala", aż się przewraca we mnie.

Głupi ja to głupi byłem dla niego, ale nie za takiego już głupiego mieli mnie swoi. Czy to w karczmie przy skrzypce, czy to w polu przy robocie najcięższej, nie było we wsi parobczaka, coby sprostał się ze mną. Bo od roboty, jak i od ochoty, nigdy nie uciekałem, a siłę miałem, mówięć niedarmo, nie taką jak tera; czego nikt nie zmógł, do tego Macieja stawili.

A tu napaść taka, poniewierka ni z czegoj? Ano, myślę, dość już tego, dość już tej poniewierki, niech się dzieje wola Boska, pokażę mu, że nie taki już „skurcybyk", nie taki „głupi drongal" jezdem. Teraz to już nie wiem, czy zmógłbym, ale wtedy to tak było, że ni jednej fornalki u nas nie było, którejbym nie zatrzymał; jak wezmę za zad, bij, zabij, konie nie ruszą. Z cugowemi nie probowałem, stangret nie dał: „złomies jesce karyte" powiada, „a potem mnie się za ciebie dostanie". Ale, niech już co chce będzie, sprobuję...

We święto to było, kazał zaprzęgać, ale nie do kościoła, bo som tylo wysed, widno do miasta jechał, wysed, usiad se dobrze, drzwicki zamknąn i ceka, a lubiuł, zeby konie wraz brały i ostro brały.

A ja juz stojem ztyłu, nogi rozstawiułem dobrze, zeby oprzeć się mozno; jedną ręką pod bok się wziąnem, a drugom — za zadek ty karyty, a serce to mi jak młotem wali, bo i nie utrzymom moze takich wypasionych hamanów, myślę sobie, a najgorzy pirse sarpnięcie. Wsyćkom siłe zebroł — natęzułem się i konie sarpły, az mi w ręku zatrzescało, sarpły raz, sarpły drugi i — ni kroku z miejsca.

— Rusaj! — zapiscało z karyty, — a tu pani z panienkami w oknach stojom i chusteckami wymachujom.

— Rusiaj, trutniu! — zapiscało, ale ju ze sykiem.

Widno jednak, Wacho stary domyśluł się, co to za jenteres, bo jak obacuł, ze konie az się spinajom, a z miejsca rusyć nie mogom, koni nie zacina, aby, broń Boze, niescęścia nie było, nie zacina, tylo obraca się ku niemu i powiado: „A jakze mom rusiać, kiedy Maciej pewno trzymo?"

A to skocuł, jakby go wrzątkiem podlał, a trząs, się tak, ze tchu złapać nie móg i odwrócił się, i patrzy, bo karyta spuscona była, a cały az zielony, patrzy mi prosto w ocy, a ja trzymom i jakem juz raz spojrzał na nigo, nie odwracam się i takoz patrzę, tylo od trzymania tego to mi zyły się ponaprężały i krwią nabiegem cały i jaki byłem, nie wiem, tylo mój pon popatrzuł, popatrzuł i ja tu myślę, Bóg wi nie co ze mnom tero zrobi, a on... zrozumiał, widno... Ześnurował usta i uśmiecho się i ot te tylo słowa: „a toś mocny, a toś mocny! no puść tero, Macieju", powiada.

Puściułem, konie porwały, myślałem, ze poniesom moze.

— — — — — — — — — — — — — —

Maciej usiadł zmęczony, gdyż całą scenę zatrzymania powozu odtworzył przed nami z możebną ścisłością: stał pod bok podparty, trzymał ręką powóz końmi silnemi szarpany, patrzył groźnie swemu panu w oczy, sam

z oczyma krwią nabiegłemi, rękami konwulsyjnie ściśnionemi...

I jeżeli w niezgrabnych *juntach* [1]), osiwiały, osłabły, wpół z ciała spadły, pięknym i groźnym Maciej wydał mi się, jeżeli dziś jeszcze oczy jego błyskawice miotały, to jakimże on być musiał wtedy, gdy stał tak kiedyś przed panem, w obronie swej godności ludzkiej?

* * *

... Od tej pory, — ciągnął Maciej po pewnym przestanku, — mój pan inny. Nie odrazu, co prawda, bo z początku stronił ode mnie i choć beštać przestał, słowa długo nie wymówił. Ano, myślę sobie, gorzej będzie, bo na pewniaka szykuje mi co takiego, że ruski miesiąc popamiętam. Ale ni. Zaczął i zagabywać mnie potem, a zawdy dobrze, zawdy po ludzku i rok nie przeszedł, „pirse łaski mom u niego". Czy gdzie posłać, czy z pieniędzmi, czy z panią abo z panienkami, nikt tylo Maciej, i już później, jak mnie poznał, to i nie zakazował: „a nie upij się, a nie zasiedź, a koni nie zamorduj", powie tylo to i to i już, ja w książce napisał, wszyćko je, jak przykaże. No i polubiałże mnie! i bez te kilka lat, co byłem jeszcze we dworze, słowam marnego nie usłyszał. Dobrze mi było. Tylko we dworze dobrze, aleć warto i o sobie pomyśleć. Ja ta sam, co prawda, choć mi tatuś o tem nieraz gadali, niewiela o tem myślałem i nieprędkobym pomyślał, żeby nie ożenek. Bo i czegoż myśleć o lepszem, kiedy mi dobrze było, a od dobrego nikt nie ucieka. Robota była, ale i wesela niemało.

Z jednych dożynków co to radości bywało, a w karczmie co niedziela skrzypek nasz mocarski jak zagra, to i starym nogi podrygują!

---

[1]) *Unty* — albo *junty*, obuwie bez obcasów z miękką podeszwą i szerokiemi cholewami.

A dziewuchy nasze? Ii! nigdzie takich niema! bo choćby i tu na ten przykład, czyby choć razik pokazała się jaka do mocarskiej naszej dziewuchy podobna?

— Zachciało się Kasi gruszek, znalazł, gdzie ładnych dziewczyn szukać, myślę jednak, że u nas w Wiślicy znalazłaby się niejedna od mocarskiej lepsza? — Maciej dość pogardliwie zmierzył szewca i, nie odpowiadając mu nawet, prowadził rzecz dalej.

... Przyjdziesz bywało, gdy się już zbierom, to jak te kwiaty, jak lilije same! A usłyszysz, jak chichoczą chi, chi, chi! chi, chi, chi! jak z za fartuchów ślipiami błyskajom, to i sam nie wiesz, jak krzykniesz:

— Hu, ha! Ognia chłopcy podkówkami! ano grajku, grajze żwawo! A oberka, a moigo, rźnij od ucha!...

I Maciej byłby puścił się w pląsy, bo „hu, ha!" wyrzucił z taką siłą, że aż w uszach zadźwięczało, gdyby szewc, urażony lekceważeniem poprzednio mu okazanem, nie osadził go uwagą:

— Fartuchami zakrywają? zwyczajnie prostota!

Maciej, już porywający się, usiadł, szewcowi jednak nie przepuścił.

— Prostota? Wiadomoć, nie tak jak w mieście, gdzie wszyćko zaro na pokaz. Ale nie widziwiołby pan. A pomiędzy temi dziewuchami to najbardziej mi się udała...

— Kaśka? — szewc wtrącił.

— Ni, nie Kaśka, tylo Maryś właśnie, a dziewucha to była między mocarskiemi pirsza, a choć jedna w domu była, bo bez matki, rządna, pracowita, zawdy czysto kiele niej.

... W polu zawdy przodownica. Kiedy, bywało, stanie na zagonie, to, gdy drugiej i nie widno we zbożu, Maryś moja się nie schowa i choć zagony duże, putoraczne, spojrzysz ztyłu, to się widzi, z pół lichy bezmała zajmuje! Dziewka była krzacasta, w sobie dobrze rozrośnięta, a cerwona, jak ten mak w ogrodzie, jak ta wiśnia

na słońcu. A jędrna tyz była w ciele, to i opowiedzieć nijako. Zechces uscypnąć bywało...

— A gdzieście szczypali, w gębę? — przerwał szewc impertynencko.

— Nie widziwiołby pon! Cy to ja z panów, abo z mieskich jakich, zebym scypał dziewkę w gębę, a swoję Maryś jesce? Scypałem, gdzie trza...

Szewc triumfował i teraz, gdy zdołał dowieść nareszcie czarno na białem jego zupełnej nieznajomości form towarzyskich, tej najprostszej przyzwoitości miejskiej, z wyrażeniem nieskrywanego zadowolenia i ironji słuchał objaśnień Maciejowych.

... Scypałem, gdzie trza, — powtarzał tymczasem Maciej gadatliwie, — ale po próżnicy, bo nijok nie mozna; siłę w palicach miałem przecie niemałą, a zechcę uscypnąć, nie mogę. I wielki palec do zgiętego wskaziciela to przykładając, to odejmując naprzemian, strzygł w powietrzu palcami jak nożycami, okazując nam w ten sposób próżność i bezskuteczność swych wysiłków. „A choć i przyprzes ją gdzie bywało i tknies dobrze palicami, nie bierom, opsną się zawdy. Dziewka, jedno słowo, jak rzepa".

Zalicanki więc do niej prowadzę i dziewcyna, widzi mi się, nie od tego, bo i zerka zawdy i tańcuje ze mnom najlepi, tylo, myślę sobie, obacę, jak te moje jenteresa idom. Więc w niedzielę raz, z wiecora, wypatrzułem, jak śła na tańce, a trza jej było przeleźć bez przełaz kiele Wojtkowy chałupy. Stanąnem se tam i stoję, a cekom. Słysę nareście, idzie, słysę, bo słychać zdaleka, jak stąpa moja dziewucha. Przysła do przełazu, nogie dobrze podniesła, przefajtła się na drugom strone i juz ma zeskocyć, az tu, patrzący na to wsyćko, nie wytrzymałem — skocułem do płota i łap jom wpół, a, widzi pon, je piosnecka jedna taka, co się kończy:

„Leci kacor z jeziorzyska,
Nie odwracaj ze mi..."

Więc tę piosneckie śpiewający, trzymom i chce pocałować, alić nie wymówiułem słowa, co je do składu, bo się mówi: „nie odwracajze mi pyska", jak mnie nie trzaśnie między ocy, aż mi w ślipiach pociemniało i nie opamiętałem się jesce, a tu, chlast! mię w pysk z jedny, chlast! z drugi strony i: „na ci pyska, na ci pyska, galanciku! a wara! a zasię!" krzycy i chlasta i chlasta, jak kijankom po wodzie.

— O rety, o la Boga! co za napaść taka! — A to tak ogłupiałem, ze się nijok opamiętać nie mogę, a cuję tylo, bo dziewka krzepka była, jak mi pyski rosnom od tygo chlastania. Przestała nareście, siadła se na płocie i dopiro dojmać mi i molestować:

— A cy to ja się od was takiego sromu spodziewałam, Macieju, a cy to ja jaka taka, a nie gospodarska córka, a cy to ja dworska jaka, a wietrznica, cośta bez przełaz do mnie drogę należli?

A no to, jak mi to powiedziała, zmiarkowałem, tylo ze nie przysedem jesce do rozumu, to i zeskocyło mi z języka:

— A bez co? — powiadam, a no to znowu jak ziarn na niom sypnon:

— Bez co, bez co? — krzycy. — A cy to wy mały, a nie parobek jesteśta? Widzis go, mądrala, do zalicanek się zabiera, a nie wi bez co do dzieuchy utrzymałej droga wiedzie? A bez ojców, a bez rodziciela! kiedyśta dureń, to wam powiem!

A no to tak mię za serce jęna, ze oniemal nie rozbecałem się jak cielę.

— A przyjmieta? — powiadam.

— Abo wy krzywy, abo jaki, abo to was ojce nie znajom?

— A ty, Maryś? — mówię.

— No, a jakze, ajuści, — powiada, — jak ojce kazom.

Uumm, a to dziewka, — myślę sobie, dobra! To

tak mi się udała, ze byłbym juz nie zwazał, ze jesce moze się rozgniewa i obłapiułbym jom znowuj, aliści nadysed ktoś; ona zeskocyła i poleciała na tańce, a ja posedem do domu, bo pyski mi powyrastały jak bułki łomzyńskie, co tatuś bywało po trojaku z jarmarku przywozili. Nie wiecerzałem juz, tylo zawalułem się spać na wyśki, no ale na drugi dzień idę do ojców i powiadam tak i tak, zeby zaro dziewosłęby. Choć dziwowali się dlaczegoj tak obcesowie, ale uparem się i uprosiłem; najgorzej tylo, jak z panem? No ale trudna rada, bez niego się nie obyndzie, poszedłem i też uprosiłem, a obyszedł on się ze mną wcale po ludzku i ze służby puścił i dał początkowie pola obsianego i na dwudziestomorgowem gospodarstwie posadził.

Daliśmy na zapowiedzie i wesele tośmy mieli, jak starzy w Mocarzach nie pamiętali, bo i moi, i jej ojce, choć i nie bogaci, ale zasobni byli gospodarze, a co juz do wypitki, to pan od siebie postawił, no i hasaliśmy, hasali!

— — — Tu urwał raptownie.

... I nie było już mi życia na świecie, jak bez te siedem lat z moją — zaczął Maciej znowu, ale powoli i dobitnie, jakby odmierzając każde słowo.

Maryś dziewka rzadka była, ale baba jeszcze lepsza.

Kożny rok prawie, kiele Bożego Narodzenia, no to już się i rozsypie, alić kłopotów żadnych z tego, bo i trzechby zaraz karmić mogła. A chłopaki wszyćko byli, a we mnie kożny kubek w kubek jak ulany.

— — — I żałość, którą posłyszeliśmy w głosie Macieja i przestanki, któremi sobie folgować zaczął, zwiastowały opowieści wesołej koniec bliski.

... A w domu czysto i rządnie i wedle jadła i wedle przyodziewku, — dopowiadał Maciej miarowo.

A co po gospodarstwie, to i mówić nie trza!

Wiodło mi się: ptasiego mleka brakło tylo...

— — — Maciej zamilkł... A my poczuliśmy jakoś, że z ostatniem jego słowem pękła złota nić tego życia, które już tylko sztucznie nawiązywać mogliśmy; poczuliśmy, że inną będzie dalsza opowieść i zatęskniliśmy za tem życiem i żal nam się go zrobiło i choć wiedzieliśmy, że napróżno, łudziliśmy się jednak nadzieją, że ot, jeszcze może choć na chwilę, usłyszymy śmiech wesoły, popatrzymy na życie niewykolejone. Ale Maciej zwiesił na szeroką pierś swą głowę wspomnieniami rozkołysaną i milczał posępny, łowiąc może ostatnie blaski znikających bezpowrotnie dni jaśniejszych lub może, oglądając, wyłaniające się przed nim z mroku dawnej przeszłości, dnie trwogi i bólu.

* * *

Na dworze srożyła się śnieżyca i dzikie wycie wichru teraz wśród ciszy, panującej w izdebce, dawało się słyszeć wyraźnie. A ot teraz jękło głośniej i zatrzęsło okiennicą, jakby siląc się wysadzić ją z zawiasów. Maciej usłyszał to zapewne, bo podniósł głowę i jakby kończąc myśli własne, wyrzekł nareszcie:

— I wszystkoćby może i do dziś tak było, gdyby nie ta kara Boża.

I nam nie żal już było życia dawniejszego, żal nam było teraz Macieja i widząc, że on cierpi, nie zmawiając się, zrobiliśmy obaj jedno, cośmy zrobić mogli: ja przysunąłem się doń jeszcze, szewc przeskoczył ze swego łóżka na drugą stronę kanapki i także usiadł koło niego; może mu lżej będzie, gdy poczuje nas bliżej przy sobie.

— Gdyby nie ta kara Boża — powtórzył tymczasem Maciej powoli.

... Jak tylo zaczęła się ta zawierucha, w naszych Mocarzach życie też inne poszło. Parobczaków co lepszych nie stało. Byłbym i ja się w domu nie utrzymał, aleć

pan „ni, powiada, co się tam ma zrobić, zrobi się i bez ciebie, a ty będziesz tu potrzebny"; ano wie on lepiej niż ja, ostałem się. Tylo początkowie myślewa se wraz z Maryś i do czegoj on tu mnie ostawił, bo siedzę tu kilka niedziel po próżnicy, aż tu raz w nocy, przed świtaniem jeszcze, rwetes we wsi; przejechało konnych kilku, ludzie latać zaczęni i dwie zdrowaśki nie przeszło gruchło po wsi: idom, idom!

A jak się to po wsi rozniesło, Bóg wie jeden, tak krzykiem jakimś. No, ale jak się rozniesło, co było żywego w kóżnej chałupie podniesło się na nogi i wysypało na drogę; rzadka baba, abo i dziewucha, w spódnicy, a to, jak spało, wszyćko w koszulach powylatało.

Wtedy to i przysłali po mnie ze dwora...

. . . . . .

... Od tej pory nalazła się i dla mnie robota i rzadki już dzień w domu nocowałem. Całą okolicę znałem na dziesięć mil wokół, więc, jak trza gdzie co, mnie wszędy. I z listem, i bez listu; i konny, i piechty latałem dnie i noce całe. To odwieźć, to przywieźć, to przeprowadzić. Bywało, tylo co przyjdę abo i przyjadę i powieczerzać siądę, a tu już pan ślukа do okna. Więc chleba kromkę, sera kawał w zanadrze i w drogę. Maryś tylo w kącie popłakuje, rzadkiej sumy w kościele krzyżem nie przeleży.

Ale Bóg chronił. Konny, co prawda, niebardzo lubiłem, bo od siły tej mojej, to i konie prędko ustawały, piechty zawdy jakoś raźniej mi było.

. . . . . .

... Tak mi pół roku zeszło. Pamiętam aliści, przyszedłem z ostatniej drogi, z Piekiełka jakoś. Błoto jedno takie w lesie, co tylko wiadomy mógł przejść po niem, tak się zwało. Ale przyszedłem, siedzę w domu dzień, siedzę drugi, nie przysyłają po mnie ze dwora. Siedzę trzeci — też nikogoj nie widno.

Co u licha? czy zasłabł, czy co?

Przepytuję dworskich. Ni — powiadają — chodzi, jeździ nawet, nieswój tylo jakiś, bo i krzyczeć przestał. Pytam znowuj: czy nie nakazował co do mnie? Ni — powiadają — nie nakazował.

Coby się stało, rozumu nie nabiorę. Maryś, zwyczajnie baba głupia, to i rada, „a — powiada — rozlatałeś się, to i w domu ci niemiło, nijako". No, ale jakem jej powiedział: stul gębe, Maryś, bo ci som stulę, — widzi baba, że nie kpiny, milczy.

Tylo już na czwarty dzień nie wytrzymałem; przyodziałem się, idę do dwora. A choć przez pół roku, to już bez meldunku wchód miałem do panowego pokoju i we dnie i w nocy, poszedem do kuchni, żeby mu powiedzieli, że Maciej przyszed.

Zawołał. Wchodzę, pokłoniłem się, a on prawdziwie jakiś nieswój: chodzi jak zwarzony, w papierach coś szuka, a na mnie, kiedy mówi, to i wcale jakoś nie patrzy. A bywało, toć zawdy oko w oko, słowo powie, to rozumiem. Teraz nie ten.

— Ano dobrze, dobrze, Macieju, a co powiesz? — powiada.

Dziwuję się niemało, bo i co ja powiedzieć mu mogę? No, ale kiedy pyta, to i mówię: a przyszedem, czy niema co wedle drogi, proszę łaski wielmożnego pana?

A no to znowu toż samo: dobrze, dobrze, właśnie myślałem, chciałem sam posłać po ciebie, trzeba list zawieźć do Korzenistego.

Usiadł, napisał i daje.

Nie widzi mi się to, co prawda, boć wiem, że do Korzenistego nijakich takich interesów nie ma; no ale znowuj i myślę też, głupi ja jestem, skąd mi o wszystkiem widzieć i choć mi się ta droga nie wydaje, zawdyć już raźniejszy się stałem.

Sprawiłem się prędko, wracam i pytam już sam, kiedy przyjść przykaże?

— A, — powiada,— tera pewno prędko nic pilnego nie będzie, a jak co będzie, to poślę po ciebie — i też, mówiący, to nie patrzy i nie swój. Tknęło mnie to, boć wiem, że i sam lata i posyła takich, których dawniej nie posyłał, no, ale mówić nie śmiem, idę i czekam.

I znowuj czekam dni kilka, a ze dwora ani słuchu ani duchu żadnego. Nie wychodziłem bez ten czas z podwórza, bo, co prawda to prawda, od chodzenia tego to się zawdy kiele domu roboty nazbierało niemało; oporządziłem się krzynę i wylazem do ludzi.

W sobotę wieczorem idę do karczmy. Tylo przechodzę kiele tej Wojtkowej chałupy, co je przełaz kiele niej, stało tam ludzi kilku, a stali za węgłem, to i nie widać im mnie było, kiedym podchodził. Podchodziłem, słyszałem wyraźnie, jak głośno rozmawiali, a podeszedłem bliżej i zobaczyli mnie, to spojrzeli jakoś po sobie i jak makiem zasiał, ani słowa jednego; powiedziałem „pochwalonego", to tylo Jędrek mruknął: „na wieki". No, myślę, możeć o czem między sobą gadają — przeszedłem.

W karczmie to samo, gwarno było, bo chłopów kilkunastu, jak zawdy przed świętem siedziało i przy wódce i przy piwie; wchodzę, spojrzeli i cicho, jak na komendę odrazu się zrobiło.

Nie zważam jednak, podchodzę, przysiadam się i podać kazałem, ale widzę, ludzie ze mną jak nie ze swoim gadają. Co u Pana Boga?

Czyby za moją służbę panu, czy co?

Aleć jak o tej służbie mojej, tak i o tem, że choć z jego poręki, a dyć przecie nie jemu służę, dawno ludzie wiedzieli i tego nie było. Musić to co innego tedy? I nieswój wcale wracam do domu.

Tylo Maryś, jak spojrzała na mnie, widzi zrazu, je coś, no i zaro: a co ci, a mój ty? jak baba zwyczajnie. Jak zaczęna dopytywać, a widzę, sama już, Bóg wie nie co, myśli, powiadam: ot co, ludzie ze mnom tero

inaksi, a od cegoj, nie wiem. No i mówię, jak było. Ano to jakem tylo powiedział, Maryś rękoma plasnęła i wiem, powiada, bez kogo to, i, patrzy mi się, prawdziwie, bez nikogoj inszego, tylo bez tego ladaco, Mateusa.

A Mateus brat mój był starszy i choć to ludzie mówią, niedaleko jabłko od jabłoni pada, na ten raz nieprawda, bo ani ojce, ani dziady takimi nie byli, ladaco i nic więcej.

— Cóż bez niego? — powiadam.

— A to bez niego, — Maryś gada, — że ludzie o nim źle mówią i choć nie w oczy mnie, albo naszym, ale słychiwałam i ja i ojce, jak wygadują: „Oba, powiadają, łatać zaczęni, tylo opacnie, jeden tu, drugi tam". I mówią znowuj drudzy: „Kruk krukowi oka nie wykole, co Maciej we dworze się dowi, to Mateus koleniście Miemcowi abo Joskowi przedo; co jeden nazbiera, to drugi zeźnie", no i jesce... Ale ja już nie słuchałem, włosy mi dębem stanęły na głowie.

— A cóż ty nie gadałaś, jucho? — i ręce podniosłem, ale Maryś jak wodą mnie oblała:

— Co, — powiada, — sialeju się najadeś czy co, co wrzescys jak opętany? Toć chciałam z tobą po ludzku pogadać, a kazałeś mi gębę stulić, zabacułeś czy co?

Zesłabłem na nic, a nogi to jakby mi podcięło, ustoć nie mogem, dygotać zaczęny.

Aleć, Jezu Ty mój, toć nieprawda chyba? A choćby i prawda, a czy to brat za brata odpowiada, kiedyć i z ojca za syna nie pytają? I leżę sę i myśli różne mi przychodzą, i noc całą oka nie zamknąnem. Na drugi dzień idę do kościoła, pomodlę się, ciemny jestem, do dwora iść nie śmiem, możeć Bóg mi pomoże.

Do kościoła idący, już się nie zatrzymuję, na ludzi nie patrzę. Modliłem się bez sumę całą, no i spokojniejszy się stałem i umyśliłem sę pójść do brata i rozpytać, co to i jak to on robi.

W kościele jednak pod koniec też widzę, ludzie jakoś oglądają się na mnie, patrzą jak na wilka jakiego. Tylo idę bez cmentarz i przechodzący kiele gromadki chłopaków, słowo usłyszałem takie niedobre, co mi znowuj nogi odjęno... Bożeć Ty mój jedyny, ratuj mnie. myślę i oczu podnieść nie śmiem.

Przychodzę do dom, tatuś jak raz byli; tak i tak powiadam, zohydził nas na nic, pójdę i pogadam z nim chyba?

— Dawnoby trza, — tatuś powiadają, — tylo bądź ostrożny, bo licho go wie, co i z tobą jeszcze zrobi.

— Gorzej nie zrobi, jak zrobiuł — mówię i idę. Wodą święconą na drogę się przeżegnałem; na Maryś krzyknąnem nawet, bo uczepiła się, jak pijany płota: „nie idź i nie idź, niech go psy zjedzom, powiada, nie wiedzom ludzie, to się dowiedzo, ze nicegoj z nim nie mas". Poszedem i powiedziawszy „pochwalonego", odrazu mu powiadam:

— Je jenteres do was, Mateusu, chciałbym pogadać z wami.

— Ano gadaj, — mówi.

— Jenteres taki, ze chciałbym pogadać dobrze i na osobności i to zaro.

Zmieszał się i widno domyśluł jaki jenteres, bo powiada:

— A to pódziewa na podwórze.

— Na podwórzu nijako, — mówię, — ludzie chodzą, zaglądają, pódziewa w pole.

Ale ja mu to powiedziałem, a on spojrzał na mnie zpodełba i widno pomyślał coś niedobrego, bo mówi: niech i tak będzie, tylo posiedź tu trocha, ja pójdę do sumsiada i niedłuzko wrócę.

Wrócił prawda zaro, wyśliśwa i idziewa za gumna w pole, a za polem niedalecko i las się zacyna. Tylo prześliśwa gumna za stodołom, Mateusową stoi i ten

sumsiad jego, Walek się nazywał, chłop tyz nieprzyjemny i przyjaciel bratowy wielki. Brat, jak go obacuł, uśmiechnąn się tylo do siebie, a uśmiechnąn jakoś nieprzyjemnie. Ciarki prześli po mnie, widno prawda, co ludzie gadajom, myślę i chmurny idę i nie gadam wcale, bo Walek tyz idzie.

— No, Macieju, gadajze, coś miał gadać, — mówi Mateus i jakby z drwinami patrzy na mnie pewny siebie.

Jesce nieprzyjemnej mi się zrobiło, jesce markotniejsy idę z nimi. I tak przychodziewa do lasu, ale w lesie brat mój obcesowie zacyna i kożne to słowo pamiętam:

— Ha, — powiada, — miałeś ty ze mną o cemści gadać, a widno mnie gadać wypadnie. Ot, powiada, moze i dobrze ześ przysed do mnie, posłuchajze dobry rady; widno, źle się mas ze swego psiego latania, boć, słysę, nijok pies latas kiele dwora. Ja ci taki jenteres nasykuję, ze nie na rok, nie na dwa, prefitu zbierzes, a i ja zarobię: kolenista Miemiec, co w ty kolenji siedzi...

Więcy nie słysałem, a on, widno, nie patrzuł na mnie, gdy to gadał, boć gdyby był spojrzał nierozumny, toby był ucik ode mnie... Krew mi buchła do głowy i zbiegła wraz ze mnie, buchła znowuj i jak zwierz dziki zarycałem, i skocułem na nich... Mówić nie mogem... siłę tylo miałem straśną... Zwinąłem mu obie ręce wtył jak śnurki, wziąnem w lewą rękę i chwyciwszy go w pasie ztyłu, podniosem w górę; Walka za rękę i ścisnąnem az kości zatrzescały, ale Walek stał jak niezywy.

Puściułem go; wyjęnem nóz, co zawdy wtedy w cholewie nosiułem i podałem Walkowi: „Bij tu!" zawołałem, lewym bokiem nastawiając Mateusa ku niemu.

Uderzuł... nóz buł tocony... wlaz po trzonek... krew strugom chlusnęna...

Na drugi dzień juz mnie wzięni.

— Ty, — pytajom?

— Jo.

— Zaco? — pytajom.

Za to i za to, powiadom... Więcy o nic nie pytali... Posedem do katorgi na wiecne...

— — — Patrzyłem na Macieja: blady on był jak trup, bielszy od ściany białej, przy której siedział, rękami nie wymachiwał, tylko palce jego poruszały się konwulsyjnie.

I przykro mi było, żem go zmusił do przeżycia sceny strasznej i wyrzucając to sobie, spojrzałem mu w oczy, ale spojrzawszy, zbladłem sam teraz: na mnie patrzały też same oczy, którem widział po raz pierwszy w Jakucku w czasie opowieści p. Jędrzeja: oczy czyste i jasne, jak woda kryniczna, niewinne i spokojne, jak oczy dziecięcia.

* * *

A na dworze szalały wichry północne, kłębiła się śnieżyca gwałtownie. I straszno mi było, gdym wracał do domu pustem wybrzeżem Leny, przez bezludne ulice nędznej mieściny. Szalone zapędy wichru odbijały się we wnętrzach tajgi, okalającej kotłowinę, jękiem przerażającym i jękiem tym gnany, biegłem przez zaspy śnieżne pośpiesznie.

Noc ta jednak straszną mi była i w domu. Wicher wył około ścian jeszcze przeraźliwiej, tajga jeszcze żałośniej jęczała. I gdym zmęczony zrywał się z łóżka, biegł do okna i przykładając rozpalone czoło do szyby zamarzłej, przysłuchiwał się nieprzytomny prawie owym głosom dzikim, słyszałem, jak gnane silniejszemi porywami wichru owe jęki z tajgi wychodzące, zlewały się w jeden jęk błagalny: „O Najwyzsy, o Przenajświętsa!“

W marcu r. 1886.

STOLARZ KOWALSKI.

Zaznajomił mnie z nim przypadek; ściślej jednak rzeczy biorąc, przypadek ów mógł się zdarzyć jedynie dzięki wiośnie jakuckiej, a więc tej wiośnie, o której wy, szanowni czytelnicy, macie zapewne bardzo niedokładne pojęcie.

Już od połowy kwietnia słońce w Jakucku zaczyna nieźle przygrzewać, w maju zaś, znikając z horyzontu na kilka godzin zaledwie, przypieka nawet wcale dobrze; dopóki jednak wielka Lena nie uwolni się ze swego okucia zimowego, dopóki nie stopnieją śniegi, w tajgach dziewiczych leżące, wiosny tu niema jeszcze. Śniegi nie podgrzewane ciepłem wewnętrznem ziemi, na kilkaset stóp przemarzłej, lód grubości sążniowej, uporczywie walczą z potęgą promieni życiodajnych i po długiej dopiero, nie słabnącej pracy, słońce powołuje do życia i najgłębsze wnętrza tajgi zapadłej i królowę wód tutejszych, babcię Lenę, jak ją zowią Jakuci.

W ostatnich dniach maja, ku końcowi walki ciepła dobroczynnego z resztkami zimy surowej, człowiek, po raz pierwszy będący w Jakucku, zauważy tu dość ciekawe, w Europie zapewne nigdzie nie obserwowane zjawisko: każdy odległy, niewyraźnie rozlegający się huk jakoś dziwnie działa na ludzi, znajdujących się na ulicy; i dzieci, i starzy, i kobiety, i mężczyźni zatrzymują się wtedy raptownie i zwracając się ku wschodowi, w stronę rzeki, z szyjami wyciągniętemi, w skupieniu głębokiem przysłuchują się czemuś chwilę.

Jeżeli słyszane odgłosy milkną lub okazują się fałszywemi, ludzie nasłuchujący rozchodzą się spokojnie, ale jeżeli huk pierwotny nie słabnie, lecz powtarzać się zaczyna i wzmaga się i rośnie, napełniając powietrze grzmotem jakby wystrzałów armatnich lub odległych piorunów, którym wtóruje szum podziemny, do ryku zbliżającej się burzy podobny, wtedy ludzie ci, przed chwilą tak spokojni, ożywiają się niezwykle, krzyki radosne: „lód pęka, rzeka ruszyła! czy słyszycie“? rozlegają się zewsząd i hałaśliwie, pośpiesznie, wszystko to rozbiega się w różne strony, aby co prędzej ludziom, w domach pozostałym, zwiastować nowinę pożądaną. Ale i do znajomych, a nawet mało znajomych, każdy taki człowiek, co tchu zdążający ku swoim, obowiązkowo jednak zastuka, rzucając wszędzie dwa słowa magiczne: „Lena ruszyła“! Po chwili słowa owe, powtarzane i modulowane najrozmaiciej, brzmią po najdalszych domach, jurtach i podwórzach jakuckich i kto tylko chodzić i wychodzić może, ubiera się i pędzi na brzeg rzeki.

A na brzegu już tłum cały stoi i w zachwycie prawdziwym przygląda się jednemu z najwspanialszych tutaj zjawisk przyrody.

Potężne kry, parte siłą wody, płynącej w siedmiowiorstowem korycie, piętrzą się w domy, góry całe, łamią się, trzeszczą, huczą i osypując się tysiącami, miljonami igieł lodowych, grają na słońcu cudownemi blaski.

Ale dłużej trochę pobyć tu potrzeba, przynajmniej jedną zimę przemieszkać należy, aby zrozumieć, co pcha owe tłumy na brzeg rzeki.

Nie wspaniałe zjawisko je zwabia.

To ludzie, którzy w walce z zimnem długotrwałem i mrozami nieludzkiemi wyczerpali już swe siły, którzy z utęsknieniem i niecierpliwością oddawna już oczekują ciepła błogiego, biegną tu teraz, aby ujrzeć ostateczny triumf słońca, ostateczną zagładę zimna nieznośnego.

I radość serdeczna, radość dziecinna błyszczy na żółtych twarzach jakuckich, usta szerokie, śmiejąc się dobrodusznie, jeszcze szerszemi się wydają, oczki czarne świecą jak węgle. Tłum cały jak pijany zatacza się z radości: „Chwała Bogu, chwała Bogu"! krzyczą ludzie do siebie i zwracając się ku ogromnym górom lodu, rozbijanym siłą żywiołu przyjaznego, rozkoszują się, napawają kleską wroga nieubłanego, który teraz, naciskany falami rozhukanemi, kruszy się, miażdży i ginie.

Po ruszeniu i przejściu lodów na Lenie ziemia już prędko odmarza i jakkolwiek odmarza na dwie stopy zaledwie, przyroda śpiesznie korzysta z trzechmiesięcznego ciepła; w bardzo krótkim stosunkowo czasie rozwija się i rozkwita tu wszystko.

Wielka dolina, w której leży Jakuck, wygląda wtedy czarująco: żyzna, gdzie niegdzie już uprawna, gajami brzozowemi, mnóstwem jezior, zarośli i łąk bujnych naprzemian pokryta, z okalających ją wzgórzy stromych i dość wysokich przedstawia się jak olbrzymi park, srebrną wstęgą szerokiej Leny przewity. A piękność naturalną doliny, jej powaby przyrodzone zwiększa jeszcze tajga ponura, zewsząd ją otaczająca: wśród ogromnych obszarów kraju dzikiego, niedostępnego, dolina ta podobną jest do oazy, wśród pustyni rzuconej.

Ale i plemię jakuckie, z pomiędzy wielu innych plemion syberyjskich pod wszelkiemi względami dzielniejsze, umie cenić dary słońca życiodajnego i pełną piersią z nich korzysta; wypuszczone z ciasnych i smrodliwych jurt zimowych[1]), napełnia ono swą ziemię surową ruchem i życiem, które bije tętnem zdwojonem, pulsuje głośno i silnie. Po święcie ogólnem, *ysèchu*[2]) wiosennym, świąteczny i ra-

[1]) Tylko bardzo biedny Jakut pozostaje na lato w jurcie zimowej.

[2]) *Ysèch* — tak się nazywa święto wiosenne, na którem Jakuci raczą się kumysem i składają ofiary dziękczynne.

dosny nastrój ludności nie zmniejsza się wcale. Trawa rośnie jak na drożdżach, krowy i kobyły dają mleka coraz więcej i ambrozja bogów jakuckich, „kumys mocodajny“, nie wysycha w *czaronach*[1]).

To też sądzę, że i widok pięknej doliny i oglądanie na każdym kroku ludzi, używających rozkoszy lata, działały na mnie podniecająco i doczekawszy pierwszej wiosny w Jakucku, używałem także jej darów całem swem jestestwem: codziennie, wychodząc za miasto, rozkoszowałem się pięknościami ożywionej przyrody, codziennie sprawiałem sobie kąpiel słoneczną.

* * *

W przechadzkach swych prawie zawsze odwiedzałem jaką jurtę jakucką. Jurty te, zwykle rozrzucone pojedynczo i jakkolwiek dość daleko jedna od drugiej, spotykają się jednak w każdej stronie i nadają okolicy, przez ludność jakucką nasiadłej, pozór więcej zaludnionej, niż to jest rzeczywiście, więcej niż gdyby ludność ta we wsie się grupowała. W każdej jurcie zawsze można dostać zimnego mleka i kumysu. Prawda, że nigdy i jedno i drugi nie są pozbawione pewnego odrażającego zapachu, o którym ludność tutejsza, niejakucka, wyraża się, „że Jakutem trąci“, ale w ciągu długiej zimy, w której o mleko niejakuckie dość trudno zwykle bywa, przyzwyczaiłem się do owego specyficznego zapachu na tyle, że i mleko, i kumys pić mogłem i pijałem teraz bez żadnej odrazy w ilości znakomitej.

Z pomiędzy wielu jurt, które już zwiedziłem, najbardziej spodobała mi się jurta w ślicznem ustroniu, w lesie, na dość wysokim brzegu długiego jeziora leżąca.

---

[1]) *Czaròn* — czasza v. kubek drewniany, wyłącznie do picia kumysu używany.

Jurta ta była własnością Jakuta tak starego, że każdy na pierwszy rzut oka bez omyłki mógł go nazwać *ohoniorem*[1]).

Ohonior mieszkał tu z żoną staruszką i chłopcem wyrostkiem, dalekim swym krewnym, a dwie krowy z jałoszką, para kobył i źrebię składały cały majątek małżonków.

Wszyscy Jakuci są bardzo ciekawi i gadatliwi. Szanowny ohonior przymioty owe posiadał w stopniu najwyższym, a ponieważ, chociaż kiepsko, mówił jednak po rosyjsku, więc w wycieczkach swych najczęściej ku jego jurcie nawracałem.

Naturalnie, ohonior przedewszystkiem dowiedział się, kto, skąd i kim obecnie jestem. Względem Rosjanina czy to tutejszego, czy też przyjezdnego, Jakut zawsze zachowuje się podejrzliwie i jest zbyt uniżony; Rosjanin, chociażby oberwany, zawsze jest dlań *tojonem*[2]). Stosunek do Polaków bywa nierównie lepszy. Nie pamiętam, aby kiedykolwiek Jakut jaki przyjął obojętnie wiadomość o tem, że jestem nie *niuczà*[3]), lecz *bilàk*[4]).

„*Bilàk, bilàk? Yczczygèj dohòr*“[5]), wołał zwykle najwstrzemięźliwszy. Odrazu tedy stanąłem z ohoniorem na stopie przyjaznej, a gdy jeszcze dowiedział się on, że jestem *suruksùt*[6]), że mógłbym być w razie potrzeby *suruksùtem nasleżnym*[7]), a nawet *ulusnym*[8]), że umiem

---

[1]) *Ohoniòr* — dosłownie starzec, właściwie jednak nazwa zaszczytna, wyrażająca głęboki szacunek dla ludzi wiekowych.

[2]) *Tojòn* — pan.

[3]) *Niuczà* — Rosjanin.

[4]) *Bilàk* — Polak. Dźwięku *p* niema w języku jakuckim.

[5]) Polak, Polak? doskonale bracie!

[6]) *Suruksùt* — umiejący pisać, pisarz.

[7]) Najdosłowniej — pisarzem wiejskim.

[8]) Pisarzem gminnym. Od słów *nasleg i ułus*. Kilka rodów jakuckich tworzy we względzie administracyjnym najniższą jednostkę — *nasleg*. Kilka naslegów tworzy *ułus*.

napisać prośbę do samego *ułochàn tojona*[1]), — zyskałem w jego oczach wiele, unikając zbytniej poufałości. Dzięki temu i mleko i kumys dostawałem zawsze wyśmienite, a staruszka, zdejmując czaron dla mnie, starannie go przecierała palcami, zlizując podejrzane ślady językiem.

Otóż raz, gdym, wracając z codziennej swej przechadzki, wstąpił do nich na zwykłą porcję kumysu, znalazłem ohoniora w stanie dość niezwykłym; był on nietylko mówny jak zawsze, ale i wesół jak nigdy, język jego plątał się wprawdzie, ale też zato nie czuł wcale zmęczenia. Okazało się, że starzec czcigodny tylko co wrócił z miasta i widocznie *argy*[2]) ognista rozgrzała i ożywiła drętwiejące członki.

— Bilaki dobrzy ludzie, wszyscy dobrzy — bełkotał niewyraźnie i prędko staruszek, starannie nakładając swą fajeczkę moim tytoniem — każdy bilak jeżeli nie suruksut, to doktór, jeżeli nie doktór, to kowal, jakiego pomiędzy Jakutami nie znajdzie. I ty widać jesteś człowiek dobry, i suruksut musisz być dobry, to też wszyscy my lubimy bilaków i *sachà*[3]) zawsze pamięta, że bilak brat jego... Ale nie uwierzysz chyba, mój bracie, gdy ci powiem, że to od niedawna się stało i ja ot, choć już więcej niż siedemdziesiąt traw zjadły cielęta w moich oczach, przed piętnastu jeszcze laty bałem się bilaków, jak złych duchów się boję. Zobaczyłem bilaka, tom umykał z drogi jak zając, co tchu starczyło, w las, w krzaki, byle dalej. I nietylko ja, wszyscy bali się bilaków, bo źle, widzisz, wtedy mówili o nich: mówili, że rogi mają, że ludzi biją i inne różności...

A gdym, dowiedziawszy się, że wieści te z miasta

---

[1]) *Ułochàn tojòn* — wielki pan, tak Jakuci tytułują miejscowego gubernatora.

[2]) *Argy* — wódka.

[3]) *Sachà* — Jakut, tak Jakuci siebie nazywają.

przynoszone były, zaczął wyrzucać staruszkowi łatwowierność zbyteczną w przyjmowaniu baśni bezzasadnych, niesprawdzonych, ohonior oburzył się na mnie prawdziwie.

— Bój się Boga, czyż moglibyśmy tak na słowo puste uwierzyć temu wszystkiemu, co wtedy gadali?! Jak tam już inni gdzie indziej, tego nie wiem, ale i ja i ci, którzy tu w okolicy mieszkali, wierzyliśmy, bo od ojców słyszeliśmy, że bilak każdy — człowiek straszny i niebezpieczny. A było to ot z czego.

Starzec popił z czaronu, pyknął z fajki kilkakrotnie i tak ciągnął dalej:

— Ojca mego jeszcze na świecie nie było i dziadek mój był chłopcem jeszcze młodym, bo dopiero *kałym*[1]) dla niego zbierać zaczęto, gdy tu zjawił się bilak z lodowatemi oczami[2]), brodą dużą i wąsami ogromnemi i zamieszkał stąd niezbyt daleko, tylko nie tu w dolinie, ale tam wysoko, na górze. A była tam wtedy tajga do dzisiejszej wcale niepodobna, zwarta, gęsta, toporem jeszcze nigdzie nie tknięta. W tajdze tej jurta stała opuszczona i jurtę tę zajął ów bilak. Ale jak tylko on tam osiadł, tajga wokół na *kiesę*[3]) dobrą stała się dla ludzi niedostępną. Bilak po tajdze ze strzelbą chodzi i jak tylko człowieka zobaczy, choćby to i kozak był nawet, bierze na cel i jeżeli ten nie ucieka, strzela nie na żarty, ale prawdziwie. Z czego i jak on żył? duchy to wiedzą leśne, bo co z ludzi, to nikt tego nie widział. Uciekali od niego wszyscy jak od *prokazy*[4]). Ci tylko, co go widywali, jak chodził po tajdze do złego podobny, powiadali, że

---

[1]) *Kałymem* zowie się zapłata za żonę zwykle w naturze, t. j. bydłem i końmi wypłacana. Zbierać zaczyna się wcześnie, żeby, gdy chłopiec dorośnie, miał za co dostać żonę.

[2]) Tak ludność jakucka jako czarnooka nazywa nieraz oczy jasne.

[3]) *Kiesa* — miara jakucka, równa się 7—10 wiorstom.

[4]) *Prokaza* — *lepra borealis* — choroba zaraźliwa; chorych pomieszczają w osobnych jurtach.

chodził z początku w ubraniu, podobnem do ubrania tojonów i suruksutów ruskich, ale później to już chodził w skórach, które widać sam sobie zeszywał. I powiadali ci ludzie także, iż coraz straszliwszy, coraz dzikszy się stawał; broda do pasa mu urosła, twarz jeszcze bielszą się robiła, a oczy to płomieniem gorzały. Tak upłynęło lat kilka. Ale w środku zimy jakoś, w czasie mrozów największych, zdarzyło się, że chijus rozsrożył się zabójczy i w ciągu dni kilku nikt go nie widział; a że zwykle codzień pokazywał się komuś zdaleka, więc dano znać do miasta, aby dowiedzieli się, czy co złego z nim się nie zrobiło. Przyjechali, wchodzą ostrożnie — a bilak leży na łóżku w swych skórach, cały szronem śnieżnym okryty i tylko w ręku krzyżyk mały ściska. Bilak był nieżywy. Może z głodu umarł, może zmarzł, a może i tak wziął go szatan do siebie? Osądźże sam teraz, czy po tem wszystkiem słusznie czy nie, baliśmy się bilaków? Przed tamtym, przed jednym wszyscy uciekali, a tu odrazu tak dużo ich najechało! He, he, he! Chociaż suruksut, ale młody jesteś, mój bracie, więc myślałeś, że ludzie bez przyczyny co robią? Wiedzże o tem, żeś się omylił: nie taki sacha głupi, jak ci się wydało!

* * *

Podanie o bilaku, który nie znosił nawet widoku człowieka, podanie następnie jeszcze w Jakucku z kilku ust mi powtórzone, wywarło wtedy na mnie silne wrażenie. Więc tu może po tych gajach i łąkach, po których dziś chodzę, biegał kiedyś z bólu nadmiernego oszalały i zdziczały człowiek? Czy cierpienia jego były tak wielkie, czy dusza jego na złość i nędzę ludzką tak czułą i wrażliwą? Czy może rozłąka ze swą ziemią, z ludźmi sercu drogimi, tak złamała nieszczęśliwego?

Opanowany myślami podobnemi, wracałem do miasta, nie patrząc już na nic; szedłem prędko, biegłem prawie i biegłem tak, dopókim nie usłyszał krzyku przeciągłego i niezbyt oddalonego:

— *Kaàl arè, kaàl!*

Z początku jak krzyku samego tak i tego zkąd on pochodzi, nie rozumiałem; gdy jednak coraz wyraźniej powtarzać się zaczęło owo: *„Kaàl arè, kaàl, dahòr!“*, zrozumiałem: z za gaju, a raczej niewielkich krzaków przede mną leżących, wołał ktoś po jakucku: „Chodź tu, chodź bracie!“

Idąc przez zarośla, domyśliłem się nawet, kto to krzyczy. Ani Jakut, ani Rosjanin czy to tutejszy, czy przyjezdny, nigdy tak nie przekręci słów, które czysto po jakucka wymówione, brzmieć powinny: *„Kel erè, dohòr“*.

Taką samowolą względem dźwięcznej mowy jakuckiej odznaczają się tylko nasze Mazury. Przez cały czas mego pobytu w Jakucku nie spotkałem chłopa Mazura, któryby słów powyższych nie przekręcił, nie przerobił z mazowiecka; jakby za zmową wszyscy zawsze wymawiali: *„Kaàl arè“*.

Rzeczywiście, tuż za krzakami, za mostem, przerzuconym przez wąskie jezioro czy też zamuloną odnogę Leny, stał człowiek w zwykłem ubraniu *posieleńca*[1]) i żywo wymachując rękami, w lewo od drogi zwrócony, wykrzykiwał uparcie swoje: *„Kaàl arè, kaàl, dahòr!“*

Wykrzykiwał zaś tak do Jakuta, widniejącego na skraju zarośli, po drugiej stronie wody leżących, wołał jednak napróżno, bo podejrzliwy Jakut ani myślał podchodzić. Przekonał się widać o tem ostatecznie i ów wołający, bo gdym już był około samego mostu, krzyknąwszy mu jeszcze raz: *„Kaàl arè,* psiąkrew!“ przestał wołać, klnąc go tylko półgłosem: „A zebyś penk, psia paro! a zebyś spuch, psi synu!“

---

[1]) Deportowanego.

Zobaczywszy mnie, umilkł, ale gdym zrównał się z nim i przywitał go „pochwalonym“, chłop aż przysiadł ze zdziwienia:

— O Jezusie! a z kiela ze pon bandzie?

Zaznajomiliśmy się prędko. Chłop mieszkał gdzieś w ułusie jakuckim i przyszedł do miasta, aby się nająć na robotę do kopalni złota; najął się i iść tam miał wkrótce, jako poganiacz przy partji bydła. Bydło to pasł on tu obecnie, a ponieważ rozbiegło się mu ono w różne strony i sam jeden w żaden sposób nie mógł wegnać na most rozbrykanego stada, czekał więc, czy nie nadejdzie kto i nie pomoże mu trochę; w tym to celu wołał on właśnie Jakuta. Naturalnie, chętnie pomogłem mu i, gdy stado, przepędzone przez most, już spokojnie szło dalej, idąc razem, gawędziliśmy sobie po drodze.

Z rozmowy jakoś wypadło, żem zapytał go, u kogo zatrzymał się po przyjściu do miasta.

— Ano u Kowalskiego.

Znałem w Jakucku wszystkich Polaków, o żadnym jednak Kowalskim nie słyszałem.

— Ano u tygo stolarza Kowalskiego!

Ale i o stolarzu nie słyszałem. „Z kimże on tu zna się, do kogo chodzi“? — pytać zacząłem.

— Adyć to cudok taki, to wszyscy go tu znajom, no a co som, to do nikogoj nie chodzi.

— Jakto do nikogo?

— A jakże ma chodzić, kiedy ma nogi „jak stępory cyste“, bez paliców wcale, do idnego pooblatały. No to jeszcze, jak mu się nie rani, pół biedy, ale jak mu te rany pootwierajom się, to już po izbie łazić nie może.

— Z czegoż on się utrzymuje?

— Ze stolarki potrochu; warsztat ma piękny i naczynia różnego dość takoż, tylo, że powiadom, jak ustać na nogach nie może, no to już i stolarka nie idzie. Wtedy to lubi bardzo, jak kto przyjdzie i ściotkę obsta-

łuje, tyż piękne ściotki robi i do pokojów i do ubraniów choćby, tylo, że tu pokojów takich niewiela, coby ściotkami zamiatać, a i wedle ubraniów tyż rzadko kto czyszczone nosi. Tera widzę znowu zaniemóg.

— A nie wiecie skąd on jest, czy dawno już tu?

— Dawno toć dawno, bo jeszcze ponoć i naszych tu tak dużo nie było, a on już był tutaj, ale co do tego, skąd on, kto on taki, no to prawdziwie, widno, pan go nie zna, bo żeby go pan znał, toby nie dopytywał mnie o to... Widzi pan, nie tylo mnie, ale choćby i z panów komu, choćby i księdzu, co z Irkucka przyjeżdża, jeśli go o to pytajom, zawdy on jedno powiada: „Mój bracie — mówi — sam Bóg wie dobrze, skąd ja i kto jestem, a sensu z tego niema nijakiego, nie będzie tyż z tego niczegoj, kiedy i ty się o tem dowiesz". Ot, ma pan! więcej nikt się od niego nigdy nie dopytał.

Mimo to dokładnie wywiedziałem się od pastucha, gdzie mieszka Kowalski. Chociaż bowiem nie zdawałem sobie z tego sprawy dokładniej, dlaczego wówczas tak myślałem, opowieść o bilaku, uciekającym od ludzi i wiadomość o stolarzu kalece, także kryjącym się przed nimi, odrazu związały się w mym umyśle w jedną całość. Czułem, że pomiędzy nimi zachodzi tajemniczy związek, że wszystkie rzeczy na świecie, powtarzając się czasów kolejną, są zawsze do oglądania na ziemi, że więc, być może i cierpienie wielkie, o którem myślałem przed chwilą, iż skończyło się wraz ze śmiercią bilaka, znajduje się tuż obok mnie oddawna, zmienione tylko może, ale nie mniejsze, również wielkie i ciężkie, również bolesne dla dotkniętego.

* * *

Odtąd codzień prawie skierowywałem swe kroki ku jurcie, w której mieszkał Kowalski. Strużki stare, leżące

około drzwi i okienek niewielkich, zawsze wystawionych ze strony słonecznej, nie odświeżały się nowemi. Czerniały one z dniem każdym, schły coraz więcej, jak czerniał i sechł może i ten, kto zestrugał je kiedyś.

I brakło mi odwagi wejść do stolarza. I znowu z niecierpliwością czekałem dnia następnego, czy nie zobaczę strużek świeżych, ale ani strużek, ani stuku roboty z wewnątrz nie było słychać...

Postanowiłem nareszcie nie zwlekać dłużej. Z zamiarem tym wyszedłem z domu i dochodziłem już do węgła jurty, gdy z wewnątrz tejże rozległ się drżący i słaby, ale dźwięczny i sympatyczny śpiew...

Usiadłem na przyzbie około jurty i przez okna wystawione słyszeć mogłem każde słowo pieśni sentymentalnej trochę, ale smętnej i rzewnej, dość rozpowszechnionej u nas w piątym dziesiątku bieżącego stulecia:

„Gdy się pola zazielenią
I wiosna wszystko ożywi“ i t. d.

Jeszcze smętniej brzmiała druga strofka:

„Lecz kto cierpi w głębi duszy,
Komu płynie łza żałosna,
Tego słowik nie poruszy,
Temu życia nie da wiosna —
Ten spokojnej chwili nie ma,
Rok mu się w pory nie zmienia,
Niemasz wiosny, gdzie cierpienia,
W tęsknem sercu ciągła zima“.

Po krótkiej przerwie zaczęła się i trzecia strofka:

„Kto najdroższą matkę traci,
A z nią wszystkie swe nadzieje,
Kto patrzy na łzy współbraci...“

Ale tu śpiew urwał się nagle i głos surowy: „Piesiu“, zawołał, „piesiu, idź nawymyślaj Panu Bogu, nawymyślaj mu dobrze“!

Z początku nie zrozumiałem tego dziwnego rozkazu, ale gdym po chwili usłyszał na dworze cienkie ujadanie psa, ponieważ brama z ulicy na podwórze wiodąca była otwarta, wstałem więc i przechodząc koło niej, przystanąłem na chwilę. Przed drzwiami jurty, otwartemi naoścież, piesek mały, czarny i lekki, stając co chwila na zadnie łapki, skacząc i kręcąc się, zapalczywie szczekał i skomlił ku górze, ku pięknemu pogodnemu niebu. Naturalnie, przeszedłem dalej, znowu odkładając zaznajomienie się z Kowalskim do chwili stosowniejszej.

* * *

Zobaczyłem go nareszcie. Wzrostu trochę więcej niż średniego, siwy już był zupełnie i nędzny bardzo. Cera ziemista, którą odznacza się większość deportowanych w Syberji, rozwinęła się u Kowalskiego do najwyższego stopnia i aż przykro było patrzeć na tę twarz żółtą i czarną zarazem.

Gdyby nie to, że mówił on i ruszał się, trudno byłoby, szczególniej zdaleka, poznać, że to człowiek żywy jeszcze. A jednak pomimo tego z oczu wielkich, szerokiemi, czarnemi kręgami okolonych, wylatały czasami blaski silne, znamionujące, że wewnątrz ów trup chodzący nie obumarł zupełnie, że żyje i czuje on jeszcze.

Gdy siedział, można nawet było po pewnym czasie przyzwyczaić się do tej twarzy cierpiącej, ale ile razy wstał, odwracać się musiałem: te nogi, do „stęporów" podobne, zdawało się, przy każdem stąpieniu sprawiają mu ból wielki.

Kowalski mówił po polsku czysto i poprawnie. W rozmowach swych unikał starannie wszystkiego, co mogłoby choć zdaleka, choć pośrednio dotyczyć jego przeszłości; również starannie unikał wszelkich pytań o kraju. Zajęty był wyłącznie teraźniejszością i psem swym, z którym

ciągle rozmawiał. W czasie tych kilku tygodni, w ciągu których odwiedzałem go, raz tylko, gdym wspomniał coś o Płockiem, oczy jego błysnęły życiem wewnętrznem i Kowalski żywiej zapytał: „To pan zna Płockie?“

A gdym odpowiedział, że bawiłem tam rok cały, mówił ni to do siebie, ni to do mnie:

— Wszystko tam zmienić się musiało, bo to przecie czasu już tyle upłynęło! Zapewne pana na świecie jeszcze nie było, kiedy ja już do Syberji się dostałem. A w których stronach Płockiego był pan?

— Około Raciąża.

Usta otworzył, ale czy to sam spostrzegł się, że za dużo mówić zaczyna, czy może zauważył, że ja zbyt pilnie słuchać zacząłem, dość, że usta już otwarte złożył w „taak“ długie i ciche i umilkł.

Była to jedyna wskazówka, którą mi dał o sobie. Pytać chciałem i pytałbym jednak dalej, ale i od tego ochronił się delikatnie: psa zawołał i głaszcząc go pieszczotliwie, wyrzekł doń pocichu: „Idź nawymyślaj Panu Bogu!“ I długo pies posłuszny szczekał ku niebu, a jeżeli Kowalski wydawał podobne zlecenie, znak to był niechybny, że o sobie słowa już z ust nie wypuści. Tylko o psie swym w takich razach zwykł był mówić i wiele i chętnie.

Pies ten, jakkolwiek niczem szczególnem nie odznaczał się wcale, wyróżniał się jednak z gromady swych współbraci jakuckich pod wielu względami. Wyróżniało go z pomiędzy nich przedewszystkiem to, że chociaż był psem kochanym, miał dom i pana, nie nosił nazwiska, zwał się bowiem psem lub piesiem zwykle.

— Dlaczegoż mu pan nazwiska nie dał? — zapytałem jakoś Kowalskiego.

— A nacóż mu nazwisko? Gdyby ludzie nazwisk różnych nie powymyślali sobie, ale ludźmi zwali się po-

prostu, może lepiejby o tem pamiętali, że ludźmi i w życiu być powinni.

Był więc pies bez nazwiska. Nadzwyczaj lekki, zwinny i wątły, do krępych, mocnych, gęstym i długim włosem obrosłych psów miejscowych zupełnie niepodobny; szerść jego była krótką, miękką i jak jedwab lśniącą. To też wskutek tej swej odrębności zewnętrznej wiódł on tu życie samotne i opuszczone. Kilkakrotne próby wzięcia żywszego udziału w psiem życiu tutejszem skończyły się zupełnem *fiasco*. Piesio wracał zawsze z prób tych tak pokąsany i zbiedzony, że po kilku niepomyślnych usiłowaniach skwitował ze swych instynktów towarzyskich i nie opuszczał już nigdy własnego podwórza.

Był on zato nad swój wątły organizm poważny i powaga ta nie licowała zupełnie z jego cienką i ruchliwą figurką; nie była ona spokojną, podobną do powagi psa sensata, krótkiego lub długiego, ale grubego i mocnego. W oczach piesia widniała gorycz i nienawiść ku wielkim i mocnym stworzeniom, nie umiejącym uszanować praw słabszych. Okrom też panu, ogon jego nikomu nie okazywał swej przychylności, łask postronnych nie rozumiał, nie wierzył w nie może i odpowiadał na nie głuchem warczeniem.

* * *

Kilka tygodni upłynęło od czasu, jak zaznajomiłem się z Kowalskim i w zdrowiu jego nie zaszła żadna zmiana na lepsze; przeciwnie, słabł on z dniem każdym i wszyscy my, cośmy odwiedzali go teraz, przekonaliśmy się, że choroba ta jest już ostatnim aktem jego życia na ziemi. Czy Kowalski wiedział o tem, Bóg to wie, ale wiedział zapewne, przeczuwał może koniec bliski, bo mówić prawie zupełnie przestał.

Po kilku dniach, w ciągu których chory uporczywie toczył ostatnią walkę z pochłaniającą go niemocą i jeszcze chodził po swej jurcie, a nawet dłubał coś około paru szczotek niedawno zaczętych, ustąpił nareszcie i położył się do łóżka. Nie pamiętam już dziś dobrze kiedy, ale wkrótce jakoś potem, rano, tylko com usiadł do herbaty, gdy podszedł do mego okna ślusarz, Władysław Piotrowski, najbliższy w Jakucku znajomy Kowalskiego i zapytał, czy nie mogę teraz pójść z nim do chorego, który dziś ma się źle bardzo.

— Może umrze spokojniej, gdy widzieć będzie, że nie jest zupełnie opuszczony, — objaśniał mnie poczciwiec, a może też pan weźmie i książkę jaką? — dodał jeszcze na końcu.

Książki stosownej nie miałem, wziąłem więc z sobą Nowy testament i wyszedłem natychmiast.

— Czy już tak źle z nim? — zapytałem po drodze.

— Myślę, że źle, bo sczerniał zupełnie, a i sam mówił, że dziś już umrze napewno.

Jurta Kowalskiego była niedaleko ode mnie i po chwili stanęliśmy na miejscu. W jurcie nie czuło się zwykłego przy ciężko chorych zapachu lekarstw, bo Kowalski ani doktora, ani lekarstw żadnych przyjąć nie chciał. Smutno tu było tylko, jak w pustkowiu jakiem: piesio skulony leżał pod łóżkiem, a około łóżka samego, pomimo okienek wystawionych i drzwi otwartych, przykry odór ciężko chorego człowieka przypomniał, że człowiek na niem leżący nie wstanie już więcej.

I człowiek ten rzeczywiście był już tak niepodobny do żywego, że gdyśmy weszli, a zobaczyli jego oczy zamknięte, sądziliśmy, że umarł już być może. Władysław podszedł do łóżka i wsunąwszy rękę pod kołdrę, dotknął nóg jego. Nogi zimne były zupełnie; ale zaledwie ślusarz ruszył z powątpiewaniem ramionami, „żyję, żyję, żyję jeszcze“ — odezwał się Kowalski tak głośno i do-

bitnie, jak nigdy jeszcze dotąd nie słyszałem — „żyję“, zaczął znowu, „i dobrze, żeście przyszli, chcę pomówić z wami przed śmiercią“.

Żywość i gorączkowość, z jaką Kowalski to wypowiedział, jeszcze bardziej utwierdziły nas w przekonaniu, że przyszliśmy w czasie właściwym; spojrzeliśmy więc po sobie, ale chory dostrzegł to spojrzenie i zrozumiał je...

— Wiem i ja, — odezwał się zaraz, — że umrę prędko, nie skryjecie więc przede mną tego, co jest mi otwartem; powiedziałem wam, że chcę mówić z wami, wiem więc, że umrę niedługo, inaczej nie mówiłbym bowiem. Bałem się, że nikt nie przyjdzie... bałem się, że nikt już mnie nie usłyszy... i że Ten, co go Bogiem nazywacie miłosiernym, zdąży odjąć mi mowę... Dziękuję więc wam za opiekę, obyście i wy, gdy konać będziecie, życiem nieszczęśliwem, jak ja, zgnębieni, nie konali opuszczeni...

Kowalski umilkł i tylko czoło, sfałdowane w zmarszczki podłużne, to skupiające się bliżej i głębsze, to zmniejszające się znowu, wskazywało, że umierający wysiłkiem ostatnim chwyta myśl ulatującą, wolą silną zatrzymuje wybiegające zeń życie.

Rano jeszcze było i słońce przez okna, wychodzące ku wschodowi na brzeg rzeki, rzucało na ścianę obok której stało łóżko chorego, dwa ogromne snopy swych promieni złocistych. Z łąk rozległych, z całego archipelagu wysp, bujną roślinnością okrytych, zewsząd życie tryskało i odgłosy tego życia, echa tego ruchu żywego, wywołanego światłem potężnem, dźwięcząc pieśnią melodyjną, składając się w cały hymn dziękczynny, docierały aż tu do łoża konającego, tworząc z tem, co się w jurcie znajdowało, kontrast rażący.

Ironją gorzką, urągowiskiem świętokradzkiem wydawały się owe promienie słoneczne, owo życie, pieśnią radosną rozbrzmiewające, wobec łoża tego nędzarza, tego trupa żywego...

* * *

...Dawno już bardzo, lat pewno ze czterdzieści temu,— zaczął tymczasem Kowalski, — dostałem się do stepów orenburskich; młody wtedy byłem i silny; ufałem Bogu, ufałem ludziom i sobie. Słusznie czy nie, dość, że sądziłem, iż nie mam prawa pozostawiać swych sił na łasce losu, lecz winienem sobie wynaleźć pole do działania szersze, niż to, które tam znaleźć się mogło. Tęsknota za krajem popychała także i po dwuletnim pobycie uciekłem stamtąd...

Dostałem się za to dalej — do tomskiej gubernji, ale nie upadłem na duchu. Zabrałem się do roboty z energją, chleb i woda bywały pokarmem moim; uciułałem nareszcie grosza, ile potrzeba było i znowu wyruszyłem w drogę...

Za tę powtórną ucieczkę, jako recydywista uparty, odpokutowałem dłużej i dopiero po latach kilku ruszyłem odwrotnie, ale teraz jeszcze dalej.

Zima była niezwykle surowa, byłem bez grosza, bez odzieży; odmroziłem wtedy nogi i wszystkie palce straciłem. Prawdziwa to klęska dla mnie, tem bardziej że wypadło mi zamieszkać aż za Jenisiejskiem.

Ciężej mi teraz było, miejscowość głucha i bezludna i o zarobki jakiekolwiek dość trudno także; chociaż jednak okaleczony utratą palców, wyuczyłem się rzemiosł kilku i jeżeli nie z jednego, to z drugiego dochód miałem, wprawdzie niewielki, lecz stały.

Sześć lat przygotowywałem się teraz i, nie bacząc na swe nogi, po raz trzeci wyruszyłem w drogę.

Widzicie, w siły swe już nie wierzyłem, chory byłem i złamany, więc ciągnęło mnie na zachód już nie to, co poprzednio. Umrzeć tam chciałem... Umrzeć tam chciałem, a już jak o szczęściu, marzyłem o śmierci na grobie matki.

Życie moje takiem było, że nikogo oprócz tej matki nie miałem na ziemi: nie miałem kochanki, nie

miałem żony, nie miałem dzieci. Od nikogo więcej, od niej jednej tylko doznałem łaski na świecie.

To też, gdym uczuł się opuszczonym, bezsilnym, zatęskniłem do grobu tej jedynej kochającej mnie istoty...

Wśród nocy bezsennych czułem jej rękę, obejmującą mą głowę, jej pocałunek i jej łzy gorące, któremi raz ostatni mnie żegnała, przeczuwając może wieczną rozłąkę. Dziś nie wiem, do kraju czy do niej więcej tęskniłem.

Ale ciężka to już droga była dla mnie: iść prędko nie mogłem, rany w nogach otwierały się ciągle. Jak zwierz dziki tygodnie całe w tajdze kryć się musiałem. Nieraz w puszczy zapadłej sępy i kruki, czując żer pewny [1]), zwiastowały mi śmierć bliską; nieraz, głodem wycieńczony, padałem bez sił zupełnie i... niebaczny... zawsze wzywałem ku niebu, błagałem Boga wszechmogącego, Boga miłosiernego, Boga sprawiedliwego, Boga nędzarzy, Boga opuszczonych: ratuj! zlituj się nade mną, Ojcze miłościwy! daj śmierć, o nic więcej, o śmierć tę jak o łaskę proszę, sam ją zadam sobie, ale daj t a m...

Dwa lata minęło, zanim doszedłem do permskiej gubernji. Tak daleko przedtem nigdy jeszcze nie zachodziłem. Już serce biło mi radośnie, myśl jak u szalonego kołowała w głowie... myśl jedna: ujrzę ją, zobaczę ziemię rodzoną i umrę na grobie ukochanej. I gdym przeszedł na tamtą stronę Uralu, uwierzyłem w zbawienie swoje, padłem na ziemię i nieprzytomny długo, długo szlochałem, dziękując Bogu za łaskę, za miłosierdzie Jego. A On, miłosierny, gotował mi cios ostatni i tegoż samego dnia...

Dostałem się wtedy do Jakucka.

---

[1]) Uchodzący z Syberji wierzą, że jeżeli nad uciekającym w tajdze zgromadzać się zaczną ptaki drapieżne, śmierć uciekającego jest bliską i nic go już ocalić nie może.

Dlaczegom tu żył w nędzy aż dotąd, dlaczegom tu czekał na koniec taki?

Dlatego, że wiedzieć chciałem, co Bóg Ten ze mną zrobi.

Z człowiekiem, który mu wierzył z ufnością dziecięcia, który nigdy nie zaznał szczęścia na ziemi i szczęścia tego nie pragnął, który nie zaznał łaski ludzkiej oprócz łaski matki, który okaleczony pracował do końca życia swego, który nigdy ręki nie wyciągał, nie kradł, nie pożądał, nie zabijał, mając dwa — oba oddawał — widzicie, co zrobił...

Więc nienawidzę Go... nie wierzę Mu... nie wierzę świętym Jego, nie wierzę w sąd Jego, nie wierzę w sprawiedliwość Jego, i, słuchajcie mnie, bracia! za świadki was biorę w śmierci godzinie, abyście i tu wiedzieli i tam, gdy wrócicie, świadczyć mogli...

— — — I podniósłszy się gwałtownie, i ręce ku słońcu wyciągając, zawołał głosem wielkim:

— Ja, nędzarz konający, rzucam Ci w oczy, żeś Ty Bóg sytych, żeś Ty Bóg podłych, żeś Ty Bóg plugawych, żeś krzywdził mnie niewinnie!...

* * *

I w oświetleniu słońca jasnego, co wzniósłszy się wyżej, złociło teraz promieniami swemi owo łoże łazarzowe, okropnie wyglądał ten kościotrup żywy, skórą obwisłą powleczony...

A gdy upadł wycieńczony, przerażeni sądziliśmy, że umrze on natychmiast, a my niczem mu pomóc, niczem ulżyć nie mogliśmy.

— Módlmy się za niego — wyszeptał ślusarz nareszcie.

Uklękliśmy obaj; drżącą ręką wyjąłem przyniesioną książkę i otworzyłem ją; i otworzyła się książka w miejscu, kiedyś założonem, na ewangelji św. Jana, rozdziale XV.

— Jam jest winna macica prawdziwa, a Ojciec mój jest winogradnikiem — głośno czytać zacząłem.

Pierś konającego wznosiła się gwałtownie, oczy zamknięte były.

A słońce zalewało go całego światłem swojem i jak gdyby chcąc mu wynagrodzić w ostatniej chwili życie ciężkie, tuląc się doń miłośnie, ogrzewając zastygające ciało, zdawało się, uspokaja go i całuje promieniami złocistemi, jak matka całuje dziecię zasypiające i kapryśne i uspokaja je swem ciepłem, swą obecnością.

Konający żył jeszcze.

I gdym czytał dalej pełne siły, wiary i ufności głębokiej słowa Chrystusowe:

— Jeśliż was świat nienawidzi: wiedzcież, iż Mnie pierwej niż was znienawidził — i natchnione słowa Nauczyciela cierpiących i pieszczota światła ożywczego ukoiły konającego; oczy jego otworzyły się i z oczu tych wypłynęły dwie łzy wielkie, dwie łzy ostatnie, co się w tym człowieku ostały.

I słońce promieniami swemi dotknęło łez tych, na twarzy sczerniałej stojących i oświecając je światłem niebieskiem, zda się, pokazywało Bogu owe ognie wewnętrzne, barwami czystemi iskrzące, a we łzach tych ostatnich skupione, ognie, co życie to spaliły...

A gdym przeczytał jeszcze:

— Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, iż wy będziecie płakać i narzekać, a świat się będzie weselił; a wy się smucić będziecie, ale smutek wasz w radość się obróci.....

Konający spróbował podnieść ręce, ale gdy opadły one bezwładnie, cicho i wyraźnie wymówił:

— Przez mękę Twoją, daruj mi, Panie!

Czytać dalej nie mogłem...

Klęczeliśmy w milczeniu, a piesio zdziwiony stał pomiędzy nami, panu się swemu przyglądając.

I gdy zwróciło się ku nam oko konającego, usta jego jeszcze raz otworzyły się i usłyszeliśmy jeszcze wolniej, jeszcze ciszej wypowiedziane słowa:

— Piesiu, nie wymyślaj Panu Bogu.

Zwierzę poczciwe, skowycząc żałośnie, skoczyło ku zwisłej ręce pana swego, ale ręka ta była już bezwładną.

Oczy jego zamknęły się; z ust wydobyło się rzężenie krótkie i stłumione; pierś opadła; ciało wyprężyło się zlekka i człowiek, który wiele wycierpiał, — przestał cierpieć.

* * *

— -- — I dopiero wtedy, gdyśmy oprzytomnieli, usłyszeliśmy zapamiętałe szczekanie piesia przede drzwiami. Naprożno staraliśmy się go uspokoić; nie odbierając nigdy rozkazów podobnych do ostatniego, piesio nie zrozumiał pana swego i spełniał teraz sumiennie to, co tak długo było jego obowiązkiem. Szczekał, ujadał i przybiegał do łóżka, do ręki sztywnej, oczekując zwykłej pochwały.

Milczał jednak pan jego, nieruchomo leżała ręka zimna i piesio zmęczony, zziajany i ochrypły, biegł znowu przede drzwi.

Wyszedłszy, ale daleko już będąc od jurty, dokładnie jeszcze słyszeliśmy urywane ujadanie nierozumnego piesia.

W kwietniu r. 1886.

PRZEWOŹNIK.

Podążałem na przewóz, urządzony pomiędzy miasteczkiem X. i dużą wsią na Angarze, aby za dnia jeszcze przeprawić się przez rzekę, a co najważniejsza, zastać na miejscu przewoźników, k i wieczorowi zazwyczaj pijanych, w nocy zaś bardzo już niechętnie opuszczających zwykłe miejsce swego pobytu — szynk pobliski. Podążałem, jak mogłem, ale noc czarna, jesienna, spuszczała się na ziemię z taką szybkością, że chociaż przyśpieszałem kroku nie leniwie, ciemności nieprzejrzane otoczyły mnie zupełnie wprzód, zanim dojrzeć zdołałem budkę przewoźniczą, stojącą na wysokim brzegu rzeki. Niebo, szczelnie zaciągnięte chmurami, przewalającemi się między sobą bezładnie, nie przepuszczało z góry ani jednego promyka. Mimowoli jakoś obejrzałem się wokoło.

Po jednej stronie drogi wieś, wyciągnięta szeregiem domów, wysoko oparkanionych, w długą linję nadbrzeżną, spała lub wydawała się śpiącą; po drugiej zaś stronie, dotykającej samego skraju krętego urwiska, wiodącego ku rzece, sczerniałe wody Angary błyszczały tym blaskiem złowrogim, co wśród ciemnej nocy zawsze przybiera taką zimną, stalową barwę.

Starannie, wedle syberyjskiego zwyczaju, pozamykane okiennice i bramy głuche, zupełny brak ruchu i światła wszelakiego, zwiększały we mnie to przykre uczucie, którego zawsze doznajemy wobec gwałtownego przejścia od dnia ku nocy. We wsi ludnej było ciemno i pusto, jak w stepie sąsiednim. Wiatr tylko, wzmagający się z każdą

chwilą, wyć zaczynał coraz posępniej, a głuche, jak gdyby niechętne i rozmyślnie tłumione, warczenie potężnych wód rzeki, odpowiadało temu wyciu coraz groźniej. I mimowoli również sięgnąłem ręka do kieszeni, w którą, wychodząc gdzieś dalej lub spodziewając się wracać do domu później trochę, zwykle kładłem mały rewolwer: kieszeń była pustą.

* * *

I wieś, przez którą przechodziłem i mieścina, na drugiej stronie Angary leżąca, w której mieszkałem, roiły się tłumami posieleńców. Rabunki, jakkolwiek stosunkowo niezbyt częste, zdarzały się jednak. Pod wpływem zaś wielu przyczyn, od wieków i do dziś dnia jeszcze istniejących, życie ludności tutejszej tak już się złożyło, że nie rozwojowi uczuć humanitarnych, ale raczej zupełnemu zaniknięciu takowych ono współdziała.

Podejrzliwość i nieufność cechują tu stosunki ludzkie; usług bezinteresownych, nie opłacających się monetą brzęczącą lub inną wartością równoznaczną, niema tu wcale w obiegu. Człowiek, napadnięty w nocy na ulicy, nietylko we wsi, ale i w mieście nawet, na pomoc postronną liczyć nie może. Choćby go żywcem ze skóry obdzierano, choćby obdzieranie to odbywało się tuż pod oknami domu sybiraka, jeżeli na dworze ciemno, jeżeli ludzie pozamykali już swe bramy i okiennice, można być pewnym, że z domu na krzyk najrozpaczliwszy nikt nie wyjdzie, żywa dusza nie wyjrzy. Pomoc własna wśród powszechnego rozpanoszenia się instynktów egoistycznych i drapieżnych jest tu jedyną ucieczką człowieka. Pamięta o tem każdy, kto pomieszka dłużej we wschodniej Syberji, pamiętałem więc i ja o tem zawsze, ale choć nieraz zdarzało się inaczej, nigdy nie czułem się tak samotnym i bezbronnym jak w ów wieczór, gdym idąc ku przewozowi krokiem zdwojonym, przekonał się o swej nieostrożności.

Wszystko, com wiedział i słyszał kiedykolwiek o niebezpieczeństwach, grożących tu w nocy na każdym kroku człowiekowi bezbronnemu, żywo teraz stawać mi zaczęło przed oczyma; pośpieszny chód rozgrzewał krew i opowieści fantastyczne zaroiły się w mej głowie... dopóki myśl rozkołysana nie natknęła się na hamulec, co wstrzymał jej urojone zapędy. Hamulcem takim było dla mnie wspomnienie o jakimś kupcu, który zaufawszy w nocy tym samym przewoźnikom, do których teraz tak śpieszyłem, zawieziony na wyspę sąsiednią i tam ograbiony, uszedł z życiem, dzięki jedynie czyjejś przypadkowej interwencji. Nie byłem wprawdzie kupcem i na połów obfity koło mnie przewoźnicy liczyć nie mogli, strach jednak, do najniepodobniejszych porównań pochopny, podpowiadał mi, że sytuacja moja jest arcypodobną i że nierozsądkiem byłoby narażać się na niebezpieczeństwo zbyt widoczne. Pod wpływem tych myśli postanowiłem udać się wprost do tak zwanego *prykaszczyka* od przewozu; śpieszyć teraz nie było poco, zwolniłem więc kroku; wiatr zimny prędko ostudził głowę rozgrzaną i gdym następnie, ocierając czoło, przystanął i obejrzał się powtórnie — i noc już nie wydała mi się tak ciemną i wieś mniej głuchą i pustą: na brzegu przeciwnym ognie świeciły wesoło, we wsi, to stąd, to zowąd dochodziły mię głosy ludzkie, przez drogę od rzeki ku domom przesuwały się cienie wysokie.

Postanowienia jednak, powziętego przed chwilą, nie zmieniłem, prykaszczyk bowiem, aczkolwiek również od rana do nocy pijany, ze względu na zajmowane przezeń stanowisko, rodzinę i — dość fikcyjną wprawdzie, — odpowiedzialność za całość i życie przeprawiających się przez rzekę, przedstawiał się w porównaniu z watahą swych podwładnych jako człowiek idealnie porządny i pewny. Chciwość zaś jego na datek najmniejszy, wzrastająca w stosunku prostym do ilości wypitych w ciągu dnia

szkalików[1]), robiła go zawsze ku wieczorowi człowiekiem bardzo uległym i usłużnym.

Ale oto i budka przewoźnicza; w budce jednak, ku wielkiemu memu zadowoleniu, ciemno było i teraz już z najczystszem sumieniem mogłem zwrócić się do zarządzającego przewozem. Jeszcze kilka kroków, droga skręciła na lewo i znalazłem się w miejscu, będącem głównym punktem, osią życia wsi tutejszej: bożyszcze syberyjskie — szynk stał przede mną w odległości niewielkiej.

* * *

Jeżeli na całym szerokim świecie wogóle, a w Syberji w szczególności, pieśń o złotym cielcu ma rację bytu, pieśń podobna o wódce ma tu rację nie mniejszą. „Wódka ludźmi rządzi tu!" śpiewa każdy mefistofel syberyjski i śpiewa prawdę.

Drzwi szynku ustawicznie otwierały się i oświetlając co chwila swem mgławem światłem mały placek przyległy, pozwalały widzieć, z jaką szybkością paszcza potworu przyjmuje nowy, wyrzuca przeżuty już pokarm. Smugi brudnego światła, to wyciągając się, to kurcząc pośpiesznie, podobne były do nóg olbrzymiego pająka, szybkiemi rzutami chwytającego wchodzące w jego sieć zdradziecką stworzenia...

A w środku szynku, jak w każdym przepełnionym wertepie rozpusty i zbrodni, huczało hukiem wstrętnym, rozpasanym, huczało tym hukiem, w którym ucho, czułe na głosy przyrody, głosy wszystkich zwierząt drapieżnych okrom ludzkiego odrazu odnajdzie. Wyją tu i kłapią zębami wilki i hieny, szczekają psy i lisy, świszczą sępy, huczą sowy i puszczyki. Głosów ludzkich tylko nie słychać tu odrazu i aby je usłyszeć, wsłuchać się należy

[1]) Półkwaterków.

w dziką muzykę szynku; bo są tu i one i odzywają się czasami, ale zawsze takie znękane, takie rozbite, że jękiem przykrym, rwącym serce, obiją ci się o uszy, a w jęku tym, jak w zwierciadle, widnieje dola cierpiących...

I jęczy *kabak* syberyjski i płaczem *burłaka* [1]) i skargą Mazura, i obłąkanym chichotem smugłego kaukaskiego górala. I bóle różne z nad Wisły dalekiej, Wołgi szerokiej i podnóża białowłosego Kazbeku, zlewają się w tym jęku cichym, ledwie słyszalnym z poza dzikich głosów zwierzęcych, w taką wspólną pieśń niedoli, że różnic narodowościowych już w niej nie dostrzec. Braterstwo pośmiertne ludów w kabaku syberyjskim zaczyna się trochę wcześniej.

Ileż to razy w ciągu dnia jednego rozlega się tu smutna skarga rosyjskiego posielenca: *„Sybir, złaja maczicha, stiepiju sniežnoj raskinuta!"* [2]) ... Ileż to razy, jakby w odpowiedź na ową skargę, z ciemnego kąta tegoż samego lub z okna sąsiedniego kabaku oberwany i odarty posiadacz fizjonomji wąsatej, ściskając w ręku butelkę i zataczając wokoło wzrokiem osłupiałym, zawodzi głosem drżącym: „Dobrze jeszcze to, że koledzy są"... Znikome nadzieje! marzycielstwo niepoprawne brutalnie rozbija żylasta ręka szynkarza, wyrzucająca za drzwi obu płaksów; jęki żałosne milkną w śniegu lub błocie, a bachanalji wyuzdanej nie przerywa już żadna dysharmonja i prolog tylu zbrodni, co noc oblewających Syberję potokami krwi ludzkiej, hałaśliwie rozgrywa się dalej, zagłuszając cichy epilog dawniejszych.

* * *

Przed takim to szynkiem zatrzymałem się i gdybym był wcześniej nie zdecydował, co mi czynić wypada, czy

[1]) Flisacy na Wołdze i Kamie, ciągnący na linach ciężko ładowane statki, zowią się *burłakami*.

[2]) Syberjo, zła macocho, stepem śnieżnym rozciągnięta!

szukać napewno znajdujących się tu przewoźników, czy też skorzystać z pośrednictwa prykaszczyka, postanowienie podobne powziąłbym bezwarunkowo, zobaczywszy, co się w szynku i koło niego działo. Dalej więc, dalej, od ludzkiej ohydy! Dom prykaszczyka był blisko i po chwili wchodziłem w jego progi.

Prykaszczyk znał mnie i mógł domyśleć się bez objaśnień, o co chodzić może człowiekowi, mieszkającemu w miasteczku; po zwykłem tedy przywitaniu usiadłem, oczekując jego decyzji, ale mąż ów szanowny, wbrew zwyczajowi, jakkolwiek miał dobrze w czubie, pijanym nie był; nie odpowiadając mi więc wprost, podszedł do okna i cmoknąwszy głośno, prawił zafrasowany:

— *Isz, tiemień kakaja* [1]), a i na burzę widać się zanosi, — dając mi w ten sposób do zrozumienia, że sprawa z przewozem stoi źle, a właściwie, że mniej niż piętnaście kopiejek za usługę nie weźmie.

Czetwiertak [2]) odrazu zmienił sytuację. Suma, przewyższająca jego najśmielsze marzenia, podziałała nań magicznie; z roztropnością jednak, właściwą mieszkańcowi tutejszemu, wyraził on swe zadowolenie bardzo oględnie, biorąc bowiem pieniądze, ciągnął, niby to kończąc myśl poprzednią: *„No, kanieszno, znakomaho uważym“* [3]); poprosiłem go tylko o człowieka zupełnie pewnego.

— Niech pan będzie spokojny; *samyj czto ni na jest' nadiożnyj!* [4]) — brzmiała odpowiedź — wprawdzie będzie on troszkę pijany, ale niech pan na to nie zważa, im bardziej on pijany, tem pewniejszy. A przewoźnik *czudiesnyj*, jeden za pięciu tych pijaków wystarczy. Człowiek to — nie człowiek, złoto najczystsze! *a siła si-*

---

[1]) Widzisz, co za ciemności.

[2]) 25 kopiejek.

[3]) Ale, rozumie się, znajomego uszanujemy — dosłownie. Właściwie zaś: ale dla pana...

[4]) Jak tylko może być najpewniejszy.

liszcze [1]) *uuch!* czort prawdziwy — ciągnął dalej, otwierając mi drzwi do sieni.

— Od kiedyż to owe złoto otrzymaliście? — zapytałem.

— Ba! kiedy to w tem sęk właśnie, że otrzymać go nie mogę; żebym to ja mógł go dostać, połowę swych łajdaków, darmozjadów, wygnałbym zaraz! Ale na moje nieszczęście Kostia przewozi tylko wtedy, kiedy pijany już dobrze, kiedy pić nie ma za co. Do trzeźwego nie mam dostępu; już ja do niego zachodziłem i z tej i z owej strony i pieniądze mu zgóry dawałem, ale on i słuchać nawet nie chce; „*paszoł*, powiada, z twemi pieniądzmi, durniu jakiś“, chociaż, rozumie się, sam jest dureń, bo obiera go hałastra wszelaka i grosza nigdy nie ma przy duszy. Ho, ho! ale burza, widzę, wisi na włosku — kończył prykaszczyk już na dworze.

Rzeczywiście wiatr wzmógł się i z przeprawą należało mi pośpieszyć. Wody Angary głębokie i szerokie, poruszone wiatrem silniejszym, burzą się tak, że czasami na dobę i dwie nawet komunikacja pomiędzy brzegami zupełnie się przerywa. Prykaszczyk udał się więc do szynku po zachwalanego Kostię, a ja, ponieważ zejście z krętego i wysokiego brzegu wymagało sporo czasu, dla uniknięcia zwłoki najmniejszej udałem się ku łodziom.

* * *

Omackiem prawie, osczupując kijem ziemię na każdym kroku, zeszedłem na dół, omackiem prawie odnalazłem także szereg łodzi przewoźniczych, do połowy wyciągniętych z wody. Wybrałem z pomiędzy nich nowszą i mocniejszą, dobrałem takież wiosła i zmęczony długiem chodzeniem, dość wygodnie usadowiłem się w wyciągniętym końcu łodzi, rozciągając się z przyjemnością.

Byłem teraz zupełnie spokojny. Wicher dął silnie

[1]) Silsko.

i na górze pomiędzy budynkami wył różnemi głosy: woda widocznie burzyć się zaczynała, bo fale chlustały na brzeg coraz dalej, z pluskiem głośniejszym, niż zwykle; ze środka rzeki dawał się słyszeć szum charakterystyczny, znamionujący, że za jakie pół godziny najdalej Angara wypowie człowiekowi swe posłuszeństwo i śmiercią ukarze śmiałka, dotykającego wiosłem jej czystego, dziewiczego łona. To, co prykaszczyk opowiadał mi o „Kosti" wyszło mi z głowy zupełnie, do słów jego nie przywiązywałem wagi najmniejszej: ot, poprostu, ucieszony z otrzymanego niespodzianie datku, plótł, co mu się na język nawijało, okazując mi swój towar z najlepszej strony. Daleki teraz byłem od wszelkich obaw i podejrzeń. Różnic pomiędzy sobą i światem, w którym już oddawna przebywałem, nie czułem, przepaści, dzielącej nas, nie widziałem. Instynkt zachowawczy, wsparty siłą kilkoletnich przyzwyczajeń, godził się z otaczającą go sferą, szukał i odnajdywał styczne z obcym mu światem tam nawet, gdzie pierwotnie i przez wielkie szkło powiększające nie odnalazłby takowych. Z przezorności, z którą wybrałem sobie dobrą łódź i mocne wiosła, z tego, że za 25 kopiejek zabezpieczyłem swe życie, byłem zadowolony; zjawiska, przed chwilą dreszczem mnie przejmujące, teraz były obojętne; nie politowanie, ale wzgardę czułem ku ludziom, których głosy rozpasane dochodziły z kabaku aż tu do łodzi, w której siedziałem. Tak być musi, inaczej być nie może. O nędzy istnienia, które za 25 kopiejek zabezpieczać można, zapomniałem wówczas. Zapomniałem, że kto wśród cierpienia ogólnego cierpieć przestaje, ten zaczyna pogrążać się w otaczające go błoto.

* * *

Staczające się z góry kamienie, odgłos szerokich i ciężkich kroków ludzi, na dół schodzących, wyrwały mnie z zadumy.

— Uhuu! — zawołano donośnie.

Odpowiedziałem i wkrótce dwa cienie wyraźnie zarysowały się u podnóża urwiska. Jeden z nich, o wiele wyższy od drugiego, słaniał się widocznie i zaczepiając nogami za leżące na brzegu kamienie, wyprawiał tak skomplikowane piruety, że tylko dzięki skutecznemu balansowaniu jego szeroko rozciągniętych rąk zejście odbyło się szczęśliwie.

— *Gdie?* — zapytał ogromny drągal, wysuwający się teraz wyraźnie z ciemnego tła nocy, podchodząc, a raczej zataczając się ku samej łodzi, a w silnym choć stłumionym głosie jego brzmiała niechęć źle tajona.

— Tu — odpowiedziałem.

— *Wot pramiochońko, Kostieńka*[1]), — pośpiesznie dorzucił prykaszczyk, prawdopodobnie nie bezwiednie trzymający się w odległości przyzwoitej od wyciągniętych rąk drągala, a i z tych słów i z ostrożności, z jaką szepnął mi on: „*Wot on samyj i jest*'", widać było, że rzeczywiście czuł ku przewoźnikowi respekt wysoki, nadskakiwał mu, jak mógł, mówił doń nie inaczej jak ze szczególnem jakiemś przymileniem, z tą czułością kocią, co to przed złapaniem myszy błyszczy w oczach sprytnego zwierzęcia.

Kostia tymczasem, zatrzymawszy się szczęśliwie tuż przede mną, stanął, zlekka się chwiejąc i jak gdyby mierząc i badając wzrokiem dość dlań trudne wejście do łodzi, spojrzał na mnie kilkakrotnie. I ja również pomimo ciemności mogłem mu przyjrzeć się trochę.

Chłop to był w całem znaczeniu potężny: wysoki, barczysty, jeszcze szerszym wydawał się w swym ubiorze, który składał się z koszuli czerwonej, używanej zwyczajem miejscowym zamiast bluzy — i hajdawerów przestronnych, ujętych od kolana w cholewy niemniej pokaźnej objętości; przechyliwszy się ku niemu, ujrzałem z pod

[1]) Oto prościutko, Kostusiu!

rękawów koszuli, oberwanych czy też zawiniętych po łokcie, ręce grube, muskularne. Rysów twarzy nie mogłem rozróżnić, widniał tylko na niej zarost bujny i okoliczność ta odrazu wyjaśniła mi wiele: przewoźnik był zapewne posieleńcem [1]).

Jednakże i jego medytacja i moje oględziny trwały bardzo krótko; Kostia — czy to zebrawszy siły, czy też rozważywszy może, że i najdłuższe medytowanie nie na wiele zda się, poruszył się żywiej, z widocznym zamiarem wejścia do łodzi. Prykaszczyk zauważył to i nawołując: *„Potichońku, potichońku, Kostieńka“* [2]), sunął ku niemu bliżej trochę i wyciągnąwszy przed siebie obie ręce, puścił je w ruch falowaty, kiwaniem wahadłowem korpusu usilnie podtrzymywany, podsadzając go w myśli; ale wszystkie te wysiłki marnie przepadły: Kostia podniósł nogę, szarpnął się całym sobą i jak długi runął w środek łodzi.

Tak niefortunny początek zaniepokoił mnie wielce, więc z wymówką zwróciłem się do przykaszczyka, ale ten uparcie powtarzał swoje: *„Niczawo, niczawo!* przewoźnik *czudiesnyj*, za pięciu starczy, a że upadł, to bagatela! rozebrało go na świeżem powietrzu i chmiel w nogi uderzył, ale to prędko przejdzie; zresztą chodzić tu nie potrzeba, a w rękach ma on swoją siłę, siłę straszną, nie daj, Boże, wpaść w te łapy!“... i znowu zachęcał Kostię, milczącego jak słup, do prędszego wstawania, obiecując mu w mojem imieniu i dwa i trzy nawet szkaliki.

Trudna rada! Szukać kogoś drugiego nie było już czasu, zdecydowałem się więc na przeprawę, tem bardziej, że i przewoźnik, być może trochę otrzeźwiony gwałtownym upadkiem, wygramolił się jakoś dość prędko. Usiadł

[1]) We wschodniej Syberji ludność miejscowa nietylko tubylcza, tak zwana *inorodna*, ale też i rosyjska, dawniejsza, odznacza się prawie zupełnym brakiem zarostu.

[2]) Powolutku, powolutku.

on w drugim, przednim końcu, znajdującym się na wodzie i wziąwszy w ręce wiosła, powoli, niedołężnie, zaczął je wsadzać w ziemię, oczywiście, celem zepchnięcia łodzi ze żwiru nadbrzeżnego, na którym dość ciężki statek leżał swą dobrą połową. Prykaszczyk skoczył co prędzej i podparł łódź od steru, przy którym siedziałem, ale Kostia opuścił ręce i podtrzymując wetknięte w ziemię wiosła, nie odpychał się wcale.

Prykaszczyk pokręcił się trochę, pchnął raz jeden i drugi, odsadzając się jak najdalej nogami, ale zbyt wielki ciężar przechodził jego siły i nie posunął się ani na jeden cal nawet.

— *Paszoł* - krzyknął mu wtedy Kostia rozkazująco; prykaszczyk odskoczył, jak oparzony, on zaś z ożywieniem niespodzianem, oparłszy się nogami o poprzeczne wiązanie wewnętrzne, zgiął się, dotykając piersiami końców wioseł i odepchnął się rzutem tak silnym, że łódź jak po mydle zsunęła się ze żwiru, odbiegając kilka sążni od brzegu.

— *Aj! leszyj! aj, djawoł! mołodiec Kostieńka*[1])! — krzyczał zachwycony prykaszczyk, łódź zakołysała się silnie na wodzie i ja zostałem sam na sam z pijanym przewoźnikiem.

* * *

Prykaszczyk rzeczywiście miał rację, przewoźnik w łódce przeobraził się zupełnie: każde nderzenie wioseł, sterowanie, wszystko jednem słowem, znamionowało w nim siłę i wprawę w prowadzeniu łodzi niezwykłą. Ktoby go zobaczył teraz, aniby domyślił się nawet, że człowiek ten przed chwilą zaledwie mógł utrzymać się na nogach. I otucha już we mnie wstępować zaczęła, gdy raptem łódź

[1]) *Leszyj* — zły duch leśny, djabeł; *mołodiec* — zuch.

postawiona pod kątem zbyt ostrym do nabiegającej fali, przechyliła się na bok tak silnie, że nie przygotowany na wypadek, o małom nie stoczył się z ławki. Przewoźnik zręcznie wprawdzie poprawił błąd i łódź, skrzypiąc i piszcząc, jak gdyby robiąc dychawicznie bokami, znowu rozpoczęła swą żmudną pracę przerzynania fal wysokich, groźnie lśniących zbielałemi grzebieniami, zmagania wichru i potężnego pędu Angary, ale otucha moja znikła odrazu. Na środku rzeki woda klekocze jak w kotle i nieostrożność podobną życiem tam można przypłacić. Angara ma wiorstę szerokości, wody jej i latem są bardzo zimne, z pędem gwałtownym tych wód i w zwykłych warunkach walczyć niepodobna, a cóż dopiero teraz, gdy członki w mgnieniu oka skostnieją? Lotem błyskawicy przemknęło mi to przez głowę i pożałowałem nieopatrzności, z którą zdecydowałem się na przeprawę.

Z kim innym możeby łatwiej było porozumieć się, ale jak przystąpić do tego opoja? Odpowie mi brutalstwem, jak odpowiadał prykaszczykowi. Spróbujmy jednak:

— Słuchajcie, przewoźniku — zacząłem głośno i jak mogłem najbardziej stanowczo — wątpię bardzo, czy przeprawa uda nam się; słyszycie, co się dzieje na środku rzeki? Wracajmy więc nazad, póki blisko i wrócić można, za fatygę zaś waszą podwójnie zapłacę. — Naturalnie, powiedziałem to po rosyjsku. Wyobraźcież sobie moje zdumienie, gdym usłyszał odpowiedź, wypowiedzianą najczyściej po polsku: „Niech się pan nie boi, przeprawimy się, da Bóg, szczęśliwie", zdumienie tem większe, że nietylko niechęci i gburowatości, na które przygotowałem się, nie słychać było w głosie przewoźnika, ale przeciwnie, słowa jego tchnęły życzliwością.

— Niech się pan nie boi — powtórzył on znowu i głos jego brzmiał jeszcze szczerzej, jeszcze życzliwiej, jak gdyby pijany człowiek o mój spokój się zatroszczył, — znam Angarę i jej narowy, jak swoją kieszeń pustą; bu-

rzy dziś nie będzie, a choćby i była, zbierze się jeszcze nieprędko i ja zresztą pijany tak bardzo nie jestem. W kabaku siedziałem długo, tam duszno, więc, gdym wyszedł, na świeżem powietrzu rozebrało mnie trochę, ale teraz to już przeszło prawie zupełnie. Może pan być pewny, że bąka takiego, jak na początku, już nie strzelę.

— Wszystko to być może, ale powiedzcież mi, skąd wy wiecie, że jestem Polakiem?

— Ehe! Widać, że pan tu niezbyt dawno; kto pomieszka, proszę pana, w Syberji lat dwadzieścia przeszło, ten w najciemniejszym kącie piekła bez świecy pozna Polaka.

O ile z jednej strony ucieszyło mnie znalezienie rodaka w okolicznościach dość niezwykłych, o tyle znowu z drugiej przykrość mi wielką sprawiała myśl, że rodak ten jest człowiekiem zupełnie upadłym. To, com widział niedawno, żywo teraz stanęło przede mną i kabak z jego ofiarami zahuczał mi w uszach swym hukiem wstrętnym, a ten człowiek — brat mój, krew moja, kość moja! ten człowiek, co czuciem poznał mnie wśród ciemności, ginie także w tym wertepie, ginie zapewne ostatecznie.

I siedzieliśmy obaj w milczeniu: ja zamyślony, on napozór wyłącznie wiosłowaniem zajęty, napozór, widocznie, bo po chwili znowu usłyszałem głos jego.

— Dlaczegoż pan rozmawiać ze mną nie chce? — zapytał on, a pytanie to brzmiało bardzo nieśmiało.

Zrozumiałem jego prośbę, uczułem wymówkę delikatną i otrząsłem się z odrętwienia; powiedziawszy mu wprzód, kto i skąd sam jestem i co tu obecnie porabiam, rozpocząłem z nim rozmowę, ale nie kleiło się nam jakoś: i pytania moje i jego odpowiedzi były suche, do urzędowych podobne.

— Więc razem ze wszystkimi przybyliście tutaj?

— Tak.

— Czemże zajmujecie się teraz?

— Traczem jestem.

— I zarobki niezłe macie?

— Zarobki dobre, ale korzystać z nich nie umiem.

— Zapewne z Warszawy jesteście?

— A z czego pan tak wnosi?

— Z wymowy czystej, ze słów, których używacie.

Przewoźnik milczał.

— Dlaczegoż nie odpowiadacie mi?

— Wahałem się, czy prawdę powiedzieć panu; jestem synem zamożnego szlachcica, nazywam się Konstanty Buski, szkoły skończyłem w Białej, — wypowiedział przewoźnik prędko, jednym tchem, pragnąc widać o ile możności skrócić sobie przykre wyznanie.

Jakkolwiek w Syberji i daleko nawet znaczniejsze przeobrażenia nie są rzeczą rzadką i ludzi, którzy byli lub być mogli czołem swego społeczeństwa, spotyka się tu częściej niż gdzie indziej wśród odpadków społecznych, trudno jednak bywa w chwili odkrycia przemiany podobnej zachować zawsze spokój należny. A on tak ujął mnie czuciem swojem!

Zabolało mnie więc jego odkrycie i z egoizmem, nie myślącym o cierpieniu bliźniego, rzuciłem mu w odpowiedzi:

— Temci większą hańbą wasz upadek.

* * *

Przewoźnik jęknął głośno, ale wśród szumu fal i wycia wichru jęk ten doszedł mych uszu, do ryku jakiegoś podobny, jęknął ciszej raz jeszcze i zanim zdołałem opamiętać się, śmiech dziki: Cha, cha, cha, cha! Cha, cha, cha, cha! rozległ się wokoło. Śmiech, którym się śmieją tylko wielcy zbrodniarze i ludzie do szaleństwa cierpieniem doprowadzeni, śmiech potępieńców i obłąkanych — ostry, suchy i zimny, śmiech bez modulacji, nie śmieszny,

ale straszny, porywany wichrem, gwałtownie wirującym, donosił się do mnie ze wszech stron. Jak artysta burzą wstępnych akordów zmusza tłum różnobarwny do skupienia uwagi nad cichą pieśnią, mającą znaleźć oddźwięk bratni w najtwardszych sercach ludzkich, tak przewoźnik, dając wolę wezbranemu uczuciu lub nie mogąc zapanować nad sobą, potęgą bólu i ironji, zawartą w swym śmiechu, przykuł mą uwagę do siebie.

I nie lekceważyłem pijaka. Wielki chłop pijany, siedzący naprzeciw mnie, przyoblekał się w szatę, którą wszyscy potrochu nosimy, którą jednak, jak pajace, wystawiając na pokaz, najczęściej poniżamy — w szatę cierpienia, ale przyoblekał się w nią poważnie.

I grozą jakąś przejmować mnie zaczął ten śmiech przykry, przeciągły: niespodzianie zjawiał się przede mną człowiek, całunem cierpienia wielkiego okryty, całunem, którego uchylić zwykle nie śmiemy, od którego przy spotkaniu małodusznie się odwracamy.

Na wyjaśnienie nie czekałem zbyt długo, bo nie przebrzmiały jeszcze ostatnie echa śmiechu przewoźnika, gdym usłyszał następujące słowa:

... Hej, mój panie ze świata! dlaczego potępiasz mnie zgóry? Ja upadłem, dlatego żem się w łódź zwalił? Ja hańbą okryłem się, żem równowagę fizyczną na czas krótki utracił? Cha, cha, cha, cha! A ten złodziej X., co okrada i swoich i obcych, ale ma tysiące i okruchy głośno na cele publiczne składa? A ten szubrawiec Y., co *tarusun* burjacki[1]) zamiast wódki sprzedaje i „trójką“ jeździ, choć przyszedł tu biedniejszy ode mnie? To wzory dla maluczkich, to przykłady energji i wytrwałości w nieszczęściu, to może męczennicy?! Cha, cha, cha, cha!

Ależ na Boga, — wołał przewoźnik, zagłuszając szum fal i świst wichru, — ja równowagi moralnej nigdy

[1]) *Tarusun* — wódka pędzona sposobem domowym u Burjatów.

nie straciłem, ale o to nikt nie pyta! Ja nie znoszę nieprawdy na świecie, ale to dla was obojętne! Z jakiem więc czołem, bezduszni, dlaczego bijecie mnie wszyscy?...

Upadłem, tłukąc sobie głowę, ale czym obraził choć koniec palca twego, sędzio surowy? Czym nie po ludzku odezwał się do ciebie, czy wyzyskuję cię, biorąc pięć kopiejek od ciebie i pięć od prykaszczyka, razem dziesięć, dziesięć kopiejek za godzinę ciężkiej pracy, połączonej z niebezpieczeństwem dla życia?...

Tyle lat cierpienia i nic prócz wzgardy; tyle cierpienia i nic prócz obelgi!... Eech! czarne wody Angary w czasie burzy, ale czarniejsze dusze ludzkie w swym spokoju... Zimno na dnie tych głębin ogromnych, ale zimniej na świecie szerokim...

Brrr! Zimno mi! i znowu dni kilka pić będę.. Słyszysz, panie? Tyś mi oziębił duszę dzisiaj, a jutro już trzeźwy byłbym może... bo, widzisz, myślałem, dowiedziawszy się, żeś człowiek nowy, żeś nie szczerstwiał jeszcze i ja, zmęczony, ulgę znajdę w rozmowie z tobą! A tyś uderzył mnie bez serca...

Ha! możem ja i upadł?... Ale nie! nieprawda! nie upadłem i nigdy nie upadnę! To wyście upadli, wyście spodleli!... Ale wy — trzeźwi, a ja — pijany! Wy — macie rozum, a ja — serca głupiego kawałek i głos mój, żem bólem, nie wódką pijany, ginie wśród wrzawy waszej... Bólem... tak, bólem wielkim, ale przekonać was nie mogę, nie umiem, a i któż zresztą zechce słuchać upadłego?...

* * *

Już to jedno, żem cierpliwie wysłuchał rozżalonego nieszczęśliwca, dobrze go względem mnie usposobiło; to też o krzywdzie, którąm mu mimowoli wyrządził, zapomniał on prędko i zaledwie kilka zdań z nim wymieniłem,

gdy zaproponował mi przedłużenie przeprawy, „bo samotny w ciągu lat tylu, rozum już tracę być może, może ja już rzeczywiście upadłem?“ — prosił on usilnie, błagalnie prawie. Zgodziłem się: przewoźnik podziękował mi okrzykiem i jak strumień wezbrany, wstrzymywany tamą wysoką, gdy odnajdzie i wyżłobi w niej ujście najmniejsze, doszczętnie znosi i wywraca słabą zaporę, tak polały się strumieniem rwącym i szerokim to namiętne i gorące, to ciche i żałosne, jak płacz słabego dziecięcia, słowa przewoźnika...

...Burzy nie będzie, — uspokoił on mnie przedewszystkiem raz jeszcze, — a choćby się i zerwała, z jednem wiosłem zawsze zdążę dobrać się do brzegu. Szkoda więc, że pan nie chce przejechać się środkiem Angary. Nie lubię ciszy i spokoju. Tam co innego: fale, rwane nurtem gwałtownym, biją potężnie, woda aż w oczy bryzga, łódź lata, jak huśtawka. Pyszna to rzeka, ta Angara! i pokochałem ją jak swoją, jak rodzoną, boć i legnę w niej zapewne; po jej łożu twardem rozniesie woda kości moje i zawadzać już tam one nikomu nie będą.

Tu uciekam, gdy mi już życie bardzo dopiecze, gdy mnie zmrozi swym chłodem; piję wtedy na zabój i ukojenia szukam na tych falach burzliwych. Potęga przyrody surowej i wielkiej orzeźwia mnie. I dobrze mi tu. Straszne to wody, wzdęte burzą, poszarpane wichrami, ale są one zawsze tem, czem są, nie oszukują człowieka; puszczam się na nie, wiedząc, że śmiercią mi grożą, że śmiercią ukarzą najmniejsze moje zapomnienie.

Na falach życia inaczej.

Łudzi nas ono cudnemi mirażami i bije nielitościwie głupców, wyciągających ku nim ręce i jak szyderca bez serca i sumienia, obsypuje szczodrobliwie swemi darami tych, co plwają na te miraże dalekie, co urągają tym gwiazdom przewodnim, depczą ideały nasze! Ale nie zgiąć mu mej wiary! nie złamać mu mej siły!

Biją mnie zewsząd fale życia i zawiejki i szarugi, i nawałnice wam nieznane uderzają w obnażoną pierś moją, bo stoję na najniższym szczeblu drabiny społecznej, w tych szeregach stworzeń Boskich, dla których przystanią — szynk, miejscem odpoczynku — mogiła... Ale stoję i stać tu będę do końca na swojem.

A gdy słabnąć zaczynam, puszczam się na te fale głębokie i tu, zdala od ludzi, ich wzgardą okryty, wyciągam ręce do Boga mego, powtarzam Mu modlitwę swoją: „Wierzę Ci, Boże i wierzyć nigdy nie przestanę, że nie wygasł ogień święty w piersiach ludzkich, że siewcą prawdy być jeszcze można na ziemi.“ I lżej mi wtedy.

Tu, gdzie stoję obecnie, spuściłem się wprzód, nim pić zacząłem, bo tu łatwiej ustać można. Rznę tarcice i kwita. Ale, ani skrawka sumienia, ani szczypty swych przekonań nikomu ustępować nie potrzebuję! Tu upadli, ale tu i czyści. Tu brud i występek, ale tu i cnotę odnajdziesz, prawda, nierozumną często, ale jakżeż czystą zato! Koi me bóle Angara, ale zdarzało się nieraz, że gdy leżę gdzie w błocie, oberwaniec jaki przychodzi, obejmie mą głowę i łzę współczucia uroni. Wtedy odrazu wstaję na nogi i długo, długo nie piję.

Więc nie dlatego piję, że tak nisko stoję, stałem tu lata całe dawniej i wódki do ust nie brałem, ale, widzisz, panie, od lat piętnastu przeszło źle bywa ze mną czasami; gnębi mnie myśl straszna.

Silny jestem fizycznie: dwóch mocnych chłopów przy piłowaniu tarcic staje ze mną do zmiany i obaj bez rąk odchodzą, gdy ja rozpędu nabieram dopiero; kabak, posiadający wśród swych gości siłaczy znanych, *gołowo-riezów*[1]) z profesji, drży przede mną i milknie, gdy mu pięść swą ukażę, łby czełdońskie[2]) gną się przed tą pię-

[1]) Zbójów.

[2]) Czełdonami wszyscy posieleńcy nazywają dawniejszych kolonistów rosyjskich w Syberji.

ścią, jak kłosy przed wiatrem, ale opada mnie siła moja, ginie wola i rozum się przyćmiewa, gdy mnie opanuje myśl zmora, myśl, co ścina krew w żyłach.

I staje mi wtedy przed oczy moje życie złamane.

I patrzę nań i widzę, że podobne ono było do życia szaleńca, co postukując lemieszem po skale gładkiej, sądził, że orze i rzucając ziarno na kamień twardy, mniemał, że sieje.

I jestem wtedy, jako liść mrozem zwarzony, co wczoraj jeszcze pełen życia, dziś wisi na gałązce drzewa żywego sczerniały i bolejący.

I jestem, jako dziecię małe, co w wielkiem zbiorowisku ludzkiem straciło matkę ukochaną i nie wie, kto je dziś przytuli.

Rzucam wtedy robotę, siadam u drzwi kabaku, piję i płaczę.

A przechodzący około mnie, obrzucają mnie błotem, bezczeszczą mnie, plwają na mnie. I złodzieje i zbóje i odmieńce, hańbą od stóp do głów okryci, stają nade mną jak sępy nad ścierwem i kraczą mi: „Wstydź się!“

Bo wszyscy oni widzą tylko butelkę w mem ręku, a nikt nie chce widzieć łez, z mych oczu płynących.

I matki z dziećmi na rękach patrzą na to i widząc, jak ludzie poważani pogardzają mną, ukazują mnie dzieciom swoim i powiadają im: „Oto do czego doszedł“, a gdy dzieci pytają: „Cóż on zrobił?“, mówią im: „Krnąbrny był“.

I dzieci małe ze strachem i obrzydzeniem odwracają się ode mnie, wyciągają zaś swe rączki ku ludziom, kupczącym sumieniem. I myśl owa, która ścinała mi krew w żyłach, która obezwładniała mnie trzeźwego, staje wtedy przede mną, wcielona w rzeczywistość nagą i wstrętną.

Wydaje mi się bowiem, że niemasz roli na ziemi, którąby ziarno Boże przyjęła, niemasz serc w piersiach ludzkich, któreby z pieluch zatrute nie zostały.

I jak cierpi ojciec, co wstydem fałszywym kierowany, zabija swą córkę jedyną i ukochaną za błąd młodości, tak ja cierpię...

I jak do szaleństwa cierpieniem doprowadzoną bywa owa matka nieszczęśliwa, co dusi syna pierworodnego w miłości poczętego, tak ja z bólu szaleję.

Bo jestem samotny i opuszczony i zdusić mam to, co jest mi najdroższem na ziemi, co było dziecięciem mojem, rodziną moją; przychodzi mi myśl, że stałem życie całe przy szmacie wyblakłej, przy urojeniu w głowach szaleńców zrodzonem, że w życiu — i głos przewoźnika zamienił się w szept ostry, urywany — w życiu.. podłym..., być potrzeba...

* * *

Przejeżdżaliśmy przez środek rzeki i przewoźnik umilkł, może zanadto wzruszony, a może też, stając w skupieniu większem do walki z żywiołem potężnym, co szeroką ławicą swych wirów i odmętów środkowych gwałtownie na nas uderzył.

Rzeczywiście, fale tu „aż w oczy bryzgały", ale łódź prowadzona silną i wprawną ręką, choć „kołysząc się, jak huśtawka", choć skrzypiąc i piszcząc wszystkiemi szwami i odmęty głębokie i fale wysokie przerzynała szczęśliwie; pęd największy przejechaliśmy dość prędko i przewoźnik, widocznie nie chcąc stracić jednej chwili napróżno, tak zaczął znowu:

...Wiem dobrze, co mi pan powie: Skądże ta sprzeczność w słowach i czynach? Niemasz tam wiary, gdzie jest rozpacz i czystość nie idzie w parze z pijaństwem? Tak, panie i jabym powiedział każdemu, tak bowiem ja i sam do siebie mówię, gdy przejdzie szał, któremu ulegam i spokój zwykły odzyskam. Ale jest trucizna, co od lat piętnastu powolnie mnie zabija, wobec której wola

moja słabnie; trucizna, którą inni przyjęli i strawili, jak strawiamy zwykłe codzienne zgryzoty i jadowite przyprawy. Przypraw podobnych zjadłem i ja niemało, ale ostatniej znieść nie mogę. Mocuję się z nią jeszcze, ale czuję, że kurcze, które mi sprawia i z któremi lat tyle borykam się, są przedśmiertne, że zabiją mnie kiedykolwiek i zginę gdzie marnie, w najlepszym razie legnę jako samobójca na dnie Angary. Nie łudzę się i nie przedłużałbym tej walki bezpłodnej, a właściwie agonji swojej, gdyby nie nadzieja, co choć zdaleka choć dziś bardziej niż kiedykolwiek zmroczona, świeci mi jednak dotąd jeszcze. Mam nawet półtorasta rubli, którem dawniej sobie zebrał, na drogę... Piję więc... aby żyć... i uniknąć spodlenia, gdy trucizna owa działać silniej zaczyna.

Zgodziłeś się słuchać mię, panie, wysłuchaj więc cierpliwie: opowieść niedługa: może i tobie się przyda, a może też kiedy zaniesiesz ją na zachód daleki i zasiadłszy gdzie w dworku lub w chacie nadbużnej, opowiesz ją starcom i dzieciom, chętnie baśniom ucho dającym.

I słuchając baśni o człowieku cierpiącym, co choć ułomny, do końca wiernym przykazaniu pozostał, może starce błogosławić mi będą; może, czerpiąc w skarbnicy doświadczenia, pouczą wnuki małe, jakby lepiej wytrwać można było i nie kamień potępienia z rąk nierozumnych, ale łza czysta z oczu niewinnych stoczy się na mogiłę moją. I gdy dzieci płaczące wyrosną w męże dojrzałe, nie zadadzą gwałtu duszy mojej i nie będą urągali pamięci mojej.

A wiatr zachodni zaszumi o tem nad mą mogiłą opuszczoną.

I poruszą się w niej radośnie moje kości spróchniałe.

I jak dziś gorąco wzywam do Boga mego, aby m upaść nie pozwolił, wzywać doń wtedy będę jeszcze go-

ręcej, aby dał mężom owym i rozum i hart duszy i wiarę, których my nie mamy.

Aby rozumieli, że i noc najczarniejsza dnia się doczeka.

Aby nie uginali się pod brzemieniem, którego nieść sił nie mamy.

Aby wierzyli wtedy, kiedy my małodusznie rozpaczamy...

* * *

...W ziemi podlaskiej, nad Bugiem starym, wśród niewyniszczonych jeszcze lasów wielkopańskich czy też rządowych, znajduje się szmat ziemi, nie więcej niż dziesięć włók obejmujący, który od wieku przeszło był siedzibą rodu naszego. Liczni podobno byliśmy kiedyś, ale od czasu konfederacji barskiej, kiedy pradziad wyniósł się nad Bug z gniazda naszego starego, z ziemi liwskiej, nigdy już jakoś rozrodzić się nie mogliśmy. „Zostawało zawsze Buskich tyle, ile na nasienie potrzeba", mawiał zwykle mój ojciec matce, gdy ta śmierć dwóch mych starszych braci opłakiwała, „więc nie bluźnij, imość i nie płacz! Dał ci Bóg Kostusia, mówił, na mnie ukazując, widocznie tedy wolą Jego świętą było wziąć tamtych na służbę niebieską; módl się więc lepiej, żeby z tego gagatka wyszedł człowiek, a nie jaka lala" i tak energicznie stukał swoją nogą drewnianą, że do dziś, gdy wspominam te słowa jego, zda mi się, słyszę głośny stuk tej nogi.

Pięćdziesiąt lat przeszło temu, gdy już moi bracia starsi mieli po lat kilka, ojciec stracił na wojnie prawą nogę i wrócił do domu dopiero po latach dziesięciu, ale taki sterany i zmarnowany, że czterdziestoletni mężczyzna do starca był podobny. Matka wyglądała nie lepiej. Odrodzili się jednak w ciągu lat paru i aczkolwiek biali oboje jak gołębie, zdrowi byli i rzeźcy, a ojciec, chociaż bez

nogi, niejednego młokosa przez kij by przesadził. W trzy lata po powrocie ojca urodziłem się i ja, jak to mówią, niespodzianie. Ku wielkiemu zmartwieniu matki ojciec nie darzył mnie tą miłością, z którą się zawsze zwracał do mych starszych braci, jak gdyby wstydził się tego, że u starców na oko dziecię się urodziło. Ponieważ zaś był człowiekiem wielkiej wiary, więc koniecznie chciał w tem widzieć jakiś palec Boży, jakieś znamię niebieskie. I wymyślił on sobie, że znak to niechybny, iż dwaj starsi synowie winni pójść na służbę publiczną, a ja mam pozostać przy gnieździe domowem „na nasienie". A że twardy był i uparty, jak każdy szlachcic podlaski, i myśli raz powziętej nie porzucał, więc duszę swą całą włożył w wychowanie braci, aby godnie odpowiedzieli powołaniu „z góry wyraźnie nakazanemu". Gdy szkoły skończyli, ponieważ wyższego zakładu naukowego w kraju nie było, a jechać zagranicę nawet środki nie pozwalały, więc książek nasprowadzał, bibljotekę całą ufundował, a czytali, a chodzili, a rozprawiali dnie i noce całe. Nie pamiętam ja tego, ale matka mi to później opowiadała. Trwało to jednak niedługo. Nie miałem bowiem jeszcze lat sześciu, gdy bracia zniknęli z domu i nie wrócili już więcej.

Z początku ojciec był wesół i pełen różowych nadziei, ale po roku zmienił się jakoś odrazu i gdy w kilka miesięcy potem przyszła wieść o śmierci obu braci gdzieś w kraju dalekim, przyjął wiadomość tę zupełnie obojętnie. „Tak i nie zapłakał nawet nad sokołami swemi", powtarzała mi nieraz rozżalona niańka stara, gdym był trochę starszy.

Miałem już lat osiem skończonych, gdy zaczęto myśleć o mojej nauce i wtedy to ojciec, zajęty z początku mego życia wychowaniem starszych braci, później zbyt ciężko dotknięty ich zgonem przedwczesnym, zwrócił na mnie baczniejszą uwagę.

Dotychczas byłem wyłącznie na opiece matki; ona

mnie czytać nauczyła, ona mi rękę do pierwszych liter układała, ona cuda przyrody wedle rozumienia swego prostego objaśniała. Z nią przepędzałem i dnie i wieczory i jeżeli piękne są chwile dzieciństwa wiejskiego, jeżelibym i ja może, wśród warunków innych znajdując się, o dniach tych jasnych, słonecznych, przedewszystkiem pamięć zachował, życie moje ponure, chmurami czarnemi zamglone, słońca pozbawione, przechowało w mej pamięci z siłą niezwykłą wspomnienia o wiejskich wieczorach zaczarowanych, a szczególniej o długich wieczorach zimowych.

Wtedy to zwyczajem, wówczas jeszcze powszechnie w zapadłych kątach Podlasia po dworkach małych przechowywanym, w dużym pokoju, wyłącznie na ten cel przeznaczonym, zbierały się prządki i matka wśród nich z kądzielą swą zasiadała. Tu, przy kominie, jasno płonącym, snuły się nicią nigdy nieskończoną, sięgającą w przeszłość zamierzchłą, baśnie i podania ludowe, tu opłakiwałem śmierć Chrystusową, gdy prządki „gorzkie żale„ zawodziły. Siadała przy kominie matka ze swem kółkiem, ładnie toczonem, z książką pod ręką, a na podłodze, żółtym piaskiem usypanej, promieniami polan gorejących ciepło ogrzanej, kładłem się u nóg jej, i uczucie, którego już nigdy potem nie doznawałem, przepełniało mnie...

I warczenie kołowrotków i śpiewy dźwięczne i trzask palącego się drzewa, zlewając się ze sobą, tworzyły dziwną muzykę, działającą z siłą niezwykłą na mój dziecinny organizm; dźwięki oryginalne, a jednostajne, pieściły, czarowały mnie, wprowadzając w stan słodkiego rozmarzenia. I ukołysany dźwiękami temi, ogrzany błogiem ciepłem ognia, czując obecność matki ukochanej, zasypiałbym, jak zasypiał towarzysz mój nieodstępny, kot duży, Maciuś cierpliwy, gdyby nie podnieta zawsze jakaś, która, drażniąc czucie tępiejące, podtrzymywała stan marzenia na jawie.

Już, już zasypiam nieraz, już nie słyszę warcze-

nia kołowrotków, ani jednostajnego trzasku drzewa, tylko pacierze Maciusia, leżącego tuż przy głowie mojej, szemrzą mi jeszcze w uszach wyraźnie, gdy naraz drzwi skrzypną głośniej i nad głową moją pokazuje się twarz ojca: wąsy siwe, zwykle groźnie sterczące, tak dobrodusznie zwisają teraz na pierś szeroką, oczy duże z pod brwi krzaczastych patrzą na mnie z taką miłością!

I dobrze mi wtedy i cieszę się, żem nie usnął i gniewam się na Maciusia głupiego, że nie podziela radości mojej, ale palce, już złożone do uszczypnięcia go za ogon, aż na przednie łapy zawinięty, nie mają siły ścisnąć się należycie; ręka bezwładnie opada na główkę okrągłą, na której zanikają i te koniuszczki uszów, co jeszcze przed chwilą z niej sterczały, oczy zamykają się jeszcze szczelniej i tylko mruczenie głośniejsze wskazuje, że Maciuś i śpiąc czuwa i dziękuje mi za względy niespodziane.

Już, już zasypiam nieraz, już nie słyszę warczenia kołowrotków, ani jednostajnego trzasku ognia, gdy zajęczy wicher za oknem, gwałtownie wstrząsając okiennicą i naraz milkną kołowrotki i cisza głęboka zapanowywa raptownie nad gwarem i szumem niedawnym. Nawet Maciuś otwiera wtedy na chwilę swe oczy zaspane, a ja już słucham, cały w słuch zamieniony... i wśród ciszy trwożliwej rozlega się drżący głos starej Mateuszowej — niańki, co matkę jeszcze wypiastowała: „Módlcie się dzieci!“ i dziesiątki rąk grubych, czarnych, zapracowanych znaczą piersi znakiem krzyża, z dziesiątka ust wraz z westchnieniem głębokiem wyrywa się prośba pokorna: „Zmiłuj się, Panie!“ bo obwiesił się ktoś pewno i dusza grzesznika o modlitwę prosi, a jeżeli dnie śnieżyca, zbłąkali się podróżni nieszczęśliwi i pomóc im modlitwą obowiązek chrześcijański nakazuje... I na długo zbiega sen z mych oczu i stan rozmarzenia słodkiego trwa dalej bez końca.

Ale rozmarzenie to przechodziło w jakieś drżenie gorączkowe, w stan, którego wspomnienie i dziś mnie nawet głęboko rozrzewnia, gdy w pokoju prządek rozlegały się pienia żałosne, śmierć Chrystusową opłakujące, „gorzkie żale", stare „żale" nasze. Wstrząsały mnie do głębi owe pieśni, nasiąknięte wiekowemi cierpieniami naszego ludu wiejskiego, jęczące bólem bezmiernym i beznadziejnym, wstrząsały tak, że nad każdem słowem rzewniejszem zanosiłem się od płaczu.

I nie broniła mi płakać matka ukochana. Czy sama, tylekrotnie bolejąc, zahartować chciała dziecię swe jedyne, wiedząc, że boleć mu wypadnie, czy z innej jakowej przyczyny, dość, że przez cały post wielki płakałem co wieczór, słuchając śpiewu prządek i co wieczór obie jej ręce głaskały pieszczotliwiej, niż zwykle, mą głowę, co wieczór silniej również i goręcej, niż zawsze, tuliła ona i garnęła płaczącego do siebie.

A uroczyście, jak samo cierpienie, brzmiał głos matki, gdy odczytywała z książki uwagi i rozmyślania w „gorzkich żalach", pomiędzy jedną i drugą pieśnią zawarte i pamiętam do dziś każde słowo tych modlitw prostych i szczerych; pamiętam szczególniej, jak na początku części drugiej matka, czytająca wszystkie inne uwagi siedzący, klękała i przyciągając mnie do siebie, wymawiała głosem dziwnie głębokim, dziwnie serdecznym: „Te zaś rany i zniewagi i zelżywości ofiarować będziemy temuż Chrystusowi cierpiącemu za całe chrześcijaństwo, na uproszenie pokoju i wzajemnego znoszenia się w miłości chrześcijańskiej i prawdziwej jedności".

I w oświetleniu ognia jasnego twarz jej, okolona białemi włosami, nabierała wtedy dla mnie nieopisanego uroku; czułem instynktem jakimś, że to największa jej modlitwa, największa prośba, którą do Boga zanosi. Przyciśnięty do jej boku, słyszałem głośne bicie jej serca i składając nabożnie ręce, z wiarą powtarzałem jej modlitwę

serdeczną, a nadzieja i ufność rozlewały się na jej twarzy, w oczach odbijał blask radości, gdym głosem cienkim zanosił prośbę, której znaczenia nie rozumiałem jeszcze... a usta jej drżały od wzruszenia, gdy składała pocałunek na mojem czole...

— I nie wysłuchał Bóg modlitw gorących twoich, o jedyna moja! — wołał przewoźnik głosem boleści głębokiej — dotknął cię cios, o odwrócenie którego codzień modliłaś się, serdeczna moja! i jak Bolesna stałaś samotna i opuszczona na schyłku dni swoich, straciwszy na zawsze słonko swe jasne! Lżejby ci było, gdybyś widziała mary moje i nie cierpiałabyś katusz niewiadomości o dziecięciu swojem i nie lałabyś łez krwawych nad dolą moją! Bo ja oczami duszy swojej widziałem te łzy krwawe, któremiś płakała, nieszczęsna piastunko moja, bo ja czułem katusze, któreś cierpiała, gdy się zamykały powieki twoje i nie widziałaś około siebie dziecięcia swego, o święta moja! Czyś ty słyszała wołanie moje, żem nie zapomniał modlitw twoich? O, usłysz mnie! usłysz, że dziecię twe, chociaż oplwane, zbezczeszczone, łachmanami okryte, wzywa i dziś, jak kiedyś u boku twego wzywało: „Te zaś zniewagi i zelżywości za całe chrześcijaństwo, za malutczkich i najsłabszych, za pokój i zgodę pomiędzy ludźmi“...

* * *

...Tam to, gdy modliliśmy się razem z matką, po raz pierwszy uważniej przyjrzał się mi ojciec i nawet rozgniewał się trochę za takie „babienie chłopca“. Matka jednak nie ustąpiła mu już mnie zupełnie i może bojąc się o los mój przyszły, oddając mnie ojcu na dnie do nauki, wieczorami zawsze zabierała do siebie. Przy niej więc wprzód, zanim ojciec zaczął mi opowiadać o królach i rycerzach, usłyszałem, o królewiczach i królewnach, o braciach głupich i mądrych, tu po raz pierwszy naiwnie

zastanawiałem się nad pozorną niekonsekwencją ludu, urągającego w swych baśniach mądrości, dającej powodzenie doczesne i stającego zawsze czuciem jakiemś delikatnem ze wszystkiemi swemi sympatjami człowieczemi po stronie upośledzonych głupców.

Ojciec, jak gdyby wynagradzając mi swą obojętność dotychczasową, pokochał mnie serdecznie i gorliwie siać zaczął na niwie, już uprawionej przez matkę. Poznawszy mnie bliżej, nietylko przestał zżymać się na „babienie chłopca", ale i sam częściej na posiedzenia wieczorowe zaglądać zaczął. To, co prządki opowiadały o braciach głupich i mądrych, to, co „gorzkie żale" śpiewały, powtórzył i on zczasem, nazywając tylko inaczej rzecz w gruncie jednaką, a ponieważ nie mieliśmy pańszczyźnianych, bo i dziad i pradziad, swój niewielki kawał ziemi obrabiali najemnikiem, więc nie potrzebował on owijać i ubielać przede mną największego fałszu w ówczesnych stosunkach naszych — pańszczyzny. Fałsz i kłamstwo nigdy nie spłamiły ust jego i starzec, siwizną okryty, stał się powiernikiem i towarzyszem moim. Odwiezienie mnie do szkół, nietylko nie rozerwało, ale zacieśniło łączące nas węzły i lat szesnastu jeszcze nie miałem, gdy zamki zaczarowane, czyny nieziemskie, doskonałość niedościgniona, zawichrzyły mą głowę. Uciekałem wtedy od zabaw i kolegów do książek ukochanych, przy mgławem świetle świecy łojowej, zgięty we dwoje, przepędzałem nad niemi dnie i noce; zapatrzony w horyzonty coraz szersze, przechodziłem i przez to życie, które w szkołach przechodzimy, z zawiązanemi oczami, nie widząc i nie słysząc w tem życiu nic okrom tego, co ideałom książkowym, marzeniom ojca starego, odpowiadało.

Gdym wrócił ze szkół do domu, poprowadził on mnie dalej tąż samą drogą i choć ciernie krwawiły nieraz nogi nasze, głęboko wrażając się w ciało, pobudzani gorączką, bólu nie czuliśmy, zapatrzeni daleko, krwi własnej

nie widzieliśmy, ba! dostrzegając ją nawet, uważaliśmy plamy czerwone za róże życia tego!

Stosy książek, sprowadzonych dla braci, uzupełniały wykształcenie moje, a wytyczną było życie starca, co idąc przede mną, z głową włosem śnieżnym okrytą, stawał mi się symbolem widocznym siewcy prawdy na ziemi.

Bo jak łabędź puchem najdelikatniejszym, z piersi własnej wyrwanym, wyściela gniazdo piskląt swoich, tak człowiek ten, nigdy brudem życia nie skalany, raniąc pierś własną, czerpał oburącz z głębin serca swego dla bliźnich swoich i siał po obie strony drogi swojej.

I choć życie nielitościwie zmiatało posiew jego, z naiwnością dziecięcia, z czystością gołębia doszedł do końca dni swoich, niezachwiany w swej wierze głębokiej, ogniem owym świętym, co gorzał w wiekach dawnych na licach wybrańców, ogniem miłości, do końca gorejący.

Czy dziś są wśród was ludzi tacy? pytam się nieraz i biada wam, trzykroć wam biada! jeżeli ludzi czystych wpośród siebie nie macie.

Bo jak oko ludzkie, przebywając długo w ciemnościach, gdy zobaczy płomyk blady, uznaje takowy za promień światła jasnego, tak serca wasze, nie czując nigdzie uderzeń czystych, stęsknione i spragnione, odpowiadać zaczną na każdy dźwięk, nawet chropawy, byle żywszy.

I gdy nadejdą dla was dnie niedoli i smutku, płakać będziecie nad bliźnimi swymi, brat nad bratem, ojciec i matka nad dziećmi, syn i córka nad rodzicami swymi i widzieć będziecie każdy nędzę swoją, ale nikt wśród was nie zawoła, jak wołał ów starzec czysty, gdy odpowiadając ludziom, pocieszającym go po stracie synów ukochanych, wymawiał wraz z Panem: „O Jeruzalem, Jeruzalem, nie płacz nade mną!“

* * *

... Skończyłem lat dziewiętnaście i matka o weselu mojem marzyć zaczęła; za jakie cztery lata najdalej, wedle jej obliczeń, powinienem był ożenić się, jak tylko Hania, jej wychowanica, podrośnie. Hania miała wtedy czternaście lat, kochałem ją szczerze i ona zapewne kochała mnie przynajmniej miłością siostry, jak zwyczajnie dziecko kochać może. Wówczas to zaczęły się dnie próby, aby złamać starców moich, a dla mnie trwać aż do chwili dzisiejszej.

Matce długo nic nie mówiliśmy. Ojciec chodził odmłodzony, z rumieńcem gorączkowym na twarzy, nie spał on prawie, uczył mnie dnie i noce, co i jak w każdej potrzebie czynić należy. Były to ostatnie pogodne dnie jego, ale i te mimowoli zachmurzała matka, bo i dnia nie przechodziło, aby nie śnił się jej mój dziadek, a jej ojciec, a sny podobne, w co święcie wierzyła, zawsze zwiastowały śmierć niechybną kogoś bliskiego w rodzinie. Więc, gdy wstanie rano i stroskana opowiada nam widzenia ciężkie i wzrokiem miłości bada stan zdrowia naszego, ja, jak zwykle młody, puszczę to zawsze mimo uszu, ale ojciec, to chociaż i odpowie jej zawsze: „Wstydź się, imość, z temi snami ciągłemi, sen mara, Bóg — wiara przecie", ale sam zblednie, jak chusta, że aż matkę nieraz ta bladość wystraszy. Wtedy nie zwracałem na to uwagi i dopiero później, rozpamiętując ostatnie chwile swego przebywania w domu, zrozumiałem, jakim to nożem obosiecznym przeszywały pierś ojca owe domysły i sny matki.

I codzień krzepiliśmy się, aby przystąpić nareszcie do oznajmienia matce nowiny strasznej i codzień, mężni zrana, traciliśmy ku wieczorowi odwagę i znowu odkładaliśmy wszystko do dnia następnego.

Bo, widzi pan i do głowy jej to nigdy nie przychodziło, że po stracie dwóch starszych synów i mnie jeszcze stracić może i miesiąca nie upłynęło, żeby przy

okoliczności stosownej nie powtórzyła ojcu: „Oddałam ci, moje życie, dwóch tamtych, ale Kostuś już mój“...

Więc choć chmury groźne nawisały nad nami, matka ufała...

A spaliła ją wiadomość okropna, jakby i piorun niebieski nie spalił i sczerniała w dzień jeden, jakby z grobu wyjęta i patrzeć na ból jej nie mieliśmy odwagi...

Za parę dni wyjeżdżałem z domu, wyjeżdżałem na zawsze i chociaż żywo pamiętam nasze pożegnanie, dokładnie opowiedzieć wszystko sił zapewne nigdy mi nie starczy.

Bo jeżeli kto i widział nawet, jak się żegna matka z dziecięciem jedynem, w grobie złożonem, ten jeszcze wiedzieć nie może, jak żegna matka dziecię ostatnie, żywcem w mogiłę wkładane... Toż ona słaba na ręce mnie jak niemowlę podniosła!... ale gdy ojciec, błogosławiąc, upomniał, abym zhańbiony nie wracał domu, siły jej już wyczerpane były, z piersi zbolałej wyrwał się straszny krzyk rozpaczy i z urąganiem zwróciła się nieszczęśliwa do wizerunku Chrystusa... co miłość szczepił w serca ludzkie...

Jechaliśmy prędko; będąc na wzgórzu pod lasem pobliskim, obejrzałem się na gniazdo nasze stare: na płocie wysokim z niepokrytemi głowami, z rozwianemi włosami śnieżnemi, stali oboje, a między nimi Hania nieboga... I gdym ujrzał dwoje tych starców osieroconych, stojących na słocie, choć młody byłem, choć rwałem się tam, gdzie już burza huczała i pioruny biły złowrogo, żal wielki ścisnął me serce...

— — — Przewoźnik urwał swe opowiadanie.

* * *

...I listek za listkiem, — ciągnął on po dłuższym przestanku, — życie obrywać zaczęło z drzewa, wypielęgnowanego tak troskliwie. Już wkrótce po wyjeździe z domu

oczy moje otworzyły się z przerażeniem i z przerwami małemi stoją do dziś otwarte, nie będąc w stanie znieść blasku, bijącego łuną od miedzianych czół ludzkich.

Czem mogłem i jak mogłem, przeciwdziałałem nieprawdzie świata, ale koło mej działalności zwężało się coraz bardziej. Tu zacieśniło się ono do tego stopnia, że mogłem czasami ze skutkiem, czasami bez żadnego, użyć siły swej pięści. Nie żałowałem też tej pięści nigdy. Rzucałem się z początku na różne pola, próbowałem i nauki i zajęć rozmaitych, alem się prędko przekonał, że nigdzie utrzymać się nie mogę. Kompromisów z sumieniem w rzeczach najdrobniejszych nigdym nie robił, a jeżeli gdzie, to tu przedewszystkiem dla ludzi takich niema miejsca przy stole życia. Nieprawda jest wyrozumiałą, pojmuje ona swoją występność, wie, że niepodobna jest wymagać od wszystkich przychodzących tu ludzi, aby czynnie jej współdziałali, przyjmuje więc chętnie i biernych adeptów, umiejących choćby milczeć tylko. Ale i na milczenie zgodzić się nie mogłem: gdy przy mnie okradali, ostrzegałem, że okradają, gdy przy mnie okłamywali, prawdę odkrywałem, gdy gwałt zadawali, gwałtem napaść odpierałem. Często udawało mi się, jak i teraz nawet czasami udaje się, obronić biedaka jakiego od krzywdy krzyczącej i choć narażało mnie to na mnóstwo starć i nieprzyjemności, dzięki temu, że boją się tu wszyscy mojej siły fizycznej, którą nieraz podziwiali, a nikt i nie przypuszcza nawet, żeby człowiek silny nie był mściwym, rozmaici wydrwigrosze nie prześladują mnie zbytecznie. Teraz zresztą na zjawiska codzienne, niemoralność zdawkową ludzi, zapatrują się spokojnie. Z początku inaczej było. Zwracałem się wtedy i do swoich, ale po kilku próbach zaniechałem i tu poszukiwań. Pomiędzy prostymi ludźmi, to tu, to tam częściej trafiał się człowiek dzielny, ale o człowieka wykształconego, rozwiniętego, co, choćby łamiąc się wkońcu, nie naginał się nigdy pod ciężarem, który nieść wypadło.

było już daleko trudniej. W oczach jakoś, w jednem mgnieniu prawie, ludzie przeobrazili się do niepoznania. Tylko ci, co widzieli to przeobrażenie, zrozumieć mogą jego wielkość, pojąć, że szumne hasła, widocznie, powtarzaliśmy bezmyślnie, że dość było jednego wichru zimniejszego, aby zmrozić bujne kwiecie i okazać, żeśmy wybujali ponad siły i że drzewa nasze nawet zwykłem kwieciem, zwykłym liściem obradzać nas teraz nie mogą. A tu tak zimno! zimniej niż gdzie indziej!

Więc drżały pędy młode a wyniosłe, tuląc się do mszystych pni tutejszych, ścieląc się i pełzając po ziemi, wciskając się w gęstwinę, aby przyjąwszy obraz i podobieństwo powszednie, znaleźć w zaciszu zbiorowisk ludzkich spokój i gwarancję dla swego istnienia roślinnego. Nie wątpię, ludzi czystych i nieskalanych pozostało wśród nas niemało, ale wszystko to skurczyło się jakoś, zamknęło w sobie wyłącznie. Dziś ludzi tych, co mieli odwagę pozostać sobą, na palcach policzyć można, ze świecą wyszukiwać ich potrzeba. Tu był pomiędzy nami starzec zacny, ale już osłabiony i wycieńczony, a oprócz niego w naszych stronach słyszałem o jednym tylko dębczaku takim. Gdzieś w okolicach Tułuna mieszkał podobno człowiek wykształcony, który, własnoręcznie uprawiając ziemi kawałek, wiódł żywot czysty, „ani czapką, ani papką, ani chlebem, ani solą“ nie niewoląc swych losów surowych.

Stałem więc tu samotny prawie i bez doświadczenia, bez rady przyjacielskiej, zbyt gorący, zbyt wrażliwy, nie mogłem utrzymać się na stanowisku, na które wykształcenie moje prawo mi dawało. Działo się zwykle tak, że nie zdążę jeszcze zająć obowiązku, gdy już wylatam z miejsca, a rzadko kiedy spokojnie, najczęściej głośno, z hałasem. Prędko też przekonałem się, że z zajęć uprzywilejowanych korzystać nie mogę i zwróciłem się wówczas do najprostszych, w których od pracującego okrom siły fizycznej nie wymaga się niczego więcej, ale i tu nie odrazu punkt oparcia znalazłem.

Otoczony przez całe życie opieką kochających mnie ludzi, lgnąłem do rodziny, myślałem, że gdy rodzinie pracującej, wieśniaczej dam swą pracę uczciwą, ona wzamian da mi serca trochę; człowiek z innym charakterem cel tak skromny osiągnąłby zapewne, dla mnie zaś i to okazało się niedoścignionem. Wie pan, jak jest zdemoralizowane włościaństwo tutejsze, więc opowiadać nie potrzebuję, jak się skończyły moje próby naiwne. Miałem nawet z jednym *kułakiem* [1]) zajście tak przykre, że gdyby nie to, iż *isprawnikiem* [2]) miejscowym był tu wówczas człowiek ludzki i rozumny, zadanoby mi napewno kryminał. Wtedy to obrałem sobie tractwo, płacą mi od sztuki: ani ja od kogokolwiek, ani też nikt ode mnie nie jest zależnym; czy robię powoli, czy prędko, nikogo to nie interesuje, a ponieważ silny jestem i zdrów zawsze, więc i zarobki mogę mieć bardzo dobre. Odetchnąłem też całą piersią, gdym po kilku latach gorączkowego rzucania się to w tę, to w ową stronę, znalazł nareszcie zajęcie, które, dając mi zarobek niezły, pozwalało mi usunąć się od zgnilizny tutejszej.

Zebrawszy więc sobie przedewszystkiem owe sto pięćdziesiąt rubli, o których mówiłem, ponieważ na siebie niewiele tracić potrzebowałem, większą część swych zarobków używałem na ogarnianie i przytulanie tej nędzy nieopisanej, którą tylko w szynku tutejszym spotkać można.

Wieczorami nad sobą pracowałem. Niebaczny na tylokrotne przestrogi, o spokoju wewnętrznym, o równowadze marzyłem! Źli ludzie wszędzie przeważają, myślałem sobie, cóż więc dziwnego, że tu ich tak wielu? Że zaś i współrodacy przedstawiają się dość szaro, objaśniałem

[1]) *Kułak* — włościanin, zajmujący się oprócz rolnictwa handlem, lichwą i t. d., zowie się w Wielkorosji *kułakiem*. W Syberji typ ten zmienił się trochę.

[2]) *Isprawnik* — naczelnik powiatu, mający w Syberji daleko szerszą władzę, niż w Rosji europejskiej.

to sobie rozmaicie i wiary w ludzi nie traciłem. Rozchodząż się u nas wieści o człowieku czystym, mieszkającym około Tułuna; tu był Zdarski nieszczęśliwy, w innej miejscowości znajdzie się drugi, tam znowu trzeci, a iluż jest takich, o których świat nie wie, a ileż serc czystych bije tam daleko? I rznąc tarcice, nie czułem bólu, który sercu memu tępa piła życia sprawiała. A choć w owym czasie umarli oboje rodzice moi, Hania wyszła zamąż wkrótce po ich śmierci, a schedę zagarnęli krewni dalecy, — nie upadałem na duchu, zapominałem o rzeczywistości, zamykałem oczy na rozczarowania i gorycze, uczucie ufności przepełniało mnie, uczucie miłości ku ludziom aż rozsadzało pierś moją i nieraz, gdym stał wysoko na belce, pieśń wiary i nadziei wyrywała się z ust moich, i, jak matka moja w one lata szczęśliwsze, ufałem...

* * *

...Ale w owym czasie nadchodzić tu zaczęły wieści, które uderzeniem obucha biły mnie wprost po głowie; pierwsze uderzenie pamiętam dokładnie.

Było to latem, dzień miał się ku zachodowi, śliczne purpurowe słońce, jak gdyby wstydliwie zarumienione, że przed nocą ustępować musi, widniało jeszcze na widnokręgu. Przed pół rokiem przeszło przeprowadziliśmy w kilku, również wieczorem, tylko mroźnym, zimowym, starego Zdarskiego, o którym właśnie wspominałem, a który niespodzianie wracał do domu, a właściwie do kraju; był on tu bowiem oddawna, dzieci w kraju nie zostawił, więc i domu tam nie miał. Z jakiem to skupieniem głębokiem i uroczystem mówił on o tej ziemi, której tyle lat nie widział! Ileż to przyrzeczeń nam nadawał, jak nam opisywać będzie swe szczęście!

Stojąc więc na swem zwykłem wzniesieniu i patrząc na zachód słońca niepospolicie piękny, przypomniałem

sobie ojca naszego, bo ojcem wszyscyśmy go tu zwali. Ale zaledwie pomyślałem sobie o nim, aż patrzę, co u Pana Boga? Przywidzenie, czy też podobieństwo rażące? W odległości kroków dziesięciu co najwyżej ode mnie stoi Zdarski stary i patrzy na mnie, ale smutny, zmieniony, wynędzniały, zbolały jakiś. Zabobonny nie jestem i w duchy nie wierzę, ale przeżegnałem się i usta moje mimowoli prawie „Jezus Marja“ wymówiły; przyglądam mu się lepiej i robić przestałem, a z oczu jego, widzę, łzy płyną i głosem cichym, zawstydzonym:

— Jak się masz Kostusiu — nieśmiało powiada.

Żywo zeskoczyłem i do niego.

— Cóż się stało, jak, dlaczego? — zasypałem go pytaniami.

— A jak widzisz, wróciłem.

— Jakto? sam? dobrowolnie?

— Ha! no tak... to jest... widzisz... bełkotał stary niewyraźnie i łzy, jak groch, posypały się znowu po twarzy znędzniałej. Widzę, że źle, rzuciłem więc robotę i pociągnąłem go do swej izdebki. Ale tu zdziwienie moje wzrosło jeszcze, bo gdym go usadził nareszcie i zapytałem: „No i cóż ojcze?“ Zdarski milczał z początku, a później wódki zażądał. Uszom własnym nie wierzyłem, gdyż przedtem nie pijał, ale pchnąłem chłopca i gdy przynieśli butelkę, ponieważ sam wówczas również nie pijałem, nie miałem w domu kieliszka i szklankę na stole postawiłem.

Zdarski nalał sobie prawie całą, wypił i zaczerwieniwszy się po uszy, podniósł nareszcie na mnie oczy, wymawiając powoli, dobitnie:

— Wróciłem, bom nie chciał ręki wyciągać, a umrzeć tam z głodu byłoby dla mnie cierpieniem zbyt wielkiem.

— A praca, ojcze, zajęcie jakiekolwiek, — zawołałem, zapominając, że człowiek ten całe życie przeżył z pracy rąk własnych.

— Pracy tam i zajęcia żadnego niema dla mnie!

— Jakto pracy niema? Któż pracy wśród ludzi nie znajdzie? — pytałem naiwnie.

— Ja jej nie znalazłem. Ale słuchaj mnie cierpliwie — ciągnął on dalej. — Znajomi starzy nie poznali mnie, krewni zbyli pośpiesznie. Ha! Bóg z wami, pomyślałem, toż znajdę pracę i bez was! I choć dotknięty do żywego, rozpocząłem poszukiwania. Gdzie ja nie byłem w ciągu tych czterech miesięcy, Boże mój kochany?! Chodziłem, przepytywałem i ogłoszenia podawałem i podług ogłoszeń zgłaszałem się, ale bezskutecznie. Z początku idzie wszędzie jako tako, ale gdy rzecz dojdzie do wyjaśnień, gdy wypadnie powiedzieć o sobie więcej trochę, sytuacja zmienia się odrazu, twarz pracodawcy przeobraża się i przybiera... przybiera... wyraz?... bracie, ja nie wiem, jak ci to nazwać nawet, ale gdybyś zobaczył, jak się każą w mgnieniu oka rysy ludzkie, to rumieniec wstydu wybiłby ci na lice, jak wybijał na moją twarz pomarszczoną; gdybyś to zobaczył, tobyś zapłakał, jak ja zapłakałem; a gdybyś widział tyle razy, ilem ja to widział, tobyś uciekł nazad, aby nie umierać na ziemi, która ludzi z takiemi twarzami nosi na sobie... Rozumiesz mnie teraz? Tam niema pracy dla mnie, nie będzie i dla ciebie. Nie będzie! rozumiesz, nieszczęśliwy? — I zaszlochał, jak dziecko.

Ale ja nie zrozumiałem go, nie mogłem, nie chciałem zrozumieć i schwyciwszy za ramię swą ręką żelazną, obelgę mu w oczy rzuciłem — kłamstwo zadałem. Starzec jednak spokojnie podniósł na mnie oczy załzawione i jeszcze spokojniej wymówił: „Mój synu, toż samo przed pół rokiem zrobiłbym z ojcem rodzonym zmartwychpowstałym, gdyby on odważył się powiedzieć mi to, co ja ci teraz mówię, zresztą — kończył, machnąwszy ręką, w której już trzymał butelkę, — teraz niemasz już dla mnie obelgi na świecie“....

Wtedy to upiłem się po raz pierwszy w życiu.

Zdarski zmarniał prędko, pił prawie bez przerwy i po kilku miesiącach nieprzytomny umarł na moich rękach.

To był pierwszy cios dla mnie, po nim nastąpił drugi, trzeci; to stąd, to zowąd dowiadywałem się, że ludzie zmarniali wracają tu sami. Zdarski więc nie mylił się... Chwiałem się... Upijałem się coraz częściej z kimkolwiek z powracających, ale rozpacz jeszcze nie miała do mnie stałego dostępu. Wątpiłem przelotnie. I Zdarski i drugi i dziesiąty widzieli oddzielnych ludzi, myślałem w duszy, może o serce sercem pytać nie umieli? Więc choć zdala, przykładałem ucho do serca dalekiej ziemi i nie bacząc, że się łudzę uderzeniami własnego, uspokajałem się prędko i jak ufała matka moja w one dnie przed burzą, — i ja, jeszcze ufałem.

* * *

...Teraz inaczej już bywa i gdy nadejdzie chwila zwątpienia i spojrzę wdal i dobiegnę okiem duszy do Wisły i u bram grodu prastarego, w sercu ziemi naszej zobaczę szereg trupów, ludzi z głodu umarłych, wśród dzieci i braci swoich, co przechodzą obok konających z obojętnością występną, ucho moje, przyłożone do serca narodu, już się nie łudzi...

Panie mój! mnie się wydaje, że lud nasz w baśniach i opowieściach swoich nie staje już ze swemi sympatjami człowieczemi po stronie upośledzonych losem, ale skłania się przed złotym cielcem pomyślności doczesnej, oddaje hołd mędrcom bezdusznym...

Mnie się wydaje, że ręce czarne, spracowane, nie znaczą już tam piersi siermięgą okrytych znakiem krzyża w modlitwie za nieszczęśliwych, że każdy modli się tylko za pomyślność swoją...

Mnie się wydaje, że dzieci małe nie płaczą już tam nad niedolą niczyją i jeżeli zapłaczą kiedy, to nad swoją własną tylko...

I gdy patrzę na to dłużej i okiem duszy swojej rozważam duszę narodu, zimno mi się robi, pała głowa, rumieniec wstydu, którym widział na znędzniałej twarzy Zdarskiego, wybija na twarz moją i zjawia się owa myśl zmora, co ścina krew moją, myśl, — że w życiu podłym być potrzeba...

Biegnę wtedy do szynku, ale walka z myślą — potworem — niełatwa i choć zalewam ją wódką, aby stracić przytomność wprzód, zanim rozpacz w swej logice nieubłaganej do wniosków ostatecznych doprowadzić mnie zdoła, zdarza się często, że chociaż leję w siebie palący wnętrzności spirytus, przytomności wczas stracić nie zdołam... Zwracam się wtedy do słońca zachodniego i jak kiedyś urągała Bogu matka moja i ja Mu urągam, jak ona przeklinała i ja przeklinam, — i rozpacz od nocy czarniejsza zaćmiewa w mej duszy ostatnie promienie nadziei...

— — — Przewoźnik umilkł dla złapania tchu, którego mu brakowało i po chwili tak znowu zaczął, ale głosem zmienionym, naderwanym jakimś:

...Ciężko mi mówić o tem; są rzeczy na świecie, które nazywać po imieniu zawsze przykro bywa, które w głowach pewnych ludzi nigdy pomieścić się nie mogą. Tyle razy o tem mówiłem, ale dziwni to ludzie jacyś. Prawda, niewielu było takich, którzyby śmiali się z tego, ale bardziej niż śmiech idjotów przeraża mnie ta ich obojętność, ten ich spokój drewniany.

Zdarski był wyjątkiem. Inni widzą w tem rzecz zwykłą, naturalną. To przerażające, straszne! prawda? Ale, widzi pan, jak tonący chwyta za brzytwę, tak dla oka mego poprzez ową obojętność, poprzez ów spokój drewniany ludzi migoce blady i nikły promyk... promyk... — powtórzył, jakby wstydząc się słowa, które wymówić mu wypadało — promyk nadziei... wyszeptał.

— — — I znowu tchu mu zabrakło.

...Może... może, myślę sobie, oni nie rozumieją

tego... przekręcają sam fakt... może, — i przewoźnik krzyknął prawie: - nieprawda to nawet!

Ale pan powie mi prawdę? Zaklinam cię na Boga! Pan rozumie mnie przecie?

Podobno — ciągnął on szeptem, jak gdyby bojąc się, aby go kto nie usłyszał — wśród tych, co stąd wyjeżdżali, gdy się ich więcej na Pradze zebrało... tyfus, tyfus... głodowy... panował... Czy prawda to?

Czy prawda? — powtórzył ostrzej i choć go nie widziałem, czułem, jak wpił się we mnie oczami i choć łączyło nas tylko martwe drzewo łodzi, czułem, jak wyprężył się cały i ściskał konwulsyjnie ręce.

Czy prawda? — powtórzył jeszcze ciszej i ostrzej i łódź, oparta na wiosłach, widocznie, zbyt głęboko w wodę pogrążonych, zatrzymała się na chwilę w swym pędzie...

— — — I nie miałem odwagi powiedzieć mu prawdy i powaga cierpienia, wobec którego stałem, na utajenie tej prawdy również mi prawa nie dawała.

— Czy prawda? — zapytał on nareszcie z taką siłą, że zadrżałem i mimowoli prawie: „prawda“ wyszeptałem.

I gorzko pożałowałem swej słabości!

Bom nie zdążył jeszcze zamknąć ust otwartych, gdy śmiech ów dziki, który już dziś raz jeden wstrząsnął moje nerwy, doniósł się do mnie zokoła. „Cha, cha, cha, cha!“ zimne i ostre niosło się do mnie ze wszech stron... Z wody, ze stepów, z tajgi dalekiej, zdawało mi się, wstały tysiące szaleńców i wybuchły naraz śmiechem obłąkanym.

I nie umilkły jeszcze echa tego śmiechu przykrego, gdy jęk, który już dziś raz jeden targnął pierś moją, obił się znowu o uszy moje, dłuższy tylko, bardziej bolesny, bardziej głęboki, niż poprzednie i jak śmiech ów z początku, tak i jęk ten teraz, gnany wichrem kołującym, dochodził mnie zewsząd.

I gniotąc mnie swą wielkością, ów jęk przeciągły, zlany ze śmiechem szalonym, dźwięczał mi w uszach bólem

bezbrzeżnym, beznadziejnym. Chwila krótka wydała mi się długą, nieskończoną. Siły opuszczać mnie zaczęły. Już, już, mniemałem, stracę wolę i przygnębiony zaśmieję się i zajęczę razem z przewoźnikiem, gdy naraz krzyk nieludzki zagłuszył i wycie wichru i echa jęków niedawnych, zwiastując mi tę noc czarną, co ostatnie promienie nadziei przed nieszczęśliwym zakrywała.

Oczy moje otwarły się szeroko.

Z rękami, wyciągniętemi ku niebu zachodniemu, głosem rozdzierającym duszę, przewoźnik wołał rozpaczliwie:

— Oddajcie mi, zbrodniarze, matkę moją, co dla was dziecię swe jedyne żywcem w mogile złożyła!...

* * *

— — — Płynęliśmy w milczeniu i płynęliśmy już niedługo, kilka minut przeszło zaledwie, gdy przewoźnik raptownie zakręcił ku brzegowi. Jeszcze chwila tylko i łódź rozpędzona wernęła się głęboko w żwir nadbrzeżny. Chociaż jednak stała, nie kołysząc się wcale, — gdym podniósł się, nogi chwiały się pode mną.

Zbliżyłem się do przewoźnika, stojącego na drugim końcu łodzi i objąłem go za szyję, przyciągając ku sobie.

Stał on z początku nieruchomy, skamieniały jakiś: pociągnąłem go silniej i drgnął człowiek cierpiący; ręce potężne opasały mnie wokół jak pierścieniem; głowa skłoniła się na pierś moją; usłyszałem głośne bicie serca jego, uczułem oddech gorący; a gdym schylił się, aby go pocałować, zobaczyłem łzy, płynące z oczu jego.

Trwało to jednak chwilę krótką; przewoźnik, wstydząc się może swego rozrzewnienia, przerwał je gwałtownie: goręcej przycisnąwszy mnie do siebie, podniósł w górę, jak dziecko i postawiwszy na ziemi, chwycił za wiosła.

Jedno, dwa uderzenia... i łódź znikła mi z oczu.

Charków
w grudniu r. 1886.

HANUSIA.

HANUSIA.

„Miejcież się na pieczy: jeśliby twój brat zgrzeszył przeciw tobie, strofuj go, a jeśliby się upamiętał, odpuść mu“
Ś. Łukasz XVII. 3.

„A jeśliby siedemkroć na dzień zgrzeszył przeciw tobie i siedemkroć na dzień nawrócił się k tobie, mówiąc: żal ci mi: odpuść mu“. *Tamże XVII. 3.*

„I mówił (drugi złoczyńca) do Jezusa Panie, pomnij mię, gdy przyjdziesz do królestwa Twego. A Jezus mu rzekł: Zaprawdę mówię tobie: dziś ze mną będziesz w raju“. *Tamże. XXIII. 42, 43.*

I.

Poznałem ją... o czytelniczki, nie rumieńcie się za mnie! poznałem ją... przy myciu podłogi, a sprawcą tej znajomości był p. Jacenty Siekierka.

P. Jacenty Siekierka, człek poważny i nigdy nie rzucający na wiatr słów swoich, w czasie ostatniej swej bytności u mnie, wcale niedwuznacznie dał mi do zrozumienia, że jeżeli i odwiedził mnie kilka razy, jakkolwiek ja dotąd jeszcze u niego nie byłem, uczynił to, powodowany wyłącznie koleżeńskiemi względami, że, czyniąc tak, odstąpił od prawidła, którem w Syberji zwykł był rządzić się nieodmiennie, czego dowodem najlepszym, że chociaż i tacy, wpływowi tu rodacy nasi, jak reprezentant bogatej

firmy p. X., albo kupiec zamożny p. Z., radziby go widzieć u siebie, ponieważ jednak zadzierają nosa nie w miarę, nie umieją uszanować jego godności po ludzku, więc „na psa mi taka znajomość“!

— Nie nato pracuję uczciwie, — ciągnął p. Jacenty nie bez irytacji, — żebym miał kpom takim nadskakiwać! Prawda, że byłem tylko gajowym, ale dziś nie jestem gorszy od nich, a i nietacy, jak oni, ludzie uszanować mnie umieli, kiedy jeszcze i surdutowym nie byłem! — i p. Jacenty, już się mający ku wyjściu, ponownie przysiadł na krzesełku i zaczął:

...Pamiętam, w kwietniu to było. Szliśmy przez duże lasy, pomiędzy Bugiem i Narwią leżące; szliśmy śpiesznie, bo na czas stanąć trza było. Tylko idziemy dzień, idziemy i noc także, aż tu przed świtem, gdyśmy przez poletko jakoweś przechodzili, przylata konny i oddaje naszemu pakiet jakiś, rozkaz pewno być musi; przeczytał, zafrasował się srodze i: — źle bracia — powiada — posyłają mnie gdzie indziej i dalej już wy sami iść musicie, tylko bieda w tem właśnie najgorsza, że nikt drogi nie zna, a przewodnika brać nie wolno, żeby śladu nie pokazać nikomu, a iść chyłkiem lasami, wedle mapy, którą zostawiam — i papierzysko ogromne, akurat takie jak u naszego nadleśnego w kancelarji na ścianie zawdy wisiało, jednemu z naszych oddaje.

— Ja na was będę czekał na miejscu, — powiada jeszcze, — a tymczasem na drogę wybierzcie sobie kogo innego — powiada.

A to powiadam panu, jak tylko on rzekł te słowa, to i tchnąć jeszcze nikt pewno nie zdążył, jak: „Grynberg, Grynberg!“ wrzasła cała kompanja nasza.

Ehe! a widzi pan? A kto, myśli pan, był Grynberg? Pan wielki? Albo znaczna figura jaka? Akurat!

Grynberg był żyd, proszę pana. Ot co?! Ale o to wtedy nikt nie pytał.

Sprawiliśmy się żwawo i marsz w drogę. Idziemy znowu dzień cały, idziemy i nocy kawał, ale widzimy jakoś, że nic chyba z tego chodzenia nie będzie: lasy wielkie; drogami iść nie można; a naprzełaj nie to, żeby żyd, ale i leśnik dobry nie zawsze w takich puszczach potrafi. Więc kiedy znowu o północku prawie zatrzymaliśmy się i dla odpoczynku i dla posiłku trochę, rada w radę, idziemy do Grynberga i powiadamy, że ot, tak i tak, bez obrazy twojej, widno, trza by kogo innego, bo nie daj Boże, chyba na czas nie staniemy.

Żydzisko człek pewny i z kościami poczciwy i w całej naszej kompanji to nikogo tak nie lubiliśmy, jak jego, ale w mieście, a w pokoju, rzecz insza, a w lesie też insza. Tam on nie zaśpi gruszek w popiele, a tu jest, nie przymierzając jak tabaka w rogu; to w błota nas wsadzi, to w gąszcz albo w pniewia i chróściny wlezie, że i wyleźć z nich trudno i choć do mapy zagląda, medytuje nad nią, idziemy kiepsko jakoś, bo z mapy jak z mapy: co on się dowie, tędy bliżej — a dalej, a w lesie jak w lesie: owędy dalej — a bliżej.

Więc kiedym mu to wszystko przełożyli, jako chłopak był akuratny, a o jenteres dbający: „dobrze — powiada — Bóg zapłać — nawet — za dobrą radę — mówi — ale kogoż — powiada — wybierzemy?“

To jak wprzódy: „Grynberg, Grynberg!“ tak teraz, kiedy on to wyrzekł: „Siekierka, Siekierka niech prowadzi!“ krzykli chłopaki. Ajuści; a kto Siekierka? nie pytali.

Porządek wraz sprawiłem; ztyłu postawiłem kilku ludzi co pewniejszych i kto się ostanie, w łeb palcie, powiadam, bo licho go wie, gdzie się taki dostać może, a jak ci bizunami ognia krzesać na panewce zaczną, to drugi człowiek, choćby i rad, języka w gębie nie utrzyma...

I myśli pan może, że się nie słuchali?

Choć i z panów i z ludzi uczonych, znalazłby się nie jeden, ale żaden słowa nie pisnął! Słowa?! Bogać

ci słowa, kiedy jeżeli który niektóry, idący zasypiał, to kiwał się, jak ten żyd na modlitwie, a wciąż szedł, nie ostawał się przecie... Pary nikt z ust nie wypuścił!...

Bo też i bez przechwałek wcale, gdzie, gdzie, ale w lesie nie popuszczę z wątorów; czy góra, czy wądół, czy oparzelisko, wiem zdala — tylo uszy nastawię, nosem powiodę, bo las zwyczajnemu, jak księga mędrcowi, sam ci wszystko powie: tu ci sowa spłoszona zastęka, tam kania zapłacze, drozd zaskrzypi, albo żołna zaskrzeczy, a tam jeszcze mądry kos gwizdnie, głupi cietrzew grać zacznie — to już wiem gdzie jestem, gdzie rzeka, gdzie błota, co przede mną i co koło mnie; a ciemność zanadto nasiądzie i zaśnie stworzenie wszelakie, toć mchy, toć liszaje, toć ziemia święta też ci swoje powiedzą.

No i dla ludzi też przecie nie byłem żeby bez wyrozumienia: jak widzę, że zdrzemnie się kilku, dam im parę zdrowaśków na one kiwanie, boć i koń i ten wytchnąć musi, dam tedy, a jakże, a później, jak nie krzyknę: „stój wiara!“ to każdy śpiący — chlap na ziemię! i sen mu — jak ręka z oczu. Też i śmiechu w tej biedzie było niemało!

No, ale zato choć przez forsę taką wczas przyszliśmy na miejsce, a później wiadomo, naradować się nie mogli; niebyle jacy na rękach mnie nosili i podziękowanie nadeszło i w gazecie wydrukowane stało: „Podoficer Jacenty Siekierka“... A teraz — pamięć krótka, żaden psi syn nie pamięta jak chłopa albo i żyda słuchał!...

— — — l p. Jacenty, aż blady ze wzruszenia, ruszył z krzesełka tak zamaszyście, że nie zatrzymywałem go już wcale.

* * *

P. Jacenty Siekierka, ex-gajowy, ale człek piśmienny, należał do niezmiernie ciekawych ludzi. Przypuszczam, że kiedyś z ludzi takich charakterów powstawały owe rody

szlacheckie, z chłopów wychodzące, owi scartabelle starzy. Twardy, nieugięty, z niezwykłą energją idący do jasno i ściśle określonych celów, był on niezmiernie dbałym o swój honor osobisty i sztandar swej godności ludzkiej ochraniał z iście macierzyńską troskliwością. Nie powiem, żeby on był ambitny; owszem, p. Jacenty, chociaż obecnie czapnik i kuśnierz wcale zamożny, chętnie wchodził w stosunki z braćmi daleko niżej odeń stojącymi, nie lubił jednak pospolitowania się, a raczej raził go tam brak owych pojęć o swem człowieczeństwie, które stanowiły przykazanie jego życia, które w stosunkach z ludźmi kierowały każdym jego krokiem.

Nie sądźcie jednak, że ambicja owa w p. Jacentym była jakąś płochą słabostką. Za czapkę, która kosztowała trzy ruble, płacił bez różnicy trzy ruble i wróg najgorszy i przyjaciel najlepszy, bez najmniejszego względu na to, że i na jednym i na drugim p. Jacenty święcie grosz na groszu zarabiał. Nie była owa ambicja i przywiązaniem do czczej formalistyki, obrzędowości towarzyskiej; przeciwnie, p. Jacentemu nie o formę, ale o istotę rzeczy chodziło.

Odwiedzając kogoś z inteligentniejszych kolegów, nie żądał on odeń jakichś szczególnych względów, przyjaźni i poufałości; broń Boże! Chodziło mu o to, żeby człowiek taki uznał go formalnie przed światem za człowieka zasługującego na szacunek i szacunek taki w sposób zwykle przyjęty zawsze i wszędzie mu okazał, a więc: podał rękę tak, jak ją równym sobie podaje, na ukłon odpowiedział ukłonem i choć raz w rok ex re jakiej uroczystości lub święta powszechnego odwiedził. Do odwiedzin takich przywiązywał p. Jacenty wagę największą i jeżeli teraz palnął mi mówkę, którą podałem, to właśnie wskutek zaprosin na jakiś wieczorek koleżeński, z powodu jego imienin czy urodzin mający się odbyć u niego w nadchodzącą sobotę. Przyjęcie takich zaprosin było dlań najwyższym zaszczytem, jakim go mógł surdutowiec obdarzyć.

Jeżeli bowiem p. Jacenty i nie piął się wysoko, dążył on zato wszystkiemi siłami swojemi do dostojnego utrzymania się na stanowisku już zdobytem, za punkt oparcia obierając owo podoficerstwo swoje, podoficerstwo, które było dlań kultem prawdziwym.

P. Jacenty, jak to już zauważyłem, był człowiekiem piśmiennym, z rzadko jednak nachodzących nań chwil wywnętrzania się dowiedziałem się, że i piśmienność ta była nabytkiem późniejszym, bezpośredniem następstwem owego podoficerstwa.

— Jak nadeszło podziękowanie, — opowiadał p. Jacenty — no to przeczytali mi je w szeregu — i kwita! Bo niby nic w tem takowego i niema — służba — nie drużba: zasłużysz to cię pochwalą, a przeskrobiesz, też do aptyki po rozum nie poślą. Ale jak mi powiedzieli, że jest opisane w gazetach, jako, panie tego, podoficer, panie, Jacenty Siekierka — i stoi, panie, wydrukowane wyraźnie: Jacenty Siekierka, aa! to już widzę, wcale inszy moderunek, to już przecie na wieki wieczyste. Wtedy już ja do piśmiennych: a moi drodzy, a złoci, a ucieszcież mnie aby, niechże ja sam przeczytam, pokazujcież mnie na książce! To przyjdziemy bywało czy na nocleg, czy tak wytchnąć staniemy, ci spać, tak że i pokazować niema komu, a ja do książki. No i napociłem się też, co prawda, aż mi w oczach nieraz pociemniało i w uszach zahuczało, aliści po trzech tygodniach wyjąłem gazetę z zanadrza, com ją był ze świętym szkaplerzem razem zawinął i jak jest, sam jeden, od samego początku aż do samego końca, bez niczyjego pomagania przeczytałem. A to nie uwierzy pan, oddech mi w piersiach zaparło... O Jezusie, a toż i w niebie takiego chudego pachołka nie wynagrodziliby lepiej!... Bo co byłem, proszę pana? Gajowy — skaczy wraże, jak pan każe! A tu chudy pachołek z pany zrównany... nad pany wyniesiony!... Jak bóbr się spłakałem, a biłem

się w piersi, bom niegodzien, Boże, chwały takiej — i p. Jacenty, kornie nachylając głowę, uderzał się w pierś prawicą, na tem urywając swe opowiadanie.

Rzecz jasna, że wobec takiego stanu rzeczy p. Jacenty, będąc surowym sędzią własnych postępków, zawsze trzeźwy, zawsze panujący nad sobą, zbyt wyrozumiałym na słabostki ludzkie nie bywał. Naturalnie, był on z życiem syberyjskiem zanadto dobrze obeznany, aby niewyrozumiałość swoją miał posuwać zbyt daleko: okazywać ją światu. P. Jacenty utrzymywał wcale bliskie stosunki z ludźmi i pijącymi i wykraczającymi przeciwko różnym przykazaniom i Boskim i ludzkim, ale w głębi duszy ludźmi takimi pogardzał.

* * *

Jeżeli kto z was, szanowni czytelnicy, wychowywał się w mieście, w którem oprócz szkoły znajdowało się i więzienie, ten prawdopodobnie pamięta choć jedną taką chwilę z lat dziecięcych, gdy wezwany ogólnym krzykiem dziatwy, bawiącej się na podwórzu: „kajdaniarze, kajdaniarze idą!“ porzucał zabawę i nasłuchawszy chwilkę, aby się przekonać czy go nie zwodzą, gdy złowił ostrym słuchem dziecięcym zimne dźwięki ogniw żelaznych, pośpiesznie wybiegał za bramę popatrzeć na rzadkie widowisko.

Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek z małych ludzi samowolnie naigrawał się nad niedolą człowieczą; owszem, do dziś żywo tkwią w mej pamięci gwałtowne przeobrażenia twarzy dziecięcych, do dziś widzę, jak wesoło błyszczące w śmiejących się oczach źrenice rozszerzały się gwałtownie. przygotowane do wesołego okrzyku usta zastygały rozwarte, z piersi, mających zadzwonić srebrnym śmiechem młodego wesela, wyrywały się głębokie westchnienia i ruchliwe twarze, jak gdyby obumie-

rając odrazu, odbijały jak zwierciadła ową gwałtowną zmianę uczuć w niezakrzepłych jeszcze sercach zachodzącą.

Z małych twarzy, świecących szczerą radością, biła złowieszczą łuną człowiecza niedola: rozlewał się strach bezwiedny, wychylało zawsze trwożliwe współczucie.

Nie przypominam sobie jednak, żeby choć raz ktokolwiek ze starszych, znajdujących się obok na ulicy, nie wyrwał się jeżeli i nie z naigrawaniem wyraźnem lub złorzeczeniem dosadnem, to przynajmniej ze słowem odrazy i wstrętu, nie wyraził choćby gestem, choć mimiką, że ci ludzie wynędzniali, z opuszczonemi oczami, z trudnością przesuwający nogi, obciążone żelazem, że ci ludzie są czemś, co zasługuje wyłącznie na nienawiść i pogardę naszą, że dość jest ujrzeć szarą kurtkę, znękane oblicze, spuszczone ku ziemi oczy, a ręce i nogi zakute w kajdany, aby uczuć nienawiść do nieznanego sobie człowieka, choćby to była matka, kradnąca chleb dla zgłodniałego dziecka, choćby to była dziewczyna, zabijająca uwodziciela.

My nie chcemy wiedzieć, kto są ci ludzie sami w sobie, czem oni są poza kurtką i kajdanami, jakie serca tam biją, jaki rozum tam kiełkuje, jaka noc straszna, noc najstraszniejsza, bo noc ciemnoty tam wszechwładnie panuje.

My zamykamy oczy na to wszystko i z wiarą, z jaką może najświętszych swych praw i obowiązków nie uznajemy, powiadamy sobie: ludzie w szarych kurtkach z wynędzniałemi twarzami i opuszczonemi oczami zbrodniarzami są — są zaś zbrodniarzami dlatego, że mają szare kurtki, wynędzniałe oblicza i kajdany na nogach.

Być może, że przyczyny takiego stanu rzeczy mają swoją głęboką, nieuniknioną rację bytu; być może, że bez tak surowego odgraniczania się od tego, co złe, poziom naszej powszedniej moralności stałby niżej; być może wreszcie, że stan taki dobrze świadczy o normalnym rozwoju naszych instytucyj i pojęć prawnych, o ufności, z którą społeczeństwa

zachodnie w ręce tych instytucyj losy swe złożyły, wszystko to być może, jednakże... zajrzyjcie w oczy dzieciom małym, patrzącym na owych kajdaniarzy i jeżeli choć trochę w duszy ludzkiej czytać umiecie, nie odważycie się zadać gwałtu czystym popędom dziecięcym.

„O, rozumie ludzki, chwało człowiecza, jakże marnym jeszcze jesteś, gdy tak rozumujesz!" powiedzą wam owe oczy czyste i jasne, powiedzą jednak napróżno!

Bez względu bowiem na wiekowy protest serc dziecięcych tak rozumujemy my wszyscy, tak rozumują w Niemczech, Francji i Włoszech, tak rozumuje Zachód cały, tak tedy, jako nieodrodny syn Zachodu rozumował i p. Jacenty i z naciskiem szczególnym przy każdej nadarzonej okazji, rozumowanie to swoje wyraźnie podznaczał.

* * *

Wątpię czy p. Jacenty zrobiłby mi to ustępstwo, o którem już mówiłem, t. j. czy odwiedziłby mnie kilkakrotnie, nie czekając na moje odwiedziny, gdyby nie wypadek, który ułatwił nam wzajemne zbliżenie. Na drugi bowiem czy na trzeci dzień po zaznajomieniu się z nim zachorowałem i oto dzięki mej chorobie p. Jacenty, nie ubliżając swej godności, mógł mi okazać swe łaskawe względy, odwiedzając mnie jako chorego po kilka razy na tydzień.

Jeżeli jednak z jednej strony odwiedziny owe bez wątpienia były dla mnie wymownym dowodem tych względów, na które niespodzianie u p. Jacentego zasłużyłem, dowodziły one również i szczególniej wytrwałości mego nowego przyjaciela. Jakkolwiek bowiem zwykł on mawiać, że „na ludziach surdutowych naparzył sobie rąk więcej, niż o pokrzywę, kiedy mu ją bywało matula dla świń rwać kazali", jednakże, jak to bardzo łatwo zauważyć się dało, bez względu na to wszystko, ku ludziom

tym, parzącym go tak dotkliwie, czuł on predylekcję szczególną. Chociaż więc bolało go to niezmiernie, że bez względu na jego skromne żądania, surdutowcy ci nie zawsze delikatnie dawali mu uczuwać różnicę pomiędzy nim i nimi zachodzącą, p. Jacenty, jużto ze względów, o których nadmieniłem, jużto z innych ważniejszych dlań pobudek, które dopiero później zrozumieć mogłem, rad był zawsze towarzystwu surdutowca.

Rzecz bowiem w tem, że p. Jacenty uważał się za szlachcica.

Pomimo całej anomalji, którą dziś przesądy stanowe przedstawiają, faktem jest nie ulegającym wątpliwości, że i dzisiaj jeszcze anomalje owe pośród nas istnieją, a doniedawna nawet nadawały ton naszemu życiu. Czasy najnowsze, dzięki okolicznościom rozmaitym, nobilitowały u nas po domowemu mnóstwo ludzi, jeżeli jednak mnodzy z pomiędzy takich nobilisów, przysparzając sobie honorów, nie przynosili wiele zaszczytów ani stanowi, do którego samozwańczo wchodzili, ani całemu społeczeństwu, samozwaństwo p. Jacentego opierało się na tak gorącej wierze, że nie miałem nigdy odwagi mówić z nim o tem jako o przesądzie.

P. Jacenty nietylko uważał się za szlachcica, ale głęboko w to wierzył, że jest teraz prawdziwym szlachcicem. Nic, zdaje się, na świecie nie sprawiało mu takiej rozkoszy, jak dojście z surdutowcem do zażyłości, która dawałaby mu możność w czasie rozmowy, bez wywołania ironicznego uśmiechu — zaczynać rzecz w taki sposób: „Dawno to już temu, kiedy to jeszcze chłopem byłem“... — Możność wypowiedzenia tego frazesu czyniła go szczęśliwym. Otóż tu kryło się źródło jego trosk ciągłych o utrzymanie stosunków z surdutowcami, tu tkwiła przyczyna, sprawiająca, że zawody, które go na tem polu spotykały, dotykały go tak boleśnie.

Nie mając możności urzędowego, że tak powiem, do-

chodzenia swego urojonego szlachectwa, p. Jacenty uznania swych praw wytrwale poszukiwał na drodze prywatnej, kapryśny jednak zawsze „głos ludu“ — ludu, zajętego tu zupełnie innemi sprawami — i na tej nawet drodze uznania swego również wytrwale mu odmawiał. W obec podobnego stanu rzeczy postanowiłem niedoszłemu szlachcicowi zrobić małą niespodziankę i, nie czekając soboty, odwiedzić go któregokolwiek dnia w tygodniu.

* * *

Zgóry rozkoszując się zadowoloną, radośnie śmiejącą się twarzą p. Jacentego, dotknąłem drzwi jego mieszkania. Drzwi okazały się zamknięte. Zastukałem tedy raz i drugi, a gdy i to pozostało bez skutku, uderzyłem silniej i szarpnąwszy mocniej klamkę, otworzyłem drzwi tak raptownie i niespodzianie, że z trudnością utrzymałem się na nogach.

Niespodzianka ta jednak była tylko nic nieobiecującym wstępem do drugiej, w obec której zachowanie równowagi było już rzeczą nierównie trudniejszą.

Tuż przede mną, nie dalej bowiem niż o krok jeden, w krótkiej, podniesionej spódniczce i koszuli rozpiętej, opadającej z ramion, stała dziewczyna czy kobieta, z wielkim szaflikiem, wypełnionym po brzegi brudną wodą, szaflikiem, którym zaskoczona znienacka nieznajoma, mimowoli, jak chusteczką, starała się zakryć choć trochę.

Obraz, zjawiający się przede mną, był tak piękny, tak niepochwytnie oryginalny, że, co się zowie, zapomniałem języka w gębie.

Niewiasta, stojąca w sieni, miała już zapewne lat ze trzydzieści, twarz jej niezbyt już młoda, nie była teraz bardzo piękną, ale bez wątpienia była nią kiedyś, a wyraz, który ją krasił, nadawał jej i dziś powab niezwykły, błyszczące zaś oko, świecące życiem młodzieńczem, spra-

wiało, że twarz ta dobrze jeszcze harmonizowała z dziewiczemi kształtami nieznajomej.

Dziwne te kształty, wysuwając się najniedyskretniej zewsząd z pod skąpej odzieży, przemówiły do mnie językiem, którym tylko piękno natury mówić umie.

Z czystością i harmonją linij, prawdziwie posągową, łączyły one elastyczność splotów żmii, a życie, siła i ciepło, któremi tchnęły, które pulsowały w każdej żyłce, drgały w każdym muskule, ześrodkowane na dziewiczem łonie w dwa ogniska powabów i ponęt niewieścich, nie obraziłyby niczyjego oka.

Wyznaję ze skruchą, nie obrażały one wcale i mego, gdy, bez względu na manewry ciężkiego szaflika zdradziecko z poza marnego ukrycia swego raz po raz ku ku mnie wyzierały.

Klasyczne kształty w ubiorze mniej niż klasycznym, w pozie, której i wyobraźnia nie wymyśli, złożyły się na całość pełną wdzięku i oryginalności. Nie wysoka i nie niska, giętka jak trzcina, pełna jak pączek, nowem życiem tryskający, rumieńcem kłopotliwego zasromania oblana, z niemą prośbą na ustach, dla której widocznie słów znaleźć nie mogła, piękna nieznajoma podobną była do zaczarowanego obrazu, który występując z ciemnego tła sieni, w promieniach słońca jasnego tem powabniej wyglądał.

To też wpatrzyłem się w piękne zjawisko i patrzyłem nań długo, dłużej, niżby patrzeć należało.

Bo dziwną jest matka natura: i rozrzutna i skąpa zarazem i darzy obficie, ale też, jak i ów skąpiec, żałujący grosza z rąk wypuszczonego — i odbiera swe dary jeszcze prędzej a rzadko, bardzo rzadko, udziela swych skarbów na długo.

Z głębi ciemnej sieni właśnie ukazał się mi taki rzadki kaprys natury. Na pięknem, jak z kamienia wykutem, łonie nieznajomej gorzały w całej swej krasie niepochwytnej barwy, drżące życiem, skrzyły się, jak rosa na kwieciu,

cudnej młodości zorze. Wieńcem tym zdobna — nawet brzydota pięknieje, a cóż dopiero kształty, których linje jak gdyby wczoraj wyszły z pod dłóta rzeźbiarza?

Zapomniałem o świecie Bożym i podziwiałem dzieło mistrzyni, co tak misternie „oboje, dziewki i matrony wdzięki, na jednem licu zespoliła cudnie".

Podziwiałem widocznie za długo, bo piękna nieznajoma w oczach jakoś mienić się zaczęła: na twarzy jej wybiło się cierpienie, ale cierpienie tak wielkie i gwałtowne, że wprzód nim usłyszałem z trudnością wyszeptane przezeń słowa: „A kiedyż pan pójdzie wreszcie?"... poczułem, że rumieniec wstydu twarz mi zalewa i zrozumiałem, żem stał tu za długo. Opamiętawszy się odrazu, zawstydzony, bąkając niewyraźne słowa przeproszenia, cofnąłem się za drzwi, ale musiałem wszystko to wykonać arcykomicznie, bo zaledwiem cofać się zaczął, nieznajoma, pomimo swego zakłopotania, nie mogła się wstrzymać od uśmiechu.

Wstydziłem się zato teraz podwójnie. Byłem zły na siebie, na nią, na p. Jacentego wreszcie. Mógł był przecie, opowiadając mi o swych przygodach w puszczach Nadbużańskich, napomknąć choćby słówkiem, że zbierał laury i na innych polach, że ma niewiastę w domu! Byłbym wtedy nie dobijał się tak hałaśliwie i nie zgłupiał, ujrzawszy zamiast wąsatej twarzy p. Jacentego tyle wdzięków odrazu. Ale stało się; uśmiech nieznajomej dowodził zresztą, że złe nie jest tak wielkiem, należało teraz w jakikolwiek sposób zakończyć owo nieme spotkanie, dowiedzieć się wreszcie, kto ona. Gdym więc przyszedł do siebie, zacząłem ponownie, a raczej wszcząłem nareszcie rozmowę.

— Czy... czy?...

Ale w tem sęk właśnie, że na tem urwało się moje pytanie. Nie wiedziałem jak ją mam nazwać, a wobec drażliwości wielu z pomiędzy braci, szczególniej noszących się z waszecia, była to, jak na pierwszą znajomość, sprawa dość ważna.

— Czy... czy?!... Czy pan jąkała? — głośnym już teraz dźwięcząc śmiechem, zawołała nieznajoma i w wąskiej szparze ukazała się para oczu, jakkolwiek trochę za małych, ale śmiejących się tak szczerze i serdecznie, że i ja mimowoli śmiać się zacząłem.

— Nie jąkała, ale nie wiem przecie, z kim mówię, więc i nazwać nie umiem, ale pewno p. Jacentowa - dodałem — kłaniając się już troszeczkę wysuniętej głowie.

Głowa znikła i po chwili ukazała się wprawdzie, ale tak już starannie aż pod samą szyję chustką owinięta, że — kto bez grzechu, niech rzuci na mnie kamieniem, — nie bez pewnego żalu spojrzałem na owo okrycie. Głowa tymczasem, choć oczy jej śmiały się jeszcze, mówiła poważnie:

— Tak, ja jestem pani Jacentowa. Pani Jacentowa — powtórzyła ostatnie słowa, wymawiając je ze szczególnym naciskiem. — Ale skąd pan wie o tem? — zaczęła znowu — czy Jacenty mówił panu? I w oczach jej zaświeciła radość tak wielka, że nie zauważyć jej nie mogłem.

Jakkolwiek, jak to już nadmieniłem, p. Jacenty w czasie swych kilkakrotnych odwiedzin nie wzmiankował ani jednem słówkiem o swej towarzyszce, niewiele namyślając się nad odpowiedzią, zresztą nie widząc w tem nic zdrożnego: „Tak, naturalnie" — odpowiedziałem.

Radość, błyszcząca w oczach p. Jacentowej, rozlała się po całej jej twarzy, a chustka pod szyją jeszcze szczelniej zaciśniętą została. A i spoważniała raptownie. Śmiech pusty odleciał ją jakoś odrazu i objaśniwszy mi krótko to, com już i sam wiedział, że z powodu mycia podłóg p. Jacenty wyszedł z domu i nieprędko zapewne powróci, pożegnała się ze mną najetykietalniej, zapraszając i od siebie na wspomniany wieczorek.

II.

Od zaznajomienia się mego z p. Jacentym i jego towarzyszką upłynęło już czasu niemało. Poznałem ich oboje dość dobrze, a jednak ich stosunek wzajemny wciąż jeszcze pozostawał dla mnie zagadką. Wiedziałem jedno tylko, że p. Jacenty traktował Hanusię nie żeby źle, ale surowo jakoś i bardzo nie lubił, gdy go w tym względzie choć jednem słówkiem, choćby zdaleka zaczepiano. Było rzeczą widoczną, że jest pomiędzy nimi coś, co pomimo dwunastoletniego pożycia jest kamieniem obrazy, tamującym wzajemne zbliżenie. P. Jacenty był zawsze względem niej lakoniczny, surowy; Hanusia, dość rezolutna bez niego, przy nim stawała się nieśmiałą, jak gdyby winną czegoś.

Nie pamiętam już dziś kiedy, dość, że korzystając z dobrego humoru p. Jacentego i kiku przygodnych myśli, wypowiedzianych przezeń o kobiecie wogóle, a wypowiedzianych z głębokiem przeświadczeniem o swej męskiej nieomylności i wyższości, zagabnąłem go pół żartem, pół serjo o Hanusię.

P. Jacenty gwałtownie ściągnął brwi, a podniesiona przed chwilą głowa zwisła mu teraz bezwładnie na piersi, ożywiona twarz stała się tak chmurną, usta ścisnęły się tak szczelnie, że w pierwszej chwili pomyślałem, iż uznając pytanie me za bardzo niestosowne, obraził się na mnie

lub wziął mi za złe moją niewczesną ciekawość. Tak jednak nie było.

P. Jacenty otoczył się dymem tak gęstym, że twarz jego znikła mi na chwilę z oczu, powtórzył operację tę najstaranniej kilka razy i gdy po ostatniem pociągnięciu resztki waty i i kier wpadły mu w usta, wypluwając je i śmiejąc się nibyto, bo nie zwykłym, szczerym śmiechem, ale wymuszonym, jakby udanym dla zamaskowania swego niepokoju, wyrecytował mi tchem jednym:

...A to trafił pan! W samo sedno! w samo sedno! w samo sedno! Bo... bo... ee! co tu w bawełnę obwijać, nie jest to grobelka wedle mego stawu. Ooo, nie jest!

A że też ludzie o wszystkiem prawdę mówią? Niech ich gęsi zakopią! Ooo, prawda, święta prawda! Bo czy nie prawda, proszę pana, gdzie djabeł nie może, tam babę pośle? Prawda, oho! i jaka jeszcze prawda! Nie wierzyłem, dopókim się sam nie sparzył.

Ale teraz? Adju — Kasiu!

Wiem, czem pachną babskie figielki! wiem, jak mi Bóg miły, wiem! I czy pan myśli, że nie skończę tego? Pod kpem powiadam, skończę. Chociaż żal mi jej szczerze, bo dziewka — to, eech! dziewka — setna panie!

Teraz to już po niej tego nie widać, boć przecie, co tu gadać — i lata już nie potemu. Toż my już ze sobą ze dwanaście lat chyba żyjemy, a i wtedy, gdym ją poznał, nie pierwszej była młodości, a i czego już przytem ona nie zażyła? Nasze tarapaty, wiadomo, niemałe były i chłop nie jeden im nie sprostał, ale żebym tak panu choćby odrobinę z tego opowiedział, co ona mi nieraz o sobie powiadała, włosyby ci na głowie powstały, jak i mnie wstawały, kiedym jej słuchał!

Takich przewrotności i chłopby nie zmógł nie byle jaki, ale dobry, nie żeby baba, słabizna wiadomo — krucha z przyrodzenia! A zmogła — ot — jaka ona! Ale ba! czy taka tylko?

I na obrazku by nie namalował, jaka ona była, kiedy oto przyszła trochę do siebie...

— — — I p. Jacenty, jakby dla zebrania myśli, zatrzymał się trochę, a ja nie bez pewnego zakłopotania patrzyłem mu w oczy, gdyż bądź co bądź, jakkolwiek niezbyt dokładne, zawszeć jednak pewne pojęcie o owym obrazku już miałem.

P. Jacenty jednak nie zwracał na mnie uwagi, ale zrywając się po chwili z krzesełka i stojąc przede mną: — „Ot co, — zawołał głosem drżącym — nie gadałem o tem z ludźmi, bo niby, tak i siak i gadać o tem jakoś niegalancie i żałość ona, gdy ją rozgrzebujesz po próżnicy, jakościć świeżeje ci w sercu — medytowałem zawdy sam jeden. Ale kiedy na to już poszło, że się gadkę zaczęło, niech już idzie wszystko. Sądząc mnie ludzie, nie wiedzący, niechże usłyszę, co mi pan powie, kiedy rozpowiem, co i jak było, rozpowiem — jak na świętej spowiedzi".

* * *

...Byłem jeszcze wtedy chłopakiem dworskim, — zaczął wkrótce, ale już daleko spokojniej p. Jacenty — bo miałem, pewno, nie więcej, nad lat osiemnaście, kiedy po wyjeździe państwa zagranicę, latem, we święto jakoweś, po obiedzie, przyszedł do nas na kuchnię ludzką stary kamerdyner, co już bez lata swoje nie jeździł z państwem, ino ostawał się przy dworze dla pilnowania porządku w pokojach. P. Pietr, bo tak go nazywali, jak to zwykle stary, do pogawędki zawsze był skory; a że świata widział niemało, miał tedy zawdy do powiedzenia niejedno. Słuchamy bywało, gęby porozdziawiwszy, takie dziwy powiada. Gadał i w oną niedzielę stary, gadał, gadał, ale, jakby sobie co przypomniał, pyta raptownie:

— A widzieliśta, durnie, jak panowie mieszkają? To już znaczy, że chce nam pokoje pokazać. A taki

stary był, że drugi raz i kilka lat przejdzie i kto nie z pałacowych ludzi, do pokojów nie wpuści. Choć przyjadą nieraz umyślnie i zdaleka, choćby i państwo jacy i tryngelt dają dobry, bez wyraźnego panowego rozkazu — nie wpuści. A ludzie, jak ludzie, czego nie wiedzą, a nie widzą, zaraz dziwy bają, o pałacu naszym też cuda bajali.

To też jak on nam tego w one święto nie powie, co było na kuchni i fornali i parobków, i bab i dziewek — wszystko wraz do niego: „Puśćta i mnie, puśćta i mnie, p. Pietrze! Mój złociuśki, serdeczny!" — proszą baby i dziewki. A to dziw nad dziwy, stary wszystkich puścił. „Pozdejmujta tylko swoje buciska i pookurzajta nogi — powiada — i niech Bóg, broni, żeby mi kto swemi łapskami dotknął się do czego".

Hurmem sypnęliśmy do pokojów; było nas ze trzydzieścioro, śmiechu, wesołości coniemiara! P. Pietr rzecz każdą pokazuje, rozpowiada, jak co i do czego. — — —

— Dobrze, p. Jacenty, ale cóż to ma do Hanusi. — przerwałem trochę zniecierpliwiony.

— Co... to... ma... do... Hanusi? — powtórzył ze zdumieniem prawdziwem p. Jacenty. — Bójże się pan Boga, a dyć nie flaki mam przecie w głowie, nie mówiłbym, żeby nie szło jedno do drugiego! — wykrzyknął prawie p. Jacenty. — Alić tu właśnie je kadencyja cała, — dodał, patrząc na mnie nie bez wyrzutu i z takiem głębokiem przeświadczeniem o swej racji, że kiwnąwszy mu głową na znak potwierdzenia, postanowiłem już nie przerywać jego opowieści. — — —

...Tu właśnie, tuu!... ciągnął tymczasem p. Jacenty, widocznie urażony, żem go wziął za bzdurę, co plecie trzy po trzy, nie rozumiejąc tego. — Tu! — dodał jeszcze raz dobitniej. — Ale co tu i gadać? Sam pan najlepiej to zobaczy.

Idziemy, idziemy tedy po tych pokojach, a takie to wszystko błyszczące, złoto, srybło — aż kapie! Idziemy

i końca im niema — aż przychodzimy do jednych drzwi, zamknięte. P. Pietr klucza poszukał, otworzył, weszliśmy do pokoju, jak do kościoła, nieprzymierzając. Obrazy i malowania przeróżne, jak w kościele wiszą na ścianach, tylko ołtarzów brakuje. Która baba, albo i chłop nawet, żegnać się zaczęli. A nasz stary dopiero jakby się na świat narodził! Wiedzie nas do każdego obrazu i opowiada śliczności o królach i o rycerzach przeróżnych.

I o księciu Józefie, co na Niemcach zginął, i o królu Janie, co Wiedeń ocalił, i o rycerzu Zawiszy, co go Czarnym zwali, i co z pogany srodze wojował, o Krakusie i Wandzie, i precz o wszystkiem, co w historji stoi i co już później, tu dopiero w książkach, od światłych ludzi pożyczanych, wyczytałem.

Ten i ów zapytuje, nawet dziewki poośmielały się, bo gadał tak pięknie, jak nie przymierzając i ksiądz z ambony nie gada. To też stary rozradował się wielce, bo lubiał okrutnie, kiedy z prespektem go słuchali, no i kiedy już skończył z obrazami: „chodźta", powiada, „jeszczeć wam cóś pokażę".

A przy oknie, przy dużem, stał se słup bieluśki, nie bardzo żeby wysoki, a na słupie onym cościć wysokie, przykryciem jakowemś przykryte.

A i ucieszny też był stary! Ustawił zprzodu dziewki, za niemi postawił nas chłopaków, a babom i chłopom już poza nami stać kazał, sam zaś podyszedł ztyłu i jak nie ściągnie ono przykrycie, to my i nie spójrzeliśmy jeszcze, a nasze dziewki, jak nie wrzasną, jak na komendę: „o la Boga"! i w nogi!

No ale, nie w ciemię bici, domyśliliśwa się, poco nam p. Pietr kazał stać za dziewkami. Każdy ucapił swoją i nie puściliśmy; krzyku, śmiechu narobiło się jak na weselu. Dziewki się ostały, tylko każda fartuchem się zakryła, a kiedy uspokoiło się trocha, spojrzymy i my na oną figurę i widzimy — dziwo prawdziwe!

Cud dziewica! jak w bajce opisana, ale bez ubrania nijakiego. Stoi, w czem na świat przyszła, a co jest, nie wiemy i patrzący, miarkujemy, coby to być mogło: czy światowe, czy bez obrazy Boskiej świętość jaka, kiedy stara Maćkowa, co przy kuchni pomywaczką była, baba jak się patrzy, dycht głupia, jak nie krzyknie: „Wejcież dziewki durne, a dyć to Panienka Przenajświętsza być musi"! Naród ciemny, akuratnie, więc spojrzymy na p. Pietra, co on powie, a on ci już i nasiadł na babę:

— A durniejszaż ty stokrotnie, choć stara — krzyczy na nią — i pomiarkowania nijakiego wedle takiej świętości, jaką jest Królowa Niebieska, nie masz! Albożeć to, babo głupia, Panienka Przenajświętsza goluśka chadzała kiedy po świecie? Czyś ta widziała gdzieniebądź, abo w ołtarzu, czy na obrazach, alboli na chorągwijach świętych Panienkę Niepokalaną w takowej poniewierce?! Tyloć przecie jedno Dzieciąteczko Najświętsze, abo rownie i janieli Pańscy, malowane bywają bez odzieży, jednakowo sromu od tego niema nijakiego, a idzie to ku większej chwale Pańskiej, bo choć i obaczysz cóś niecóś bez osłony, nie sromasz się, aleć jako na kwiatuszek nadobny na roślince najmilejszej przyjemnie se spozierasz. Chrystus Pan i święci Pańscy, kiedy ich męczono, też przez oprawców pozbawiani byli odzieży, alić na obrazach albo li figurach, które mękę oną okazują, ciało sromotne zawdy przed grzesznem okiem przystojnie zakryte bywa.

Dopiero kiedy dojął babie do żywego, że aż ta się rozpłakała ze wstydu, rozpowiedział akuratnie, jako w dawnych czasach, gdy to jeszcze Chrystus Pan się nie narodził i naród wszelaki błąkał się w ciemnościach i rozmaitym bałwanom i siłom nieczystym kłaniał się, jako Bogu prawdziwemu, w jednym kraju dalekim, za morzami i górami narodziła się ot niewiasta, taka urodziwa, a przepiękna, że jako Bogu kłaniać się jej zaczęto i w kościołach pogańskich figurę jej postawiono. — „A jaka była,

powiada, pokazuje, to jej potret, który, powiada, nie wstydajta się i obejrzyjta, żebyśta i dzieciom i wnukom rozpowiedzieć mogli i sami zmiarkowali, jaką łaską obdarzył nas Bóg wielki, żeśmy poznali jego wiarę świętą i plugawstwu oto takiemu kłaniać się przestali. Bo uroda takowa nie od Boga, jeno od złego idzie".

Ano to jak nam to wyłożył, śmielej wszyscy do onej figury podeszli i jako już było wiadomo, że nie jest to świętość żadna, więc i dziewkom docinać i przekomarzać się z niemi poczęli. Poośmielały się i dziewki i z za fartuchów wyglądać również zaczęły, a tu, nie pamiętam już który z chłopaków, trąca mnie i powiada: „A co, Jacku, żeby taka trafiła się kiedy?" Byłoby nic może, ale, trza nieszczęścia, stary usłyszał; usłyszał i w ten mig podchodzi do mnie, bierze mocno za ramię i pyta — i w złą godzinę zapytał chyba, bo dlaczego ja do dziś pamiętam każdziuteńkie słowo i ot teraz nawet, niech mu tam święta ziemia lekką będzie, jakbym go widział przy sobie, jak stoi i krzyczy mi nad uchem: „No i cóżbyś robił, gadaj żywo, głuptasie?"

Ma się wiedzieć, zaczerwieniłem się, jakby mnie warem oblał, no i nic nie mówię, bo mi wstyd przecie, patrzą na mnie wszyscy, dziewki zęby powyszczerzały, a choćby i nie wyszczerzały, wszystko jedno, nie wiedziałbym, co powiedzieć, ale stary uczepił się mnie jak pijany płotu i krzyczy mi znowu: „Hę? gadajże mi, cóż stoisz, jak z kluskami w gębie? Cobyś robił, pytam ciebie, huczy znowu, gdybyś oto taką, jak ta figura, dziewkę, spotkał na ziemi? hę?!" — krzyczy i trzęsie za ramię. Ma się wiedzieć, znowu nic nie mówię bo, po prawdzie i rozumu nie nabiorę, coby tu mu powiedzieć, ale, kiedy mnie tak trzęsie i trzęsie, nabrałem śmiałości i niewiele myślący, powiadam mu: „A cobym miał robić? Wziąłbym, jakby się dała", ale tylko com to wymówił, a tu już stary wrzeszczy nade mną:

— Wziąłbyś!? A ty żółtodziobie jakiś, a czy ty wiesz, co ty mówisz? — no i prawdę krzyczał, bo słowa one wyrzekłem bez rozumu wcale.

— Słuchajże — powiada on znowu, — teraz głupi jeszcze jesteś, ale co z człowiekiem być może, nikt nie wie, więc powiadam ci i zapamiętaj to sobie: rzadko się zdarza na świecie uroda taka, ale jeżeli spotkasz kiedy cości podobnego, uciekaj, jak od ognia, bo i nie takie, jak ty, wróble skrzydła se przy tem opalały; uciekaj, jak od złego, bo uroda taka nie od pana Boga, ale od siły nieczystej, na pokusę ludziom posyłaną bywa. Uciekaj, — wciąż powtarzał, zakrywając figurę — i choćby ci sama w ręce lazła, nie bierz, bo pożałujesz poniewczasie.

Wyszliśmy zaraz potem i choć za drzwiami to i na śmiech wzięli starego, a nawet Wojtek Drygała, fornal, bywalec wielki i babiarz okrutny: „Ji! — powiada — gadaj zdrów, stary, ale niewiadomemu w takowym fachu, to ci i uwierzy może, ale ja zjadłem zęby na tym chlebie i zawszeć powiem, furda brachu! Uroda je jedno, a karakter babi je drugie. Jenszy orzech, powiada — i na oko niepokaźny i w sobie takoż niewiele co ma, choćby i do zjedzenia, a też zębów sobie nad nim nakruszysz; a drugi wcale ładny, a i zębami go nie dotkniesz, kiedy ci som ziarneczko swe pełniuśkie w gębę wyrzuci“! Ale mnie od tego gadania nic nie lżej...

Czy to, żem się zawstydził srodze, czy, że to już tak mi przeznaczone chociaż, inni się śmieli, markotno mi było; czuła widać dusza moja, co ją czeka!

— — — Tu westchnął głęboko p. Jacenty, przerywając swe opowiadanie. Przerwa ta jednak długo trwać nie mogła. P. Jacenty siedział wprawdzie teraz w milczeniu, utkwiwszy oczy gdzieś w kąt pokoju, ale też i bębnił palcami po stole tak energicznie, że milczenie to było i samo przez się wymownem.

Rzeczywiście, upłynęła mała chwilka zaledwie, gdy

p. Jacenty, podnosząc głowę, zapytał mnie z odcieniem ironji dość gorzkiej: „A co to ma do Hanusi?“ — i wpijając się we mnie wzrokiem człowieka, otwierającego najtajniejszą skrytkę serca swego i badającego naiwnie, jaki los spotka teraz ową myśl, tak długo przed światem tajoną, wyszeptał mi głosem drżącym:

...Ot co... ma... panie!... Hanusia... gdym ją poznał... Hanusia była taka...

Taka, jak mi Bóg miły! — krzyczał już p. Jacenty, gwałtownie zrywając się z krzesełka. — Taka! — powtarzał, stojąc przedemną. — Taka! — a może? i nachylając się ku mnie dokończył głosem stłumionym — może i lepsza...

Prawda — zaczął on, znowu siadając — praktyk ci ja wedle bab nie jestem, alić przeszło się świata kawał i choćby przypadkowie, choćby nie chcący, otarł się człek przecie i o oto i owo, i oczy także na miejscu mi siedzą, i nie krzywe chwała Bogu, i szusta w głowie też nie mam jeszcze, a takiego dziewczęcia, jak na świętej spowiedzi powiadam to panu, i ze świecą nie prędko się doszukasz!

Bo z którejbyś jej strony nie zaszedł, feleru nijakiego w niej nie ujrzysz, tak ci we wszystkiem do siebie rycht dopasowana!

Bo to i wyniosła, a krzyżasta, i cieniuchna, a pełniuśka, i choć wiotka na oko, ni ta bylinka w polu, krzepka, że i chłop jej nie sprosta! A chybka to i układna, jak ta turkawka leśna. Taka ona!

Alić jeżeli to prawda, co się w gadce mówi, „że niedobra ta rybka, co ma wiele ości“, toć dalibóg i ta ryba, co bez ości wcale, zła być musi, bo ujrzałem ją krętogłowę nijak razik tylo i oczy mi zasłoniło i rozum odjęło precz wcale!... krom niej nic nie widziałem na świecie...

— — — I żal srogi, widno, że świeżał w sercu p.

Jacentego, bo tkliwość niezmierną posłyszałem w słowach jego, a i głos też sparło mu w gardle.

...Akurat na jesieni dwanaście lat minęło, gdy w X., gdzie wtedy mieszkałem, — ciągnął znowu p. Jacenty, — rozeszły się wieści o Hanusi. Duby smalone prawili o pięknej Polaczce. Co za Polaczka taka, pomyślałem sobie i poszedłem i ja zobaczyć to dziwo. Ano! — westchnął znowu p. Jacenty — i prawdę widzę mówili i... i tygodnia nie upłynęło, a Hanusia była już u mnie — — —

— Tygodnia?! — przerwałem zdziwiony, — a któż ona była, że to tak prędko stać się mogło.

— Ha, ha, ha, — gorzko i sucho zaśmiał się p. Jacenty, — a to widzę pan nie wie najważniejszego... Hanusia, panie, Hanusia... i p. Jacenty zakrztusił się jakoś — to jest niby... jakby powiedzieć, Hanusię, panie, — wykrztusił on nareszcie, zakrywając usta ode drzwi i nachylając się ku mnie — Hanusię podniosłem z upadku — i tu p. Jacenty zaczerwienił się po uszy i odetchnął głęboko, jak gdyby ciężar wielki spadł mu z piersi.

Była to dla mnie nowina, rzeczywiście, niespodziana. Patrząc na przykładne pożycie państwa Jacentych, nigdy nie przypuszczałem, że ku utrwaleniu ich związku zachodzą przeszkody tak poważnej natury. Z drugiej znowu strony teraz dopiero zrozumiałem, jak ciężką rozterkę wnosi w świat pojęć Jacentowych owo pożycie, wywracające z gruntu jego najświętsze i najsurowsze zasady. Wywracało je ono bez litości, urągało im tak dalece, że oczu zasłonięciem, rozumu odjęciem, tłumaczył je sobie nieprzygotowany do podobnego koziołka zachodniowiec, rozpaczliwie ocalając wyrywające się mu z rąk pozory.

Siedział on teraz przede mną zawstydzony, jak gdyby to on był winien przeszłości Hanusi, pilnie dopytując oczyma o wrażenie wywołane wyznaniem. Nie potrzeba zaiste być wprawnym czytelnikiem wyrazu uczuć człowieka, aby na szerokiem, skraśniałem, kroplami potu okrytem obli-

czu p. Jacentego wyczytać wielką trwogę serdeczną, jak ja wyznanie to przyjmę. Szczerze współczując troskom jego, nie mogłem nie okazać mu tego, co też łacno zmiarkowawszy, zapytał on mnie zaraz głosem nierównie pewniejszym:

— A twardy sęk zgryźć wypadło, jak pan myśli?

— Bez wątpienia, twardy — odrzekłem, — ale ostatecznie, p. Jacenty, czyż grzech grzechem da się zagładzić? Co się stało przecie, już się nie odstanie; przypuśćmy nawet, że źle się stało, ale jeżeli okazało się, że Hanusia jest wierną wam towarzyszką i uczciwą kobietą, nie rozumiem, dlaczego tyle lat męczycie i ją i siebie? Ożenić się trzeba było i dawno.

P. Jacenty energicznie potarł czuprynę i ciągnął:

...Święta prawda! boć i ja nie inaczej myślałem, ale im dalej w las, tem więcej drew, a złe widno oplątało tę niewiastę i mnie z nią razem, że i wyplątać się z niego niełatwo. Pan myśli, że w tem, com rzekł, to już i cała bieda? Eee! mocneć piwko, aleć i mętów w niem, Jezu!

Jeszcze z tyla, cośmy gadali, pogadamy, abo i więcej może! ot one figle babskie!

Twardy sęk i nie dla naszych, co prawda, zębów, — zaczął znowu p. Jacenty. — Pracą i krwią wygrzebałem się na ludzi, ani łez, ani krzywdy cudzej na paznogieć nie mam na sumieniu, choćby, nie daj Boże, i nagła śmierć zaskoczyła, gotów jestem stanąć przed sądem Pańskim, więc choć to, jak się rzekło — i twardy sęczek — zgryzłem go potrochu, bo tak sobie miarkowałem: krzywdy przez to nikomu nie robię, że grzeszną duszę przygarnę do siebie, a jeśli to ujma dla mnie, jeśli ludzie na to krzywo patrzeć będą, to wola Boska.

Przecie i tak niebardzo łaskawi na cię, nie żeby obcy, alić i swoi nawet. Rzadko napotkasz tu człeka, coby nosem nie pokręcił, jak mu z pod mego surduta chło-

pem zapachnie, albo też słowo jakie prostackie niechcący zepsnie się z języka. To i Bóg tam z nimi! A znowu, kalkulowałem dalej, kto nas pozna, a zobaczy, że niewiasta rządna i bogobojna, a ja wedle serca i umiłowania prawdziwego przygarnąłem niebogę, nie pogardzi mną przecie.

Nie powiem, żeby ona, choćby i kalkulacja oto taka, przyszła mi tak odrazu do głowy, bez utrapienia. Bogać tam!

Niejedną nockę, co to zawdy, bywało, i na drugi bok się nie odwracając, prześpisz, jak z bata trzasnął, przeleżałem jak na mękach srogich od tych przemyśliwań dolegliwych. Bo niby i wedle ojców i dziadów zapowiedzi nie jest to rzecz, jak się patrzy, nie żeby wedle sumienia, ale, wiadomo, sroma się człek przed ludźmi, boć sromotę okrywać wypada.

Rok cały dałem sobie terminu, a bez ten rok, to mówię panu i pies tak zwierza dzikiego nie tropi, jak ja ją tropiłem. Już z jakiej ja strony za nią nie naglądałem, z jakiej mańki nie zażywałem! Ale nic, trzyma się ostro, w niczem na palec sprawy nie pokpi! ani w robocie, ani w obyńściu czy to z ludziami, czy ze mną: a co do obyczajności, dałby Bóg, żeby każda taka była; a co do pracy, w rękach się jej pali: a chętna, przykładna i potulna, jak jagnię.

Eee! powiadam wtedy, a pal was djabli, choćby i świat cały, drugi raz takiej niewiasty nie spotkam, chociażby i dwa życia przeżyć wypadło. Ożenię się z Hanusią i basta! Wszystkie te języki i pyskowania zamknę, jak na kłódkę, odrazu!

No i jak to sobie wymedytowałem, aż mi raźniej na duszy się zrobiło, a Hanusia jeszcze się milejszą mi stała.

Miało się już dobrze ku latu, akurat spodziewaliśmy się księdza z objazdem, więc myślę sobie, weźmiemy ślub i zaraz po ślubie przeniesiemy się gdzie dalej, żeby nie kłuć ludziom oczu... Ale niebodze swej nie-

spodziankę wyszykuję galantą, powiem jej o tem wtedy dopiero, jak wiadomem już będzie, kiedy ksiądz przyjedzie.

Ee! to spłacze się niebożątko — nie powiadam, broń Boże, głośno żeby, a tak tylko sam w sobie myślę, a po izbie chodzę markotny, niby nieswój jakiś; tak napuściłem na siebie markotność oną, aby nie zmiarkowała, co się święci.

Bo, powiadam panu, potulna jak jagnię, na złe nie chytra, ale dowcipna też szelma, że spojrzy mi w oczy tylko i już jak z książki wie ci myśl każdą.

Ale, widzi pan, choć żyliśmy oto ze sobą rok cały i Hanusia o sobie powiadała mi niemało, — o tem, skąd ona, co ona była dawniej, nie wiedziałem, bo o tem mówić nie lubiła i choć pytywałem i wprost i później, kiedy zmiarkowałem, że niebardzo chętna takim przepytywaniom, to zagabywałem ją zdaleka, czy przypadkiem jakowym nie zagapi się i nie rozgada na dobre, ale gdzie tam! Co nie robi, co nie mówi, wesoła czy markotna folgi gębie nie daje, za językiem nagląda.

— Co ci, powiada, z tego przyjdzie? Widzisz, jaka jestem, lepsza już nie będę, a gorsza być mogę. Zresztą, powiada już bez żartu, wiesz przecie, że zadarmo nikt tu nie przychodzi — a poco wyciągać to, co i spominać nie łatwo.

Tak to tak ono niby, aleć nie ze wszystkiem; tylko, że mówiąc po sprawiedliwości, zeszliśmy się nie po ludzku, a nie ciągnęłać mnie ona do siebie, ale ja sam się jej czepiłem; więc cóż, myślę, zmusić jej nie mogę, nie chcesz, no to i nie mów wcale. Ale jak już umyśliłem, żeby wyrychtować wszystko, jak Bóg przykazał, będzie już, myślę — i tej zmorze koniec ostatni.

W niedzielę jakóś, jak i sam nie narządziłbym lepiej, przychodzi nareszcie do jednego z naszych list, że ksiądz jedzie i jutro już będzie u nas; list ten bez cóś

się zapóźnił i narobił wszystkim rwetesu niemało, bo trzeba było przyrządzić i pokój dla nabożeństwa i przygotować się komu do chrzcin, komu do ślubu; przysłali tedy i po mnie, żebym się też przyłożył do roboty czemkolwiek. Zrobiłem tam, com mógł i umiał i po robocie idę zaraz do domu. A że, wychodząc z domu, nie wiedziałem poco idę, bo przysłali oto chłopaka, że pan Józef prosi, myślałem tedy, iż tak może poco, więc i Hanusia też nie wiedziała.

Wracam tedy i śmieję się sam do siebie, ale z tą radością to i cni się mi czegóś i lęk mnie zdejmuje niewiadomy, a serce to młotem mi wali, jak nie waliło i wtedy nawet, kiedy mi kule po raz pierwszy zaświstały koło uszu.

A no i tak, sam siebie nie wiedzący, przychodzę do domu; wchodzę do siebie i słyszę, śpiewa nieboga, ale pocichu, ledwie nieledwie że słychać to śpiewanie; przystanąłem, nuta smętna okrutnie, taka, co to ci każdziuśką żałość ze serca wychwyci, jak mrozem powiała na mnie; ale słucham, bo chciałem usłyszeć, co to za słowa, do tej nuty żałosnej, kiedy raptem ścichło śpiewanie i ni to jęk, ni to płacz rozległ się ze środka. O rety, a cóż tam takiego? Wlatam do stancji, a ona klęczy i z jękiem zawodzi: „Zlituj się, zlituj Królowo Niebieska"! Hanusiu, zoreńko-nieboże! gołąbko ty moja! co ci to? — a ona patrzy na mnie nieprzytomna, oczy słupem jej stoją, trzęsie się cała, jak w febrze, usta zsiniałe zacisnęła, słowa się od niej dobić nie mogę.

Wielka choroba, czy co takiego? myślę sobie. Zaniosłem ją na łóżko, samowar postawiłem, gorącą herbatą napoiłem, a usta tom jej siłą ledwie otworzył. Powoli, powoli odeszło od niej to skamienienie i oczy, ciągiem słupem stojące, obróciła na mnie. Patrzyła, patrzyła długo, wciąż, jakby nie swojemi, jakby nieżywemi oczyma, nie widziała mnie jeszcze, widno, tylo czuła koło siebie,

bo jak ujrzała, zara jej oko zamgliło, a łzy ciurkiem popłynęły i wzięła mnie za ręce.

I wdzięczne też, powiadam panu, stworzenie, jakby i pies nie przymierzając, bo chwyciła mnie za ręce i dalej całować, a łzy gorące precz jej kapią i te słowa: „darujcie, darujcie, Jacenty"! wciąż mi powtarza.

A cóż tu darować, Boże mój jedyny, kiedy i wrogowi pomogłoby się w takowem wydarzeniu, nie żeby swemu? Więc jak mnie jęła za serce, już i nie rozpytuję jej, co i z czego taka boleść na nią naszła, a myślę sobie, uraduję ją w tem ciężkiem utrapieniu co prędzej.

No i powiadam: „Na nic zgałganiałaś mi, dziewucho!" — i śmieję się do niej dobrze, żeby trwoga jej jaka nie zdjęła, bo z tego zesłabnięcia, myślę — i nicość, choćby najbłahsza, turbacji wiele zdrowiu narobić może — „zgałganiałaś, powiadam tedy, bo zawdy przepowiadasz jak z kalendarza akuratnie, co jutro będzie, czy zły, czy dobry dzień, takóż pogoda albo pieniądze, czy zarobek jaki pokaźniejszy, a tu nie zgadłaś jutrzejszej radości dla nas?"

— Jakowej? — pyta głosem nie mocnym jeszcze.

— A ot takowej, gołąbko, powiadam, że oto jutro ksiądz przyjedzie.

— Ksiądz?! — i widno nie zrozumiała do czego kłonię, bo znowu „ksiądz?" zdziwiona przepytuje, „to i cóż z tego"? dodaje pocichu.

— Phii! powiadam, a to zgłupiałą mi dziewka z kretesem. Ksiądz? ksiądz? przedrzeźniam ją niby, a czy to, powiadam, nie wiesz, poco tu ksiądz do nas przyjeżdża? Dzieci chrzcić, ludzi spowiadać i śluby dawać. — No i żeby już podnieść ją odrazu na nogi, walę prosto z mostu: A my czy to gorsi od ludzi, czy co? Wstawajże, dziewucho, bo jutro do spowiedzi i do ołtarza pójdziemy... Ot, masz radość, a nie zgadłaś?! — i wymawiając te słowa,

pomyślałem, ni jak skoczy i za szyję mnie obłapi a ona?...

Nie zdążyłem, powiadam panie, ust zamknąć, kiedy zbladła, jak ściana i znowu w oczach mi sztywnieć zaczęła. Jezus, Marja, coby z nią być mogło? Ano, widzę, krzepciej ona zesłabł niźli to się na oko wydaje i trzeba będzie najpierw dobrze ją na nogi postawić, a później już wedle jutrzejszego dnia pogadać.

Znowum więc jej herbaty gorącej, a wody zimnej na głowę, no i chwała Bogu i trzy zdrowaśki nie przeszło, oprzytomniała mi znowu. Ale po tem wszystkiem nic już nie mówię, siedzę jak trusia, tylko ona sama ledwie oczy otwarła, łap mnie znowu za ręce i całuje i płacze nieboga. No, to już z radości, myślę sobie, to już żałość nie tyle zdrowiu szkodząca, płaczżese teraz dowoli, dobremi słowy tylko jej otuchy dodaję.

Wypłakała się, siadła i na nogi podniosła się nawet, ale już jej o jutro nic nie zagabuję, czekam, aż ona sama zacznie, ale czekam godzinę, drugą, tu już i wieczór za pasem, a ona chodzi jak zwarzona, a gębę, jakby jej zamurowało!

Ki tam djabeł wlazł w nią? Zaczynam już prawdziwie markotnieć. Ożenek, a jeszcze taki, a gdzieś na przedpieklu samem, toć nie fracha przecie?! Jest pomyśleć nad czem! Rok cały suszyłem sobie głowę, a ona, miasto pomocy... fochy, czy co u licha?

To raz niby: no, ale drugi, myślę znowu, nie Duchem ci święty, a Bóg ją wiedzieć może, choćby i babę, co w niej siedzi? Tu i z chłopem drugim, jak chytry, nie zrazu trafisz do ładu — a ja z babą zachciałem! Nie bez kozeryć molestowała ona tu sama jedna. Dam jej folgę tedy, niech się już uspokoi zupełnie.

I z temi myślami siedzę sobie. Nadszedł wieczór, zaświeciliśmy w izbie, ona szykuje do kolacji, ale do mnie — nic! ani słowa, ani mrumru! ani pary z ust nie

wypuści! Chodzi tylko jak martwa, bo po tem zemdleniu to jej bladość wielka na twarzy została, widno, wszystką krew do serca jej zegnało.

Chodzi tedy, szykuje, tylko podaje mi herbatę, sobie potem nalewa, ale, patrz pan, nie siada razem, ale tam, przy drugim stoliku, pod piecem gdzieści! Co to za heca taka!?

Cierpię i cierpię, ale człek nie anioł przecie, a jak se wspomnę, czegom się spodziewał, a co jest, zatrzęsło się we mnie i krzyknąłem na nią: „Hanusiu, do stu paralusów, co to wszystko ma znaczyć?!“

Milczy.

A to już nie zatrzęsło się, ale zagotowało się we mnie. Hamuję się jednako, idę do niej, biorę za rękę i powiadam te oto słowa:

— Cóż ty, dziewucho, najlepszego robisz ze mną? Czyżem ci wróg, a nie przyjaciel szczery? Toć ja myślałem, że rozradujesz się, jako dusza w czyścu, gdy srogim męczarniom takowej termin przysądzony do mety swej dobiega? Toć ja myślałem, że dnia jutrzejszego, jako dusza ona grzeszna, z męki i utrapienia wyjdziesz na świat Boży; jako nowo narodzona, życie zaczniesz inaksze; a i ja sam, nie wymawiając ci nic, skarz mnie Boże, też oto podniosę głowy, com ją bez ten grzech nasz, przed niejednym nicponiem przychylać musiał? Boć Syberyja, to Syberyja tu, ale dla nas ostaje się swoje prawo i bez grzechu a pohańbienia łamać się go nie godzi. Żyliśmy ze sobą, jako, nie przymierzając bydlęta, pojdziemy jutro do świętej spowiedzi i pobierzemy się, jako Bóg przykazał, może, powiadam, Bóg łaskaw i dzieciąteczkiem pobłogosławi.

I recytowałbym jej długo, bo żałość wielka mnie rozebrała, ale widno i tego, com rzekł, było dosyć, bo zatrzęsła się dziewczynina i buch mi w nogi.

— Wiem ci ja to wszystko — powiada.

— Wiesz?! A niechże cię kury zadziobią, a czegóż lamentujesz, głupie stworzenie?

— A no dlatego i lamentuję — powiada.

Śmiać się zacząłem, ale prędzejbym się nagłej śmierci spodziewał, aniżeli tego, że ta okazyja nie do śmiechu wcale. Śmieję się tedy, co prawda, więcej dla niej, żeby z tych smutków zraźniała już raz przecie, śmieję się, a ona wstaje, wielkim krzyżem się żegna i tak do mnie zaczyna:

— Nie dziwujcie się, panie Jacenty, — ot słyszy pan, tak ni z tego ni z owego: panie Jacenty powiada — nie dziwujcie się, że lamentuję i do ładu ze mną dojść nie możecie, ale widzę, co się ma stać, nie odstanie, to i lepiej już skończyć odrazu.

— Ano tak, mówię, ale bij zabij, nic nie rozumiem. — Zwarjowała ona, czy co? pomyślałem, boć i to bywa na świecie! No, ale i to chwała Bogu, że przemówiła aby, dowiem się nareszcie, co to wszystko znaczy.

— Nie rozumieliście, powiada, mego lamentowania, boć pewno i przez głowę to wam nie przeszło, że ta radość mało mi sprawi uciechy?

— A to znowu co nowego?! — wrzasnąłem już nie swój wcale.

— Bo, — mówi dalej cichuśko, — zwolna — ni jutro, ni nigdy do ołtarza nie pójdziemy.

Panie drogi, toć woda z góry kroplami padająca, która ci kamień twardy wskróś świdruje i nijak młotem wali po głowie, nie biła by mnie srożej, niż te słowa ciche. Boć żeby mnie kto i palicą dobrze po łbie zajechał, nie ogłupiałbym do tyla, co wtedy. Ni pomiarkowania, ni kalkulacji żadnej mieć już nie mogłem. Zabaczyłem i o łzach i o przypadłości, z której ledwie nieledwie ją wyratowałem; — ha! krzyczę, lekkiego chleba znowu ci się zachciało?!

Ale ona, nieboga, ręce do mnie jak do świętego

złożyła, trzęsie się, na nogach, widno, ledwo stoi. „Nie pastwijcie się nade mną, p. Jacenty, powiada, bo i wam później samemu markotno będzie. Jutro wam przed ołtarzem nie przysięgnę, bo ołtarz nie dla mnie; żebyście jednako wiedzieli, że nie bez tęskność za onym chlebem gorzkim z wami do ołtarza nie stanę, że choć waszą ślubną nie będę, to już i niczyją inną także, przysięgam — i krzyżyk z zanadrza wyjąwszy, klęka — przysięgam, powiada, jako miłuję was szczerze i miłować do końca życia nie przestanę i nie zapomnę nigdy, a choćbyście i dziś mnie wygnali, pójdę, żalu nie mając i winić nie będę".

Nijako to powiadać, ale przyszła teraz moja kolej, bo, patrząc na to, łzy ledwie utrzymałem, choć i wedle tego uporu ani krzty jeszcze nie rozumiem, znowu do niej, podnoszę, sadzam koło siebie, ale ona usuwa się i: „nie, powiada, noc późna, trzeba skończyć, co się zaczęło".

— A cóż tu kończyć, u pana Boga, powiadam, kiedy oboje miłujemy się wzajem, a tegoć tylko i trza nam tutaj.

Ale ona usuwa się znowu i pyta:

— A weźmiecie mnie tak, jak jestem?

— Ano, a jakże, powiadam, głupie stworzenie, czyżeś ty ogłuchła albo nieprzytomna była, jak ci mówiłem, że jutro i do spowiedzi i do ołtarza idziemy?

A to, powiadam panu, jakem wymówił te słowa, ale gdzie tam, nawet i do środka nie domówiłem, to jak ją trzęsło wprzódy od tej niewiadomej żałości i jak mi bielała, nikiej ściana od tej trwogi wielkiej, tak teraz, jako jutrzenka po nocy ciemnej, radość zaświeciła na jej twarzy i w te pędy na słowa moje wykrzyknęła:

— Mnie *niepomniaszczę*[1]) weźmiecie?!

[1]) *Niepomniaszczym* we wschodniej Syberji zowie się każdy włóczęga, który z jakichkolwiekbądź względów ukrywa swe rzeczywiste nazwisko. Zazwyczaj przypuszcza się, że człowiek taki należy do

— Bójże się Boga, mówię, aboć ja to po niemiecku gadałem, że przepytujesz do dziesiątego razu, rzekłem przecie po ludzku?

— I nie będziecie pytali: kto — ja? — a oczy zaświeciły jej, ni to węgle żarzące.

Ehee! dopiero, panie drogi, jakby mi bielmo spadło z oczu... Patrzę, patrzę na nią — oczy jej gorą, twarz pokraśniała, śliczności dziewucha, ale ze mną — inaczej! Jezu Ty mój, do czego to ona mnie wiedzie? błyskiem jednym migło mi w głowie; spójrzę na nią, jeszcze śliczniejsza mi się wydaje, ale od tej urody już straszno mi się robi i p. Pietr stary, jak żywy stoi przy mnie i jak na jawie krzyczy mi do ucha: „uciekaj, bo pożałujesz poniewczasie“!

Chryste Panie! a toż ja tu może zbrodnię jaką okrywam? Pomstę niebieską za krew niewinną na się ściągam i imię dobre zaprzepaszczę i duszę zagubię na wieki!

Spójrzę na nią znowu — a ona, jak pijawka wpiła się we mnie oczyma.

Brr... chłód przeszedł po mnie... Chcę się ruszyć, a tu, patrz pan, nóg pod sobą nie czuję! Jezusie Nazareński, toć ona czary rzuca na mnie! Lęk mnie objął... włosy, słyszę, wstają mi na głowie i chłopem ci nie ułamek, a wszystką siłę zebrałem — kiedy szarpłem się ze stołka.

Przez tę forsę, widno, to aż mi się słabo zrobiło i jak pijany, zatoczyłem się, kiedym ustał na nogi! Alić raz wstałem; oho, bratku, inna sprawa! Ciarki tylko po mnie idą, urok ten schodzi, pomyślałem i do niej tera. Ale żałości żadnej już nie mam, pasja tylko okrutna

---

cięższych zbrodniarzy, chociaż wskutek niedoświadczenia i okoliczności wchodzi do tej kategorji mnóstwo ludzi wysłanych tylko na osiedlenie do Syberji. Mężczyźni zwykle przybierają imię Iwana, kobiety — Anny. Gdy na pytanie, jak się nazywasz, następuje odpowiedź: Iwan niepomniaszczy — odpowiedź ta jest dla każdego zrozumiałą.

wrze we mnie, do niej tedy i ledwie nieledwie pasję tę oto hamujący: „A no, prawda twoja, powiadam. Bóg ci zapłać za radę, raz skończyć trza przecie, tylko pewno nie po twojej myśli pójdzie skończenie ono. Przysięgałaś mi, że miłujesz mnie prawdziwie; wierzę ci, a ot teraz, mówię, powiedz mi, kto jesteś i zacoś się tu dostała, ale wprzód na to, co powiesz, przysięgnij".

I gdzie się jej ta krew z twarzy odrazu podziała? rozumu nie nabiorę! a te oczy, co nijak dwie świece gorzały, ledwiem wyrzekł to tylo, jakbyś dmuchnął na nie — zgasły ni to świece one...

Źle — myślę.

— Aha! — powiadam, — więc w takowym razie widzę i teraz, nie chcesz powiedzieć, kto jesteś?

— Nie mogę — powiada.

— Może, — mówię, — męża gdzie ostawiłaś?

— Nie, — mówi.

— Któż jesteś, skąd u djabła? — krzyknąłem, bo już pasji utrzymać nie mogę.

A to składa znowu do mnie ręce, jak do obrazu i znowu swoje: „Na rany Chrystusa Pana, nie pytajcie mnie o to, bo powiedzieć nie mogę."

— Dobrze, nie będę; ale w takowym razie, widzę, — powiadam, — myślałaś, że ja, nie pytający o nic, do ołtarza cię powiodę?

— Ajuści, — mówi — dziś pierwszy raz tylko tak pomyślałam.

— No a teraz, kiedy widzisz, że nic z tego, cóż, myślisz, dalej będzie?

— Nie wiem — powiada.

— Nie wiesz?! — ja jej wtedy, — no to ja ci powiem, a ty dobrze posłuchaj, dobrze, powtarzam, bo jak mi Bóg miły, źle będzie, jeżeli drugi raz to samo powiedzieć ci wypadnie. Widzisz, — powiadam, — i do głowy mi to nie przychodziło, że masz za sobą cości takiego, coby ci straszno

było powiedzieć, nawet oto i wtedy, kiedy ja zechcę ci przed ołtarzem wiarę dozgonną ślubować. Może i ty dobrze robisz, że nie powiadasz, ktoś ty, ale ja źle robiłem, że dopiero teraz o to cię tak zapytałem, bo jeżeli tobie i straszno powiedzieć więcej o sobie, mnie już teraz straszno ostawać się z tobą... możeś ty od Boga i od ludzi wyklęta?... może jaką krew niewinną masz na sumieniu?... i przy tych słowach następuję na nią i na upór oko w oko jej spójrzę.

Panie mój, com ja temi słowy jej powiedział, czem ją ugodziłem? nie wiem, ale spójrzę jej w oczy, wielkie niewielkie się zrobiły i nijak toń wodna w noc ciemną nie czernieje, odrazu poczerniały... Uciekaj! krzyknąłem już wtedy bez pamięci prawie... Uciekaj, duszo nieczysta co prędzej, bo nie wiem, co zrobić mogę! — i precz od niej... odwróciłem się do ściany i... ech! panie kochany, toć i przyznać się wstyd nawet... zaraz inne myśli przychodzą; pasja ona schodzi, a w głowie jak w kołowrocie kręci się jedno: ot — ot, może powie zaraz?... Ale gdzie tam!...

Postała... postała i... skrzyyp! pocichutku drzwi się otworzyły... skrzyyp! drugi raz — zamknęły, obejrzałem się i... Hanusi już niema...

— — — I p. Jacenty, silnie poruszony, znowu widać uczuł potrzebę „dać se folgę niewielką".

...Ano niema, to niema, — zaczął on wkrótce — ale we mnie coś niedobrego się robi. Jak te drzwi skrzypły raz i drugi, jak stukło coś w sieni, ni to głową o ścianę, a zaskrzypiały raz jeszcze i drzwi drugie — jakby oberwało się co we mnie...

Spójrzę po izbie na jej łóżeczko, akuratnie i ochędożnie wszystko na swojem miejscu; spójrzę na ten stół pod piecem, nawet herbaty nie dopiła, chleba kawałka nie dojadła; na zegarek — a tu północ już blisko, akurat wpół do dwunastej równo; do okna, co w alkierzu

bez okiennicy małe było, a ze środka zawieszane — ciemno, choć oko wykol; nasłuchuję, ale nic nie słychać, serce tylko jak młotem mi wali, tajga huczy jak zawdy, pies czy wilk wyje zdaleka.

I dokądże ona pójdzie? myślę znowu — do obcych nie zechce, do swoich — wstyd przecie? A tu w izbie, powiadam panu, tak pusto, jakby nieboszczyka wynieśli! — Mieszkałem przecie tyle czasu sam jeden i bywało w domku takim, co daleko od ludzi, w samej tajdze wśród zwierza dzikiego, a nigdy jakoś bez duszy ludzkiej pustyni takowej w domu nie czułem. Ii! powiadam do siebie, to tak narazie tylko, a poczekawszy, to się i otrzaskam pomału.

Dla raźności zachodziłem sobie po izbie, ale i z tego chodzenia mało co dobrego. Co nie usłyszę, czy tam mysz, czy co się poruszy, już staję i nasłuchuję, a głos jakowy, czy psie szczekanie, czy z tajgi co z szumem zaleci — umory gorące falami do głowy mi biją, a co nie spójrzę wokoł z każdziuśkiej rzeczy jedna żałość ni to głos ludzki, do cię przemawia.

Ot, tu i chusteczynę nawet zostawiła, lato to lato teraz, ale dniem tylko, a w nocy ze śniegów głębokich, co w tajdze zapadłej jeszcze leżą — tak ciągnie, że i dobra szuba nie zawadzi. Ech! po prawdzie to i psa dobrego tak nikt nie wygania, a nie psem ci ona była dla mnie? Toć i służącej i płaciłbym i żeby najgorsza, w nocy nie wygnałbym przecie! A na nią czym się wytracił? Głupich sukienczyn perkalikowych parę i te ot wiszą czyściutkie. Wczoraj do późna w noc prasowała, a we mnie aż dusza się śmiała, myślałem, ani wie, na jakie gody szykuje sobie nieboga? A tu? naści! naszykowała, może na obłoczyny ostatnie, na śmiertelne... Bo kto wie, co ona tam z sobą zrobi, co ją spotkać może? W takowym żalu i ręce nałożyć na siebie też sprawa nie długa, a choćby i nie nałożyła, gdzie się podzieje? Nawet obrazek, do którego dziś tak się modliła, nie mój, a jej własny, i ten

się został i pomodlić się w tem utrapieniu po ludzku niema do kogo? Eej! źle chyba zrobiłem?

Bez odzieży, bez chleba, bez obrony nijakiej wyrzuciłem ją w nocy, a za co i sam nie rozumiem? A jeżeli zginie gdzie teraz albo co z sobą zrobi, z czyjej że to przyczyny? Ją o zbrodnię pomawiam, a sam zrobiłem, czego i zbrodzień nie zrobi... Toć duszę ludzką może już zagubiłem? O Jezusie, myślę, podsuń jakowy ratunek! Żebym choć był odrazu się opatrzył; ale teraz choćbym i szukał, po nocy jej nie znajdę, czasu już, musi, zeszło niemało? I tak myślący, wyjmuję zegarek i patrzę i oczom nie wierzę; stanął pewno? przykładam do ucha, cyka! cyka nawet głośniej, niż zawsze. Co to u Pana Boga być może, podchodzę do świecy, oczy kułakiem przecieram, nawet szkiełko otarłem, wszystko jedno — jak było, tak jest — trzy minuty tylko zeszło. — Chwałać Ci, Boże! a toć i ona pewno nie daleko.

Skoczyłem do okienka, co w alkierzu: „Hanusiu, Hanusiu! gdzie ty?“ krzyczę, ale choć krzyczę z całej mocy, nasłuchuję zamierający, nic nie odpowiada — nic nie słychać — tajga tylko huczy po swojemu, wyje cości zdaleka.

Teraz to już nawet i nie pamiętam, jak ja wyleciałem z domu. Piorunem obleciałem podwórko — niema. Na drogę wtedy! na lewo szła droga do kopalni, przez tajgę zapadłą, na prawo do rezydencji [1]) i dalej ku światu — nie poszła przecie do tajgi — pomyślałem i popędziłem na prawo.

I łaska Boska, żem więcej czasu nie zmarnował! — ciężko westchnął p. Jacenty — bo miałbym dziś na sumieniu duszę ludzką...

---

[1]) Rezydencją we wschodniej Syberji, zowie się mniej więcej to, co odpowiada trochę zachodnio-europejskiej nazwie: faktorja. Są tam składy prowizji, towarów, spirytusu; mieszkają agenci towarzystwa eksploatującego kopalnie.

Jako jednak bez opieki Boskiej każdy proch ludzki i nie obejrzawszy się nawet, zmarnieć może, tu dopiero obaczyłem.

Jeszcze ja w tych kopalniach nie służyłem, kiedy umarł tam jakiś Żmudziak stary, co już pono ze trzydzieści lat tu mieszkał. Żmudziak umierał przytomnie i przed śmiercią o jedno tylko prosił: „Postawcie mi, powiada, na mogile krzyż dobry, nie pożałujcie roboty i postawcie krzyż wielki, a, żeby go lepiej widzieć można było, pochowajcie na wzgórzu wysokiem“ i prosił i molestował o nic więcej, o to jedno tylko. A że to wtedy naszych było tu niemało, rąk i chętnych nie brakło, wyszło tedy przy święcie do tajgi ze stu chłopa i postawili mu krzyż, jakiegom nigdy nie widział. Wybrali wzgórek tuż przy drodze ładny, jakby umyślnie usypany i wyrychtowali mu krzyż na dziwo! nie ciosany, co prawda, ale gruby, że go i we dwóch ledwie obejmiesz, no i wysoki wedle grubości.

Nieraz ja nad tem myślałem, dlaczego mu się krzyża takiego zachciało ale nie rozumiałem.

I później dopiero zrozumiałem, że widno człek był niegłupi choćby i ten Żmudziak stary i wiedział, o co prosi, kiedy o krzyż taki molestował; molestował nie dla siebie.

Popędziłem tedy na prawo... Lecę po tej drodze, ale bez pamięci wcale, czym wołał, czy nie, już i nie wiem teraz i przylatam do miejsca naprzeciw wzgórka z krzyżem. Przystanąłem, jeszcze raz po drodze spojrzałem, nic nie widać, spojrzałem w stronę ku krzyżowi i, jakby mnie co tknęło, skoczyłem na wzgórek; ciemno, ale podchodzę bliżej, pod krzyżem czarnieje cości. Serce zabiło mi od niepewności, jednym susem stanąłem pod krzyżem — dotykam — ona! klęczy na ziemi, do krzyża nieboga przypadła, rękami go objęła...

— Hanusiu, Hanusiu, gołąbko! powiadam, puść w nie-

pamięć, coświa mówili, pójdź teraz do domu, później ot spokojniej pogadamy o tem... ale Hanusia, jak klęczała, tak klęczy, ani poruszy się wcale.

Tu dopiero poznałem, co jest strach na świecie i nie daj Boże zaznać go znowu kiedy, bo powiedziałem oto te słowa, com panu powtórzył i ot tak molestujący, stoję se w nieśmiałości koło niej, powiedziałem i czekam — ale ona? — ni, ni!

Wtedy ot, widzi pan, błysło mi w głowie: a nuż z nią już coniebądź się zrobiło? i w ten mig, nie wierzący sam sobie i w takowej niepewności otuchy se dodający, rękę oto wyciągam — ramienia jej dotykam — zimne! O Jezus, Marja! pomyślałem, a ręka mi ciężka się zrobiła... i odjąć jej nie mogę... a zęby mi zaszczękały, jak na mrozie.

Z forsą wiodę rękę po głowie, do twarzy — nie oddycha!...

Panie mój jedyny, o świecie zapomniałem. „Hanusiu!“ wrzasnąłem, jak nawiedzony i szarpnąłem ją ku sobie... Zwaliła się jak kłoda ku nogom...

I strach i żałość, jak mnie ścisły społem, myślałem, że i ja się zwalę koło niej. Głowę straciłem doreszty. Porwałem ją na ręce jak pióro; tu łzy mi kapią, tu myśli straszne: „zabiłeś człowieka, zbrodniu jakiś“! Lecę, nóg pod sobą nie czuję; ledwie nieledwie wymówić zdążyłem: „Święty Jacenty, patronie niebieski, ratujże mnie biedaka“!

— — — I p. Jacenty znowu „sfolgował se trochę“.

...Bóg łaskaw, że to blisko było, ciągnął on dalej, a jeszcze bardziej, żem nie spotkał nikogo, bo pomiędzy temi myślami, co mnie wtedy zabijały, przesuwało się takoż: „a jeżeli już trupa niosę, a tu spotkam kogo po drodze“?... Chodź, idź i sam galęzi poszukaj.

— — — P. Jacenty wypuścił sążniste westchnienie.

...Ot ona uroda niewieścia! tylko djabłu jednemu profit pewny niesie! — konkludował on już daleko spokojniej.

A com się strachu najadł? Com się, tfu! do stu djabłów! napłakał, to już chyba nikomu tego nie opowiem, bo dalibóg, wstyd mi, nietylko mówić komu, ale i samemu spominać o tem! No, ale co spadło, to przepadło. Do białego dnia mordowałem się nad nią, a i gadać nie trzeba, jaka to radość była, kiedy nieboga otworzyła oczy i zapłakała razem ze mną.

Ale i z tej radości było tyla, co z wróblowej goleni mięsa. Do ołtarza, ma się wiedzieć, na drugi dzień już nie poszliśmy...

— — — P. Jacenty wstał, zapalił sobie papierosa i w zadumie głębokiej zaczął chodzić po pokoju. Nie przerywałem mu jego rozmyślań, ale gdy chodzenie to przeciągnęło się za długo trochę, usta zaś p. Jacentego milczały, jak zaklęte, miarkując, że mógł już uspokoić się zupełnie, zagabnąłem go nareszcie:

— I koniec końcem: któż jest Hanusia?

P. Jacenty przystanął i zmierzył mnie wzrokiem tak dziwnym, że pomimo całej usilności, z którą starałem się wytłumaczyć owo nieme przemówienie w znaczeniu, niezbyt dla siebie ujemnem, czułem, że tłumaczę uczucia szanownego swego współbiesiadnika w sposób zbyt dowolny.

— No?... zacząłem zdetonowany trochę, ale p. Jacenty, widząc, że nie mogę, czy nie chcę zrozumieć jego niemej odpowiedzi, nie dał mi skończyć powtórnego pytania.

— A bójże się pan Boga, czyżbym ja panu opowiadał wszystko tak dokumentnie, gdybym wiedział, kto — ona? — zapytał on mnie nie bez rozdrażnienia — — —

...Nie wiem! oto sęk właśnie! — krzyczał już p. Ja-

centy, uderzając pięścią po stole. — Nie wiem!... Nie wiem!... — powtarzał, rozwodząc rozpaczliwie rękami. — Nie wiem nic!... szeptał wreszcie bez nadziei, znowu siadając na krzesełku.

Żebym to ja wiedział! Ho, ho! Inaczejby to wyglądało teraz: alboby ona już była moją ślubną, alboby już dawno jej nie było! Alić tu właśnie z urodą babską djabeł mi sztukę spłatał i jak mnie zagwoździł tym klinem, jak mnie raz zaparł w kozi róg dwanaście lat temu, tak i siedzę w nim jak durny po dziś dzień.

Czego już ja nie robiłem, jakich sposobów nie probowałem? nic jej nie bierze.

To, com panu powiadał, było i później jeszcze nieraz, tylko że po onych cięgach, to już drugi raz w takie romanse z nią się nie wdawałem. Ehe, tej nocy, póki żyć będę, nigdy nie zapomnę! ale tak spokojnie, za dnia, z rozwagą, co już się z nią nie nagadałem?... nic nie pomaga!

W języku ci przecie nie ciężka, ba! świegotliwa nawet, a tu już — niée! słucha, jak zając bębna! jakby jej język przysechł do podniebienia, milczy, jak kamień! Iii! i kamień na takie prośby przemówiłby! a ona? — nie!

Raz nawet, pewno ze sześć lat temu, tośmy się już ze wszystkiem rozstali. „Nie chcesz, — powiadam — to nie mów, ale zbieraj manatki i wynoś się“...

No i cóż pan myśli — wyniosła się, służbę sobie znalazła, ale mnie zaczarowała chyba, bo i tygodnia nie upłynęło — a znowu byliśmy razem.

Jednem słowem, ani prośbą, ani groźbą, nic z niej wyciągnąć nie mogę. Wiem, że jest uczciwa, rządna, pracowita, do mnie jak ten pies przywiązała, ale, kto ona jest? nie wiem...

A czy pan myśli, że ona — Hanusia? Licha tam! Taka ona Hanusia, jak ja Wicuś! Dałem pisarzowi parę

rubli, żeby mi przeczytał co w jej *spisku*[1]) stoi i cóż pan myśli? „Anna niepomniaszcza“ i tyle. Dużom się dowiedział?!... tylko dwa ruble napróżno przepadły!

Dwanaście lat, to przecie kawał czasu, a choćby pierwszego roku i nie brać w rachubę, to jedenaście lat wszelako myślę nad tem — kto ona. Ale i to wszystko niby jeszcze; najgorzej od ostatniej Wielkanocy, to już rady sobie dać nie mogę. Na Wielkanoc, jak na Wielkanoc, przygotowało się to i owo, a choć i nie poświęcanem jajkiem dzieliliśmy się przecie. Licho mnie skusiło, żem jeszcze raz sprobował, czy nie wyciągnę z niej czego, powiadam tedy: tak i tak, Hanusiu, dajże nam Boże doczekać choćby jednego święconego w prawdziwem małżeństwie, boć powiadam, rozstać się widno nie możemy, a do końca życia pozostać w grzechu, ciężko też i umierać będzie? Zawdy przecie myślę, że powiesz nareszcie kiedy, ktoś ty i choć przed śmiercią pobierzemy się przecie?

A ona na to:

— Niebabym wam przychyliła, gdybym mogła, głowąbym własną za was nałożyła, ale, co do tego, ani teraz, ani nigdy, nic z tego nie będzie. Ciężko wam tak się ostawać, pójdę, kiedy każecie, dopóki chcecie, zostanę, ale na miłość Boską, nie mordujcie już tem dopytywaniem i mnie i siebie. Choćbym chciała, może więcej, niż wy, ale powiedzieć jeszcze co o sobie, nic już wam nie mogę...

— — — Ot i wszystko! — dodał p. Jacenty — tak jakby ją pan sam słyszał, tyle i wiem o niej...

...Ale od tego czasu, jak ona mi to powiedziała, jak mnie dawniej, jakby wiązało co do niej, tak teraz znowu, prawdziwie, jakby odpycha coraz dalej. Bo jeżeli

[1]) *Spisok statiejnyj* — właściwie lista, dla urzędników lista służby, dla wysłanych zaś szczegółowy wykaz wykroczeń i treściwy zbiór wiadomości o miejscu urodzenia, karach już poniesionych i wszelkich zmianach w losie zesłanego.

i dawniej często myślałem nad tem — kto ona? choćby mi i najgorsze myśli przychodziły do głowy, zawszeć ucieszałem się, jak dziecko zabawką: poczekawszy, powie i pewno, nie Bóg wie, co takiego? Ale jak mi powiedziała „nigdy", już nie mam za co rąk zaczepić, nie mam w tych przemyśliwaniach podpory nijakiej. Wielkie słowo mi rzekła, a czy na dobre, czy na złe? Bogu jednemu wiadomo. — — —

— Chociaż dobrego, już pewno, z tego nic nie będzie, bo musi cóś ciężkiego ma ona na sumieniu — i p. Jacenty, obejrzawszy się wokół, zniżył głos trochę. — Niedobre mi znaki pokazują się, — ciągnął dalej, nachylając się ku mnie, a choć trzymam język za zębami, widzę, że źle się to skończy. — — —

...Pierwszy raz w nocy to było. Zasnąć jakoś nie mogłem i myślało się, jak to w nocy, to o tem, to o owem, już sobie nawet i nie przypomnę dobrze, może nawet i o niej myślałem i tak pomału zasnąłem. Tylko zasnąłem, a tu: bęc! jakby mnie kto w łeb palnął; przebudzam się, a tu dopiero słyszę koło siebie głos wyraźny: kto — o-na? kto o-na? Nie tchórzem ci podszytym, ale głos taki, że aż ciarki po mnie poszły. Za zapałki, zapalam świecę, a to jakby odchodziło co ode mnie, coraz ciszej i ciszej: kto o-na? kto o-na? powtarza i z pod drzwi to już ledwie i słychać, wcale pocichu, toż samo szepcze.

Przeżegnałem się, ucichło zupełnie, ale na drugi dzień, co nie spójrzę na nią, zaraz mi się przypomina i choć nie chciałbym, dalibóg, jakbym kołowacizny dostał, myślę jedno tylko: kto ona? kto ona?

I tak siak odpędzałem od siebie te przywidzenia, bo i później jeszcze raz tak było, może to od przemyśliwań tych ciągłych? miarkowałem, ale myślę też, a jeżeli to i nie przywidzenie wcale? Bo czemu ona tak się kryje z tem, co była? może — i tu p. Jacenty spojrzał na mnie i badawczo i nieśmiało zarazem, — może to rodzic albo

i matula, daj im, Panie, światłość wiekuistą, ostrzegają, żebym duszy z nią nie zatracił? Bóg to jeden wiedzieć może.

Zmarkotniałem; ona to widzi, też jej niewesoło przecie. I jej mi żal i sobie miejsca znaleźć nie mogę. Po nocach też, jak wtedy, kiedym o ślubie z nią zamyślał, spać znowu przestałem.

Tu się człek napracuje, a jak przy święcie, to i z fuzyjką nalata, bywało, przyjdę do domu, to i głowy jeszcze dobrze nie przytknę, a już oczy same się sklejają, a teraz przewracam się z boku na bok, nasłuchuję, licho wie czego, medytuję, Bóg wie nad czem, a w uszach dudni mi jedno: kto ona? kto ona?

Nie mam spokoju ani w dzień, ani w nocy; teraz już nie to, żeby ze snu, ale jak tylko sam jestem czy to w domu, czy w lesie nawet, chodzi koło mnie i ni to żywe gada mi do ucha: kto ona, kto ona?...

— — —

— Ot do czegom dożył, — kończył p. Jacenty znękany, — czy p. Pietr w złą godzinę, słowa swe do mnie wymówił, czy Bóg wielki mnie karze, żem nieopatrznie z nią się połączył? Nic już nie wiem. Widzę tylko, że póki czas, trza myśleć o ratunku, ale i o tem myśleć, też — myślonek nie łatwy! Dwanaście lat gdy człek ze zwierzęciem przeżyje, to przywiązałości do niego nabierze, a onać nie zwierzęciem, ale dobrym człekiem była dla mnie... Rozstać się trza przecie, a jak się rozstać, kiedy i wymówić to słowo — niełatwo?

* * *

Naturalnie, że opowiedziawszy mi wszystko tak dokumentnie, p. Jacenty zapytał i mnie o zdanie i, rzecz również naturalna, niewiele mu poradzić mogłem.

Żal mi było ich obojga, bo oboje byli do siebie „rycht dopasowani".

Widziałem w Syberji pomiędzy współrodakami niemało stadeł małżeńskich, różnemi sposoby skojarzonych: i przez kościół i prawo i siłą zwyczaju, najzupełniej tolerującego małżeństwa „na wiarę“ i zapomocą listów i fotografij zawarte, „małżeństwa przez pocztę“, ale pary tak „dopasowanej“ nie spotykałem.

Radziłem więc p. Jacentemu zaniechać bezpłodnych dociekań, zapanować nad sobą, a może i Hanusia, przekonawszy się ostatecznie, że bez względu na jej przeszłość zagadkową jest szczerze miłowaną, ośmieli się i zaufa mu nareszcie i bez pytania powie więcej o sobie.

Ale p. Jacenty uparcie stał na swojem.

Przypuszczał on, czego zresztą i niepodobna nawet było nie przypuszczać, że przeszłość Hanusi jest zbyt smutną. To też, gdym mu napomknął o zupełnem machnięciu ręką na ową przeszłość, uznał to za żart z mej strony, a gdym, nie zrażony tem, mówić zaczął, że ostatecznie i Bóg tak nakazuje i w modlitwach o przebaczeniu win bliźnim codzień wspominamy, p. Jacenty zbył mnie krótko:

— To już rzecz Boska — a nie ludzka, mój panie! Żeby ona mnie skrzywdziła, żeby siebie tylko pohańbiła, to rzecz — moja, ale jeżeli łza cudza, a broń Boże wielki, krew ludzka leży na niej, to już rzecz — nie moja... Więc niech pan tak nie mówi, bo pomyślę, że się pan śmieje nad dolą moją!

— A może ona nietylko od ludzi, ale i od Boga na wieki już wyklęta?

— Niech ginie wtedy, jak ginąć powinna! — wyrzekł p. Jacenty jakkolwiek z westchnieniem głębokiem, ale i z taką zaciętością zarazem, że w słowach tych wyczytałem dla tajemniczej kobiety nowy surowy wyrok, mający jeszcze i jeszcze „sprawiedliwości ludzkiej czynić zadość“.

III.

Stawszy się w sposób powyższy powiernikiem tajemnicy p. Jacentego, ani na chwilę nie przypuszczałem, że okoliczności tak się złożą, iż kiedykolwiek dowiem się czegoś więcej o jego tajemniczej towarzyszce.

U państwa Jacentych bywałem po dawnemu, a że Hanusia teraz nawet sympatyczniejszą mi się wydawała, łatwo każdy zrozumie. Zbrodniarzy karanych spotykamy często, nieukaranych zapewne jeszcze częściej, ale ludzi, pokutujących szczerze za swe grzechy, rzadko się spotyka wogóle, w Syberji zaś rzadziej niż gdziekolwiek.

Codziennie jest się zmuszonym podawać i na prawo i na lewo ręce ludziom, którzy nie tylko byli, ale i są zbrodniarzami, którzy, myśląc o wszystkiem, nigdy nie myślą o jednem: o poprawie.

Ze współczuciem tedy, a nie z odrazą, witałem się zawsze z Hanusią, z żalem prawdziwym patrzyłem na jej twarz przedwcześnie znękaną, z trwogą zaglądałem pod groźnie ściągnięte brwi mego scartabellusa, napróżno wypatrując tam pogodniejszych i jaśniejszych blasków...

Napróżno! Hanusia, jakkolwiek starała się kryć to przed ludźmi, była niby to wesoła, nikła w oczach prawie, a z pod brwi p. Jacentego wylatały takie złowieszcze ogniki, że wątpić było niepodobna, iż z fatalistycznym rozpędem kroczy on w przepaść, na dnie której ogłu-

piały człowiek pisze krwią bliźniego haniebne słowa: *pereat mundus fiat justitia...*

* * *

Od opowieści p. Jacentego upłynęło lat parę. W ciągu tego czasu ożeniłem się i przesiadując u płonącego kominka długie wieczory jakuckie, opowiedziałem żonie smutne losy niedoszłego ożenku p. Jacentego. Żona zapragnęła poznać tajemniczą istotę i prawdopodobnie dzięki tej jej bytności u państwa Jacentych dowiedziałem się i końca, a raczej początku smutnych dziejów Hanusi.

W niepiękny, ale zato piekielnie zimny poranek lutowy, siedząc jak zwykle przed kominem, piliśmy herbatę, gdy drzwi otwarły się trochę i głos, jak nam się wydało, nieznajomy: „czy można wejść?" zapytał nieśmiało. Odpowiedzieliśmy zapraszająco i zaciekawionym oczom naszym ukazała się Hanusia.

„Pani Jacentowa", bo zawsze tak ją zwaliśmy, wchodziła do nas po raz pierwszy; dotychczas na wszystkie nasze zapraszania delikatnie ale stanowczo odpowiadała odmownie. Z niekłamaną radością dziękowała żonie za odwiedziny, ale sama wymawiała się otwarcie:

— Bóg wam zapłać, że nie wstydzicie się zajść do mnie, ale już daruje mi pani, że ja nie będę. Ja jestem kobieta prosta i choć państwo nazywacie mnie „panią Jacentową", jestem przecie Hanusią tylko. Jeszczebyście się przed kim wstydzić za mnie musieli? Na to przecie nigdy nie pozwolę, — kończyła nieśmiało i bardzo stanowczo zarazem. I nie była dotąd.

Zobaczywszy ją więc teraz, byliśmy przekonani, że, wymawiając się tyle razy od odwiedzin, zdecydowała się nareszcie wpaść, choć na krótko, zrana, kiedy mogła przypuszczać, że będziemy tylko sami w domu.

Dziwna jednak rzecz. Hanusia, zawsze dość rezolutna i mówna, wydawała mi się jakąś nieśmiałą, nawet od herbaty, od której tu nikt nigdy nie wymawia się, wymawiać się zaczęła, a wziąwszy wreszcie szklankę, postawiła ją na samym rogu stołu, przy którym też i sama usiadła, ale tak jakoś kurcząc się, jak gdyby zmniejszyć się chciała, jak gdyby pytanie, czy nie za dużo miejsca zajmuje, pochłonęło całą jej uwagę.

Kładąc to na karb odzwyczajenia się od ludzi, samotności, w której żyła, staraliśmy się rozruszać ją trochę, bardzo prędko jednak przekonaliśmy się, że usiłowania nasze są próżne.

Hanusia odpowiadała na pytania krótko, czasami nawet jakby i nie zupełnie dorzecznie; śmiała się tym śmiechem martwym i bezdźwięcznym, którym ludzie stroskani zwykle się śmieją, a nawet głos jej, niezwykle melodyjny, nie podobnym dziś był do dawniejszego: chrypł, zniżał się do bezdźwięcznego poruszania wargami, podnosił nad potrzebę.

Jakkolwiek było już po 10-tej, w mieszkaniu było jeszcze szaro, migotliwy ogień kominka dawał światło dość zmienne, przysunąłem się więc bliżej do Hanusi, żeby przyjrzeć się jej lepiej.

Rzeczywiście, była ona bardzo zmienioną. Twarz jej wyglądała jak po długiej, ciężkiej chorobie; zżółkła i obwisła jakoś, a błyszczące, zawsze jeszcze żywe jej oko „zgasło jako świeca ona, kiedy dmuchniesz na nią".

— Co to się z panią zrobiło? — zapytałem zdziwiony, ale Hanusia nie śpieszyła z odpowiedzią. Obracała ona w palcach łyżeczkę, kładła ją i znów brała, wyjęła nareszcie chusteczkę i starannie zaczęła nią ocierać twarz i czoło.

— Od ognia, a może i od herbaty razem, tak mi gorąco się zrobiło. Ciepło u państwa, czy może z mrozu

tak się wydaje? — i zwróciwszy się do kominka, zatopiła wzrok w wesoło trzeszczącym ogniu.

— Co się jednak z panią zrobiło? — zapytałem powtórnie jak mogłem najdelikatniej. — Czy pani chora była?

— Jaka to ja pani? — zaczęła Haniusia powoli i pocichu, nie odrywając oczu od ognia — tak ot u dobrych ludzi, a może i przed Bogiem byłam ja Jacentową, ale teraz? — i zaśmiała się sucho — teraz znowu jestem Hanusią tylko — i uprzedzając nasze pytanie, zwrócona ku nam, z trudnością, zdaje się niemałą prędko domówiła: — wczoraj rozstaliśmy się z Jacentym na zawsze.

Spojrzałem mimowoli na żonę. Hanusia dostrzegła to...

— Może, — zaczęła ona znowu, nie powoli jednak, jak dotąd, ale prędko, gorączkowo — może ja... teraz, może, przeszkadzam państwu? Ale ja przecie nie tak przyszłam, ja nie na długo, tylko, żeby... żeby zapytać się tylko, bo... bo nie wiem teraz, do kogoby pójść tutaj. Ale, chwała Bogu, przypomniałam sobie, że pan niedawno mówił, że... że państwu, że... służącej potrzeba. Ja sobie dam radę później, tylko że to się tak odrazu zrobiło; dziś u Wojciechowej przenocowałam, ale u nich jedna stancja, dzieci czworo i sami ledwo się mieszczą. Ale i dla nas to, jest dla mnie niby i dla Jacentego najlepiej będzie, kiedy odrazu miejsce dostanę.

Zacząłem ją uspakajać, że napróżno zbyt do serca bierze chwilowe nieporozumienie, które zapewne prędko się skończy, że... ale Hanusia mi przerwała.

— Chwilowe? O nie, o nie! Pan myśli, że to tak, jak dawniej bywało?

— Ależ ja nic nie wiem, co dawniej bywało — odparłem.

Hanusia badawczo spojrzała na mnie — „Ee! wie pan, a i pani wie pewno", dodała, spoglądając na żonę i czerwieniejąc po uszy, a widząc, że nie protestujemy, dodała pocichu: — „i chwała Bogu, że Jacenty powiedział, bobym

inaczej przyjść nie śmiała, a samej ciężko byłoby wszystko powiedzieć", — doszeptała drżącemi ustami.

Zachęcona do otwartego wypowiedzenia wszystkiego, o co jej chodzi, Hanusia długo mięła chusteczkę, długo ocierała nią i twarz i czoło, zanim wreszcie zaczęła:

...Teraz już, proszę państwa, co innego. Na dobry ład to i wtedy napróżnom wracała, bo co to już za życie było? Ale dla mnie wszystko jedno. Powiedziałam mu raz, że będę u niego, dopóki on sam zechce, kiedy mi każe — pójdę, kiedy każe — wrócę. Ale teraz widzę, że tak już być dalej nie powinno, rozstaliśmy się na zawsze i nie wrócę do niego nigdy. Boję się, — mówiła głosem zniżonym, zwracając się do nas kolejno, — boję się nieszczęścia jakiego. Więc teraz, jeżeli państwu potrzebna służąca, możeby, pomyślałam — i mnie państwo wzięli? Mnie się od tego w głowie nie przewróciło, że przez dwanaście lat nazywali mnie: panią Jacentową, choć nią nie byłam. Niech Bóg broni! Ja pamiętam, że jestem *brodiaga* [1]) tylko; ja niepomniaszcza przecie; ja znam swoje miejsce. Niech państwo darują, żem jak gość usiadła. Ja wiem, że pan słyszał od Jacentego i złe i dobre o mnie, to prawda; on nigdy nie skłamie. Ale od czasu, jak on mnie wziął do siebie, nic przecie złego nie mógł o mnie powiedzieć! Tylko to jedno, że nie chcę mu powiedzieć — kto jestem. O mój Boże jedyny! czyż ja nie chcę? Ja nie mogę tylko, bo się boję o niego.

Zły duch mnie pobudził, czy Bóg wielki taką mi karę naznaczył, żem poszła brodiażyć. Ale ja nie wiedziałam, co to znaczy, ja miałam siedemnaście lat wtedy, gdym szła do katorgi. A tam, w katordze, mówili to wszyscy, straszne rzeczy się dzieją, tam dla człowieka niema ratunku, tam piekło, tam do reszty ludzie dusze

---

[1]) Włóczęga; polski wyraz jednak, tylko pod pewnym względem odpowiada znaczeniu: *brodiaga*.

zatracają. I dostałam się do drugiego piekła, może gorszego niż katorga. A on mnie przecie wyratował, więc czyż mam gubić go za to? Nie mogę mu powiedzieć, kto jestem, bobym mu życie zatruła i przeklątby mnie i siebie i godzinę, w której poznaliśmy się, a może i rękę podniósł na swą głowę niewinną? O, bo on taki, twardy na ludzi, ale i na siebie także, jak inny i na drugich nie będzie. Ale dla państwa wszystko jedno przecie, kto — ja?

Biorą tu wszyscy na służbę posieleńców, o których nikt nic nie wie, a o mnie przecie państwo wiedzą, że nie ukradnę, nie upiję się, z domu nie wyniosę. Ja gotuję i piekę dobrze, — ciągnęła, zwracając się do żony, — prasuję ładnie, ja wszystko umiem. Ja jestem bardzo mocna. Sto sztuk bielizny w jeden dzień wypiorę, a choć teraz źle wyglądam, ale słaba nie jestem i robić mogę. Może z początku i nie spamiętam co odrazu, ale jak pani drugi raz przypomni, już nigdy nie zapomnę. Jabym nie ośmieliła się przyjść, gdybybym nie doznała tego, com przeniosła, zanim Jacenty wziął mnie do siebie: wtedy młoda byłam, a straszno wspomnieć o tem, więc teraz boję się ludzi, straszno mi, gdy spojrzę i widzę, co się dzieje na świecie. A ja tu jedna jedniusieńka, oprócz Jacentego żywej duszy tu nie mam. A niech jeszcze, broń Boże, gdy długo miejsca nie znajdę, wyślą mnie do *ułusu*[1]), co ja tam z sobą zrobię? Boję się, żebym duszy nie zagubiła, rąk nie nałożyła na siebie? Nie dlatego, że mi życie drogie. O, mój Jezu, takie życie!

Ale ja muszę żyć, proszę państwa, muszę, — powtórzyła z naciskiem — więc, jeżeli Boga kochacie, nie odpychajcie mnie teraz, — kończyła z wysiłkiem, — weźcie choć

---

[1]) *Brodiahi* i zwykli osiedleńcy zazwyczaj są wysyłani do *ułusów*, ci jednak, którzy posiadają jakiekolwiek rzemiosło, lub otrzymują u kogokolwiek z mieszkańców miasta służbę, z łatwością uzyskują pozwolenie na pobyt w mieście.

na tydzień na próbę, ja nie służącą, ale psem wiernym dla was będę... z tłumionem łkaniem wyszeptała.

— — — Tegoż samego dnia wieczorem Hanusia przeprowadziła się do nas, przywożąc malutki kufereczek i również skromny węzełek z pościelą.

* * *

I „wdzięczne" to było stworzenie w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu.

Niezwykle czuła i wrażliwa, podobną ona się zdała do owego listka osiny, co drży od najsłabszego wiatru powiewu, ale, choć czuły na wszelkie zmiany, wytrzymuje i grunt nieżyzny i szarugi i zimna północy, wobec których karłowacieją i zwyrodniają się twarde i mocne dęby.

Wrażliwość jej była tak wielką, że poznawszy ją bliżej, trudno przychodziło określić, co jest najistotniejszą cechą jej charakteru? Czy siła i energja, które ujawniała na każdym kroku, czy piękno i symetrja, którym w zakresie swych obowiązków hołd, gdzie mogła i jak mogła, zawsze oddawała, czy wreszcie owa niezwykła wrażliwość, która, występując przed innemi cechami jej charakteru z większą wypukłością, sprawić mogła, że i p. Jacenty nie mylił się także, widząc w niej kobietę przedewszystkiem, „słabiznę wiadomą, kruchą z przyrodzenia".

„Wdzięczne" to stworzenie było jeszcze jak człowiek rozumne i p. Jacenty mówiąc, że i dowcipna też szelma, spojrzy ci w oczy bywało i już wie, co myślisz, również nie mylił się wcale. Będąc jednak domyślną, jak nieodrodna córa Ewy, a raczej jak każda istota własną wolą nie żyjąca, uderzała ona jeszcze dziwną łagodnością i delikatnością i p. Jacenty, nazywając ją „potulną jak jagnię" również nic nie przesadził.

To też już po kilku dniach jej pobytu u nas nie mogliśmy nie zauważyć, że w osobie niedoszłej „pani Ja-

centowej" otrzymaliśmy nie służącą, ale skarb prawdziwy i teraz dopiero, przyjrzawszy się jej lepiej, zrozumieć mogłem, dlaczego pytanie: kto ona? tak się dało we znaki p. Jacentemu.

Mając ciągle przed oczami istotę tajemniczą, patrząc na jej życie, będące jakby jednem ciągłem pasmem jakiegoś niepojętego zaparcia się siebie, pozbawione wszelkich najsłuszniejszych, najbardziej uprawnionych cech egoizmu, coraz częściej i ja zadawać sobie zacząłem to pytanie.

Bez przerwy, bez wypoczynku Hanusia pracowała od świtu do nocy, a gdy po paru dniach zrobiliśmy jej uwagę, że pracuje za wiele, że niektóre roboty są zbyteczne, inne zaś mogą być i bez pośpiechu wykonywane, Hanusia roześmiała się wesoło.

— Więc państwo są zadowoleni ze mnie?

— Naturalnie.

— No to i chwała Bogu! — zawołała radośnie — otóż mogę państwu powiedzieć, że takiej roboty wcale nie można nazwać ciężką i jeżeli potrzeba, mogę robić daleko więcej.

Siła i energja Hanusi rzeczywiście były niezwykłe: pracując bowiem od rana do nocy, pracowała zawsze lekko i zwinnie bez śladu zmęczenia, z artyzmem, jakiego jeszcze nigdy w tej sferze nie widziałem. Twarz jej wtedy nietylko nie męczyła się, ale dziwnie promieniała szczęściem jakiemś, radością niepojętą, tak że nieraz, przyglądając się jej, zadawałem sobie pytanie, czy nie z manjaczką jaką mamy do czynienia?

Ale nie! Często gdy Hanusia z zapałem pogrążała się w swą pracę i na pierwszy rzut oka mogło się wydać, że poza pracą ową nic już nie widzi i nie słyszy koło siebie, że o niczem jak o tej robocie, którą z taką precyzją wykonywa, nie myśli, zapytana o cokolwiek dotyczącego tejże roboty, podnosiła zdumiony wzrok i jak

człowiek, który długo wpatrywał się w odległą dal, nie odrazu może się zastosować do bliższej odległości i zmuszony do raptownego przeniesienia wzroku na bliższe przedmioty, mimowoli cofa się lub jednym rzutem odrzuca w tył głowę, ułatwiając pracę oczom, tak i Hanusia, zapytana o cokolwiek, mimowoli się cofała, aby zbliżyć się do najbliższego otoczenia, zejść na ziemię z tych jakichś krain dalekich, w których myślą swoją przebywała.

Im niespodzianej rzucano jej podobne pytanie, z im większym na oko zapałem zatapiała się w robotach, tem raptowniej cofała się przed pytającym, tem większe zdumienie zjawiało się w jej oku, a na twarzy, jaśniejącej przed chwilą jakimś zachwytem, zjawiało się coś, co było zawsze do przerażenia podobne.

Już po niedługim czasie nawet niezbyt uważny obserwator mógłby zauważyć, że praca nie jest celem Hanusi, że jej manjaczką nie jest ona wcale, ale że praca ta, wykonywana z takiem szczególnem zamiłowaniem, prawie że rozkoszą nawet, to środek, narzędzie w pojęciach tajemniczej kobiety.

— Dlaczego? z jakiej przyczyny? — pytałem sam siebie coraz częściej, odpowiedzi jednak na te pytania nie było.

Praca Hanusi, którą na pierwszy rzut oka dało się wziąć za pracę dla pracy, nie była też wykonywaną tak, jakby ją manjak podobny mógł wykonywać. Hanusia wnosiła we wszystko, co robiła, wdzięk niewieści, nie ten sztuczny, wychowaniem albo wolą wyrobiony, ale owo poczucie piękna i harmonji, któremi matka natura tak rzadko nawet wybranki swe obdarza i które to poczucie dzięki kaprysom tejże natury ujawnia się częściej może pod strzechą słomianą, niż w pałacach „sterczących dumnie“, siejąc wokoło zatracone ideały, budząc uczucia, w życiu ciężkiem już zanikające, ogrzewając swem ciepłem serca zastygłe.

Ileż to życia, pragnień nowych, radości nigdy nie doznawanych wnosi w ciche życie zapadłej wioszczyny taka krasawica, na jałowym gruncie nędznego żywota niespodzianie wykwitła?

Ona, jak skarbnik przysięgły, nietylko przechowa w czystości nieskalanej wszystkie najbardziej charakterystyczne wzory, barwy i ubiory ludowe, ale, jak mistrz artysta, samodzielnie je dalej rozwinie, wnosząc w nie nowe, a harmonijnie ze staremi nawiązane, pierwiastki.

Ona — otwarta księga pieśni, podań i baśni, które ze skrzętnością miłośnika zbieracza ze wszystkich wsi okolnych od bab najstarszych pozbiera, nową opowieścią zbogaci.

Ona, jak kapłanka znicza świętego, zachowa w pamięci i dzieciom przekaże każdy zwyczaj i obyczaj stary.

Ona, gdy matką i gospodynią, wniesie bogobojność w dom męża, wpoi wszystkie stare cnoty ludu rolniczego w dusze dzieci, wniesie miłość i zaufanie w stosunki z bliźnimi, a pracując bez wytchnienia, sprawi, że i na małem gospodarstwie robią się oszczędności, zjawia się dobrobyt i dla ludzi kilkorga słońce jaśniej zaświeci na ziemi.

Przekleństwo więc podwójne zbrodniarzowi, co ręką świętokradzką dotknie stworzenia wybranego i hańbiąc je, wyrzuca bez litości ze światka małego na brudne fale zbrodni i upadku ludzkiego! Przekleństwo podwójne! - powtarzałem, patrząc na Hanusię i im więcej się jej przyglądałem, tem uporczywiej myśli podobne powracały mi do głowy, tem częściej zadawałem sobie pytanie: kto ona?

Ale Hanusia była nietylko pracowitą, a w pracy tej artystką jakąś, była ona przedewszystkiem wrażliwą na wszystko złe i dobre, jak tylko czysta i wrażliwa dusza dziecka bywa.

Nieraz, dopóki nie poznaliśmy się wzajem lepiej,

gdy robiono jej uwagę jakąś, choćby uwaga ta wypowiedzianą była najdelikatniej, długie rzęsy Hanusi zachodziły łzami, drgały usta i widoczną było rzeczą, że tylko siłą woli wstrzymuje się ona od płaczu. Ileż to razy, dopóki nie dowiedzieliśmy się o tem, wstawała o trzeciej rano, aby przygotować nam błahostkę jaką, o którą ostrożnie przedtem wypytała; aby zrobić przyjemność małą, wywołać zadowolenie na twarzy, gotową zawsze była przesiedzieć noc całą, kryjąc się z tem starannie. Z początku tę jej gorliwość niezwykłą można było tłumaczyć sobie opacznie: zbyt wygórowaną miłością własną, żądzą pochwały, ciasną ambicją lub czemś podobnem i myśli takie przychodziły mi też czasami do głowy, wkrótce jednak wszelkie podobne podejrzenia prysły bezpowrotnie i Hanusia ukazała się nam w swem właściwem świetle.

* * *

Chcąc wymierzyć piec dla przygotowania sobie rusztu, potrzebnego mi do suszenia mięsa, wszedłem raz jakoś do kuchni w czasie gotowania obiadu. Zaglądając do pieca, nachyliłem się nad trzonem komina i mimowoli zajrzałem w stojące przy ogniu garnki. Podczas pobytu w Syberji nieraz wypadało być własnym kucharzem, byłem więc w tej sferze niezupełnym profanem i ze zdziwieniem niemałem ujrzałem w jednem z naczyń fusy od kawy, gotujące się wraz z kawałkami mięsa i włoszczyzny. Gdyby fusy gotowały się same, nie zdziwiłoby to mnie wcale, kawę pijaliśmy tu rzadko, w dnie uroczyste, a że właśnie dzień taki przypadał wczoraj, więc nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby Hanusia zapragnęła zużytkować rzadki specjał, co się zowie, do ostatka. Oszczędzania wszelakie były jej słabostką i nieraz zdumiewała nas ona dowcipnemi pomysłami, ochraniającemi naszą kieszeń, ale fusy z mięsem przechodziły granice nawet

Hanusinej oszczędności, śmiejąc się więc, zwróciłem się do niej, ukazując na dziwną potrawę.

Hanusia milczała.

Zdziwiło mnie to trochę, wysunąwszy się więc z pieca, powtórzyłem jej swe pytanie, ale Hanusia i teraz milczała i milczała zmieszana, zaczerwieniona po uszy, mnąc w ręku fartuszek, nie podnosząc i oczu na mnie.

— To... fusy — bąkać wreszcie zaczęła.

— Widzę, że fusy — odparłem, — ale naco zdać się może kawa z mięsem i kartoflami?

— Abo to... proszę pana, dla tej... dla „Jedwabnej Pajęczyny..."

O żadnej Jedwabnej Pajęczynie nic jednak nie wiedziałem, ale Hanusia już odzyskała przytomność i jednym tchem, widocznie, tem, co mówiła, gorąco przejęta, już mi objaśniała swą zagadkę.

— Ja wiem, że pan jej nie zna, ale ja ją znam, znam dobrze; ona jest bardzo biedna i nikogo już nie ma na świecie; to po jakucku ona tak się nazywa, dlatego, że cicha jest bardzo; ona po proszonym chlebie chodzi: latem to pół biedy jeszcze, w zimie najgorzej: rzadko kto nakarmi, po podwórzach kości zbiera, później je tłucze i gotuje, ale i to niełatwo, bo psy ją znają i prawie nigdzie na podwórze nie wpuszczą. Więc, proszę pana, co już jest najgorszego, obierzyny, okrawki, wymyję tylko i w jednym garnku dla niej gotuję, ona w zimie codzień do mnie przychodzi. Może więc... i w tych fusach... jest co posilnego, myślę, niechżeż się gotuje razem, później przecedzę, a ona smaku nie ma wcale, zje wszystko, aby tylko miękkie było.

Niedługo potem dowiedzieliśmy się, że nietylko zapomocą takiego rodzaju oszczędności pomagała ona głodnym: wszystko, co tylko zarabiała, wszystko, co dzięki swej pracy i zapobiegliwości oszczędzić mogła, Hanusia

oddawała biednym, a energja i skrzętność podwajały i tu jej nędzne środki.

Powoli dowiedzieliśmy się i o innych jej gościach. Bywał tu czasami i „Król", stały mieszkaniec oddziału warjatów przy miejscowym szpitalu, gdy za dobre sprawowanie *smotritiel* szpitala wypuszczał go na miasto. Hardy nawet w swej ciężkiej chorobie szlachcic nigdy nikogo nie odwiedzał, jedynie Hanusia umiała zyskać jego względy i tylko jej udawało się czasami nakarmić biedaka. Przychodził tu nieraz chyłkiem i „Wolny Obywatel", gdy w chwili upamiętania spostrzegał, że efemeryczną wolność swoją już ostatnią koszulą opłacał. Bywali i inni.

Hanusia pracowała wtedy po nocach. Szyła, reperowała, cerowała.

Nędza wszelaka, polska, russka i jakucka, nędza tem straszniejsza, że dzięki zimnom okropnym potrzebująca zawsze i odzieży i pokarmu w zdwojonej ilości — tuliła się pod opiekuńczą rękę biednej kucharki, pracującej wtedy z zaparciem się matki, której marzeniem najbliższem: w każdą wyciągniętą dłoń, na każde żądanie, włożyć kawałek chleba.

* * *

Nieraz miałem wielką ochotę wejść do kuchni, w czasie bytności tam któregokolwiek ze stołowników Hanusi, ale stanowisko jej w naszym domu wstrzymywało mnie zawsze od zaspokojenia tej ciekawości. Chcąc nie chcąc, musiałem poprzestać na obserwacjach zdaleka.

„Jedwabna Pajęczyna" przychodziła regularnie codzień wkrótce po obiedzie. „Król" w ciągu dwóch miesięcy był tylko trzy razy. „Wolny Obywatel", ponieważ w zimie prawie nigdy nie pił, zjawiał się zwykle w niedzielę. Być może, kiedyś dokładniej ich wam opiszę, teraz

zaznaczam tylko, że pomiędzy oberwańcami i żebraczkami, odwiedzającymi Hanusię, trójka ta tworzyła arystokrację, jakby stan osobny, szczególniej przez nią uprzywilejowany. Któregoś dnia, ku wieczorowi, gdy Hanusia zajęta była zwykłem poobiedniem myciem naczynia, dostrzegłem, jak „Jedwabna Pajęczyna“ pocichutku i ostrożnie wsuwała się do kuchni.

Jeżeli „Króla“ lub „Obywatela“ łatwo mogłem zrazić swą ciekawością, żebraczka jakucka z powodu mojej obecności skrupułów żadnych, na pewno, nie poczuje? pomyślałem i poczekawszy chwilkę, jak można najostrożniej wsunąłem się za nią.

W stancyjce, przylegającej do kuchni właściwej, Hanusia głośno coś szorowała, w kuchni zaś, przed jasnym ogniem komina, na ławce, tyłem do drzwi zwrócona, siedziała Jakutka ze sporym garnkiem na kolanach.

Powoli, nie śpiesząc się wcale, kończyła ona swoją porcję i tylko głośne mruczenie, podobne do mruczenia kota, zajadającego specjał, szczególniej przypadający mu do smaku, staranne, prawie kurczowe obejmowanie garnka, zbliżone do tego ruchu charakterystycznego, z którym dziecko obejmuje i zagarnia niespodzianie otrzymaną kupę łakoci, wskazywały, że jest to jedzenie niezwykłe, że je tu człowiek i dziki i głodny.

W miarę zbliżania się ku końcowi mruczenie Jakutki stawało się coraz głośniejszem, przerwy pomiędzy jedną a drugą łyżką coraz dłuższe i gdy nareszcie łyżka dotknęła dna garnka, żebraczka zabełkotała coś niewyraźnie:

„...*bert... bert... yczczygej...*“ [1]) zaledwie rozróżnić mogłem, ale cmokanie ustami, głośne mlaskanie językiem i bez słów wybornie tłumaczyły myśli Jakutki. Był to jednak wstęp tylko.

[1]) Bardzo, bardzo wyśmienite, doskonałe.

Powoli, w miarę jak spożyty pokarm i ogień komina rozgrzewać ją zaczęły, niezrozumiałe bełkotanie, wychodzące z zawiędłych ust żebraczki, przechodzić poczęło w dźwięki coraz wyraźniejsze, składając się wreszcie w zwykłą improwizacyjną pieśń jakucką, którą usłyszeć tu możecie na każdym kroku, zawsze i wszędzie śpiewaną na jedną i też samą monotonną i smętną nutę.

— Krzepnące członki moje rozgrzewa ciepło smacznego pokarmu — głosem drżącym i słabym zanuciła Jakutka.

— I ogień kominka łatwo już wlewa błogie życie w zastygłą krew moją.

Jakutka podniosła zamknięte powieki i wychudłe, pomarszczone, żółte swe ręce wyciągnęła do ognia.

— I skostniałe palce moje poruszają się teraz, jak w dnie wesołej młodości.

Jakutka zmrużyła oczy, wkrótce jednak znowu nucić zaczęła:

— Ale nie rozgrzałby mnie i nie ożywił jasny płomień *tit mas* [1]).

— Dobry *Aj Tangara* [2]), uchodząc przed mrokiem nocy, nie zapomniał o mnie.

— I z dalekiego zachodu rzucił mi promień srebrzysty.

— Promień jasny, srebrzysty — światło dni moich.

— Światło dni moich...

Ociężałe powieki Jakutki podniosły się jeszcze, ale oczy, widocznie już snem zmroczone, wypowiedziały jej swą służbę. Jakutka przestała śpiewać, tylko usta jej, poruszając się chwilę bezdźwięcznie i mrucząc coś niewyraźnie, wyszeptały raz jeszcze:

[1]) Drzewa modrzewiowego.

[2]) Wielki Bóg.

— *Anusià-kin, kin mine...* [1])

* * *

Hanusia była już u nas ze dwa miesiące. Zima miała się ku końcowi i słońce, oświecając coraz jaśniejszym blaskiem zasypane śniegiem przestrzenie, zwiastowało nam chwilę, oddawna przez nas oczekiwaną. Rzecz bowiem w tem, że jakoś pod sam koniec jesieni odebraliśmy wiadomość, że w miesiącu kwietniu nieodmiennie, a więc w zwykłym czasie przylotu bocianów, jakkolwiek ptak ów zacny w ziemi nadleńskiej nigdy nie przebywa, jeden z nich wyjątkowo, skąd należy wysłany zostanie ze specjalną misją przyniesienia nam Jaśka małego. To też ze zjawieniem się pierwszych dni jaśniejszych coraz częściej, coraz głośniej o przybyciu swego gościa mówić zaczęliśmy i w rozmowach tych nie mniej często, nie mniej głośno wspominaliśmy i o Hanusi.

W kraju, w którym brak uczciwej służby europejskiej jest tak wielki, że ogromna większość chętnie znosi brud i niechlujstwo Jakutek, aby tylko nie mieć do czynienia ze zdemoralizowaną służbą europejską, rekrutującą się przeważnie ze zbrodniarzy, przysyłanych tu na osiedlenie po wyjściu z ciężkich robót, służąca, podobna do Hanusi, była nieocenioną, a okoliczności, o których nadmieniłem, podnosiły jej wartość dla nas do stopnia najwyższego. Mówiąc więc o spodziewanem powiększeniu naszej małej rodziny, wyznaczaliśmy Hanusi poczesne miejsce wiernej i pewnej małego człowieczka dozorczyni, skrupulatnie łowiliśmy każdy szlachetniejszy rys jej charakteru, ciesząc się, być może zbyt egoistycznie, że ilość tych rysów z dniem każdym wzrastała.

[1]) Hanusia — słońce, słońce moje.

Z myślą, że w przyjęciu i pielęgnowaniu gościa naszego Hanusia będzie naszą najbliższą i najlepszą pomocnicą, zżyliśmy się jak z rzeczą nietylko naturalną ale i pożądaną, niezbędną; stosunki nasze z nią były jak najlepsze; Hanusia, zdawało się, przyzwyczajała się do nas coraz bardziej, stawała się nawet trochę weselszą.

Przygotowując się więc do najrozmaitszych ewentualności, nie przypuszczaliśmy wcale, że przedewszystkiem spotka nas zawód ze strony najbliższej: jak lawina zwaliła się na nasze głowy wiadomość, którą nam Hanusia krótko i węzłowato, a więc widocznie po dobrym i długim namyśle, wypowiedziała, że przy dziecku w niczem, nawet w najdrobniejszej rzeczy, pomocną nam być nie może. Wszelkie dopytywania i nalegania pozostały bez skutku; na wszystko odpowiadała ona jednem i tem samem: „nie mogę", a gdym wreszcie jako ostatniej broni użył argumentu, że my dwóch służących trzymać nie możemy, Hanusia długo mięła fartuszek, długo stała przed nami w milczeniu głębokiem, wzdychając ciężko, jak gdyby ciężarem wielkim przygnieciona, zanim odwróciwszy się od nas, wyrzekła głosem drżącym:

— W takim razie ja u państwa dłużej nie będę.

Była to niespodzianka dla nas bardzo przykra, to też po krótkiej naradzie postanowiliśmy przychylić się do jej żądania i wziąć niańkę do dziecka, ale i tu spotkaliśmy odmowę. Hanusia pod żadnym pozorem nie zgadzała się nawet na dozorowanie niańki. Napróżnośmy jej tłumaczyli, że dozorowanie takie będzie wyjątkowo wymagane i to tylko do czasu, dopóki niańki nie poznamy, wyczerpaliśmy wszystkie swe argumenty, a ona uparcie stała na swojem.

— Przecież wtedy trzebaby było, z początku szczególniej, i dziecko przewinąć i być przy kąpaniu i w razie potrzeby spać z niemi? — pytała.

— Naturalnie.

— Nie, nie mogę — odpowiadała stanowczo.

— Dlaczegoż u Pana Boga?

— Nie mogę — brzmiała ta sama odpowiedź.

— Ależ to kaprys ostatecznie — zawołałem rozdrażniony.

— Nie, nie kaprys — wyszeptała Hanusia, wybiegając z pokoju.

W pierwszej chwili, zbyt wyłącznie zajęci poplątaniem naszych powszednich spraw i planów, nie byliśmy w stanie zrozumieć, a nawet i nie zastanawialiśmy się nad tem, o co jej chodzi? W ostatnich jednak jej słowach dźwięczało tyle bólu, tyle rozpaczy, że mimowoli spojrzeliśmy po sobie i straszne przypuszczenie wydało się nam tak pewnem, iż i bez słów zrozumieliśmy się dokładnie. Przykro nam było niezmiernie; Hanusia chodziła tak smutna i zmieniona, że mówić z nią nie mieliśmy odwagi; że cierpi ona i cierpi wiele, było to rzeczą zbyt widoczną. W milczeniu podawała nam obiad, w milczeniu i pośpiesznie sprzątała ze stołu i później nie pokazywała się wcale. Oczywiście trwać to długo nie mogło; aby jak najprędzej przerwać nieznośną sytuację, postanowiliśmy całkowicie przychylić się do jej żądania i uwalniając od wszelkich obowiązków przy dziecku, przynajmniej na kilka miesięcy pozostawić ją u siebie. Wieczorem tedy, ze względu na zdrowie żony, miałem już sam jeden wejść z nią w pertraktacje i zanieść jej, jak sądziliśmy, radosną nowinę, że zgadzamy się na wszystkie jej żądania.

* * *

— I czy nie wstyd pani porzucać nas w tak ważnej chwili? — pytałem, wchodząc do kuchni.

Hanusia siedziała przy stole, na którym paliła się świeca łojowa, ale choć pytanie swe wypowiedziałem dość

głośno, odpowiedzi nań nie usłyszałem. Pomimo tak nieobiecującego początku podszedłem do stołu i mieszcząc się na drugiem krzesełku, spojrzałem na nią...

Siedziała ona nieruchomo i wspierając głowę na ręku, patrzyła na migotliwe światło świecy; gruby kopeć na knocie świadczył, że już dość długo tak tutaj siedzi; twarzy jej, zakrytej ręką z mojej strony, nie widziałem, po chwili więc, powtórzyłem znowu swe pytanie. Usunąwszy rękę, Hanusia odsłoniła twarz swoją tak zbladłą i tak silnie zmienioną, że zląkłem się nie na żarty, zapomniałem o swem pytaniu i dotykając jej ręki: „co pani jest?“ zapytałem.

Hanusia drgnęła, ale nieruchomo sterczące jej oczy, utkwione teraz we mnie, nie zmieniły swego wyrazu, nie ożywiły się choćby na jedno mgnienie.

— Co pani jest? — zapytałem więc z naleganiem. — Czy myśmy panią czem obrazili, proszę powiedzieć otwarcie, ja właśnie przyszedłem pomówić o tem — i targnąłem ją silniej za rękę.

— Nie wiem, — odpowiedziała mi wreszcie, otrząsając się jakby ze snu obudzona, — nie wiem, co się ze mną dzieje — powtórzyła pocichu.

Zacząłem jej wtedy wyrzucać, że tak drobnym sprawom nadaje wagę tak wielką, tem bardziej, że wszystkie te troski są przedwczesne, gdyż ostatecznie zgadzamy się zatrzymać ją i nadal i niańkę dobrą wyszukamy i powtórzyłem wszystko, com mógł jej w tym względzie powiedzieć, wyjaśniając obszernie, dlaczego na jej odejście zgodzić się nie możemy.

Słuchała mnie ona bardzo uważnie, ale w miarę tego, jakem mówił, jak mnie rozumieć zaczynała, że, aby ją utrzymać, zgadzamy się na pewne, w naszych warunkach dość znaczne ustępstwa, smutnieć mi coraz widoczniej zaczęła, cierpienie, rozlane na jej twarzy, przechodziło w jakiś strach niepojęty i to, com sądził, że sprawi jej

radość prawdziwą, widocznie zadawało jej ból wielki: budziło w niej trwogę, do przerażenia dochodzącą.

Bez wątpienia, stałem przed tąż samą zagadką, o którą kiedyś tak haniebnie potknął się mój scartabellus i opowieść jego żywo zarysowała się w mej pamięci.

Rzeczywiście, pod koniec mojej mowy Hanusia nie słuchała mnie już wcale i gdym skończył, opanowana całkowicie przez swe własne myśli, wyszeptała, więcej sobie niż mnie, odpowiadając: „O, mój Boże, jakżem ja nieszczęśliwa". Zacząłem ją wstydzić, że z muchy słonia robić zaczyna, ale Hanusia nie dała mi skończyć.

— Czyż nie nieszczęście, — tłumaczyła mi poruszona, — kto mnie tylko przytuli, kto mnie przygarnie do siebie po ludzku, złem każdemu odpłacić muszę? — I składając ręce, jak do modlitwy, ciągnęła z błaganiem: „Jeżeli Boga kochacie, ludzie drodzy, nie gniewajcie się na mnie, ale tak jest, że ja i u was teraz być dłużej nie mogę, ja wcale nie mogę zostać, — mówiła z jakąś rozpaczliwą mocą, — choćby państwo i drugą wzięli, bo ja tylko tak powiedziałam, ja myślałam, że państwo nie zgodzą się na to i każą mi odejść, a wy? O, mój wielki Boże, co pomyślicie teraz o mnie? Za przytułek tak odpłacić muszę... Ale ja nie mogę, nie mogę, Bóg wielki mi świadkiem, nie mogę"... z trudnością dociągnęła Hanusia i łkanie tłumione przerwało jej mowę.

Zacząłem ją uspokajać, tłumaczyć, jak mogłem i umiałem, że i tego ostatecznie za złe jej nie weźmiemy, jeżeli nawet wcale nie zostanie; niech się więc teraz uspokoi, nie może pozostać, to trudno, „w każdym razie, kończyłem, wierzymy szczerze, że gdyby pani mogła, to zostałaby u nas i za odejście zapewniam, żalu mieć nie będziemy".

Radość przelotna oświeciła jej twarz stroskaną.

— Więc państwo nie będą się gniewać na mnie? — zapytała, patrząc na mnie z taką naiwną wdzięcznością, jak gdybym wyświadczył jej dobrodziejstwo największe.

— Ależ naturalnie.

— I wierzą mi, że gdybym zostać mogła, tobym została?

— Wierzymy najzupełniej.

Hanusia rzewnie zapłakała.

Z początku płacz ten wydał się mi naturalny: ale radość, która przelotnie z poza łez błysła mi na jej twarzy, znikała prędko, płacz rzewny i spokojny przechodził w ciężkie łkanie wewnętrzne, na twarzy znowu wybijać się zaczęły cierpienie i trwoga.

Zmęczony tedy całą tą sprawą, widząc, że nie trafię z nią do ładu, postanowiłem dać pokój wszelkim rozmowom i powiedziawszy jeszcze słów kilka, ruszyłem ku drzwiom. Hanusia jednak z niezwykłą żywością zerwała się z krzesełka i zagrodziła mi drogę. Dziwna ta kobieta stała teraz przede mną zupełnie przeobrażona: łzy znikły; oko suche ogniem gorzało; słowa jej rwały się i plątały, ale myśl, która ją opanowała przebijała ze słów tych wyraźnie.

— O, mój panie drogi, — wołała ona, to zagradzając mi rękami drogę, to wyciągając je ku mnie błagalnie — niech pan tak nie odchodzi ode mnie. Straszno mi znowu. Boję się teraz znowu — szeptała, powodząc wokół rozszerzonym wzrokiem. — Jeżeli Boga kochacie, panie drogi, darujcie mi, że ośmielam się tak mówić, ale jeżeli pan tak odejdzie, będzie to straszna kara dla mnie. Co wy pomyślicie o mnie? Niech pan tak nie odchodzi ode mnie. Straszno mi. Boję się samej siebie. Wszystkiego się boję, panie jedyny. Ja oczu teraz nie śmiem na was podnieść, ale boję się tak zostać, boję się! — krzyknęła, padając na kolana i przychylając się do nóg moich.

— Jeżeli Boga kochacie, zlitujcie się nade mną — jęczała, — ratujcie mnie, bo ja bardzo nieszczęśliwa... ja wielka zbrodniarka...

Tylko na twarzy dziecięcia, dręczonego nieludzkiemi

wymaganiami starszych, zobaczyć możecie ów wyraz niemego przerażenia, który zapanował na twarzy Hanusi. I jak owo dziecię osierocone, nękane przez opiekunów nieludzkich, dopóki pod grubym pancerzem przewrotności i spodlenia nie zatraci w sobie czystych popędów człowieczych, z wiarą wyciąga ręce do każdej twarzy przyjaźnie uśmiechniętej, — tak i Hanusia z wiarą, jeszcze w tej duszy niewygasłą, błagała, jak o łaskę największą, o kroplę współczucia, widząc w niem ratunek jedyny i jak ów człowiek tonący, co nierozważnie chwyta brzytwę ostrą, aby zginąć tem bezpowrotniej, chwytała się oburącz za litość, za współczucie dla niedoli, które były i długo jeszcze zapewne będą — ową brzytwą nierozważnie przez nieszczęśliwych chwytaną.

Szczerze więc żal mi jej było. Ale czego ona tak się boi? Co ją tak straszy, jak i czem jej pomóc mogę? myślałem zakłopotany i myśli swe głośno wypowiedziałem.

— Wszystkiego się boję — szeptała Hanusia - wszystkiego — powtarzała z nieopisaną trwogą, oglądając się wokół. — Ale wy mnie nie przeklniecie! — błagała mnie, znowu wyciągając do mnie ręce. — Ja dla was cudza przecie? Ja wam nic złego nie zrobiłam, jabym, jak pies, do końca życia wiernie wam służyła, więc wysłuchajcie mnie teraz! — — —

...O, mój Boże jedyny, pomóż mi.

O, mój panie, ja nie wiem, jak was prosić, żebyście nie odepchnęli mnie teraz? Panie drogi! Jacenty za to mnie wypędził, żem mu powiedzieć nie chciała: kto ja? Ale ja chciałam mu powiedzieć, życiembym za to nałożyła, żeby móc mu powiedzieć wszystko, ale ja prawa nie mam nato, — jęczała żałośnie, — ja w niczem sobą rozporządzać nie mogę. Jestem jak nieme stworzenie, co o sobie przemówić nie może... Więc zlitujecież się nade mną!

Żebym ja siłę miała, żebym rozum miała, nie uciekałabym do dobrych ludzi, byłabym tam, gdzie mi

Bóg miejsce wyznaczył, znosiłabym i pogardę ludzką w pokorze. Ale tam ciężko... bardzo ciężko — skarżyła się z bólem wielkim — jabym tam ręce na siebie nałożyła, jak już nakładałam, kiedy w mocy złego byłam, a zabijać się, przecie grzech taki wielki, jak i zabijać, prawda panie? — pytała, łzy ocierając. — Zagubiłabym już wtedy duszę na wieki, a ja muszę żyć, dopóki Bóg wielki tego zechce.

Teraz straciłam głowę; nie wiem co robić z sobą, ale muszę wszystko powiedzieć...

O, mój Boże! Kiedy Jacenty wypędzał mnie od siebie, ja żal nawet czułam do niego, bo nie wiedziałam nierozumna, że to opatrzność Boska czuwa nade mną, bo co jabym nieszczęśliwa robiła, gdyby on powiedział mi kiedyś, że weźmie mnie za żonę, mnie niepomniaszczą, że o nic pytać mnie nie chce? Musiałabym mu wtedy wszystko powiedzieć i zagubiłabym i jego duszę niewinną. Ale wy, drodzy ludzie, dla mnie obcy, dla was wszystko jedno: kto — ja? To was nie hańbi przecie, żem u was służyła? Ja pójdę od was, ale wysłuchajcie mnie teraz... Ja was nie z własnej woli porzucam...

* * *

Gdy nareszcie Hanusia uspokoiła się trochę i usiadła na krzesełku, była ona tak wstrząśniona postanowieniem, które, może najniespodzianiej dla samej siebie, pod wpływem chwili powzięła, że obawiać się zacząłem, jak ona zniesie i czy wogóle jest ona teraz w stanie znieść wyznanie całej prawdy o sobie, jeżeli sama myśl, samo przygotowanie się do tego wyznania poruszały ją tak głęboko!

Siedziała ona teraz przede mną do siebie nie podobna.

Jak wyniosły nasz białodrzew, gdy przed późną burzą jesienną krótki poryw huraganu wstrząśnie nim aż

do posad, traci odrazu liści tysiące i gdy ścichnie poryw gwałtowny i cisza nastanie chwilowa, drzewo rozłożyste, gęstą zielenią jeszcze przed chwilą umajone, świeci obnażonemi konarami, okazując swą niemoc przed żywiołów potęgą, stoi przed zbliżającą się nawałnicą bezsilne, z przestrachu oniemiałe, — tak Hanusia, huraganem uczuć wstrząśniona, siedziała teraz przede mną niema i bolejąca. Drżało przed burzą całe ciało nieszczęśliwej, zwisła bezsilnie jej głowa stroskana i gdyby nie ciężki jej oddech, nie gwałtownie rozszerzone źrenice, trudno byłoby domyślić się, ile uczuć bolesnych pierś tę rozsadza, ile myśli ciężkich głowę tę przytłacza do dołu.

I patrzyła ona na niewidome rany duszy swojej źrenicą sczerniałą, jak i toń wodna w noc ciemną nie czernieje, i jak owo drzewo, z liści ogołocone, wichrem potężnym do podstaw wstrząśnione, stoi drżące przed potęgą żywiołów rozpasanych, stała i ona przed burzą, w jej duszy powstającą, skulona, drżąca i osłabiona i burzy tej wstrzymać ani siły, ani woli już nie miała. Znikły one wobec przeszkody może urojonej i zwierzę towarzyskie, choć nielitościwie przez stado ludzkie tratowane, biegło znowu ku temu stadu z duszą otwartą.

Poco? pytała myśl natrętna. Poco, poco? pytała coraz natarczywiej.

* * *

W surowej ziemi nadleńskiej, wśród ludności jakuckiej, skądinąd bardzo łagodnej, istnieje taki barbarzyński zwyczaj:

„Nieszczęśliwego konia (opowiada badacz stosunków miejscowych), skazanego w zimie na zabicie, wprowadzają do jurty, w której zbiera się cała rodzina gospodarza i wielu sąsiadów dla udziału w tak ważnej sprawie, ważnej dlatego, że każdy nietylko naje się na cudzy koszt, ale i otrzyma jeszcze kawałek mięsa w podarunku. Komin

pali się jasno, a gdy konia, po związaniu mu nóg i przyciągnięciu ku nim głowy zwalą na ziemię, widzowie stają na ławki i stołki. Jakut rzeźnik, nie zabijając konia, rozpruwa żywemu zwierzęciu po tak zwanej białej linji brzuch, na ćwierć łokcia lub więcej i rozpruwszy, zasuwa gołą rękę w otwarty brzuch zwierzęcia i szuka, nieraz długo szuka, żyły wrotnicą zwanej *(vena portarum)*. Znalazłszy, ciągnie ją silnie do góry, dopóki nie pęknie. Spływającą wtedy krew ciepłą zbierają w naczynia i piją. W męczarniach koń zdycha pół godziny lub i dłużej. Jak zaś srogie są męczarnie taką śmiercią zadawane, można sądzić ze słów samych Jakutów, którzy powiadają, że koń wówczas płacze łzami, jak człowiek i stękając rży głosem źrebięcia".

Tyle jest słów męża uczonego o barbarzyństwie jakuckiem.

Ilekroć razy jednak przypomnę sobie, z jaką odrazą, ze wszelkich cech litości wyzutą, spotykamy ludzi już swem zewnętrznem pohańbieniem najsurowiej ukaranych, już w ciężką niedolę na długo pogrążonych, ludzi, którzy już często nic okrom prawa na litość nie mają, którym ową litość my sami i głośno w swych prawach i wierzeniach i pocichu w swych sumieniach codzień uroczyście gwarantujemy, aby codzień i przed Bogiem i prawem i własnem sumieniem kłam swym obietnicom zadać — ilekroć razy przypomnę sobie to wszystko, wydaje się mi zawsze, że społeczeństwa ludzkie w rozwoju swych uczuć humanitarnych podobne są jeszcze do owego tłumu jakkolwiek głodnych ale i dzikich zarazem ludzi, co żądni pokarmu, widząc łzy, z oczu niemego stworzenia płynące, nie czują i nie rozumieją ani wielkości bólu, który te łzy wyciska, ani też tego, że bólu owego oni sami — sprawcami najbliższymi.

IV.

Wątpię czy istnieje na świecie instytucja, oparta na głębszej psychicznej znajomości człowieka, niż spowiedź. Prawda, wypowiedziana tak krótko i dobitnie przez filozofa greckiego, została po mistrzowsku zrozumianą przez ojców kościoła. Tylko przez spowiedź „zwierzę towarzyskie“ i w najniższych swych warstwach i w najbardziej wydziedziczonych sferach ma prawo dochodzić swego człowieczeństwa.

Jeżeli zważymy, że prawa tego nikt już nigdzie nie odrzuca, że o prawie podobnem nikt nigdzie nie wątpi, to, zastanowiwszy się nad tem, przyznać musimy, że jest ono potężną moralną zdobyczą wydziedziczonych.

Człowiek starożytny, posiadając wiele arcypięknych praw, był jednak w tym względzie bardziej upośledzony. Trzeba było być Prometeuszem, aby uzyskać możność do wołania wobec martwej przyrody: „Góry, wichry, i gromy, patrzcie, krzywda się mi dzieje“! Ale i Prometeusz mógł się tak skarżyć nieinaczej, jak wydany na łup sępom i krukom, przykuty do skały niebotycznej.

Dziś prawo to posiada cały świat chrześcijański; jeżeli jednak tak się stało, jeżeli z prawa tego świat ów w osobie swych najnieszczęśliwszych przedstawicieli pełną dłonią czerpie otuchę i krzepi się i uszlachetnia duch ludzki, choć słabnie i wyniszcza ciało, stało się tak dzięki temu mianowicie, że potężna ta instytucja oparła się

w swym rozwoju na najbardziej naglącej, najbardziej palącej potrzebie wydziedziczonych: oprócz aktu samooskarżenia się i skruchy dopuściła i akt oskarżenia.

Zasługą ojców kościoła jest wielką, że w danym razie pominęli mniemania takich nawet powag, czystych duchem, jak Tomasz Kempijski, wedle którego: „cała wymowa żałującego za grzechy winna się zawierać w żalu za owe grzechy, a nie w określeniu takowych".

Zasługa ojców świątobliwych jest tem większą, że mniemanie Tomasza Kempijskiego ma za sobą wszystkie pozory prawdy. Są to jednak tylko pozory, słowa bowiem powyższe są prawdziwe, ale w zastosowaniu do bardzo niewielkiej garstki wybranych ludzi. Do ludzi, którzy nietylko wielokrotnie za grzechy swe żałowali, ale żałując, mieli czas i możność przekonać się, że w walce z pokusami wola ich nie ulegnie, że głodni — nie ukradną, policzkowani — drugą twarz nastawią, krzywdzeni — tylko nad krzywdzicielami, jak Chrystus nad Jeruzalem — zapłaczą.

Takim czystym człowiekiem był Tomasz Kempijski i wielki znawca duszy ludzkiej zapisał słowa powyższe, biorąc przykład z siebie.

Na świecie szerokim pośród zwykłych śmiertelników dzieje się inaczej i ideał spowiedzi chrześcijańskiej — spowiedź głośna — mógł się utrzymać tylko w pierwszych wiekach chrześcijaństwa.

Wtedy wszyscy nawracani przez sam akt nawrócenia się stawali się czystymi. Wszystko poprzednie, wszystko złe mogło być wyliczanem, recytowanem, bez żadnych określań; im człowiek był gorszym tem lepiej, tem większą łaska Boska, otwierająca oczy zatwardziałemu grzesznikowi. Oskarżano się więc głośno, publicznie i żądanie Tomasza Kempijskiego wówczas mogło być najszerzej uwzględniane. Czy jednak nie oskarżano i wtedy?

Oskarżano, ale pośrednio, oskarżano cały świat pogański.

Gdy runął ów świat — widoma i najbliższa przyczyna upadku człowieka — słabość ludzka zapewne coraz wyraźniej występować zaczęła przedewszystkiem na spowiedziach głośnych. Grzesznicy i zbrodniarze, przyznając się do występku, zaczęli pleść duby smalone i o tem, co wcale do rzeczy nie należało.

Zaszła wtedy w nowej instytucji reforma bardzo doniosła: spowiedź głośna zamienioną została na spowiedź cichą.

„Góry, wichry i gromy, patrzcie, krzywda się mi dzieje"! wołał kiedyś głośno Prometeusz i nikomu do głowy nie przychodziło zabraniać mu owego krzyku. „Boli go, dlaczegoż więc krzyczeć nie miałby"? rozumował Olimp dobrodusznie. Krzyczał więc głośno Prometeusz, a wichry i burze rozniosły jego skargi żałosne i, jak wiemy, sprawa skończyła się dość skandalicznie.

Był to jednak wypadek, że tak rzekę, oderwany. Świat starożytny wydał tylko jednego Prometeusza. Jeżeli jednak wtedy, bez względu na przyzwoitość otoczenia, skutek okazał się dość niepożądanym, cóżby się stało z ludzkością, gdyby każdy oberwaniec zaczął korzystać z prawa, z którego w starożytności korzystał wyjątkowo jeden człowiek, gdyby każdy otrzymał prawo zawodzenia swych skarg i żalów głupich?

W stosunkach ludzkich zapanowałby chaos, a najważniejszy warunek spowiedzi — szczerość, byłby wystawionym na najcięższą próbę.

Mądrość ojców kościoła kunsztownie pogodziła humanitarne dążenia chrystjanizmu z wymogami przyzwoitości społecznej.

Rzeczywiście, wtedy, gdy jeden Prometeusz narobił kiedyś swym krzykiem niemało rwetesu na świecie, dziś, codzień miljony, jakkolwiek nie Prometeuszów, aleć

zawsze żywych ludzi, skarży się na los swój i, znalazłszy żądaną pociechę, odchodzi w skrusze i pokoju.

Krzywdy ludzkie, łzy sieroce stają się wiadome tylko jednemu Bogu; a my, zasypiając, spokojnie powtarzać możemy i jak marjonetki drewniane codzień powtarzamy: „... i odpuść nam nasze winy..."

Wobec naszego stosunku do ludzi winnych często, ale już ukaranych, a więc już bardzo nieszczęśliwych, wobec tego jednego tylko stosunku słowa powyższe są świętokradzkiem naigrawaniem się z najwznioślejszych zasad chrystjanizmu, zbrodniczem urąganiem zasadom wszelkiej moralności.

Jak więc ja przyjmę jej skargę serdeczną?... Czym godzien zaufania, którem mnie ta nieszczęśliwa darzy? Czy będę mógł sumiennie spełnić obowiązek, którego poczucie nawet, zwaliwszy go oddawna na Boga, zupełnieśmy w sobie zatracili? Czy będę mógł być dla niej bratem i nie warknę jej, jak każdy kundel, stojący na straży naszej moralności zdawkowej, warczeć umie: „wszakżeś ty zbrodniarzem"?... myślałem, patrząc na Hanusię i myślałbym długo jeszcze, gdyby, zaczynając swą spowiedź, nie przerwała mi ona tych rozmyślań...

* * *

...Nazywam się Marja Bijska — zaczęła Hanusia — jestem z miasteczka Dąbrowy. Ojciec mój, jak i dziadek także, był ślusarzem, bo wszyscy mieszczanie dąbrowscy zdawiendawna ślusarstwem się zajmowali. Ojciec chodził do szkół i cztery klasy skończył, chciał i dalej się uczyć, ale że jeden był u dziadka, więc dziadek nie pozwolił i wziął go do rzemiosła. Dziadek poważanie wielkie miał w naszem mieście, a w życiu surowy podobno był niezmiernie.

Takim też był i mój ojciec nieszczęśliwy.

Dla siebie, dla swoich surowszy bywał, niż dla obcych; kiedy nieraz czeladnikowi i to i drugie przepuści, bratu, choć on jeden u ojca, nic nie daruje.

Ojciec był zamożny, nawet bogatym go nazywali, ale brata także, gdy skończył cztery klasy, wziął do domu i w kuźni, a później i przy warsztacie postawił. Brat, mając lat osiemnaście, zaziębił się i umarł.

Po jego śmierci ojciec i kuźnię i warsztat zamknął, czeladź i terminatorów oddalił i smutno i głucho zrobiło się u nas.

Ja wtedy dopiero sześć lat skończyłam, ale kiedy już podrastać zaczęłam, ojciec uspokoił się trochę i matka coraz częściej namawiać go zaczęła, żeby znowu i kuźnię i warsztat otworzył, ale ojciec ani słyszeć o tem nie chciał. I cóż to za warsztat będzie, przy którym sam gospodarz nie stanie, — mówił zawsze — dokołaczemy więc już tak do końca, chyba kiedy oto Marylka dorośnie, a kowal albo ślusarz jej się trafi, wtedy może jeszcze i nam młoty choć przed śmiercią zadzwonią. — — —

— Oj zadzwoniły ci, ojcze drogi, ale kajdany dziecka wyrodnego — zawiodła z bólem Hanusia, przerywając na chwilę swe opowiadanie...

...Dziesięć lat miałam, kiedy do szkółki chodzić zaczęłam; nauczyłam się tam czytać i pisać i arytmetyki trochę. Ojciec na tem chciał skończyć, ale wtedy właśnie córka jednego obywatela założyła u nas pensję, więc choć tam i nie wiele więcej uczyli, niż w naszej szkółce, w której i chłopcy i dziewczęta uczyli się razem, ale wszyscy zamożniejsi odbierali dziewczyny ze szkółki i oddawali na pensję. Zrobiła to samo i matka. Nawet po francusku tam się uczyłam.

Ojciec nie chwalił tego, ale kiedy matka nie posłuchała go i posyłać mnie tam zaczęła, pilnował teraz, żebym w domu do każdej roboty potrochu się przyzwyczajała.

Robiłam więc wszystko, choć i służące mieliśmy, podłogi myłam i ziele dla świń rwałam, ale robota ta zawsze była więcej zabawą.

Niemałom ja nad tem przemyślała, czy mnie co zgubiło, czy też zła i grzeszna byłam z urodzenia, ale sama niczego dociec nie mogę.

Bo choć ojciec był zamożny, mnie to wcale nie obchodziło, nigdym nad tem nie myślała, czy ja będę bogata, czy biedna i gdyby nie to, że przypadkowo dowiadywałam się o tem, to i do dziś nie wiedziałabym, czy ojciec miał majątek, czy nie? Pensja tem bardziej zepsuć mnie nie mogła, bo ja sama, jeżeli i miałam chęć do niej, to chyba dlatego tylko, że i tańczyć nas tam uczyli i robót ładnych, ale we wszystkiem innem naszą szkołę zawsze wolałam. Tam i dziewczyny i chłopcy uczyli się razem i bawili się też razem, a za zabawami temi w ogień bym poleciała. To była wtedy największa zaguba moja. Nic nie pamiętam, bywało, o świecie Bożym zapomnę, kiedy zobaczę, jak grają w piłkę, w zająca, w chowanego.

Teraz widzę, że i na pensję matka oddała mnie dlatego, że myślała, iż przez to prędzej się upamiętam, prędzej odzwyczaję się od ciągłego latania z chłopcami.

— Ale nic to nie pomagało. — Nieraz dopóki mniejsza byłam i pobiją mnie i w błocie wywalają, ale choć z płaczem odejdę, na drugi dzień znowu toż samo. Bo choć lubiłam się bawić wogóle, przepadałam za zabawą z chłopcami ze szkółki naszej. Oni bawili się zawsze inaczej niż dziewczynki, zawsze lepiej, weselej. Tyle tam zawsze u nich krzyku, śmiechu i radości.

— „Łapaj"! — krzyknie bywało Józek, co rej wodził na naszych zabawach, — a we mnie aż się zatrzęsie wszystko, zdaje się, dusza ze mnie wyskoczy, drżę cała i lecę wtedy naoślep. Rów — nie rów, błoto — nie błoto, — niczego już nie widzę, o jednem myślę, żeby nie zostać na końcu, bo ośmieją mnie wtedy, wypędzą, ale jeżeli dolecę pierwsza

albo złapię kogo, a Józek głośno mnie pochwali i do nowej zabawy narówni z chłopcami postawi, to już nie zamieniłabym tego na najlepsze rzeczy na świecie: na bajki najstraszniejsze, na pierniki najsłodsze.

Dziką kozą mnie wtedy przezywali i dziką byłam prawdziwie. Czego już matka za mną nie robiła, ile postów za mnie nie wypościła, na ile odpustów mnie nie ofiarowała! Wszystko naprożno.

Latem było ze mną mniej kłopotów, biegałam z dziewczynkami do kąpieli, do lasu po jagody, do leszczyny po orzechy. W zimie za to gorzej; nawet na ślizgawkę latać zaczęłam. Staw był daleko za miastem, duży i szeroki i jak zamarznie, jak jedna tafla szklanna, jak polecę tam bywało, zapomnę o wszystkiem: i o poprawie swojej i o matce i o gniewie ojca.

Nie było psoty, do którejbym chłopcom sama się nie naprosiła: na najdłuższych żerdziach, na których i chłopcy nie wszyscy huśtać się mogli, na najwyższych płotach się huśtałam i po gzymsach w środku cały kościoł nieraz obchodziłam, nawet łyżwy swoje miałam.

Matka płacze, bywało, gdy mnie odnajdzie gdzie za stodołami w kupie chłopców zaszarganą, zabłoconą. Kryję, żeby ojciec mnie wtedy nie zobaczył, bo choć na oko nigdy się on bardzo nie gniewał, ale jak się nachmurzy, jak powie surowo słów kilka, matka długo chodzi potem jak struta. Więc i mnie, kiedy z matką idziemy, serce zamiera ze strachu, przyrzekam wtedy poprawę, ale na drugi dzień, jak tylko dzieci zobaczę, znowu o wszystkiem zapomnę. Zła widać byłam.

W domu, prawda, byłam i posłuszna i pracowita i — co ojciec najbardziej lubił — nigdym nie kłamała; żebym nie wiedzieć co zrobiła, nie wiedzieć gdzie latała, czy z chłopcami puszczać żydom kota do bóżnicy, czy do cudzego sadu po agrest i porzeczki, powiedziałam zawsze.

ale też i na tem wszystko się kończyło; usłyszę śmiech, zabawę i znowu o wszystkiem zapomnę.

Tak szło do lat trzynastu bezmała. Wyrosłam duża, jak matka prawie i chociaż niezmiernie chuda, byłam tak mocna i zdrowa, że z pomiędzy chłopców rówieśników tylko jeden Józek mógł mi dać radę. Wtedy właśnie w życiu mojem zaszła pierwsza zmiana.

Zdarzyło się, że na jednej z wojen, urządzanych przez chłopców miejskich, któregoś z nich tak nieszczęśliwie uderzono kamieniem, że chłopiec wkrótce umarł. Wszystkich w mieście obeszło to bardzo, a ojciec, dowiedziawszy się, że i ja tam byłam i nawet z dobrym sińcem wróciłam do domu, rozgniewał się na mnie tak, jak się jeszcze nigdy nie gniewał, nawet uderzył mnie wtedy.

Na drugi czy na trzeci dzień potem była niedziela. Po powrocie z kościoła już siadaliśmy do stołu, kiedy ojciec zawołał mnie do siebie i kazał powiedzieć, co ksiądz mówił na kazaniu? Nie wiedziałam. A dlaczego nie wiedziałam, sama i do dzisiaj nie wiem. W kościele się nie oglądałam, nabożeństwa pilnie słuchałam, ale jak z temi figlami, jak z tą latanina, kiedy i sama nieraz nie wiedziałam, w jaki sposób wyleciałam z domu pomiędzy dzieci do chłopców, tak i w kościele także.

Słucham, bywało, nabożeństwa lub kazania i modlę się szczerze do Boga, żeby mi dał pamięć na przestrogi rodziców i rozum większy, proszę swego anioła stróża o pomoc i opiekę, zdaje się, żadna zła myśl do głowy mi nie przychodzi i przyjść nie powinna, ale podniosę oczy czy tak na ołtarz, czy w czasie podniesienia i spojrzę niespodzianie na obraz jaki albo na chorągiew którą i odrazu przepadnie — jak kamień w wodzie — i modlitwa moja i pamięć moja.

Na chorągwi, stojącej przy ławce, w której matka siadała, był namalowany święty Wojciech, ale spojrzę, bywało i czy mi w oczach się mieniło, czy złe już i wtedy

mnie oplątało, bo spojrzę i śmiech pusty ogarnie mnie odrazu, taki... daruj mi, Boże wielki, głupotę dziecinną... taki dziwny, taki... śmieszny ten święty Wojciech na chorągwi. Twarz odęta, czerwona, nawet z nosem czerwonym, jak dwie krople wody podobna do twarzy pana Kopytkowskiego, szewca, naszego sąsiada, co po tygodniach całych, bywało, poniedziałkuje i brewerje w domu wyprawia. Zapominam wtedy o wszystkiem. Zmrużę oczy, włożę mu w myśli na głowę czapkę z połamanym daszkiem i przekręcę na ucho i śmiechu już utrzymać nie mogę, bo nawet zabawa taka u nas była: w państwa Kopytkowskich.

Więc śmiać się głośno zaczynam i śmieję się, dopóki matka zawstydzona nie spojrzy na mnie z wyrzutem lub nie trąci mnie pod ławką.

Na co nie spojrzę, czego nie zobaczę, dziwne myśli przychodzą mi do głowy.

Ot, w wielkim ołtarzu Wniebowzięcie Najświętszej Panny, u nóg Matki Boskiej cała chmura aniołków wisi w powietrzu, ale spojrzę na ołtarz, a złe jakby czekało na to, podsuwa mi myśli swoje; zapominam o modlitwie, trącam matkę i pytam się pocichu: „Jak mogą takie tłuściutkie aniołki utrzymać się na skrzydełkach, które i u kacząt nawet są większe?“ I tak bez końca.

Matka nie wie, co robić ze mną. Zdarzyło się i tak raz nawet, a wtedy dziewięć lat miałam, kiedy w kościele w czasie kazania, gdy cicho było, jak makiem zasiał, ja głośno śmiać się zaczęłam. Ksiądz mówić przestał, dziada zawołał i mnie z kościoła wyprowadzić kazał.

Więc i na tem kazaniu, w tę niedzielę, kiedy mnie ojciec do siebie zawołał, nie wiedziałam, choćby słowa jednego z tego, co ksiądz mówił.

Ojciec nie gniewał się, ale dał mi żywoty świętych Pańskich: i „ot, mówi, kiedyś się nie modliła w kościele,

pomodlij się w domu, przeczytaj żywot świętej Barbary kilka razy, a wieczorem, coś przeczytała, opowiesz".

Była to pierwsza niedziela, którą od czasu, jak zapamiętam, w domu przesiedziałam. Nie umiem tego opowiedzieć, co się ze mną od tej niedzieli zrobiło, ale choć długo jeszcze ciągnęło mnie na podwórze, na łąkę do dzieci, już teraz i sama, chociaż nie często opamiętać się mogłam i z poza domu nawet i bez szukania wróciłam. Żywoty świętych już sama czytywać zaczęłam i myśli inne coraz częściej poczęły mi przychodzić do głowy.

Dawniej, bywało, przypadnę do łóżka, to i pacierza zmówić nie zdążę i klęcząc, przy łóżku zasypiam, teraz zaś położę się, rodzice dawno już zasną, a mnie aż głowa zagore od tych myśli, co rojem mnie obsiędą. Boję się czegoś; straszno mi; czuła widać dusza moja, co ją czeka, a może i anioł stróż ją ostrzegał, dopóki rozgniewany nie opuścił mnie zupełnie...

I łzy matki stają mi przed oczyma i smutek wielki ojca, gdy, wspominając śmierć brata, skarży się ludziom, bywało, jak ciężko Bóg wielki osierocił go na starość. Czy ja nie jestem dla niego dzieckiem rodzonem? myślę, ale, gdy się zastanowię nad tem, jakiem ja dzieckiem dla niego, rzewnie zapłaczę nad sobą. Jak szczenię uciekam od rodziców, nigdy nie pomyślę o nich, puste figle tylko mi w głowie, kiedy inne dzieci przecie już ciężko pracują w tym wieku?...

Prawda, że ojciec nie rozmawia ze mną wieczorami, jak z Kostusiem rozmawiał; nie chodzi ze mną, jak z nim chodził; nie opowiada mi różnych ciekawych rzeczy, jak jemu opowiadał, a matka, zawsze zajęta gospodarstwem, niema i czasu nato; ale czyż to nie moja wina, że nie staram się zasłużyć na miłość jego? Mnie tylko głupie myśli przychodzą do głowy i o nic nigdy nawet i zapytać nie umiałam. Matka nawet bała się, kiedy ja przy ojcu o co się pytałam, bo pytałam bez namysłu

o wszystko, co mi do głowy przychodziło. „Dlaczego panna młoda przysięga posłuszeństwo, kiedy niewiadomo, kto kogo słuchać będzie?“ zapytałam przy obiedzie, kiedy i goście u nas byli. Dlaczego to, dlaczego owo? Matka zaczerwieni się, a ja to już i pod ziemię radabym się schowała, kiedy mi pytanie takie zleci z języka, a ojciec odpowie surowo:

— A dlaczego smarkata pyta o to, co do niej nie należy?

Myślę więc w nocy nad tem wszystkiem, leżę w łóżku zapłakana, modlę się do Przemienienia Pańskiego, jak mi matka zawsze kazała, ale ostatniej zdrowaśki nie skończę, przeżegnać się jeszcze nie zdążę, kiedy raptem zapomnę o wszystkiem, o czem myślałam przed chwilą. Widzę już tylko łąkę, przed sobą dzieci kupę i nad palantem, w którego najlepiej grać umiałam, zamyślę się cała.

Miałam własną lankę, jakiej nikt z chłopców nie miał; długo wypraszałam u matki po kilka groszy, zanim zebrałam dwa złote na tę piłkę prześliczną. Tylko Józek i ja dobrze podbijać ją mogliśmy, tylko on moją, a ja jego świecę złapać umieliśmy. Więc już we śnie, czy na jawie, tu łzy mi jeszcze z oczu płyną, jeszcze się modlę i już ze wszystkiemi myślami swemi jestem na łące, pośród dzieci... Józek puszcza świecę, ale, Boże mój kochany, cóż to za świeca cudowna! „Szelma Józek“ krzyczymy wszyscy. Piłka jak kula leci w górę, z moich dzieci nikt jej nie widzi, ale ja widzę ją doskonale: hen, wysoko, jak skowronek, wisi lanka w powietrzu! „Nie utrzymasz, wypluniesz!“ krzyczy Józek zdaleka, ale czyż mogę wypluнąć świecę, na którą z otwartemi ustami wszyscy patrzą? Jednym skokiem jestem pod nią, lanka ze świstem spada mi w ręce, już, już mam ją odrzucić, kiedy Józek, zły za przegraną, uderza mnie w piersi, z płaczem padam na ziemię i cała kupa dzieci zwala się na mnie. „Józku, Józku, zbóju! — krzyczę głośno — moja, moja wygrana!“

i choć dzieci mnie gniotą, piersi bolą okrutnie, podnoszę się, siadam i otworzywszy oczy, widzę z przestrachem, że siedzę na łóżku, a koło mnie matka zatrwożona: „co ci, co ci, jedyna“? pyta łaskawie.

— Józek w piersi mnie uderzył — z płaczem jej odpowiadam — i choć matka mi tłumaczy, że to noc przecie, dawno już śpią wszyscy, że to sen niespokojny, choć sama zaczynam rozumieć, że tak jest istotnie, ale i wstydzę się swego dzieciństwa i samej sobie nie wierzę, bo czuję przecież, jak piersi mnie bolą i długo z płaczem powtarzam swoje: „uderzył, mamulu, ot tu uderzył“, zanim matka wytłumaczy mi, że to od czego innego, że... ot... rosnę głupia, bawiąc się ciągle z dziećmi, jak się już żadna dziewczyna w tym wieku nie bawi, więc i we śnie dzieciństwa przychodzą mi do głowy, nawet i teraz, kiedy już dorosłą dziewczyną mam zostać.

Bo, widzi pan, nie wiem sama, ale i w tem chyba jakaś kara Boża ciążyła nade mną... bo... z innemi... nie tak przecie... Jeszcze z pół roku do czternastu lat mi brakowało, kiedy już dzieckiem być przestałam...

Ale kiedy już tak ze mną się stało, kiedy zresztą i na oko nawet niktby już za dziecko mnie nie wziął, bo jak dawniej, choć duża byłam, ale byłam sucha i koścista, tak teraz w oczach jakoś ciała nabrałam, przysięgam szczerze, we wszystkich pomyśleniach, we wszystkich chęciach, we wszyskich zabawach swoich dzieckiem jeszcze byłam.

O, mój Boże drogi, modliłam się nieraz w nocy albo i w kościele nawet, czemu ja dzieckiem być przestałam? O, mój Boże jedyny, spraw, żebym ja rosnąć przestała, bo straszno mi pomiędzy dużymi... I tęskniłam teraz jeszcze bardziej do dzieci. Z jakąż radością wylatałam do nich za stodoły i stawałam do palanta, bawiłam się w chowanego. I choć wylatania te bywały coraz rzadsze, choć czułam sama, że już nie pomiędzy dziećmi

moje miejsce, choć często już i nie wyjdę i wrócę nie wołana, sama jednak długobym upamiętać się nie mogła i choć nie dziecko, długobym jeszcze z dziećmi przestawała.

Zaczęła się zima, skończyłam lat czternaście, ale nie mogłam, nie umiałam sama stać się inną. Tęskno mi było samej. Nieraz, choć wstydziłam się tego i kryłam się z tem, dusiłam się od łez, patrząc przez okno na zabawę dzieci, nieraz wylatałam do nich, gdy mnie nikt widzieć nie mógł.

Tak właśnie wyleciałam, gdy śnieg wypadł pierwszy i za naszem podwórzem zebrało się dzieci dużo i Józek nawet był pomiędzy niemi.

Niedługo nawet tam byłam, gdy usłyszałam głos ojca. Ojciec wołał mnie do domu i gdym przybiegła zaniepokojona, bo dawniej nigdy tego nie robił, nic nie mówiąc, do stancji mnie poprowadził. Duża przecie byłam, wiedziałam, że mi ojciec nic złego nie zrobi, a serce jak u dziecka zabiło mnie ze strachu i ze wstydu oczu podnieść nie śmiałam. O, jakże sto razy byłoby lepiej, żebym mała była i żeby ukarali mnie tak, jak dziecko głupie karzą, myślałam, idąc za ojcem.

Przyszliśmy do stancji i ojciec, wziąwszy mnie za rękę, do lusterka powiódł; przywiódł, postawił, potem odszedł ode mnie kroków parę i: „spojrzyj teraz na siebie“ — powiada. Byłam tak zestraszona, że nie zrozumiałam tych słów prostych i na niego oczy z zapytaniem zwróciłam. Ojciec rozgniewał się wtedy: „Na siebie, na siebie patrz“! krzyknął głośno i tupnął nogą. Zlękłam się jeszcze bardziej i myśląc, że może gdzie sukienka się rozerwała, albo splamiło się co na mnie, zaczęłam wokoło oglądać sama siebie. Ojciec wtedy podszedł do mnie i trącając mnie pod brodę i palcem na lusterko pokazując: „patrz tam!“ powiedział.

Opowiedzieć nie umiem, co się ze mną działo; widziałam palec ojca, czułam, jak szturchnął mnie pod brodę, ale nie widziałam lusterka, nie widziałam ojca nawet; ciemno mi w oczach się zrobiło i zimno jakoś odrazu, więc zatrzęsłam się i zbladłam zapewne, bo głos ojca zmienił się raptem i ręka jego dotknęła twarzy mojej i czoła mojego, ale inaczej niż poprzednio. Ojciec pogłaskał mnie po głowie i głosem cichym i serdecznym: „Marylko, dziecię moje jedyne, czegoż ty się mnie boisz?“ zapytał i przyciągnął mnie do siebie i uścisnął mnie serdecznie. Płakać zaczęłam, bo nigdy jeszcze od ojca łaski takiej nie doznałam. — — —

— O mój Boże, jakże on pieścił mnie wtedy, — mówiła Hanusia głosem drżącym — jakiemi słowy przemawiał i jak mu odpłaciłam za to?...

...Gdym się uspokoiła nareszcie, ojciec, śmiejąc się już, znowu mnie do lusterka poprowadził: „teraz już chyba zobaczysz siebie?“ — zapytał.

— Naturalnie, ojczulu, — odpowiedziałam ucieszona.

I pamiętam każde słowo tej rozmowy, daruj mi Boże, że tak mówię, ale rozmowy strasznej dla mnie, bo na długo w myślach moich głupich straszną ona dla mnie była.

— Dziecię moje — zaczął ojciec, — nie wtrącałem się do twego wychowania, boś dziewczyna i matkę, która cię kocha, masz nato, ale teraz, kiedyś już urosła, a nawet przerosła matkę, a matka, widzę, zanadto cię kocha, dawno już chciałem pomówić z tobą. Stańże więc przed lusterkiem i spojrzyj na siebie, stań, wyprostuj się dobrze i odpowiadaj mi, kochanie, na pytania moje.

Stanęłam, jak nieraz na łące stawałam, gdyśmy się w wojsko bawili i spojrzałam w lusterko.

— Widzisz się dobrze? — zapytał wtedy ojciec.

— Widzę, ojczulu, — odpowiedziałam.

— No i jakże wyglądasz?

Nie zrozumiałam pytania i zawstydzona tem: „dobrze“ wybąkałam. Ojciec roześmiał się.

— Cóż to znaczy dobrze?

Nie wiedziałam, czułam, że nie rozumiem, o co chodzi, ale widząc, że ojciec dla mnie tak dobry i łaskawy, powiadam, że nie rozumiem, o co mnie pyta.

Matka akurat była w drugim pokoju, — ojciec zawołał ją i poprosił, żeby na chwilkę stanęła koło mnie, później zakrył nam chustką głowy i zrobiwszy mi dziurkę na jedno oko: „teraz patrz“ — powiada.

Boże mój drogi, toć pierwszy raz w życiu spostrzegłam, że matka koło mnie wygląda, jak dziecko; chuda, szczupła, była ona i mniejsza i drobniejsza ode mnie, tak rozrosłam się, tak zmężniałam teraz!

Ojciec wypuścił nas z pod chustki, matka, widząc, że ojciec śmieje się, poszła, a ja oczu na ojca podnieść nie śmiałam, bo czułam to dobrze, że wstydzić się mam ciała swego, wzrostu swego — siebie samej.

Po wyjściu matki, ojciec, widząc zawstydzenie moje, przystąpił do mnie i znowu łaskawie, jak wprzódy, przyciągając mnie do siebie, zapytał:

— Teraz wiesz o co mi chodzi?

— Wiem ojczulku, — powiadam.

— Widziałaś, jaka duża jesteś?

— Widziałam, — powiadam.

— Widziałaś figurę swoją, widziałaś pierś swoją?

— Widziałam, — powiadam.

— A wieszże ty, co to znaczy? — zapytał.

Zaczerwieniłam się, ale nic nie odpowiedziałam na to, a gdy ojciec powtórnie zapytał, powiedziałam to, com rzeczywiście myślała:

— Ja, ojczulu, wstydzę się tego.

— Nie, moje dziecię, — ojciec na to, — wstydzić się tego nie masz potrzeby i nie powinnaś; owszem, dziękować Panu Bogu należy, że ci dał siłę, zdrowie i urodę, jakie

nie wszystkim daje, ale też i pamiętać przytem, że jeżeli Bóg tak szczodrze obdarzył cię co do ciała, to już sama powinnaś pamiętać o swej duszy. Podwójnie Bóg karze tych, co obsypani darami Jego, darów tych źle użyją. Czyś myślała o tem kiedy?

— Myślałam nieraz, że zła jestem.

— Widać, źle myślałaś, jeżeli teraz o tem z tobą mówić muszę, ale wszystko będzie dobrze, jeżeli szczerze zechcesz pomyśleć nad tem, co ci teraz powiem... Czy ty wiesz, co to znaczy, że już taka duża jesteś?

— Nie wiem, — powiadam.

— Więc posłuchaj mnie, Marylko i dobrze zapamiętaj słowa moje. Niech w każdej chwili stają ci one w pamięci, gdy płochość dziecinna zechce cię skierować tam, gdzieś już być nie powinna. Marylko! — powoli i głośniej wyrzekł ojciec — tyś już teraz nie dziecko. Tyś już kobieta. Ty męża mieć możesz. Ty dzieci mieć możesz...

Ojciec pocałował mnie w głowę i wyszedł. — — —

...Co się działo ze mną po wysłuchaniu tych słów, — ciągnęła po krótkiem milczeniu Hanusia, — dziś nie umiem tego opowiedzieć...

Jak ta roślina kosą podcięta zachwiałam się pod sobą, jak pijana doszłam do swego pokoiku, jak martwa upadłam na łóżko, w uszach huczało mi jak w ulu, a słowa te jedne: „ty męża mieć możesz, ty dzieci mieć możesz“ — paliły mnie jak ogniem...

Pierwszą noc w życiu swojem oka nie zmrużyłam i kiedy na drugi dzień wstałam i wyszłam na podwórze, świat mi innym się wydał: inaczej patrzyłam na wszystko i nawet śnieg, tak pięknie na słońcu błyszczący, nawet ten był inny. Patrzyłam na wszystko jak nie swojemi oczami.

Jak wesoło i lekko było mi wczoraj jeszcze, tak duszno i ciężko stało się teraz odrazu... A jeżeli i za-

pomnę się czasami, jeżeli wylecę jak dawniej albo pustym śmiechem się zaśmieję, gdy się opamiętam, zaraz straszniej mi wtedy... i śmiechu własnego, co mi jeszcze w uszach dzwoni, słucham, jak śmiechu złego, co mnie kusi, bo sumienie, które się we mnie obudziło, znowu mi słowa ojca powtarza: „Ty męża mieć możesz, ty dzieci mieć możesz“...

Tak było w domu, a pomiędzy ludźmi jeszcze gorzej. Jakiś strach napadł mnie przed nimi, bałam się ich, wstydziłam, bo teraz dopiero spostrzegłam, że i ludzie patrzą na mnie inaczej... Dawniej ja tak tańczyć lubiłam, a teraz straszno mi było pomiędzy starszymi, oczu nie śmiem podnieść, twarz mi pała, jak w ogniu, a ręka, którą mnie obejmują, kamieniem ciężkim leży na mnie. Drżę, bywało, jak liść osinowy, kiedy na jakiej zabawie odsuną mnie od matki i znajdę się sama jedna pomiędzy kawalerami, a usłyszę, jak mnie chwalą, jak się dziwnie patrzą na mnie, zatrzęsę się wtedy cała, wyrywam się i do matki ze łzami uciekam.

Przez całą zimę już ani razu nie bawiłam się po dziecinnemu. Zmieniłam się tak, że nietylko ludzi to dziwiło, ale i sama sobie dziwna się wydawałam i nietylko w postępkach, ale i w myślach swoich.

Jak dawniej do dzieci, tak teraz do kościoła, do modlitwy uciekać zaczęłam.

Żeby nie matka, dnie całe przesiadywałabym nad żywotami świętych, nie przespałam ani jednej prymarji, nieraz po godzinie wyczekując około zamkniętej furtki na pierwszą sygnaturkę. Wszystkie posty, wszystkie różańce i nowenny, o jakich tylko dowiedzieć się mogłam, wszystko odbywałam. Na każdy dzień, na każdą porę powynajdywałam modlitwy i napamięć się ich uczyłam. Wszelkie pomyślenia, chęci i życzenia moje szły tutaj.

I mnie samej nieraz się już zdawało, że do złego nigdy nie wrócę. I w domu wszyscy chwalić mnie zaczęli,

nawet i ojciec teraz częściej ze mną rozmawiał, a już kiedy nadszedł adwent, pasterki i post wielki, stare mieszczki, które dawniej palcami mnie wytykały i nieraz mawiały, że stara Bijska rozpuszcza dziewczynę, teraz wydziwić się nie mogły mojej przemianie, za przykład innym podawały.

I byłabym może i weszła w swoją kolej i przyzwyczaiła się do wszystkiego, gdyby nie uroda i nie to przeklęte ciało moje.

Choć nietylko pościłam, ale i suszyłam coraz częściej i umartwienia różne sobie zadawałam, jak na przekorę rosło ono i piękniało z dniem każdym.

Na nabożeństwa uroczyste, na które z początku z taką ochotą, jak kiedyś na zabawy dziecinne biegałam, a z noszenia obrazów w czasie procesji tyle radości zawsze miałam, teraz chodziłam niechętnie, z musu.

Bo gdzie się nie pokażę, choćby w kościele w czasie nabożeństwa, zaraz zbierają się koło mnie i choćbym nie chciała, choć modlę się, słyszę, jak mnie chwalą, żem piękna, żem najpiękniejsza ze wszystkich panien dąbrowskich, a jaką mam figurę, jakie oczy, ręce. Twarz mi pała ze wstydu, w oczach mi ciemno i uciekam z kościoła.

W czasie świąt Wielkanocnych nie doznałam niczego, oprócz łez i utrapienia. Ciało moje prześladowało mnie teraz wszędzie.

Przychodzili, bywało, goście i nikt na mnie uwagi nie zwracał, chyba kiedym rodzynki z mazurków wybierała. Najem się, nabiorę dla dzieci rodzynek, migdałów, kiełbasy, nakładę jajek we wszystkie kieszenie i na łąkę. Święta wtedy były wesołe. Teraz siedziałam sama jedna, jak na mękach; nie ciągnęło mnie już do dzieci, ale jak straszno było mi ze starszymi, opowiedzieć tego nie umiem.

Kto nie wejdzie, zapatrzy się na mnie; a mnie trwoga ogarnia, wstydzę się, kryję się, jak mogę, ale nic nie pomaga; a starsi jeszcze gorsi od młodych.

Młodzi patrzyli, powtarzali, co już napamięć umiałam, ale ze starszych każdy chciał się dotknąć do mnie, choćby końcem palca, choćby do ubrania tylko... Ten po głowie pogłaszcze, tamten za twarz uszczypnie, ów brodę podniesie, po ramieniu poklepie... Konia na targu chłop biedny tak nie ogląda, nie trzęsie, jak mnie oglądali, trzęśli i za to jeszcze dziękować musiałam.

Drżę cała, bywało... Dlaczego wszyscy cieszyć się mogą, dlaczego wszystkim może być wesoło, a ja jedna oczu nie śmiem podnieść na nikogo?

Nieraz chciałam iść do ojca i prosić i błagać go, żeby nie pozwolił mnie dotykać i oglądać i mówić mi to, czego ja wstydzić się muszę, ale się bałam zawsze. Próbowałam z matką mówić, płakałam nawet nieraz, ale matka roześmiała się tylko nade mną: „Cieszyć się powinnaś, głupie stworzenie, że ci Bóg dał urodę taką".

Co mnie boli, czego ja się wstydzę z czego na mnie trwoga taka nachodzi? — powiedzieć jej serdeczniej i objaśnić nie umiałam i zamiast rozmów z ludźmi starszymi, a nawet rodzicami, uciekałam do kościoła.

Nadszedł maj, a z nim i nabożeństwa majowe. Odetchnęłam po całej tej zimie. Wyprosiłam u ojca pieniędzy trochę i ubrałam u nas obraz do nabożeństwa Codzień umajałam go świeżą zielenią i kwiatami najpiękniejszemi po które, oprócz tych, com w ogrodzie i sadzie miała, o świcie na pola i łąki i do lasów wybiegałam. Zabaw teraz nigdzie nie bywało, do nas też mało kto przychodził, a może też i oswoiłam się z tem, żem duża i nie miałam w życiu chwili nad ten maj szczęśliwy.

Silna zrobiłam się przez tę zimę. Wylecimy z Hanusią, której imię teraz noszę, po kwiaty, po gałęzie i wtedy, gdy ona upada już ze zmęczenia, mnie się tylko

twarz rozpali od biegu; na najwyższe drzewo, abym choć ręką gałęzi dostać mogła, wdrapię się, jak wiewiórka.

W czasie urządzania nabożeństw majowych poznajomiłam się z kilkoma dziewczętami, nie byłam więc teraz tak sama, jak w zimie. Skoro świt siedzę nad warzywem lub kwiatami. Tu przychodziła do mnie Hanusia, często także Karolka i Zosia, też córki sąsiadów. Tu w altance szyłyśmy i haftowałyśmy i dla siebie i dla kościołów i śpiewałyśmy razem. Śpiewałyśmy od rana do nocy i głośno i wesoło było wtedy w naszym ogródku.

Ale było to już ostatnie wesele moje...

Nastało lato... straszne dla mnie...

Lato było gorące. Do wielkiego stawu, przez który rzeczka przepływa i gdzie kiedyś na ślizgawkę biegałam, teraz codzień, a często i dwa razy dziennie biegać zaczęłyśmy do kąpieli. Do stawu przytykał las duży, na skrajach krzakami leszczyny gęsto zarosły; szłyśmy, a raczej biegłyśmy zawsze ze śpiewem i weselem i nigdy, nigdy przez głowę mi nie przeszło, że te pieśni... to moje pogrzebowe pieśni.

Jak ten kwiat w polu, ani wiedząco, co go czeka, rozwija się i cieszy do słońca Bożego, tak i ja cieszyłam się przed tą wielką śmiercią moją, przed tem ciężkiem konaniem...

Zebrało się nas dużo, z osiem pewno, kiedy wczesnym rankiem, w drugą niedzielę po świętym Janie, wybiegłyśmy za miasto. Wybiegłyśmy wcześniej niż zwykle i nie było z nami ani jednej z dziewczynek małych, które zawsze brałyśmy do pilnowania rzeczy.

Oddawna bowiem w naszej Dąbrowie był zwyczaj, a raczej swawola taka pomiędzy młodymi, na co i starsi jakoś przez szpary patrzyli, że jak się kąpią dziewczyny, chłopcy im kradną ubranie i nie oddają bez wykupu. Dotychczas nie zwracałam na to uwagi; sama nigdy nie lubiłam bawić się w kradzenie ubrania; trzeba

było długo leżeć w krzakach i wykup niebardzo mnie obchodził. Pomiędzy dziećmi szło o kilka groszy na obwarzanki i pierniki. Zawsze je miałam, więc jak i nasze ubranie zabrali, niewiele o to dbałam, mogąc wykupić nietylko siebie, ale i innych. Nie wiedziałam, że z tego zacznie się zguba moja...

Dziewczyny starsze mogły się wykupić tylko całowaniem...

Kiedym pierwszy raz o tem usłyszała, nie chciałam iść do kąpieli, ale wszystkie śmiać się ze mnie zaczęły, hardą nazywać. Hanusia uspokoiła mnie i choć śmiała się też, ale inaczej, ona wytłumaczyła mi, że nic przecie w tem niema strasznego, ani złego, że przecie i ojciec nieraz, śmiejąc się, opowiadał, jak w taki sposób pierwszy raz matkę pocałował, że nikt zresztą nie da się w usta pocałować, a tylko więcej dla śmiechu i zabawy to się robi.

Bałam się jednak bardzo tego zabrania rzeczy i pilnowałam, żeby zawsze czuwał kto przy ubraniu i wszystkie krzaki zwykle oblatałam i kąpałam się najczęściej, kiedy drugie ubierać się zaczynały.

Zdarzyło się jednak, że od samego początku nikt nas nie napastował, więc i teraz, choć żadnej małej nie było i krzaków nie opatrzyłam, rozebrawszy się, najspokojniej kąpać się zaczełam razem ze wszystkiemi.

Pływałam doskonale; dopłynęłam właśnie do środka stawu, kiedy z krzaków z hałasem wyleciała kupa chłopców i zanim spostrzegłyśmy się, już było po ubraniu.

Miałam z sobą kilka złotych, myślałam więc, że jeżeli oddam wszystko, to wykupimy się odrazu, ale zaledwie wspomniałam o tem, zaśmiały się wszystkie: „Szykuj się, panienko, do innego wykupu!“ zawołały razem.

Okazało się, że najlepsi kawalerowie dąbrowscy zrobili na nas zasadzkę i o wykupie zupełnie i myśleć nie można było.

Agatka Dołężanka, jako najwymowniejsza i ze wszystkimi kawalerami najlepiej znajoma, posunęła się w wodzie, jak mogła najbliżej ku brzegowi, dla umowy o wykup, targowała się długo, jak przekupka, krzyczała, wymyślała, ale nic to nie pomagało. Chłopcy uparcie stali na swojem: rzucą losy i komu na którą wypadnie, wycałuje i wyściska, ile zechce — a która słowa nie dotrzyma, niech nie dotrzymuje, ale niech też i pamięta, że drugi raz żaden wykup nie pomoże, zabiorą ubranie i: „prosimy do miasta, w czem kto w wodzie siedzi.“ — Krzyczeć wszystkie zaczęły i prosić nawet i po długich korowodach stanęło na tem, że każdy będzie mógł pocałować tę, na którą mu los padnie, do sześciu razy.

Nic już nie mówiłam, bo się bałam, żeby mego ubrania nie zatrzymali, ale, abym się tylko ubrać zdążyła, — myślałam sobie, — skoczę w las, w krzaki i choćby mi i wiorstę i dwie nałożyć wypadło, nie ustanę, pędem przylecę do domu. Byłam pewna, że nikt mnie nie dogoni.

O, i nie dogoniłby mnie nikt z tych chłopców i panów kawalerów, com ich w Dąbrowie znała i którzy teraz nas złapali, gdyby pomiędzy nimi jego nie było — — — urwała raptownie Hanusia, jakkolwiek z westchnieniem, ale też i bez najmniejszej zmiany w monotonnej intonacji swego głosu. — — —

* * *

Patrzyłem na nią, gdy słowa ostatnie wymawiała. Twarz jej pozostała bez zmiany, nie drgnęły usta, a oczy, w punkt jeden wlepione, sterczały nieruchomo; co one w tym punkcie widziały i czy widziały co zresztą? dociec było niełatwo.

Czy stał tam przed nią „on“ tak, jak się jej nad owym stawem przedstawił, czy wywołanie jego postaci

silniej ją wstrząsało? — zrozumieć nie sposób. Hanusia opowiadała wszystko tak ściśle, tak dokładnie, jak ściśle i dokładnie wykonywała różne roboty domowe i rzecz dziwna, w miarę tego, jak mówiła, stawała się coraz spokojniejszą. To wstrząśnienie wielkie, któremu z początku uległa, znikało powoli i widocznie nie dotyczyło ono wcale tego, o czem ona teraz mówiła.

Prawda, w ustępach niektórych, szczególniej kiedy rodziców wspominała, drgały jej usta i głos jej, odzyskując swą zwykłą melodyjność, dźwięczał wtedy bólem i skargą, ale wszystko inne, wszystkie szczegóły, siebie dotyczące, opowiadała ona dziwnie drewnianym, bezdźwięcznym głosem. Głos ten wraz ze spokojem, jakiemś skamienieniem z jej twarzy wiejącem, spokojem, przenikającym słowa, które ją głęboko wstrząsać powinny, jakimś chłodem i zimnem — dziwne wywierać na mnie zaczął wrażenie. Przygotowany do burzliwej skargi, słuchałem niespodziewanie spokojnej opowieści, jak słuchamy w noc ciemną lekkiego szmeru liści, łagodnie i miarowo wiodących z sobą tajemnicze szepty.

Że czuła ona i rozumiała to, co mówiła, nie wątpiłem, ale też nie wątpiłem i o tem, że gdybym teraz zapytał ją o cokolwiek z tego, co mi przed chwilą opowiadała, nie zrozumiałaby mnie ona, jak nie rozumiała zwykle pytań dotyczących roboty, która napozór całkowicie ją pochłaniała. I zdumienie i przerażenie wybiłoby się na jej twarzy nie mniejsze niż i wtedy, gdyż i teraz widocznie musiałaby ona zejść z jakichś krain dalekich, w które myślą swą już dawno zabiegła.

A gdy wreszcie z tymże samym spokojem, jak automat bezdźwięczny, wymówiła ona słowo, które obojętnem dla niej być nie mogło i usta jej nie drgnęły, głos nie zabrzmiał odmienniej, nie wątpiłem już, że i ta opowieść nie jest jej celem ostatecznym — jest to środek, którego

uchwyciła się, jak chwytała się codziennie pracy swojej - aby dojść do swego tajemniczego celu.

* * *

...Pomiędzy owymi kawalerami, którzy nas w stawie złapali, — zaczęła znowu Hanusia, — był i Stanisław Wodzimirski, syn doktora w Dąbrowie. Stary Wodzimirski ożenił się z mieszczanką dąbrowską, więc nie pięli się oni wysoko, znajomili się ze wszystkimi i Stanisław, chociaż już do szkół pojechał, kiedy powracał na święta, bawił się zawsze ze wszystkimi i wszyscy lubili go bardzo i choć ja sama nigdym się z nim nie bawiła, bom wtedy jeszcze za mała była, znałam go dobrze z dzieciństwa.

Na tej łące, na której ja się bawiłam i on się bawił, na tę ślizgawkę, na której ja biegałam i on biegał, ale choć wiedział i czyjam ja i jeszcze lepiej, że nie Marylką, ale „dziką kozą" wszyscy mnie zwali, rozumie się, nie znał mnie prawie. My mali patrzyliśmy na niego jak na świętego jakiego. Ani w piłkę grać, ani po dachach i drzewach łazić, ani ślizgać się i pływać, nikt tak, jak on nie umiał.

Przeganialiśmy się w czasie zabawy jedno przed drugiem, żeby mu co podać, usłużyć. Nieraz, kiedy i nie patrząc na mnie, krzyknie bywało, gdy kto się skaleczy: „Ej, dzika kozo, marsz do domu po chleb i pajęczynę!" to lecę, nóg pod sobą z radości nie czuję — ale też i na tem nasza znajomość się kończyła.

Później, gdym już starsza była, kiedy dwanaście lat skończyłam, przestał on przyjeżdżać na święta i wakacje. Klasy wtedy kończył i pojechał potem do Warszawy uczyć się na doktora. Trzy lata nie było go w Dąbrowie i teraz pierwszy raz miałam go zobaczyć.

Nie wiem dlaczego, ale przeczucie mi mówiło, że ja jemu się dostanę...

Rzeczywiście, jeszcze nie ubrałyśmy się, kiedy z krzaków wyszedł Wicek, Czarnym przezywany i zaczął wywoływać, jaki los wypadł komu. Dziewczyny krzyczały na niego, wymyślały, więc powtarzać musiał każde nazwisko po kilka razy i zaczynał nieraz: „Panu Stanisławowi... Panu Stanisławowi... — zanim skończył, serce jak młotem mi zabiło — ....panna Marja Bijszczanka".

Wszystka krew uderzyła mi do głowy; dziewczyny krzyczą: „szczęśliwa, szczęśliwa"! Nie wiem, gdzie podziać oczy; tu Zosia, tam Helenka, ta o wąsach, tamta o bródce, a Agatka nawet do Wicka wołać zaczęła: „Wszystkich was kocmołuchów za jednego Stasiabym oddała!" Oczu nie śmiem podnieść. Tu już dziewczyny poubierały się, już i chłopcy się zbliżają, a ja, jakbym w ziemię wrosła i choć nogi drżą pode mną, ruszyć się nie mogę. Muszę, muszę uciekać — jedno tylko myślałam.

Poczciwa Hanusia pomogła mi; oprzytomniałam, z nią niby pomówić odeszłam trochę; już byłyśmy blisko krzaków, kiedy obejrzawszy się, krzyknęła mi ona: „Uciekaj! już gonią zbóje!" i ja pędem puściłam się do lasu.

Biegłam długo, nie oglądając się wcale; z początku słyszałam za sobą głosy ze wszystkich stron, ale prędko ścichło to wszystko i kiedym po chwili obejrzała się... nie dalej jak o dwadzieścia kroków biegł za mną jeden Stanisław.

Dlaczego tak było, sama dziś nie wiem, ale ni to radość, ni to myśl pusta, „chwała Bogu, że on jeden mnie goni", przeleciała mi przez głowę i choć byłam najpewniejsza, że nie dopędzi mnie nigdy, jak głupia zaśmiałam się do siebie.

Ale ja nie widziałam go jeszcze po powrocie; słyszałam tylko, jak go wszyscy chwalili i po tym śmiechu zaraz mi przyszła wielka ochota obejrzeć się jeszcze, żeby zobaczyć, jak on wygląda. „Ale nie — myślę znowu — jeszcze czego nie stało! jeszcze gotów pomyśleć,

że jemu się przyglądam? Akurat! ma dosyć przecie i Agatek i Zosiek, które same się go czepiają".

Ale, o mój Boże, słyszę go już za sobą! Czyżby on miał mnie dognać? i choć niechcąc, obejrzałam się... Obejrzałam się i serce zabiło mi silniej — był już tak blisko, nie dalej niż o dziesięć kroków zapewne.

W jednej chwili wyrównałam się znowu do dawniejszego. Oho! poczekaj, braciszku, mocnyś ty, ale i ja przecie po trzy wiorsty nie raz biegałam! zobaczymy jeszcze, kto silniejszy! Ale jak on wyrósł, jak zmężniał teraz i naprawdę wąsy już ma nawet! Nawet, zdaje się, prawda, co i o bródce mówili, czy też nie dojrzałam dobrze? Zobaczę. O mój Boże, on znowu bliżej! Ale zobaczyłam — ma rzeczywiście — taka śmieszna nawet, ale też i nie brzydka wcale, tylko zmieniła go bardzo.

Znowu odsunęłam się od niego. Biegliśmy już długo, a ponieważ biegliśmy bardzo prędko, czułam, że długo już tak nie wytrzymam. Ale czyż on nie męczy się wcale? I zaledwie to pomyślałam, usłyszałam głos jego: „Panno Marjo, panno Marjo! Ja nie będę gonił, proszę się zatrzymać i odpocząć trochę!"

A widzisz, mój paniczu, pomyślałam — zmęczyłeś się widać? I prosisz nie tak, jak dawniej: „ej, smarkata, a żywo dyłdo!" Skąd mu się wziął i głos taki? Bo choć i dawniej nie miał głosu nieprzyjemnego, nigdy nie słyszałam, żeby kiedy tak prosił.

Obejrzałam się — stoi — stanęłam więc i ja.

Byłam strasznie zmęczona i nie tyle sam bieg, ile to, że z początku bardzo się wylękłam, zmęczyło mnie ogromnie. Żeby choć z pacierz postał przynajmniej, jak odpocznę i przyjdę do siebie, nie dam się już złapać, bo i jego samego nie boję się już teraz tak bardzo. Ale najgorzej z ubraniem, choć i myślałam, że uciekać muszę, nie przypuszczałam, że mnie tak gonić będą, więc ubierałam się piąte przez dziesiąte, aby prędzej tylko. Włosy moje

rozplotły się, ale o włosy mniejsza, chociaż rozpuszczone, nie zlecą z głowy, co ja jednak biedna zrobię z ubraniem? Żeby choć przemówił, poprosiłabym, aby mi pozwolił odejść i poprawić, ale sama za nic w świecie mówić z nim nie zacznę.

Stałam teraz naprzeciw niego, staliśmy jednak od siebie dość daleko, ale choć daleko było, jak tylko zatrzymaliśmy się, on zdejmuje czapkę i kłania się grzecznie. „Dzieńdobry, panno Marjo! — mówi — proszę się nie gniewać, — woła — że tak się dziś spotykamy, ale, jak mamę kocham, nie z mojej to winy, dałem słowo chłopcom, że pójdę z nimi!“ — I nie czekając, co mu odpowiem, dodaje jeszcze: „Niech mi panna Marja pozwoli podejść troszkę“.

Jeszcze czego nie stało, pomyślałam; prawda, że prosi grzecznie, ale nie chcę, nie pozwolę, bo dlaczego on zmyśla, że nie winien, więc też i powiadam:

— A dlaczegoż mnie pan goni?

— A dlaczegoż panna Marja ucieka, — odpowiada, roześmiawszy się. Roześmiałam się i ja, a on tymczasem prosi i prosi; sama nie wiem, co robić, bardzo blisko podejść mu nie pozwolę, ale skorzystam z tego i poprawię sama ubranie. Zgodził się chętnie odwrócić się i czekać, dopóki znowu na swojem miejscu nie stanę, słowo mu tylko dać musiałam, że nie ucieknę, kiedy będzie stał odwrócony.

Skoczyłam ucieszona za krzak jałowca. I jak ten śmiech pusty, jak ta radość, że on jeden tylko mnie goni, nie wiem, skąd mi przyszły, tak i teraz myśleć zaraz zaczęłam: napewno on nie wierzy temu, co mu o mnie mówili, napewno myśli, żem taka jak dawniej, że „dzikiej kozy“ i gonić nie warto? Co prawda i ja go jeszcze dobrze nie widziałam, ale zobaczymy, kto się bardziej zdziwi.

Prędko poprawiłam ubranie, ale poprawiam, a tu aż serce mi zabiło, gdym pomyślała — a jeżeli zoba-

czywszy mnie, roześmieje się albo skrzywi się i pójdzie sobie? Płakać będę ze wstydu, oczu nie będę śmiała podnieść, bo on napewno wszędzie rozgada, jak się zmęczył, licho wie dlaczego. Prawda, myślę, wszyscy mi mówią, żem ładna, ale może tu nikt i nie zna się na piękności? Tam w Warszawie podobno wszystkie panny jak na obrazach malowane? I ładne i ubierają się inaczej? A tu jak na złość i ubrałam się dziś w najstarszą sukienkę różową i sukienka przykrótka i gorsecik nawet za szczupły? Prawda, że mama i Hanusia zawsze mówią, że mi w niej bardzo do twarzy, ale może to w ich oczach tylko? A od tego biegu jeszcze i zaczerwieniłam się tak strasznie? Ładnie wyglądam! pewno jak chłopka jaka? Żeby choć kawałeczek lusterka? Zawsze się śmiałam z Hanusi, że zwykle nosi z sobą malutkie, a cóżbym teraz dała za najmniejsze choćby?

— Ale wola Boska — myślę. Przecież nie tylko dąbrowscy zawsze mnie chwalili. Postoję tu dłużej, odpocznę lepiej, a może mi i twarz trochę ostygnie. Ale, Boże mój drogi — i o małom nie krzyknęła ze strachu, poprawiam sobie ubranie w najlepsze, jakbym była w swoim pokoiku, a on może już podszedł i podpatruje mnie oddawna? Wyjrzałam i zawstydziłam się sama siebie, stoi sobie odwrócony, jak stał i tylko: „czy już, czy już"? pyta ciągle. O, on widzę, wcale zły nie jest i z tem gonieniem napewno zażartuje sobie tylko, a ja dotychczas niczem pokazać mu nie umiałam, że i ja już taka dzika, jak dawniej, nie jestem? Zrobię mu więc niespodziankę i kiedy pocichutku podejdę na swoje miejsce, zamiast „już" powiem mu „dzieńdobry, panie Stanisławie", bo przecie on mi powiedział dzieńdobry, a ja jak słup wtedy stałam!

Serce mi biło, gdym wyszła z za jałowca i stanęła na miejscu; usta otwierałam kilka razy, ale mówić nie mogłam; nawet krew zbiegła mi z twarzy i stałabym długo zapewne, gdyby on znowu: „czy już"? nie zapytał.

— Dzieńdobry, panie Stanisławie, — powiedziałam wtedy, ale tak cicho, iż myślałam, że i nie usłyszy, zaledwie jednak usta otworzyłam, on już się odwrócił, „dzieńdobry!“ powtórzyłam, sama nie wiem dlaczego i ukłoniłam się, jak nas na pensji uczyli...

— — — Hanusią zatrzymała się chwilkę.

...I zapatrzył się we mnie jak w obraz — zaczęła ona znowu i spokojny jej głos drgnął teraz głębiej. - Zapatrzył się mój zagubiciel i zaczarował mnie chyba?...

— — — Hanusia mówić przestała i po twarzy jej potoczyło się łez kilka...

...Żebym miał gonić do wieczora, żeby noc całą - ciągnęła ona — to już teraz panny Marji tak nie wypuszczę... oto, co mi powiedział, a ja, nierozumna, aż zadrżałam, usłyszawszy te słowa, ale zadrżałam z radości.

Więc ja rzeczywiście jestem piękna? więc to prawda, co mi tu wszyscy mówili? i pewna już siebie: „jutro, panie Stanisławie!“ zawołałam wesoło i zaczęłam znowu uciekać.

Tak gonił on mnie i tak odpoczywaliśmy kilka razy i choć i rozmawialiśmy potrochu, choć z początku wymykałam się mu z głośnym śmiechem, kiedym się przekonała, że goni mnie teraz inaczej, że uciec — nie będę mogła, bo nie mogąc mnie złapać odrazu, zaczął on mnie zapędzać w las coraz głębszy — i śmiać się przestałam i zlękłam się wkońcu. Siły straciłam zupełnie. „W oczy mu napluję, jeżeli ośmieli się mnie dotknąć“, myślałam. I stanęłam sama, rozpłakawszy się ze wstydu i strachu.

I rozumie się, nic on mi nie zrobił, przepraszać mnie zaczął serdecznie, kiedy zobaczył, że płaczę; uspokajał i pocieszał jak dziecko małe.

I kilka minut nie przeszło, kiedy uspokoiłam się zupełnie i sama się wstydzić zaczęłam, żem go mogła posądzić, iż zechce ze mną tak po grubjańsku postąpić

I szliśmy dalej spokojnie i wesoło, rozmawiając, jak dawni znajomi.

Przyszliśmy wkrótce na ładną polankę i tam już usiedliśmy odpocząć, a ja zasłuchałam się, jak mi zaczął opowiadać rzeczy ciekawe, o których nigdy nie słyszałam albo wiedziałam piąte przez dziesiąte.

Biegaliśmy jeszcze, odpocząwszy i najczęściej za ręce się trzymając...

I przez głowę mi nie przeszło, że tą rozmową, tem podawaniem mu ręki, tem bieganiem wesołem, kopię mogiłę dla siebie...

Odtąd widywaliśmy się już prawie codzień...

Jak owa ćma do ognia jasnego, biegłam do niego wszędzie, gdzie mi kazał...

I trzech miesięcy nie upłynęło, kiedy ja dzieckiem teraz już rzeczywiście być przestałam...

— — — Tu Hanusia zakryła twarz rękami.

...Hańby jednak swojej, — szeptała ona, — wtedy jeszcze całkowicie nie rozumiałam...

Zrozumiałam ją wtedy dopiero, gdy on mnie porzucił... gdym się dowiedziała, że będę matką dziecięcia, które ojca swego nigdy znać nie będzie, które mnie przeklinać będzie...

Wtedy zrozumiałam hańbę swoją — powtórzyła powoli Hanusia, a głos jej cichy zadźwięczał bólem głębokim...

W pierwszej chwili, gdym zrozumiała, że matką będę... w pierwszej chwili... gdym zobaczyła, że... stoję nad przepaścią... której... której... dna nie widać, — szeptała ona głosem przerywanym, — w pierwszej tej chwili... daruj mi, Boże wielki... przeklinałam rodziców swoich...

— — — I znowu zakryła ona twarz rękami, ale wtedy właśnie, kiedy pomyślałem, że stara się uspokoić, stanęła ona przede mną wzburzona.

...Czemu... czemu... — wołała, załamując ręce

czemu oni nie powiedzieli otwarcie, co mnie czeka na świecie?... Czemu oni dziękować Bogu kazali mi za to ciało przeklęte, które zgubiło mnie na wieki?... Czemu oni nie powiedzieli mi nigdy, co znaczą te uśmiechy, te spojrzenia, te dotykania, z któremi mnie ludzie spotykali?... Czemu skryli, że psów wściekłych mniej się bać powinnam, niż tych ludzi rozbestwionych?

Lżył i bezcześcił mnie i stary i młody, jeżeli nie dotknięciem, to słowem, jeżeli nie słowem, to wzrokiem... Dlaczego wtedy, kiedy ja, będąc dzieckiem, czułam obrzydliwość tego wszystkiego, męczyłam się i płakałam nad swą dolą, dlaczego wtedy nikt mi nie objaśnił, co to wszystko znaczy?

Dlaczego? dlaczego?... — z siłą powtarzała ona, stojąc i załamując ręce przede mną. — — —

...W pierwszej chwili — mówiła dalej, osunąwszy się na krzesełko, — zabić się chciałam...

Ani jednej chwili nie namyślałabym się nad tem. Wieczną swoją zagubę przeniosłabym bez namysłu nad hańbę, która mnie czekała, gdybym tylko siebie jedną zabić mogła. Ale ja przecie nie sama jedna byłam.

Bo w pierwszej też chwili, gdym się dowiedziała że będę matką, że dziecię własne mieć będę — swoje rodzone, — radość szalona mnie opanowała.

W nocy to było; chciałam lecieć do rodziców podzielić się z nimi szczęściem swojem i dopiero, gdym się zastanowiła, gdym pomyślała, co nas czeka oboje, jak nas ludzie spotkają, jak ojciec przyjmie — straciłam przytomność i rozpacz zakryła mi i rozum i sumienie i świat przed oczyma... wtedy i rodziców przeklinałam... wtedy i o zabójstwie swojem myślałam.

Czując, żem nie sama jedna, opamiętałam się prędko.

Jeżeli rosłam jak na drożdżach, jeżeli w oczach z dziecka stałam się dorosłą, to teraz w noc jedną zro-

zumiałam i czem ja byłam i czem jestem i czem być teraz powinnam. — Ja będę żyła dla ciebie, dziecię me jedyne... powtarzałam, tuląc je w sobie. — Ja zniosę, nieszczęśliwe ty moje, i hańbę i upokorzenie dla ciebie... Ja zniosę i przekleństwo ojca i nie padnie ono na twoją głowę niewinną... pracować będę na ciebie... dam ci rozum i oświatę i nie przeklniesz mnie może...

Może zawiedziesz mnie kiedy i do ojca mego i kiedy zobaczy ciebie, może zdejmie klątwę z głowy mojej... może i ludzie, gdy zobaczą, jak ciężko pokutuję za winę swoją, zdejmą ze mnie tę hańbę wielką i sam Bóg przebaczy mi winę moją...

— — — Ogień błyszczał w oku Hanusi, ale z ostatniem słowem, na którem urwała swą opowieść, znikło jej ożywienie chwilowe i Hanusia pogrążać się zaczęła w ów stan biernego spokoju, z którym dotychczas mówiła; twarz jej zdrętwiała, a oczy znów wpatrzyły się w punkt jeden, dla niej tylko widzialny.

...Blisko pół roku, które teraz przeżyłam, — mówiła ona znowu, — było dla mnie i szkołą i nauką i tem życiem, o którem mogę powiedzieć, że było mojem życiem. Będąc z początku jak w gorączce, nie wiedziałam, za co się wziąć, od czego zacząć. Biegałam do kościoła, ale choć i modliłam się, nie o modlitwę mi teraz chodziło. Kryłam się w najciemniejszym kącie i tam myślałam, co robić ze sobą. Wszystko, com umiała, wszystko, com kiedykolwiek czytała, wszystko, com od rodziców i ludzi słyszała, zbierałam w jedno, jak głodny okruszyn chleba nie zbiera i ręce mi opadały bezwładnie i w głowie wszystko się kołowało i trzęsłam się z przestrachu: nie wiedziałam nic, nie umiałam nic...

Przed tą niedolą straszną, która me dziecię spotkać miała, przed tą hańbą, która mnie wkrótce okryć miała... stałam sama jedna, drżąca z przestrachu i niewiadomości swojej... Żyć będę i żyć muszę — to jedno,

com wiedziała — ale jak ja to zrobię, jak ja to życie straszne zacznę? nie wiedziałam.

Ojciec mnie przeklnie i wypędzi, wiedziałam to przecie, a jednak kamień ciężki spadł mi z piersi, gdy nareszcie zbiedzona głowa moja doszła do tego, że własną pracą utrzymywać będę i siebie i dziecko. Nowa nastała trwoga, gdym myśleć nad tem zaczęła, do jakiej ja się wezmę pracy, w jaki sposób zarobię na chleb dla nas obojga?

A ja, nierozumna, w pierwszej chwili o czem już tylko nie myślałam?...

Jakie myśli nie przychodziły mi do głowy?... Królewiczowi w pałacach nie lepiej, pewno, niż jemu było w moich myślach głupich...

I mądry on będzie i rozumny i wszystko, wszystko, co będzie potrzeba, dam mu sama — a skąd? i do głowy mi nie przychodziło...

Teraz dopiero, gdym zrozumiała, że ja może na kawałek chleba suchego na odzież najlichszą nie będę w stanie zapracować, zapłakałam łzami gorzkiemi.

Boleść nad hańbą moją teraz wydawała się mi taką, o której mówić nie warto. Czem ja dziecię moje wykarmię, w co je odzieję, w jakim kącie ogrzeję? kiedy ja nic nie mam i nic zarobić nie będę mogła? Ból wielki ściskał mi serce.

I ucieszyłam się, jakbym skarb największy znalazła, gdym pomyślała nareszcie: będę się uczyła wszystkiego, czego tylko nauczyć się będę mogła i najpierw roboty najprostszej, bo tę i dostać najłatwiej i przy mojem zdrowiu i sile tego najprędzej, nigdzie niczego nie szukając, nawet w domu nauczyć się mogę.

Ze strachem weszłam pierwszy raz do kuchni, aby wziąć się do roboty nie dla zabawy, jak to dotąd bywało, ale prawdziwie. Wchodziłam tam przecie codzień, ale gdym weszła teraz, serce mi biło ze strachu i głos

spierało w gardle, gdym poprosiła matki o robotę. Matka myślała, żem weszła tu po dawnemu i dała mi coś drobnego. Jak w ogniu stanęłam cała, gdy mi wypadło powiedzieć, że chcę innej, prawdziwej roboty, że chcę się nauczyć wszystko robić. Matka patrzyła na mnie zdziwiona i choć serce mi krwawiło się, musiałam się śmiać i ze śmiechem tłumaczyć, skąd fantazja taka przyszła mi do głowy. Matka była przekonana, że po godzinie rzucę robotę; jednak nie rzuciłam i do obiadu byłam w kuchni.

Zrobiłam nie wiele, bom najprostszej roboty zrobić, jak należy, nie umiała, ale pierwszy raz zasnęłam teraz spokojniej. Chociaż i przykro mi było, że przy obiedzie ojciec, dowiedziawszy się o mojej robocie, bardzo mnie chwalić zaczął, a ja mu w oczy spojrzeć nie śmiałam i łzy z trudnością wstrzymywać mogłam, ale wstąpiła we mnie otucha, że prędzej, niż myślałam, tych robót domowych, które dla służącej są najpotrzebniejsze, nauczyć się będę mogła. Nigdy nikogo ani w szkole i w domu matki i ojca nie słuchałam z taką uwagą, jak starej niańki naszej, Józefowej albo Kasi, co u nas służącą była. Nadziwić się wszyscy nie mogli, skąd się we mnie raptem taka chciwość do roboty wzięła, bo i na pracę i na grosz każdy prawdziwie chciwą teraz się stałam, aż mi wstyd i przed ludźmi było. Co najcięższe, co najtrudniejsze, najbrudniejsze było do robienia, tego już nikomu nie dałam. Z początku dużo miałam kłopotów z matką, ale wytrwałam bez przerywania. I czy to już charakter mój był tak lekkomyślny, czy z czego innego, dość, że napracuję się dzień cały i weselsza się stanę i śpię spokojniej, a nawet i z twarzy i z siebie com z początku znacznie się zmieniła była, znowu wyglądać zaczęłam po dawnemu. Miesiąc przeszedł zaledwie, kiedy wszystko, co jest dla służącej takiej jak u nas potrzebne, zrobić umiałam.

Uspokoiłam się znacznie. Tak nawet było, że zajęta robotą, przestawałam zupełnie myśleć o swej niedoli, bo, czego nie robię, przy czem nie stanę, przychodzi mi do głowy, że to dla niego wszystko. Czy rondle czyszczę, czy podłogę myję, czy prasuję lub chleb przyczyniam, a mnie się wydaje, że to rękami swemi i karmię i ubieram je i pieszczę... Nie słyszę wtedy i nie widzę nic koło siebie i dopiero kiedy skończę, słyszę, jak się dziwią, skąd mi przychodzi i pilność i uwaga taka...

Roboty rozmaite, szycie, haftowanie — to umiałam, ale kiedy skończyłam z tem, co jest dla służącej potrzebne, zaczęłam chodzić do modniarki uczyć się kroju i to nie było zbyt trudnem, a dla mnie okazało się ważniejszem, niż myślałam. Przesiadując tam po kilka godzin przy robocie i rozmawiając z temi, co tam pracowały, podowiadywałam się wielu rzeczy, o których pojęcia żadnego nie miałam. Dowiedziałam się, że pomimo służby i szycia w większych miastach, a w Warszawie szczególniej, można się jeszcze i rzemiosł wyuczyć, że można byłoby, poduczywszy się trochę i nauczycielką zostać, a co najgłówniejsze i najciekawsze dla mnie było, jak żyją, jak radzą sobie, ile trudności i jakich spotykają dziewczyny, które same na siebie pracować muszą. Jak i gdzie miejsca szukać, ile pieniędzy na wyżycie i na przejazd mieć potrzeba. Wszystko to dla mnie było nowe.

Tu także pierwszy raz dowiedziałam się tej strasznej rzeczy, że o służbie z dzieckiem ani pomyśleć nawet: „prędzej suka bezdomna wykarmi szczeniąt kilkoro, niż dziewczyna jedno chociażby dziecko“, mawiały zawsze szwaczki i ja, choć serce mi się krwawiło, o więcej nawet i pytać się nie śmiałam.

Skończyłam naukę kroju, ale teraz jeszcze lepiej zrozumiałam, jak mało tego wszystkiego; czułam, że mogę zginąć: uczyć się tu niczego więcej nie mogłam,

żeby więc czasu nie tracić i dowiedzieć się może czegoś pożytecznego, zaczęłam książki czytać. Tu już szło mi bardzo ciężko. Umiałam czytać i pisać, trochę arytmetyki i geografji, ale książek mi brak i poradzić się już nikogo nie mogłam. Zaczęłam wyciągać stare książki, których trochę u ojca było własnych i po bracie i po dziadku jeszcze. Znalazłam takie, których albo nie rozumiałam, albo które wydały się mi wcale nie potrzebne, ale, mając czas wolny, czytałam wszystko, co choć trochę zrozumieć mogłam, czytałam raz i drugi i szło mi coraz łatwiej — podowiadywałam się takich rzeczy, o które u nikogo dopytaćbym się nie mogła, a które były jak dla mnie napisane. Szczególniej dużo dowiedziałam się ze starej „Czytelni Niedzielnej", której dwie księgi znalazłam. Pierwszy raz dowiedziałam się, że można się uczyć i bez nauczyciela, że są nawet książki osobne dla takiej nauki, że o wychowaniu dzieci łatwo się wielu rzeczy z książek dowiedzieć i wreszcie, nad czem głowa mi zapałała, nad czem płakałam nieraz, że dla każdego człowieka w najgorszem położeniu jest ratunek, że więc i ja, a tem bardziej ono, nikomu nic nie winne — może być człowiekiem... Już... już śmielej podnosiłam głowę, ale też i czas mój już się zbliżał... Nie zginiemy, damy sobie radę, powtarzałam pieszcząc się z niem po nocach i nie przeczuwałam zaguby swojej...

Po wielu rozmysłach tak zrobić miałam.

O siedem mil od nas, też w niewielkiem miasteczku, mieszkała siostra ojca, staruszka, bezdzietna wdowa po urzędniku magistrackim. Ojciec ją lubił i szanował i ona to, kiedym mała była, co rok wypraszała sobie mnie na kilka tygodni. Później, po śmierci brata, matka nie chciała mnie puszczać, ale właśnie niedawno ciocia Joasia przyjeżdżała do nas i matka obiecała, że latem albo na święta puści mnie do niej na parę tygodni. Sam Bóg, pomyślałam, zesłał mi ją na ratunek i kiedy

nie będę mogła kryć się dłużej, wyproszę się do niej na kilka tygodni i u niej przebędę do końca. Ona i dobra i litościwa i kochała mnie jak rodzoną. Nie może być, żeby odepchnąć mnie miała w takiem ciężkiem utrapieniu! Z bijącem sercem przypominałam sobie teraz, jak to ona zawsze mawiała, że wszystko, co ma, dla mnie strzeże i pilnuje, a miała ona i domek z ładnym sadem i grosza trochę. O mój Boże, a jeżeli ona ze wszystkiem zostawi mnie u siebie? I w wychowaniu dziecka pomoże i bodaj choć umierając ojca przebłaga... Tak jednak myśleć bałam się i myślałam nie często. Sądziłam, że będę mogła u niej pobyć, dopóki nie wyzdrowieję, a później wyjadę do jakiego większego miasta i tam szwalnię założę. Matce postanowiłam nic nie mówić; ojca ona zmienić nie mogła, a bojąc się o mnie, mogła swoją trwogą wydać mnie przed czasem i nieszczęście na wszystkich sprowadzić. Że ona mi przebaczy, że nie opuści i pomagać będzie i przy ojcu pozostanie, aby póki żyć błagać go o przebaczenie dla mnie, o tem nigdy ani na jedną chwilę nie wątpiłam...

Tak było aż do piątego miesiąca mojej niedoli.

Musiałam być coraz ostrożniejszą... Musiałam się ściskać, ale i roboty niektóre robić, żeby pokazać, że mi nic nie jest. Więc nieraz, kiedy albo chleb przyczyniam, albo podłogi myję, a ojciec czasem stoi koło mnie, a ja poczuję poruszenie jego — gniewa się, że mu źle, o ulgę prosi — wszystka krew uderzy mi do głowy i nie wiem, co robić ze sobą, że mu w niczem ulżyć nie mogę. I zimno i gorąco mi wtedy... Tracę przytomność... A kiedy jeszcze ojciec albo matka widząc, jak się zatrzęsę cała, jak się w oczach zmienię, dopytywać się zaczną... wszystką siłę zebrać muszę, żeby przyjść do siebie, nie wydać swej tajemnicy.

Ale już zato, kiedy śpią wszyscy — daję mu wolę... Noc za nocą oka nie zmrużę... zasnąć się boję... poruszyć się boję, żeby mu co złego nie zrobić... Leżę

noc całą, oddech tamuję i słyszę, czuję, jak się rozciąga, jak mu dobrze, wygodnie... Płaczę wtedy nad niem... pieszczę... płaczę i nad dolą naszą i z radości.

Napisałam do ciotki list, prosząc, żeby przed świętami przyjechała po mnie koniecznie. Zaczął się siódmy miesiąc, jeszcze gorszy niż poprzednie.

Przychodziło mi nieraz do głowy, żeby przestać kryć się, powiedzieć wszystko, ale zrobić tego nie mogłam.

Ojciec nie zniósłby mej hańby, którą za swoją uważał. Żeby wygnał mnie tylko, to rzecz najmniejsza, ale jeżeliby rękę podniósł w zapamiętaniu?

Któżby był winien, jeżeliby nieszczęście jakie się stało?

Kryłam się, jak mogłam i milczałam...

Jak zbawienia, jak ratunku oczekiwałam ciotki, która miała wkrótce przyjechać po mnie.

Wiosna wczesna była w tym roku i ciepła niezwykle...

I nigdym też tyle łez nie wylała, patrząc na słońce jasne, jak w tę wiosnę okrutną.

Nie wiedziałam, jak i u kogo ratunku szukać...

Nie wiedziałam, jak i kogo prosić...

Nie wiedziałam, jak i do kogo się modlić...

Płaczę, bywało, patrząc na świat piękny i modlę się do słońca Bożego:

Zlituj się ty słonko jasne nade mną...

Oświeć ty głowę moją..,

Ożywiaj ty i dziecię moje!...

Ogrzej ty serca ludzkie...

— — — I drżał znowu bólem głos Hanusi i łzy duże toczyły się po jej twarzy...

...Ale choć coraz wyżej szło słońce i coraz silniej nagrzewało ziemię... zimno mi było... coraz zimniej...

Coraz jaśniejsze, coraz cieplejsze stawały się dni

wiosenne, a w moich oczach noc coraz gęstsza czernieć poczęła...

Noc coraz czarniejsza...

Nocy bać się zaczęłam... bałam się bez przyczyny...

Złe już stało koło mnie...

Bałam się wszystkiego... Bałam się ciemności... a wstydziłam się dnia jasnego... drżałam przed szmerem myszy... i nigdzie nie było ratunku... wszędzie... wszędzie prześladowała mnie hańba moja...

— — — Hanusia umilkła.

...Tak skończył się miesiąc siódmy i zaczął się jeszcze cięższy, jeszcze straszniejszy miesiąc ósmy. Na dworze ciepło było jak w lecie. Święta przypadały za trzy tygodnie i za jakie dziesięć dni najpóźniej ciotka miała przyjechać po mnie.

Każdy dzień był już teraz trudniejszy...

Żeby nie Kasia, której pod przysięgą powierzyłam tajemnicę, nie mogłabym już sama ukryć się z niedolą swoją. Kiedy zaczynałam jaką ciężką robotę, to robiłam ją przy rodzicach, ale jak tylko można było, jak tylko rodzice wychodzili, Kasia kończyła za mnie.

Przed świętami jednak przybyło roboty więcej, niż zawsze; matka prawie nie wychodziła z domu, a w ostatnich dniach jeszcze, czy rzeczywiście tak było, czy tylko tak się mnie wydało, ale ze strachem zauważyłam, że wtedy, gdy się tego najmniej spodziewam, czego dawniej nigdy nie bywało, ojciec dziwnie jakoś zaczął się mi przyglądać.

Gdym pierwszy raz to spostrzegła — serce zabiło mi ze strachu, a gdy to powtórzyło się raz i drugi i trzeci, myślałam, że zamrę z przerażenia...

Bóg mi widać rozum pomięszał...

Rzucać się wtedy zaczęłam do najcięższych robót:

i prałam i prasowałam i w sobotę przed niedzielą podłogi myć zaczęłam.

Ojciec, który lubił zawsze, kiedy ja od roboty się nie wymawiałam, wszedł do stancji, którą myłam. Wchodził on przecie i poprzednio nieraz i nieraz przekomarzał się ze mną, że robić nie umiem, może więc i teraz wszedł jak zawsze.

Od samego rana czułam, że źle ze mną; w nocy prawie nie spałam, więc kiedy wzięłam się do ciężkiej roboty, poczułam odrazu, że stanie się coś niedobrego...

Przychodziło mi do głowy, żeby powiedzieć, iż chora jestem, ale i tego bałam się także jak ognia. Jak się położę, a jak matka przyjdzie do mnie, odrazu pozna, co jest. Już dwa miesiące codzień i kładę się później i wstaję wcześniej niż ona. Więc choć ze strachem, wzięłam się do roboty, którą od czasu mego nieszczęścia zawsze na siebie brałam i od której przecie wymówić się mogłam tak łatwo...

Odwagi mi na to nie stało...

Kiedy wszedł ojciec i zaczął do mnie coś mówić, mnie się zaraz wydało, że ojciec przychodzi umyślnie, żeby mnie zobaczyć, kiedy byłam nie w zwykłem ubraniu. Strach mnie ogarnął.

Ojciec zachodził i z tej i z owej strony, szukał, a jak się mnie wydało, niby to szukał czegoś. Przerażona, sądząc, iż chodzi tak, żeby mnie się przyjrzeć, wszystkie siły natężyłam, iżby skryć się, aby pokazać, że ja i lekko i zwinnie robić mogę jak dawniej...

Poczułam kilka razy ból ostry...

Pot zimny wystąpił mi na czoło...

Ale jeszcze myślałam, że to nic, że to przejdzie, jak skończę robotę i odpocznę trochę... Ojciec jednak był długo i choć rzuciłam wszystko zaraz po jego wyjściu — bóle nie zmniejszały się wcale...

Zajrzawszy więc do kuchni, powiedziałam, że głowa

mnie boli i podłóg myć nie będę i zataczając się, wyszłam z domu. Z tyłu kuźni, przytykającej do sadu, była ławka z darniny, zakryta i altanką z boku stojącą i rosnącemi obok bzami. Tam teraz skryłam się, osłupiała z przerażenia, bo rozumieć zaczynałam, że los zgotował mi najcięższą próbę...

Jeszcze chwilkę pocieszałam się, że to przejdzie...

Ale straszny ból, jeszcze ostrzejszy... złamał mnie odrazu...

Bez siły i przytomności upadłam na ziemię...

Czy długo tak pozostawałam, nie wiem... kiedym przyszła do siebie, już skończyło się wszystko...

Przypuszczając najgorsze, takiego końca nie przypuszczałam... I... lepiejby mi było, żebym już wcale oczu nie otworzyła była... — drżącemi ustami szeptała Hanusia i łkanie tłumiło jej słowa. — — —

...Kiedym przyszła do przytomności, usłyszałam z tamtej strony bzów rozmowę... Głosy jakieś — i jak mi wydało się, głos ojca zbliżały się... ku altance...

— Jezusie ukrzyżowany, ratuj nas! — modlić się zaczęłam... i w głowie mi zamąciło się znowu...

Opowiedzieć nie mogę...

Boli mnie — jęczała — jakby dziś było. — — —

...Jezus Marja, zlitujcie się nade mną... — łkała, osuwając się z krzesełka i klękając koło mnie. — — —

...W tej chwili... usłyszałam koło siebie... cieniuchne kwilenie... Osłupiałam... zadygotałam jak w febrze... Usłyszą?... Usłyszy ojciec surowy i nie zniesie hańby swojej!... Zabije mnie!... Zabije nas oboje!... Zabije i siebie!... Pot zimny oblał mnie całą... A ono... głośniej zapłakało... Rozum straciłam...

Zapomniałam... że to słabiuchne... ręką usteczka maluśkie zakryłam... Ciszej... ciszej... jedyne!... A głosy te przybliżały się... i ja... skamieniałam... z rękami na twarzyczce jego.

Długo...

Och, jak długo to było... z ciężkiem łkaniem wymówiła Hanusia, zakrywając twarz przede mną. — — —

...I zadusiłam temi rękami podłemi — zajęczała głosem wielkiej boleści — zadusiłam swój skarb jedyny!... jęczała, odsuwając od siebie ręce i patrząc na nie z osłupieniem pełnem grozy i przerażenia.

— — — I blada jak trup, drżąca cała, z oczami utkwionemi w odsunięte od siebie ręce swoje, tracąc oddech co chwila, domawiała prędko szeptem urywanym:

...Kiedym oprzytomniała... zrozumiałam... podniosłam je... a ono już sine... wierzyć nie chciałam... ręce mi trzęsły się... a ono — ciężkie... ledwie mogę utrzymać... chuchać zaczęłam... tchnieniem ożywiać... nic nie pomaga... z krzykiem: „ratujcie je ludzie!“ rzuciłam się do domu...

Za bzami stali obcy ludzie... ku nim szedł ojciec... Rzuciłam się do niego, do nóg upadłam: „Ratuj mnie, mój rodzony!... może jeszcze żyje ono?... ratuj, bom zabiła dziecię własne!...“

Ojciec z początku nie rozumiał... ale gdy pojął... z jękiem odwrócił się ode mnie... rękami twarz zasłonił... a ja wpiłam się w niego oczami...

Ale straszna była twarz ojca, kiedym ją znowu ujrzała...

Zlękłam się... „zlituj się,“ zawołałam czy wołać chciałam, ale ust nie otworzyłam, kiedy ojciec... kopnął mnie w głowę.

Dziecko z rąk mi wypadło... potoczyłam się na ziemię i zupełnie straciłam przytomność...

— — — I Hanusia, pochylając się na stół, koło którego klęczała, mimowoli dotknęła ręki mojej i nie wiem już dziś, jakim odruchem pobudzony, drgnąłem bezwolnie. Podniecona nerwowo do najwyższego stopnia Hanusia poczuła to drgnienie i czuciem natężonem wiedziona, wprzód, zanim

ja sam sobie sprawę z tego zdać zdołałem, wytłumaczyła je ujemnie. Jak ostrzem ugodzona, podniosła ona pochyloną głowę i wyciągając ku mnie ręce błagać zaczęła:

— Nie odpychajcie mnie... Na Boga ukrzyżowanego nie odpychajcie, bo zgubicie mnie na wieki!... Nie odpychajcie — jęczała — nie odpychajcie!... powtarzała, dopóki z twarzy mej nie wyczytała, że o odepchnięciu jej nie myślę.

* * *

Tak więc dowiedziałem się wielkiej tajemnicy Hanusi, ale jak całe jej zachowanie się, tak szczególniej ostatnia jej prośba wyraźnie wskazywały, że nie o tajemnicę tę jej chodziło.

O co jednak? Nie rozumiałem.

Nie wątpiłem, że mam przed sobą istotę, jakkolwiek wielce nieszczęśliwą, zbyt wcześnie nieszczęściem, które ją dotknęło, znękaną, jednakże nie złamaną dotychczas. Silne stworzenie widocznie borykało się jeszcze ze swym losem surowym. Ale jak, wedle jakiego rozumienia i ku jakiemu szła celowi? Pojąć wcale nie mogłem.

Zapanowała ona prędko nad wzruszeniem, prędzej niż się spodziewałem nawet. Zda się, czytałem z tej twarzy, jak tłumi swe bóle, zda się, widziałem oczami, jak gniecie je w sobie i wpycha gdzieś głęboko.

Nie bez zadziwienia patrzyłem na siłę woli, którą teraz okazywała i nie bez ciekawości oczekiwałem końca zagadki.

* * *

...Ocknęłam się na tyle, że pamiętam już to trochę, w więzieniu. Dziecka przy mnie nie było i pierwsze, co mi przyszło do głowy, było to, żeby pójść za niem. Po-

darłam spodnicę, skręciłam sznur i przeżegnawszy się, założyłam pętlę na szyję. W chwili, kiedy stanęłam na stołku, weszli ludzie i związali mnie.

Tak przeleżałam, nie wiele wiedząc ani czując, do dnia następnego; wiem teraz, żem o jednem tylko myślała, że umrzeć muszę... Na drugi dzień rozwiązali mnie, ale pilnowali i wszystko, com robiła, żeby się zabić, było napróżno.

I szyję podrzynałam i zapałek się najadłam, ale wyratowali mnie zawsze, przestałam jeść, ale siłą pokarm mi wpychali. Trwało to długo i ja dobrze nie wiem, co ze mną było i dziś tylko jak przez mgłę pamiętam, żem się ciągle zabijała i ciągle mi nie dawali.

Później zupełnie już nie pamiętam, co było. Mówili mi potem, że zwarjowałam, rzucałam się na ludzi, że później chora byłam na zapalenie mózgu, opowiadali, żem dnie całe przesiadywała w łóżku, z chustek i gałganów zwijałam niby to dziecko małe i pieściłam je godzinami całemi. Później matka mi mówiła, że po śmierci ojca przychodziła do mnie często, ale matki też nie poznawałam.

Przez czas choroby nakładali na mnie koszulę z długiemi rękawami, ale kiedym przestała rzucać się na ludzi i rwać na sobie ubranie i zaczęłam poznawać wszystkich i mówić dorzecznie, zdjęli to ze mnie i ze szpitala do więzienia znowu przeprowadzili. Ale choć wiedziałam, gdzie jestem, choć ruszałam się i jadłam, byłam jak obumarła. O niczem myśleć nie mogłam i tylko kiedy przypominałam sobie, co było, ból mnie ściskał i płakałam dnie całe.

Wkrótce potem powiedzieli mi, że będą mnie sądzić, ale wszystko było dla mnie obojętne, postanowiłam bowiem przy pierwszej nadarzonej sposobności zabić się. Teraz pilnowali mnie, pamiętali, później tego nie będzie,

wtedy i skończę z sobą. Zaprowadzili mnie nareszcie do sądu.

Na zapytanie: „Czy wiem i pamiętam, com zrobiła?“ odpowiedziałam: Wiem i pamiętam. Później zapytali się: „Jak to zrobiłam?“ powiedziałam: Ot temi rękami podłemi. — Później się pytali: „Czy chciałam to zrobić?“ powiedziałam: Nie. Jeszcze się pytali, ale ja zemdlałam i wynieśli mnie stamtąd. Później, gdym przyszła do siebie, znowu mnie tam zaprowadzili i przeczytali mi wyrok: ze względu na młodość i okoliczności byłam skazana do ciężkich robót na lat sześć. Zapytali mnie, czy jestem z wyroku zadowolona i sąd się skończył.

Wkrótce mieli mnie wysłać z partją całą. Matka miała być na sądzie, ale że ciężko zachorowała, pisała więc tylko, iż jak tylko będzie mogła wstać, przyjedzie, teraz zaś modli się za mnie, prosi Boga o pomoc i opiekę, ściskając w końcu stokrotnie.

Były to pierwsze słowa od matki, które zrozumieć już mogłam i gdym się nad tem zastanowiła, opowiedzieć nie umiem, co się ze mną działo, ile radości i smutku sprawił mi list matki nieszczęśliwej: nie przeklinała mnie ona, ale gorąco modliła się za mnie, niegodną dziecięciem swem nazywała!...

Zapominając, że ja nie mam do tego prawa, gorąco modlić się zaczęłam. Żebym choć raz jeden zobaczyć ją mogła! Rzucić się jej do nóg i płacząc i żebrząc wypowiedzieć, że ja nie chciałam tego, iż jabym prędzej sobie, niż jemu, śmierć zadała... Aby ona, konając, mogła umrzeć spokojniej, żeby wiedziała, że choć zła, ja łzami krwawemi opłakuję zbrodnię swoją.

Mieli nas wysłać wkrótce, a od matki ani listu, ani wiadomości. W niedzielę, akurat, powiedzieli nam, że na drugi dzień wyruszymy w drogę. Już straciłam nadzieję, kiedy po południu przyszedł po mnie dozorca.

Jak szłam, jak weszłam — nie pamiętam. Ale kie-

dym ją zobaczyła, wstającą na moje spotkanie, kiedy więcej do trupa, niż do żywej podobna, sczerniała i z ciała opadła... ona ręce do mnie wyciągnęła!... Tego nigdy nie zapomnę. A kiedym do nóg jej przypadła, ona, nazywając dziecięciem swem jedynem, pieszcząc, z ziemi podniosła i do piersi przycisnęła...

Teraz dopiero opowiedziałam jej wszystko. Ale taka czy inna kara? dla mnie było wszystko jedno. Hańby — by to ze mnie nie zdjęło, nawet wolałam teraz, że się dostanę gdzieś dalej.

Wolałam teraz, bo matka o jedno mnie zaklinała, o jedno błagała, żebym nie gubiła duszy na wieki i rąk na siebie nigdy nie nałożyła. Nie miałam serca i odwagi odmówić jej i przysięgłam, że tego nigdy nie zrobię. Bo ona ze mną iść chciała... Inaczej puścić mnie nie chciała... Byłyśmy z sobą długo i późno w noc wróciłam do więzienia.

Jak kiedyś słowa ojca, tak teraz słowa matki: „módl się, pracuj i znoś wszystko w pokorze“ huczały mi w uszach. Miałam zacząć życie nowe.

Ale, jeżeli dzieckiem będąc, przeczuwałam niedolę, która mnie dotknąć miała, teraz dość mi było spojrzeć wokoło, żeby zobaczyć, jakie życie straszne mnie czeka. W tem pohańbieniu okrutnem, pomiędzy zbrodniarzami i rozpustą, sama jedna i opuszczona, miałam zostać na długo, bodaj na zawsze.

Może więc już z samego początku zgrzeszyłam, wątpiąc o miłosierdziu Bożem, bo gdym spojrzała wokół, już nie tem, co dotąd okiem, sił mi zabrakło, zlękłam się...

Ale to niedługo trwało; całą noc krzyżem przeleżałam i uspokojona wyszłam w drogę.

* * *

— — — Hanusia zamilkła, ale milczenie to innem już było. Twarz jej, z której, jak z księgi otwartej, odczytać się

dało każde głębsze poruszenie jej duszy, wskazywała, że z przeszłością, która dla niej obecnie była martwą, już ona skończyła.

Mogła ona i płakać i boleć nad nią, mogła cierpieć bardzo wiele, ale wszystko to, widocznie, miało dla niej drugorzędne znaczenie.

Z ostatniemi słowy na twarzy jej wystąpiła jakaś zaciętość; jakiś dziwny wyraz, to — coś tajemniczego, co dotychczas w oczach jej blaskiem jasnym gorzało, to coś, co ją przy życiu dalszem utrzymało, oświeciło całą jej twarz nowem dla mnie światłem.

Co to jednak było? dotychczas nie rozumiałem.

Nadzieja zbawienia duszy, zyskanie pokoju wieczystego wzamian za męczarnie doczesne? Ale chwila głębszego zastanowienia się nad charakterem Hanusi bezzasadność tego przypuszczenia odrazu wykazywała. Była ona za mało egoistyczną, aby myśl podobna mogła ją zmusić do życia. Sprawić to mogło uczucie głębsze, szersze, nietylko jej samej dotyczące.

I teraz dopiero, przygladając się Hanusi, zauważyłem, że przypuszczenie moje dawniejsze, iż mam z manjaczką pracy do czynienia, częściowo jest prawdziwe: mam do czynienia, niewątpliwie, z manjaczką, tylko nie pracy, ale wielkiego, głębokiego uczucia.

Tylko bowiem człowiek fanatycznie przez myśl inną, przez uczucie żywe opanowany, mógł z taką dokładnością i stosunkowo tak spokojnie opowiedzieć swe życie poprzednie, rozgrzebać wszystkie swe uczucia dawniejsze, gdyż wobec żywego, ani go osłabić, ani bólu zbyt silnego sprawić one nie mogły, przeciwnie, mogły je spotęgować, tchnąć weń nową siłę.

Teraz dopiero i cierpiąca twarz Hanusi i dziewicza piękność jej kształtów zlały się w mym umyśle w jedną harmonijną całość.

Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego brud życia ciała

tego nie skalał, śladów swych na niem nie zostawił, dlaczego przemówiło ono do mnie kiedyś najczystszym językiem piękna, dlaczego od ciała tego wiał chłód dziewiczego żaru — owo zimno myśli bezcielesnej, którą tylko śmierć jedna tak misternie z najtajniejszych skrytek wyciągać i ujawniać umie lub wielkie, wyłączne uczucie, opanowawszy całkowicie człowieka, na twarzy nieszczęśliwego myśl tę bezcielesną rylcem swym ostrym rzeźbi.

* * *

...W pierwszej chwili, — mówić znowu ona zaczęła — gdym pozostała sama jedna zlękłam się; ale w pierwszej też chwili jak szalona śmiałam się sama do siebie i płakałam nie z żalu, że idę gdzieś daleko, ale z radości, iż przez tę karę straszną może przebłagam Boga rozgniewanego. W pierwszej chwili, dziękowałam Bogu za tę karę.

Po tem, co się stało, myślałam, nigdy już nie upadnę, całe życie tylko na modlitwie i przy pracy spędzę.

Ale jak poprzednio nie wiedziałam, co jest złe, tak teraz, myśląc o odpokutowaniu swego grzechu, nie wiedziałam, jak ja to zrobić będę mogła. Słowa matki: „módl się i pracuj i znoś wszytko w pokorze“, powtarzałam jak modlitwę największą, temi słowy zaczynałam i kończyłam dzień każdy, ale wkrótce ze strachem spostrzegać zaczęłam, że ani modlić się, ani pracować, ani znosić w pokorze wszystkiego, co mnie spotykać będzie, nie będę mogła.

Prędko dowiedziałam się, żem się dostała do najstraszniejszej w świecie szkoły — do szkoły zbrodni i rozpusty. To też, kiedym się znalazła w centralnem więzieniu w Permie, odwaga i nadzieja opuściły mnie znowu. Nie odpokutuję, ale w nowe grzechy zagrzęznę, bardziej upadnę — jeżeli, póki czas, nie zabiję się sama — tak

myślałam, siedząc na *narach*[1]) w permskiem więzieniu i płacząc nad sobą. Zbliżyła się do mnie wtedy jakaś staruszka i rozpytywać zaczęła, nad czem płaczę tak gorzko. opowiedziałam jej wszystko. Staruszka wysłuchała mnie cierpliwie, a później i sama mi opowiedziała, kto ona, a była ona z sekty *biegunów*[2]) i skończywszy: „słusznie płaczesz, gołąbko, mówi, tam piekło, tam duszę zagubisz doreszty, bo przy twojej urodzie i młodości piekło to straszniejsze dla ciebie, niż dla innych". Jako ratunek jedyny staruszka wskazała mi ucieczkę. „Nietylko ci, co w więzieniach siedzą, ale i ci, co w świecie pozostają, jeżeli chcą uchronić duszę od zguby i osiągnąć zbawienie wieczne, uciekać muszą od ludzi". Rozmawiałam z nią potem jeszcze nieraz, ale ucieczki jeszcze bałam się. Miałam z sobą pieniędzy dosyć, matka nazaszywała mi w odzież i w kancelarji złożyła, mogłam więc z łatwością skorzystać z *zamiany*[3]). Ale kiedym nareszcie zdecydowała się, oszukiwano mnie i pieniądze wszystkie wydałam i już do Tomska podchodziliśmy, a ja nietylko z nikim nie zamieniłam się, ale i myśleć już o tem nie mogłam. Teraz jeszcze większy strach ogarniał mnie przed tem, co mnie czeka, tem bardziej, że wszyscy, szczerze czy nieszczerze, już nie wiem, radzili, mi jeżeli nie zamianę, to ucieczkę.

Mówili, że gdy przejdę do kategorji niepomniaszczych, ominę na zawsze katorgę i dostanę się odrazu na osiedlenie i w ten sposób uniknę tego życia strasznego.

---

[1]) *Nary* — prycza, nieruchome wzniesienia z desek, które służą za łóżka dla więźniów.

[2]) *Bieguny* — tworzą sektę szkodliwą, surowo karaną; główna jej zasada: ucieczka od ludzi i świata.

[3]) Za pewną, zwykle niezbyt wielką zapłatę, znajdzie się zawsze w każdej partji ochotnik, który, będąc skazanym wprost na osiedlenie, zgodzi się pójść do ciężkich robót; nazywa się to *zamianą* i dawniej szczególniej praktykowało się powszechnie.

Teraz często mi przychodzi do głowy myśl straszna, że może ja zagubiłam się na wieki, nie spełniając na pierwszym kroku przykazania matki?

Może Bóg wielki chciał, żebym ja taką karę poniosła?

Bo to, od czegom samowolnie uciekła, spotkało mnie gdzie indziej.

Kiedy więc jedno wszyscy mi radzili, kiedy zobaczyłam, jak ludzie niechcąc giną: matki sprzedają córki, dzieci podnoszą ręce na rodziców, a tam, gdziem na pokutę iść miała, działo się jeszcze gorzej, usłuchałam rad obcych i swojej trwożliwości.

Bo matka przecie nie wiedziała, nakazując mi znoszenie w pokorze wszystkiego, co mnie spotka — co mnie rzeczywiście spotkać może!

Czyż może być, żeby przez upadek można było zbawić duszę swoją?

— Nie może być — powtarzałam coraz częściej — i uciekłam...

Panie drogi, com ja zrobiła?... do dzisiaj dreszcz zimny mnie przejmuje i rozum tracę, gdy pomyślę o tem...

Ci ludzie, co ze mną uciekali... niech im Bóg odpuści krzywdę moją — nie mogę opowiedzieć, co ze mną robili...

W lasach i puszczach sama jedna ze zbrodniarzami, dla których nic świętego nie było...

— — I Hanusia, od ściany białej bielsza, drżała i trzęsła się cała.

...A gdy zima zbliżać się zaczęła i ja stałam się dla nich ciężarem, sprzedali mnie do domu, gdzie ludźmi handlują.

Com wtedy przeszła — Bogu jednemu wiadomo.

Bili mnie... i zbitą... bez czucia... nieprzytomną... bezcześcili...

Chciałam uciekać, ale grozili mi, że mnie wyda-

dzą i wtedy na całe życie do katorgi pójdę — a gdym już nie słuchała, pilnowali i za ucieczkę znów bili okrutnie.

Chciałam się zabijać, ale myśl, że zagubię wtedy duszę na wieki, rękę mi zawsze wstrzymała...

Trwało to pół roku. Przewieźli mnie blisko do tych kopalni, gdzie był Jacenty. Straciłam siły... straciłam wiarę w to, że może mnie co ocali.

Nie widziałam znikąd ratunku... Napróżno rzucałam się do nóg tym, co tam przychodzili. Nikt mnie nie słuchał. Napróżno zaklinałam. Nikt nie wierzył. Ludzie, jak zwierzęta, widząc ciało moje, wystawione na sprzedaż — szarpali mnie, jak psy głodne mięsa nie szarpią...

Myśl o samobójstwie coraz częściej przychodzić mi do głowy zaczęła.

W ten dzień właśnie, kiedy się już zabić umyśliłam, przyszedł Jacenty.

Nie widziałam go tam nigdy. Był to pierwszy człowiek, który, gdym go o litość poprosiła, zlitował się nade mną, nietylko zlitował się, ale zaczął rozpytywać, w jaki sposób, jak dawno ja tu dostałam się. Nie chciałam mówić z początku, ale jak zaczął mnie prosić, jak powiedział, że jeżeli co, to i o wydostaniu mnie stąd pomyśleć może, opowiedziałam.

Opowiedziałam, że ginę, że o ratunek od pół roku wszystkich błagam, opowiedziałam, jak się tu dostałam, uciekając, o tem jednak, zaco szłam do ciężkich robót, zamilczałam. Dlaczego to zrobiłam i odrazu nie powiedziałam wszystkiego, nie wiem sama. Może dlatego, że i mówić mi o tem ciężej, może dlatego, iż kiedy ujrzałam nadzieję wybawienia, bałam się, aby jej nie stracić, a może i dlatego, że szczerze myślałam później mu wszystko powiedzieć.

Chociaż było to niełatwo, na siódmy dzień po naszem poznaniu się byłam już u niego, a dlaczego mu teraz nie powiedziałam wszystkiego, to już wiem dobrze.

Dlatego, iż bałam się, żeby mnie nie wypędził od siebie. Dostałam się do schronienia, o jakiem już i pomyśleć nie mogłam. Po tem, co było, nie zastanawiałam się, że nowy grzech popełniam. Bałam się, jak ognia, ludzi i tuliłam się, jak jagnię, do pierwszego człowieka, co słowem ludzkiem przygarnął mnie do siebie.

Później, kiedym się przekonała, jak on mnie kocha, bałam się już z czego innego powiedzieć mu prawdę. On podobny był do ojca mego, nie zniósłby tego, nie zniósłby hańby swojej.

Prawda, ja jakiś czas miałam nadzieję, że Jacenty ożeni się ze mną, nie pytając, kto ja — ale, Boże mój drogi, nie o to mi przecie chodziło.

Widziałam w tem palec Boży... Umyśliłam w swej głowie nieszczęsnej, że to będzie znak łaski Bożej nade mną...

Nawet już potem, kiedy raz rozstawaliśmy się, jeszcze nadzieja taka przychodzić mi do głowy zaczęła. Było to już po pańskim przyjeździe. Myślałam, że po tak długiem pożyciu zgodzi się choćby na najgorsze, powie: „wszystko ci daruję".

O, wtedy przecie wszystkobym mu była powiedziała.

Bóg jednak strzegł mnie od największego nieszczęścia i teraz dziękuję Mu za łaskę Jego.

Bo zabłąkałam się w grzechu, nie wiedziałam tego, co wiem teraz.

Teraz dziękuję Bogu, że Jacenty nie chciał być dłużej ze mną.

Teraz i od państwa przez to odchodzę.

Boję się dziecięcia waszego...

Możebym go wam pozazdrościła?...

Możebym Stanisława przeklinać zaczęła?...

Boję się tego...

Bo teraz?...

Teraz ja, głodna, skonam przy chlebie cudzym...

Bo przecie takie jest prawo?

Ale ja tego nie wiedziałam. Ja późno dowiedziałam się o tem.

Ja wiedziałam jedno tylko, że powinnam ocalać duszę swoją.

Bo przecie ono, choć niechrzczone, zamordowane niewinnie, w niebie jest teraz?

A gdzież ja będę nieszczęsna?

Gdzie ja będę? myślałam i żeby nie myśleć o tem, zabić się chciałam czem prędzej.

Więc kiedy matka nie odepchnęła od siebie, mnie spodloną przytuliła do piersi... łzami czystemi nade mną zapłakała i powiedziała mi to, o czembym sama nigdy pomyśleć nawet nie odważyła się, że może i mnie Bóg przebaczy... wtedy... choć bałam się...

Wtedy jak szalona zapłakałam z radości...

Wtedy krzyżem w więzieniu noc całą przeleżałam.

Wtedy przysięgałam, że żyć będę i znosić wszystko w pokorze i dziękować za wszystko.

Więc kiedym tam była, kiedy ode mnie grzechu żądali, sama się nie zgadzałam, ale kiedy mnie bili, wiązali — myślałam, że to ta kara właśnie, którą ominąć chciałam i w nierozumie swoim dziękowałam Bogu za nią. Później dopiero rozumieć zaczęłam, że choć sama tego nie chcę, przyczyniam się do grzechu.

Bo choć zapłakana i sińcami okryta — ładna byłam i ciało moje przeklęte przyciągało ludzi, którzy ani łez, ani sińców na mem ciele widzieć nie chcieli.

Rozpacz mnie wtedy opanowała i gdyby nie Jacenty, zginęłabym dawno.

Toż samo i u niego; choć nie mogąc w kościele, ślubowałam mu w duszy przed Bogiem wiarę dozgonną — zrozumiałam jednak, że to grzech i chociaż ciężko mi było

z nim się rozstawać, dziękowałam szczerze Bogu, że tak się stało.

Teraz, kiedy przeszłam to wszystko, choć wiem już, jak się chronić od złego, ale... plącze się to wszystko w mej głowie... Samej sobie nie wierzę. Teraz o zbawieniu swojem zaraz po śmierci myśleć nie mogę... Więc zapytać się chciałam... i, jeżeli Boga kochacie, poradźcie mi, oświećcie moją duszę zbłąkaną...

— — — I Hanusia podniosła się powoli.

* * *

Hanusia podniosła się i załamawszy opuszczone ręce, stała przede mną w milczeniu. Twarz jej pałała, oczy ogniem gorzały, a usta, choć mówić przestały, poruszały się nerwowo.

Z rękami załamanemi, oczami wzniesionemi do góry, stała ona przede mną natchniona, cierpieniem wielkiem ze wszech stron jak oddechem śmierci od świata odcięta...

I piękną ona była, ale zimno i chłód wiały od tej piękności.

Z natchnionej jej twarzy biła myśl, nic tylko myśl, jak z posągu greckiego, jak z twarzy ludzkiej, na której śmierć mistrzyni wszystkie tajniki duszy ludzkiej wyryła — biła myśl jedna, wyłączna — jedna, bezcielesna, od świata żywego, od ciała i krwi ludzkiej oderwana — myśl straszna swą wyłącznością, myśl — pożerająca słaby organizm ludzki, myśl — warjata, myśl — szalonego.

I straszny był ogień, pałający w jej źrenicach rozszerzonych. I jak upiór okropnym był rumieniec, na tej zimnej, jedną myślą opanowanej, twarzy wykwitły.

I czułem, że ta dziewczyna, od bólu za życia skamieniała, zada mi w swej prostocie naiwnej pytania, na które nasza moralność zdawkowa ma odpowiedzi, ale które będą ciężkiem oskarżeniem nie dla człowieka głupiego, co ją uwiódł — ale dla nas wszystkich.

Czułem, iż my wszyscy, popychając dzieci małe do zbrodni, my — przyzwyczajeni do kamienowania wszystkiego, co nie umie ukryć się poza pokrywką spodlonej przyzwoitości naszej, my winniśmy nietylko tego dzieciobójstwa.

My, znęcając się i pastwiąc z rozkoszą zwierząt krwiożerczych nad niedolą ludzi, przez nas zbezczeszczonych, myśmy — więksi zbrodniarze, myśmy i dzieciobójcy i matkobójcy.

* * *

...Teraz ja wiem, — mówić ona wreszcie zaczęła — wiem, że po śmierci niema dla mnie zbawienia, bo Bóg ciężko karze grzechy takie, tem bardziej, jeżeli je popełnił człowiek, który już miał na sumieniu to, co ja miałam, który powinien wiedzieć, co robi... Grzeszyłam i karz mnie, Boże wielki, za te grzechy... wiem, iż po śmierci niema dla mnie ratunku... wiem, że potępiona do piekła pójdę...

Ale tam przecie, choć długo, długo ludzie będą.... przyjdzie przecie sąd ostateczny?...

A w piekle przecie, chociaż ciężko karana, do grzechu zmuszaną nie będę?...

Choć palić mnie będzie ogień piekielny, palić nie będzie strach przed ludźmi złymi?...

Więc powiedzcież mi teraz, poradźcie, człowieku drogi, czy ja nie grzeszę, tak myśląc?... Czy można odpokutować za grzechy swoje do dnia sądu ostatecznego?...

— — — Hanusia uklękła koło mnie i odnalazłszy wzrok mój, unikający jej spojrzenia, zapytała z nową siłą i strachem zatajonym:

— Czy można?...

— Można — odpowiedziałem zawstydzony.

Dzika radość błysła w rozpalonych jej oczach.

— Tak... — szeptała głosem urywanym — tak przecie... i w piśmie świętem i w żywotach świętych Pańskich... jest powiedziane. Ja wiem o tem... ale tyle razy błądziłam... a z nikim nie mówiłam... nie mam wiary w swój rozum... boję się... ale tak, to prawda!... Chwałaż Ci, Boże wielki!... A teraz, powiedzcie mi teraz, — znowu jak dziecko małe, wzroku mego szukając, pytać zaczęła — więc i ja mogę na sądzie ostatecznym dostąpić odpuszczenia?... Mogę dostąpić?...

— Możesz — odpowiedziałem.

— Bo Bóg wielki litościwy jest przecie? Litościwszy, niż ludzie?...

— Litościwszy, Hanusiu.

— Bo Bóg wielki i sprawiedliwy jest przecie?... Sprawiedliwszy, niż ludzie?...

— Sprawiedliwszy, Hanusiu.

I dzika radość jeszcze bardziej rozszerzyła jej rozpalone źrenice.

— A teraz,... — przysuwając się do mnie jeszcze bliżej i ręce swe kładąc mi na piersi i wzroku mego znowu szukając, znów szeptać zaczeła — teraz powiedzcie mi jeszcze, człowieku drogi, czy... pomiędzy tyloma dziećmi... odnajdę ja... dziecię swoje?... Czy odda mi je Bóg wielki? — I nie czekając mojej odpowiedzi ciągnęła dalej — ...Bo choć w piekle popalą się ręce moje... spalą się piersi... które go nie wykarmiły... zginie łono, co je nosiło... ale ja przecież... czuć będę jeszcze?... ja będę mogła... przycisnąć je do siebie?... przytulić?... przygarnąć?... będę mogła?... Będę mogła?... — z przerażeniem zawołała, chwytając mnie za rękę, — ...będę mogła?... człowieku jedyny?!...

— Będziesz mogła — z trudnością wymówiłem.

I dziki wyraz obłędu znikł z twarzy kobiety szalonej; surowa i zimna myśl wyłączna, pożerająca wszystkie jej siły duchowe ustąpiła miejsca myśli potężniejszej,

głębszej — myśli żywej, uczuciu, którego żaden zbrodniarz z jej piersi nie wyrwie, żadna hańba nie splami, żaden brud pod najobłudniejszą pokrywką naszej podłej przyzwoitości nie dosięgnie...

Surowe rysy jej twarzy przeobraziły się, zmiękły i złagodniały, oczy promieniały jasnym ogniem czystej, nieskalanej miłości, a uśmiech serdecznej radości skrasił jej usta, jeszcze bólem i trwogą drżące...

. . . Przede mną była matka. . . .

Upłynęła chwila mała...

Trzymałem jej ręce w swoich rękach i wprzód, zanim zdążyłem pomyśleć o tem, co się z nią dziać musi, poczułem, jak zadrżały i ochłodły jej ręce rozpalone, a gdym spojrzał w jej oczy, ogniem czystym tylko co gorejące, zgasły już one nieszczęsne, zgasły — ni to świece one. Zbielała jej twarz i Hanusia osunęła się na ziemię...

I długo cuciliśmy ją, zanim przyszła do siebie.

* * *

Na drugi dzień rano, Hanusi już u nas nie było.

W kuchni siedziała „Jedwabna Pajęczyna“ i rozdmuchując starannie węgle, ni to jękiem, ni to śpiewem swym smętnym głośno zawodziła, jedno i to samo powtarzając bez przerwy:

„Niemasz już tu Hanusi...
Niema tu słońca mego“...

Petersburg r. 1889—1890.

DWIE MODLITWY.

DWIE MODLITWY.

I.

Dawno, bardzo dawno temu, — naturalnie dla mnie tylko, gdyż dziś jak przeze mgłę pamiętam te czasy — w jednej z największych świątyń Podlasia usłyszałem po raz pierwszy w mem życiu harmonijny i potężny śpiew choralny męski. Świątynia, napełniona zbitą masą ludu, pieśni, spływającej z chóru lawiną palącą, wtórowała głosem wielkim, przechodzącym w łkanie, zamierające w cichym, coraz cichszym, wreszcie ledwie słyszalnym jęku błagalnym.

Drobne ciało moje drżało jak w febrze, rozpalone czoło przykładałem do zimnej podłogi i składając i wyciągając ręce do Boga, prosiłem Go, żeby ucichł ten jęk, rwący me serce dziecinne, żeby ci ludzie na chórze nie śpiewali tak żałośnie, żeby im weselej i radośniej było na świecie. „Zmiłuj się, zmiłuj, Panie“, powtarzałem z taką wiarą i ufnością, że po każdem wezwaniu mojem z zatajonym oddechem oczekiwałem, że, ot, ot, zagrzmi głos do pioruna podobny i głusząc modły błagalne, uciszy jęki bolesne i radosna pieśń Narodzenia, triumfujące „alleluja!“ Wielkiej Nocy balsamem spłynie z chóru na tłumy modlących się ludzi.

Już zamilkły ostatnie jęki; ostatnie westchnienie tysiąca piersi echem stłumionem z pod wysokich sklepień

spada na głowy modlących się, przygniatając je ciężarem ogólnego bólu; zgięte do ziemi, korne postacie unicestwiają się prawie; głów ludzkich nie widać w świątyni, tylko oczu tysiące z głów tych wpijają się w obraz Boga i zanoszą niemą prośbę do Niego.

Najsłabsze echa modłów i westchnień ludzkich giną w głębokich sklepieniach i cisza straszna, cisza grobowa, zda się, zapanuje w świątyni i wiernych tysiące, ich jęki i prośby, staną przed próżnią, rozpłyną się w nicestwie... zginą... niesłyszane...

Strasznej tej chwili boi się człowiek i kojącemi dźwiękami muzyki podtrzymuje swe słabe siły; milczą więc usta zaciśnięte, zgniecionej piersi nie wznosi już westchnienie, ale tam... w górze... rozlegają się miękkie, łagodne dźwięki i falując wśród sklepień wysokich, tłumione oddechami ludzkiemi, schodzą na dół, do głosów żywych podobne.

I jęczy i płacze metal martwy pod ożywczem dotknięciem palca ludzkiego i w dźwięki, wydarte niegdyś z piersi silniejszej niż pierś tłumu, wsłuchuje się tłum ten, jak w swe własne, błaga i prosi z nową ufnością i ukojony sztuką artysty, silny nową wiarą, łzy wylewa nareszcie, we łzach tych ulgę znajduje.

Na tę chwilę jak gdyby czeka chór śpiewających, bo zaledwie zjawią się na twarzach ludzkich perły niedoli człowieczej, zaledwie zajaśnieją one na słońcu swą czystością nieskalaną, potężna skarga bije znowu ku niebiosom, pali serca nowym płomieniem.

I znowu jęczą usta ludzkie, korzą się czoła i chylą ku ziemi, ciężarem westchnień z piersi zbolałych gniecione.

Jęczę i ja razem z niemi; modlę się jeszcze goręcej, jeszcze błagalniej wyciągam ręce do Boga surowego; jeszcze dłużej zatrzymuję oddech, oczekując cudu widomego; ale milczy Bóg, pryskają nadzieje dziecinne, a chór

wzywa do nowej modlitwy, pali jeszcze silniejszym płomieniem.

— Boże mój, Boże, kiedyż się skończy ta modlitwa okrutna?

Czuję, że siły mnie opuszczają, że dłużej *tak* się modlić nie mogę. Koło mnie modli się ojciec ukochany, tulę się więc do niego; on mnie, jak zawsze, pocieszy... Ale ojciec, choć nachyla się ku mnie, nie widzi mnie chyba, bo po twarzy jego łzy płyną i ja czuję tylko i słyszę jego szept gorący:

— Módl się, dziecię! módl się, jedyne i nie zapomnij tej modlitwy wielkiej!

A chór nie widzi mnie tem bardziej i jęczy i płacze nowym bólem. Modlę się więc znowu; wszystkie swe myśli i czucia skupiam na prośbie jedynej; pot kroplisty występuje mi na czoło; zatamowywam oddech jeszcze dłużej i czekam... czekam napróżno!... Bóg milczy, a chór zawodzi nową skargę.

Straszno mi teraz i duszno i gorąco nadzwyczaj!

— Boże mój, Boże, czemuż nie słuchasz nas tak długo?!

Pała jak w ogniu głowa moja; śpiew chóru, dźwięki organu, jęki i westchnienia ludzkie zlewają się w uszach moich w szum chaotyczny, bezładny. Szum ten przechodzi powoli w jakiś huk miarowy, z początku wolniejszy, później częstszy, z początku bliższy, później dalszy, do łopotania skrzydeł wielkich ptaków podobny; sinawy dym kadzideł czerwienieje mi w oczach i myśl, że prośby nasze nie dochodzą do Boga, jasnym promieniem oświeca moją głowę zmęczoną. Podnoszę oczy do góry i z krzykiem rzucam się do ojca.

Tam w górze, wstrzymywane wysokiemi sklepieniami świątyni, jak stado ptastwa, zbierającego się do odlotu, kłębią się i huczą prośby ludzkie; przez wąskie okna

świątyni przedzierają się smugi światła słonecznego i ku nim, ku słońcu cisną się kłębami czerwonawe, krwawe, jęki i bóle człowiecze...

— Tato, tato! chodźmy modlić się... tam, do słońca, tam usłyszy nas Bóg wielki, tam nic nie zatrzyma prośby naszej...

. . . . . .

* * *

II.

Zima 18.. roku rozpoczęła się w X., jak w całym kraju jakuckim, niezwykle wcześnie. Już w ciągu sierpnia przymrozki zwarzyły wszelaką zieloność i poczerniałe, ogołocone ze swej krasy przyrodniej przestrzenie wielkiej doliny, w której leży miasto, przedstawiały się teraz oku człowieka niezwykle ubogo.

Nędzne jurty, żadnych budynków, nic podobnego choćby zdaleka do ludnej i tak wesołej na jesieni wsi naszej. Tęsknota do kraju w czasie tej wczesnej, choć krótkiej jesieni, pierwszy raz stanęła przede mną w całej swej przerażającej grozie.

W połowie listopada zaczęły się znakomite *sorokowiki* [1]), często bez przerwy trwające przeszło dwa miesiące. To też choroba, której uległem, rozwijała się prędko i jeszcze na długo przed owemi sorokowikami wycieńczyła mnie zupełnie. Jako nowicjusz w podobnego rodzaju sprawach, popełniałem tymczasem mnóstwo takich rzeczy, które same przez się nie będąc niedorzecznemi, przez człowieka doświadczonego są tu praktykowane w pewnej bardzo ograniczonej mierze. Wszyscy ci, którzy byli chorzy na nostalgję, starannie unikają wszystkiego, co mogłoby wywołać chorobę: niechętnie mówią o swej przeszłości, milczą uparcie, gdy rzecz zachodzi o kraju,

[1]) *Sorokowiki* — mrozy 40-stopniowe.

okazują wogóle dla wszystkiego, co powinno im być drogie, dziwną, niezrozumiałą obojętność. Naturalnie obojętność ta jest pozorną. Z początku nie rozumiałem tego zjawiska. Później dopiero, gdym pobył tu dłużej, zrozumiałem, jak rozpaczliwym pancerzem ci, na oko zupełnie sczerstwiali i zobojętniali ludzie okrywali swe piersi zbolałe, z jakim wysiłkiem przedłużali swe istnienie na ziemi: zrozumiałem, że obojętność owa — to swego rodzaju heroizm, prawda, mały i niebłyszczący, jak każdy heroizm niedoli, ale zawsze heroizm.

Tym to puklerzem obojętności i pozornego zapomnienia okrywają się tu ludzie różnych stanów i kategoryj: jedni czynią to z mniejszem, drudzy z większem rzeczy czynionej rozumieniem, jedni z mniejszą, drudzy z większą wytrwałością. Szczególniejszą jednak siłą woli, z ludzi pozornie zobojętniałych, bez wątpienia wyróżniają się ludzie wiejscy — chłopi.

Długo, długo trzeba krzesać, nim się iskrę z chłopa rozżalonego dobędzie; ale zato istra ta, gdy wyleci, błyśnie ci przed oczyma takim płomieniem, że aż je zakryjesz od blasku lub otworzysz z przerażeniem.

* * *

Z ciężką chorobą mocowałem się już kilka miesięcy i dzień wigilijny zastał mnie w chwili, gdy ku wszystkiemu, co swojskie, biegłem już z tym uporem nieszczęsnym, z którym myśl pijaka biegnie ku wódce, myśl szalonego ku idei wyłącznej. List, odebrany przed kilku dniami z widocznym symbolem dnia dzisiejszego, opłatkiem, pokruszonym w drobne kawałki, dolał oliwy do ognia. List ten odczytałem niezliczoną ilość razy i jeżelim teraz biegał z kąta w kąt swego pokoju, jak wiewiórka w swem kole zamknięta, myślałem już nie nad listem samym. Wszystką truciznę wywołanych przezeń wspomnień z go-

rączkowym pośpiechem, bez chwili odpoczynku, piłem w ciągu ostatnich nocy bezsennych i wyobraźnia moja, wyczerpana, zmęczona, nie szła już dalej. Dzień, który wywołał tyle wspomnień, sprawił mi tyle cierpień, nadszedł; chodziło mi o to tylko, jakby urządzić się wieczorem tak, aby wypić do dna kielich zdradliwej słodyczy, otoczyć się atmosferą, któraby choć na krótką chwilę, choć zdaleka, przypomniała przeszłość bezpowrotną i podsuwając nowe, realne, choćby najgrubsze obrazy, podsyciła wycieńczoną wyobraźnię, dała jej karm dla nowych widziadeł, nowych halucynacyj.

W X. było wówczas parę polskich domów, prowadzonych dość otwarcie, a w jednym z nich, czy też w dwóch nawet, urządzano wigilję, dzisiaj jednak być tam nie mogłem. Domyślić się łatwo, że dziś chciałem się wyrwać z dusznych ramek konwencjonalizmu i poza granicami „towarzystwa“ spędzić wieczór wigilijny.

* * *

Jeżeli wieczorem, w czasie mrozu wielkiego, przechodząc przez puste ulice X., dojdziesz do końca ulicy Kozackiej, znajdziesz się w punkcie, skąd jak na dłoni przedstawi ci się mniejsza dzielnica miasta, oddzielona od głównego grodu w tem właśnie miejscu starem, zamulonem łożyskiem rzeki. Im bardziej mróz ci dopiecze, z tem większą przyjemnością zatrzymasz się na tym punkcie, aby ucieszyć się widokiem, który stąd się roztacza. Mnóstwo jaśniejszych i bledszych, silniejszych i słabszych światełek widnieje tu zawsze, nawet przez mgławicę śnieżną. W kraju bezludnym, pustym, widok większego siedliska ludzkiego jest tak pociągający, że nie przechodziłem tędy ani razu, aby nie nakarmić oczu tym tak widomym dowodem siły i żywotności człowieka. Znam tu już każdy dom. Najbliżej błyszczą jasnem światłem

domy bogatszych kupców i urzędników, dalej podobne do jurt domy kozackie, jeszcze dalej dom szewca i djaczka zarazem, kuźnia Jana Piętrzaka, jeszcze dalej, ledwie widzialne z poza szyb z lodu, błyszczą słabe światełka z jurt jakuckich i poza niemi — koniec życia, bezbrzeżne śnieżne obszary.

O, jakże zimno tam być musi! jakże opuszczonym, jak słabym czuje się człowiek samotny wśród tych obszarów, zasypanych śniegiem, błyszczących lodem, czerniejących tajgą ponurą, ziejących mrozem, mrozem i tylko mrozem!

To też pamiętam to dobrze, drgnąłem i serce uderzyło mi silniej, gdy jakoś parę tygodni temu, zatrzymawszy się jak zwykle na wzgórzu, ujrzałem po raz pierwszy, jak z pustej przestrzeni, zaczynającej się za jurtami jakuckiemi, słaby, słabiutki ogień błysnął mgławem światełkiem, znikł i pokazał się znowu. Przywidzenie, czy co u Pana Boga? Nie wierzyłem oczom własnym, przetarłem je raz i drugi; ale ogień sierocy, daleki, odcięty od siedzib ludzkich, migoce coraz wyraźniej.

Długo stałem tu wówczas, nim domyśliłem się nareszcie, że to straszny, wyklęty dom, dom z przestrachem wymijany przez ludność miejscową, świecił ogniem samotnym. W domu tym, kiedyś, przed laty, konali ludzie chorzy na ospę [1]), ale do dziś każdy z miejscowych mieszkańców prędzej zmarznie, niż wejdzie do tego domu. Domyślić się więc już w żaden sposób nie mogłem, ktoby

[1]) Ospa jest tu chorobą nierównie straszniejszą, aniżeli najstraszniejsze cholery azjatyckie u nas. W czasie epidemji ospy wymierają doszczętnie całe liczne, bo po kilkaset głów mające rody. Ospa więc wzbudza w mieszkańcu tutejszym przestrach nieopisany i domy szpitalne po chorych na ospę z zabitemi drzwiami i oknami stoją zwykle niezajęte. Ponieważ zaś w domach tych chorzy, właściwie rzeczy biorąc, nie leczą się, lecz umierają, więc przestrach, który wzbudzają, jest uzasadniony.

tam odważył się rozniecić ogień w nocy. Przechodził właśnie Jakut jakiś koło mnie, zatrzymałem go więc i wytłumaczywszy, jak mogłem, o co mi chodzi, zapytałem, czy nie wie, skądby się ogień wziął w dawnym szpitalu. Jakut słuchał mnie uważnie, dopóki nie rozumiał, o co się pytam, ale jak tylko pojmować zaczął, cofnął się o krok, dwa, trzy, a gdy następnie zrozumiał zupełnie, zdjął czapkę i wrzasnąwszy głosem nieludzkim: „*Kabyś abasà*“ [1]) uciekł przerażony.

Na drugi dzień dopiero dowiedziałem się, że w domu zadżumionym kilku Polaków, ludzi bez jutra, nie mających dachu nad głową, zamieszkało na stałe. Czasami, choć nie na długo, tulili się tu także i tacy ludzie, których losy chwilowo tylko pozbawiały właściwego przytułku.

W taki to sposób, poza miastem, w opuszczonem pustkowiu uformowała się mała kolonja, składająca się z ludzi dwóch typów: stałych i czasowych pustkowia mieszkańców. W pustkowiu tem bywałem dość często i teraz oto po dość długim namyśle wigilję postanowiłem przepędzić tamże.

* * *

Około godziny piątej wyruszyłem z domu, zdając się na łaskę i niełaskę mrozu, który, gdyby tchnął swym zabójczym chijusem, wbrew wszelkim zgóry ułożonym planom mógł mnie wegnać do najbliższego znajomego domu, ale na szczęście moje, choć mróz był piekielny, cicho było jak w grobie. Straszny chijus nie wyszedł jeszcze ze swych kryjówek biegunowych i powietrze stało nieruchome, zastygłe. Dzięki tej okoliczności bez szwanku dotarłem do miejsca.

---

[1]) *Kabyś abasà* — idź precz szatanie. W języku jakuckim akcent pada zawsze na ostatnią sylabę.

W dwóch nieopalanych pokojach, przez które przejść musiałem, aby się dostać do mieszkalnej części domu, ostro i przeraźliwie dźwięczało echo śniegu, skrzypiącego mi pod nogami; wydawało mi się nawet, że zimniej tu jest niż na dworze. Okna zabite były deskami, więc w ciemności nieprzejrzanej utykałem co chwila to na garnek rozbity, to na inne sprzęty połamane, ale choć z hałasem rozbijały się graty, głośno piszczały zardzewiałe zawiasy, nikt z będących tu ludzi nie wyjrzał nawet, nikt nie zwracał na to uwagi. Wchodzę nareszcie do mieszkania ludzkiego.

W dużym pokoju nie o wiele, jednak widniej, niż w pustych stancjach, przez które tylko co przechodziłem. Cienka łojówka na niskim warsztacie szewckim słabo oświeca zaledwie jeden kąt pokoju. Przy warsztacie pracuje dwóch ludzi.

Siedzący bliżej wysoki i chudy mężczyzna, szewc z urodzenia niejako, wbija w podeszwę wprawną i pewną ręką sztyfty drewniane. Dostał się on do miasta niedawno, ale ma już roboty dosyć i w pustkowiu na pewno długo się nie zasiedzi.

Drugi, siedzący dalej, mężczyzna ze śliczną męską twarzą, znacznie niższy od p. Józefa, wyrównywa i wygładza obcas, ale powoli, bez owej szparkości, z którą pracuje p. Józef. Dość spojrzeć na twarz niższego szewca, aby, będąc najzapaleńszym przeciwnikiem wszelkich teoryj o rasowości ludzkiej, odgadnąć, że człowiek ten nie przy warsztacie siedział niegdyś.

Rzeczywiście, p. Jan Horodelski był niegdyś słuchaczem medycyny, później... ale o tem, czem on bywał później, i we dwa wieczoryby nie opowiedzieć; teraz od lat już pięciu jest szewcem, — i powiedzmy prawdę otwarcie, szewcem-pijakiem. Nałóg jego nie pozwala mu nawet pomyśleć o zaprowadzeniu własnego warsztatu, więc też tuła się on po wszystkich warsztatach tutejszych, pra-

cując cudzem narzędziem i ciężko mu bardzo. Za naczynie każdy właściciel pobiera znaczny procent i nawet p. Józef niewiele podobno odstąpił mu od ceny pobieranej przez innych majstrów.

Harda to niegdyś i rogata była dusza, ale życie starło ją i wdeptało w takie błoto, z którego wychodzą cało dusze nietylko piękne i szlachetne, ale i silne zarazem. Horodelski nie miał tej mocy, której nie gną żadne burze i był dziś stałym mieszkańcem pustkowia. Jego dni na ziemi są policzone; rozum, oświata, które posiadł niegdyś, dają mu teraz zupełną świadomość swego położenia i jaką napełniają goryczą, o tem zapewne nikt nigdy nie dowie się na ziemi.

Czyto piętno zagłady, wyryte na jego czole, czy też może inne, głębsze przyczyny, nadają twarzy jego szczególny wyraz. Powiedziałem wyżej, że twarz ta była piękna męską pięknością i dodać winienem, że tchnęła ona łagodnym, miękkim wyrazem, który jest szczytem kobiecej piękności i napiętnowana była nieopisanym jakimś smutkiem. W obejściu był on inny trochę; i sposób wyrażania się i maniery nieraz zdradzały wpływ otoczenia, w którem oddawna się znajdował; często, ale nie zawsze, mógł on jednak zapanować nad sobą i wtedy na twarzy jego zjawiała się nowa cecha człowieczeństwa, jeszcze nie startego zupełnie: rumieniec wstydu nad położeniem swojem.

Szewcy, gdym wszedł, jak przystoi ludziom pracującym, nie poruszyli się nawet na swych stołkach; rozebrałem się więc i oczyściłem z namarzłego lodu w milczeniu i dopiero, gdym podszedł ku nim bliżej, podniosły się obie nachylone głowy, witając mnie przyjaznym uśmiechem. P. Józef, ze względu na sztyftów parę, trzymanych w zębach, podał mi rękę, mrucząc coś nieokreślenie i puścił ją natychmiast w ruch automatyczny; Horodelski po przywitaniu się obejrzał obcas jeszcze nieskoń-

czony i stawiając but na ziemi, wyrzekł z westchnieniem: „*I dieło s koncom*“ [1]). Było to ulubione przysłowie jego.

— Co skończone? — zapytałem jednak.

— Wszystko — brzmiała również stereotypowa odpowiedź.

— Tylko nie obcas — mruknął p. Józef, wyjmując ostatni sztyft z zębów.

— A właśnie, może i obcas, jeżeli, rozumie się, nie rzucę tej ruiny przeklętej i nie wrócę znowu do djaczka, — odparł żywo Horodelski.

— A czy tu panu źle, czy co? — przekomarzał się p. Józef. — Warsztat, chwała Bogu, dobry, naczynia dosyć, a i pokojów, choć kotrydansa wywijaj.

Ale Horodelski nie słuchał i ciągnął dalej:

— Tak, bardzo być może, że rzucę to szewctwo moje, jeżeli tylko póki czas do djaczka się nie przeniosę. Rzucę, bo szewc ten oto dowiódł mi czarno na białem, że psu na budę nie zdało się to rzemiosło moje, że partaczem jestem i szewcem tylko u djaczka partacza być mogę.

P. Józef zachichotał wysoce zadowolony i już się zabierał do odpowiedzi stosownej, gdy bas poważny: „Cy u djacka, cy nie u djaska, a siewcem nigdy pon nie bandzie“ — przerwał mu w chwili najwłaściwszej. Bas wychodził z ciemnego kąta tegoż samego pokoju; spojrzałem więc tam uważniej.

Na tapczanie dość niskim siedział ze spuszczoną głową, ustawicznie z lulki pykając, chłop okazały, zwykle Bartłomiejem, rzadziej Bartkiem „owczarzem“ zwany.

— Dlaczegoż nie? — zapytałem, witając się z mówiącym.

— Dlatygo ni, — odparł Bartłomiej, — ze nijakie

[1]) I sprawa skończona.

stworzenie od przyznacynia swoigo ucic nie moze; ni pies sukom, ni baba chłopem nigdy nie bandzie.

— Przecież to co innego zupełnie?

— Ono widzi się tak tylo, co insego, a w rzecy jedno, bo choćby ja som na ten przykład: od roboty, juz i nie mówićby mi o tem, nie uciekam, a nie idzie mi przecie. A dlacygoj? Dlatygo, ze nie przy swojej robocie stojem. I choć pracuję, nie piję, marnieję jak ta owca na słocie i zmarnieję taki, bo i terom juz bardzi do psa na weselu, niźli do człeka podobny, tylo wesele to nijakie. Ono i odrazu tak mi się pokazało, jakem tylo tu przysed. Bo cy to nie dziw prawdziwy? Ziemia tako wielga, rzyki ni to morza, góry nie Łysicać przecie, łąki, trawy do pasa i kraj taki przez owców! Mądre ci som chłopy, choćby i owcarze nase i zadać i zdjąć urok umiejom i likarstwa na co, na co, choćby i no upór babski tyz majom; a powiedzieć, zo je ziemia wielga przez owców, ze owcarzowi marnieć tu wypadnie — nie uwierzom!

Bartłomiej, jak to łatwo domyśli się każdy, był czasowym mieszkańcem pustkowia. Chłop to był wielkiej zacności, ale fatalność jakaś ciążyła nad nim: pracowity, uczciwy, nigdzie jednak nie mógł znaleźć zajęcia, któreby mogło uwydatnić jego przymioty, zwrócić nań uwagę. Niedawno przybył on tu, ściągniony obietnicami jakiegoś dostawcy; obietnice nie ziściły się i Bartłomiej, korzystając z bezpłatnego przytułku, oczekiwał tylko, dopóki nie spadną trochę mrozy, aby wyruszyć w odwrotną drogę. Chłop to był poważny, sensat prawdziwy. Gadaniny czczej nie lubił i głos rzadko zabierał, ale zato jeżeli odezwał się kiedy, to nieinaczej, tylko kategorycznie, stanowczo, bez apelacji. Jako przedstawiciel klasy, będącej oddawiendawna kastą prawie i to dość uprzywilejowaną, był on konserwatystą zapalonym, reform żadnych w społeczeństwie nie dopuszczał: „pies — psem,

baran — baranem", oto maksyma jego. Autorytet swych przewodników moralnych podniósł do kultu religijnego prawie i odezwać się przy nim z czemś, coby choć zdaleka autorytetu tego dotykało, niezawsze było rzeczą bezpieczną.

— Kto mówi? — zapytywał Bartłomiej w takich razach groźnie.

I gdy nie był bardzo rozdrażniony, a mógł się hamować, wysuwał swe pięści potężne przed nos mówiącego i wymawiał powoli:

— Kpy mówią!...

W drugim, również wielkim pokoju znajdowało się jeszcze dwóch stałych mieszkańców pustkowia: ślusarz Porankiewicz i eks-obywatel, niegdyś jaśnie wielmożny, p. Feliks Babiński.

Jeżeli Horodelski był człowiekiem, stojącym na skraju przepaści, to Porankiewicz stoczył się już oddawna na samo dno takowej. Gdym wszedł, dłubał on coś około swego stolika, nazwę warsztatu noszącego. Blady, chudy i drobny, jeszcze drobniejszym wydawał się wskutek pochyłego trzymania się; chodził tak zgięty, że zapewne rzadki starzec przewyższał go w tym względzie.

— A wyprostujże się pan choć raz! — mawiałem mu nieraz.

— Chi, chi, chi! — śmiał się dobrodusznie Porankiewicz, — ziemia, ziemia, kochany panie, wyprostuje już mnie chyba. Od dziesiątego roku życia przy warsztacie, od rana do nocy, to i stał się wygnie powoli.

Życie tego człowieka było prawdziwą Odysseją, on tylko biedaczysko Ulissesem nie był nigdy. Złe losy obegnały go po wszystkich ziemiach syberyjskich i dogorywać wypadło mu w najgorszej.

Babiński, gdym wszedł, spał; wstał jednak, usłyszawszy naszą rozmowę. Wysoki, barczysty, był on silny fizycznie, a jego twarz ciemna, okolona czarnym jak wę-

giel zarostem, z wielkiemi, nastroszonemi brwiami, miała zawsze wyraz surowy. Rozrzewnionym nigdy go nie widziałem i tylko, gdy go coś bardzo za serce chwyciło, mrugał powiekami niezwykle prędko i rękę po wódkę wyciągał. W pracy niezmęczony, mógł i umiał pracować i jeszcze doniedawna jak wół pracował. Od lat dwóch dopiero pić zaczął nazabój. „Abo go co trąciło, abo feler jaki ma w sobie“ — mawiał o nim Bartłomiej. — Ginie więc teraz, zda się, bezpowrotnie, chociaż przy sprzyjających okolicznościach może jeszcze i wyjdzie z przepaści, w którą się stacza, bo człowiek to silny niezmiernie.

Są w Rosji konie pociągowe, bitiugami zwane, czarne, złe, rosłe i silnie niezmiernie. Idzie sobie bestja taka krokiem równym, miarowym, bez cienia wysiłku, a zapytaj, ile ciężaru na teledze? — 60 pudów co najmniej, a często i 100 ciągnie.

Babiński do bitiuga był podobny i chodził tak nawet, jak bitiugi chodzą. Gdy pójdzie bywało krokiem wielkim, posuwistym, nigdy mu nie nadążysz. Wszystkie zakupy z miasta: chleb, mięso, wódkę on zawsze nosił, bo nikt tak prędko nie chodził i nikt tak mrozu, choćby największego, nie znosił.

Twardy to człowiek okrutnie, a ile ciężaru ciągnie nieraz za sobą, nigdy się nie domyślisz. — bitiug prawdziwy! Miał on oprócz togo jakiś spryt szczególny, który go już nieraz z toni prawdziwej ratował; on to zajął pustkowie i był tu gospodarzem de jure, a co jeszcze dziwniejsza, umiał odnaleźć Jakutkę, brzydką jak piekło, ale uczciwą, jak tylko dzicy ludzie bywają, która zgodziła się być kucharką w kolonji. Eudoksja tedy była szóstą duszą w pustkowiu.

Nie wszyscy mieszkańcy pustkowia zgodzili się odrazu na uroczysty obchód wigilji. Bartłomiej i co dziwniejsza Horodelski, opierali się najdłużej. „Nie i nie! — upie-

rał się Horodelski — wódki mogę wypić, ile chcecie, zjem, co dacie, ale wigilja? Nie!“ I dopiero gdy niezwykła wymowa, którą rozwinął Porankiewicz, zmiękczyła upór Bartłomieja, ustąpił odrazu i Horodelski.

Babiński, jak to zwykle w takich razach bywało, wyruszył bez zwłoki po zapasy i żywo powrócił z miasta z mąką, masłem, *pępkami* [1]) i gąsiorkiem wcale pokaźnym. Zakąsiwszy więc potrosze i zakropiwszy co najzjadliwszego robaka, wyszliśmy do pierwszego pokoju, aby nie przeszkadzać przygotowaniom, które Eudoksja pod kierunkiem Porankiewicza prowadzić miała. Dumny on był niezmiernie z okazanego mu zaszczytu i z odrzuconą w tył głową, jak zawsze, gdy usiłował trzymać się prościej, spoważniał niezmiernie, a był tak wzruszony, że prawie zupełnie stracił dar mowy, wypuszczając zamiast słów jakieś chrząkanie nieokreślone, które, z początku szczególniej, dławiło go zupełnie. Chrząkanie ucichło nareszcie i tylko łupanie drzazg, wybijanie ciasta i skwierczenie masła w kuchni dawały nam znać, że owładnąwszy wzruszeniem, Porankiewicz skierował wreszcie sprawy kuchenne na właściwą drogę.

I w pierwszym pokoju gwarniej się teraz zrobiło; Bartłomiej i Horodelski, popuściwszy sobie wodzów, rwali już teraz z kopyta; zaczęły się przypomnienia, wyliczania, po ile to lat niektórzy nie widywali żadnej wigilji, a gdy Bartomiej zauważył, że wartoby było „ochędożniej trochę zasiąść do tych świętych godów“, zaczęło się ogólne mycie i przebieranie, jak gdyby na bal jaki wybierali się wszyscy.

P. Józef tedy wysunął zabójcze kołnierzyki, aż do połowy policzków dochodzące, wdzięcznym fontaziem z chustki kraciastej szyję swą ozdobiwszy. Bartłomiej

---

[1]) *Pępki* od russkiego *pupki*, są to brzuszki solone z wielkich i tłustych ryb, poławianych w Lenie; jedzą się jak śledzie.

wydobył ze skrzynki jakiś węzełek niewielki i szperając w nim długo, wyciągnął kawałek rzadziuchnej kraśnej wstążeczki, próbując nawiązać ją na szyi, ale bezskutecznie. Zgrubiałe i odwykłe ręce nie słuchały go wcale i wstążeczka wymykała się mu z palców. Wtedy Bartłomiej, zwabiony widać wdzięcznym fontaziem szewca, zwrócił się doń z prośbą: „A niech-no pon i mnie ot tyz!“ Szewc wziął się do roboty, lecz czyto wziął się niedbale, czy też mruknął coś o błahości ozdoby, bo dopiero gdy Bartłomiej wymówił pocichu: „A dyć to jescej z domu“, szewckie „aaa!“ zabrzmiało innym tonem i Bartłomiej, przeprowadzony do światła, otrzymał fontaź, z którym „choć w zalicanki idź śmiało“. Bartłomiej chodził z fontaziem, jak gdyby kij połknął, ale zato, gdy jeszcze i Babiński przypiął wykrochmalony kołnierzyk, a Horodelski wyciągnął jakąś odwieczną żakietkę, nad której plamami biedził się z pół godziny, zewnętrzny wygląd całej naszej kompanji harmonijnie licował z jej uroczystym wewnętrznym nastrojem. Całej, powtarzam, bo gdy wkrótce drzwi sąsiedniego pokoju otwarły się naoścież, zjawił się w nich Porankiewicz, również świątecznie przybrany: w długim, wytartym surducie i choć z mniejszym kołnierzykiem, ale zato z fontaziem wcale nie gorszym od szewckiego.

* * *

Porankiewicz chrząknął raz jeden i drugi, chrząknął wreszcie i trzeci i przytrzymując jedną ręką drzwi, drugą zaś wyrażając nam wszystkim atencję głęboką, wyrzekł uroczyście:

— Kolacja gotowa, proszę do stołu!

Widok, który nam się po wejściu okazał, był tak niespodziany, że wszedłszy, stanęliśmy jak wryci.

Przy ścianie wewnętrznej pokoju stał stół niemały,

przykryciem białem, jak należy, nakryty, — przykryciem, przez którego dziury wyglądało siano, na stole leżące. Stół był oświetlony dwiema świecami, w lichtarze blaszane, dobrze pogięte, wetkniętemi; na jednym końcu stołu umieszczona została wielka miska z przyjemnie i wonnie dymiącą kupą ładnie podrumienionych *oładi* [1]), na drugim końcu znajdowała się miska z pępkami, octem i pieprzem przyprawionemi, około miski leżał chleb i stał gąsiorek, naczyniem drobniejszem, a różnorodnem — otoczony.

Na samym zaś środku stołu, na jedynym, niegdyś białym, a dziś zżółkłym i poszczerbionym talerzu, leżały okruszyny z przysłanego mi opłatka.

Ani przykrycia białego, ani siana, ani opłatka nikt się nie spodziewał: więc też wrażenie, wywołane tylu niespodzianemi akcesorjami, było potężne.

Porankiewicz, wysoce zadowolony z efektu, wysunął się teraz naprzód i zbliżywszy się do stołu, wziął ostrożnie talerz z opłatkiem, a prostując się, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, chrząknął, usta otworzył i gdy wszyscy z najżywszą ciekawością oczekiwali całej oracji, wyrzekł drżącym głosem słów czworo:

— Panowie! Opłatek wprost z Warszawy...

I Złotousty nie przemówiłby silniej.

Już bowiem niecierpliwsi zbliżali się do stołu, już ponętny zapach oładi górować zaczynał nad powagą chwili niedawnej, ale gdy słów tych czworo rozległo się w pokoju, cisza zapanowała grobowa, jakoś mimowoli wyciągnęli się wszyscy w szereg jeden i tylko głów pięcioro zwróciło się ku talerzowi.

Porankiewicz wyprostował się znowu.

— Hm, hm! Panowie! Świętość taka...

---

[1]) *Oładie*, coś w rodzaju naszych racuszków, tylko z przaśnego ciasta.

— Poświęcony?! — z radosnym podziwem przerwał lękliwie Bartomiej.

— Spodziewam się! innegoby nie przysłali — z głębokiem przeświadczeniem odparł Porankiewicz. — Ale — ciągnął dalej — hm, to jest chciałem powiedzieć, gdy jest świętość taka, więc się podzielimy?

— Podzielimy! ajuści podzielimy! — ust pięcioro wyrzekło, jakby jedne usta.

Porankiewicz zrobił nowe usiłowanie, aby stanąć prościej.

— Gdy zaś, to jest, chciałem powiedzieć, nie ubliżając kochanemu p. Babińskiemu — i skłonił się mu uniżenie — wszyscyśmy w tych oto pałacach niby gospodarze, więc spodziewam się, to jest myślę, najlepiej będzie, jeżeli pan jako gość nas wszystkich obejdzie...

I ponsowy cały, spocony jak po pracy największej, oddał mi talerz z ukłonem.

Wziąłem talerz i zbliżyłem się do Babińskiego.

I teraz dopiero, gdy mi samemu mówić wypadło, zrozumiałem, jakiego wysiłku potrzebował mój poprzednik dla swych oracyj króciutkich; ręce moje trzęsły się, usta zamknęły zupełnie. Babiński zbladł, aż zbielał i gdym podszedł do niego bliżej, surowa twarz jego zjawiła się przede mną, nieruchoma, jak z marmuru wykuta i gdyby nie to, że powieki latały mu zawzięcie, myślałbym, że to trup, nie zaś żywy człowiek stoi przede mną. Zbierał długo okruszyny, ale te wypadały mu ustawicznie i wątpię, czy wziął choćby jedną...

Z innymi było toż samo.

Porankiewicz, jako człowiek najmiększego serca, pierwszy zaszlochał jak dziecko i choć Bartłomiej, stojący za nim, krzepił go szturchaniem i ujmował prośbami rzewnemi: „Cichoj, bracie, cichoj, bo ryknę jak baran!“ nic to jednak nie pomagało. Więc też kiedym podszedł do Bartłomieja, siły już go opadły: nisko schylił

swą głowę osiwiałą i wyciągając rękę po opłatek, zaczął głośno, powoli:

— W imię Ojca... i Syna... i Świentygo... i Świentygo, — powtórzył ciszej i ryknął głosem wielkim...

* * *

Łzy nam wszystkim ulgę przyniosły, wszystkim oprócz Babińskiego, który wśród płaczu ogólnego stał jak skamieniały, oczyma tylko mrugając — i dopiero widać, gdy mu dopiekło do żywego, ponieważ znajdował się blisko stołu, wyciągnąwszy obie ręce pomiędzy naczynie pomniejsze, około gąsiorka będące, zadzwonił szkłem dość głośno. Powieki mu latały i ręce trzęsły się jeszcze, jak w febrze, tak, że sam użyć ich nie mógł i dopiero, gdy Porankiewicz już uspokojony, poskoczył do niego bliżej, szepnął mu głosem słabym:

— Nalej, bracie!

Porankiewicz jął nalewać i rąk, ile było, wyciągnęło się ku stołowi.

Nalać odrazu wszystkim, rozumie się, nie można było, a że każdy pragnienie czuł dość silne, więc wymówki słyszeć się dały, że wcześniej o nalaniu nie pomyślano, wymówki, które jednak odrazu przeciął Bartłomiej, mądrze zauważywszy, iż: „nie Duch-ci nikt świenty, aby móg wiedzieć, ze załość taka sroga zrazu na całuśki naród nadyndzie“... Gdy nareszcie naczynia wszystkie napełniono, bojąc się nowego rozrzewnienia, wychyliliśmy je w milczeniu, zkolei przystąpiwszy do słonych i pieprznych pępków. Pokarm to taki, że bez stosownego odwilżania dużo go nie zjesz, więc gdy Porankiewicz ujął za gąsiorek powtórnie, znowu ręce wszystkie ku niemu się wyciągnęły i tu dopiero zauważyliśmy, że ręki Babińskiego pomiędzy naszemi nie było.

Babiński stał, jak poprzednio, z naczyńkiem opróżnionem, ale milczący, nieruchomy, zbielały. Pierwszy Bartło-

miej, jako z chorymi praktyk niemały, dostrzegł niebezpieczeństwo i żywo skoczywszy ku Babińskiemu, obejrzał go troskliwie:

— Sidem suchych boleściów, widno, ścisło go zrazu! — brzmiała konkluzja ostateczna — a bez ślozow zadławiomci boleści takowe cłeka, jak wilcysko jagniaka. Je jeden ratunek: jak ci zwierzchu bez ślipie zale srogie nie spłynom, spuścić je trza we środek i kiej ściekom pomalušku, dławienie od syrca odstąpi. Trza mu było odrazu wypić do trzech raz; ale to nic jesce: chłop krzepki, to odyndzie potrochu!

I wybrawszy naczyńko pokaźniejsze, Bartłomiej zakomenderował:

— Lejże Porankiewicz!

Porankiewicz nalał. Babiński wypił automatycznie; nalał znowu i Babiński wypił znowu: ale widać boleści nie odchodziły, bo Bartłomiej zaczął nowe oględziny.

— A cy od wypadku nie mata gdzie spirytusu trocha?

Babiński skinął głową z potwierdzeniem i gdy spirytus odnaleziono, Bartłomiej wybrał z pomiędzy naczynia szklankę zwyczajną i nalawszy dobrą połowę, podał Babińskiemu.

Lekarstwo podziałało cudownie. Babiński pił małemi łykami, a gdy wypił, bladość ustąpiła mu z twarzy, usiadł przy stole i zakąski zażądał; podsunięto mu pępki, i gdy wszyscy naocznie przekonali się, że znikają one z należytą szybkością, kamień ciężki spadł nam z serca. Bartłomiej z popisu swego był teraz nie mniej dumny, niż Porankiewicz z wigilji: więc wzruszeni, godność sobie wzajem świadczyć zaczęli, a gdy Babiński, zjadłszy pępków funtów ze dwa, jeść przestał, pierwszą krytyczną chwilę wigilji szczęśliwie przebyto.

* * *

W pustkowiu huczało teraz jak w ulu; mówili wszyscy i choć wszystkim się zdało, że mówią głosem zwykłym, gwar tu był taki, jakby nas było ze dwunastu.

Błogość pożądana ogarnęła wszystkich i zrobiło się każdemu tak rzewnie na duszy, że i smutki niedawne, i bóle zastarzałe, i rany, które każdy chował przed światem, jak skąpiec nie chowa skrzyni dukatami nabitej, otwarły się, aby przyjąć balsam pocieszenia.

I widma cierpień wielorakich sunęły przed nami pasmem długiem, nieskończonem, ukazując nam jak w kalejdoskopie wszelaką niedolę człowieczą.

I ulgę pożądaną otrzymawszy, widząc wokół twarze łzami współczucia zroszone, szedł każdy dobrowolnie z niemocą swoją i wyznawał grzechy swoje; była więc między nami jakby spowiedź publiczna, ze skruchą szczerą uczyniona.

Bił się w piersi swą ręką potężną Bartłomiej, obwiniając o krewkość zbyteczną; szlochał Porankiewicz, prosząc żałośnie, aby mu wobec przejść ciężkich, które przewyższały słabe siły jego, nałóg dzisiejszy wybaczono: obwiniali się i inni.

I dopiero, gdy skruchę i żal okazał każdy i absolucja zupełna tym, którzy się potykali na drodze ciernistej, wracała utraconą godność ludzką, — zżółkłe i pomarszczone twarze rozjaśniła radość szczera, dziecinna, śmiało podniosły się opuszczone źrenice, byliśmy teraz wszyscy sobie równi. I chwilę drugą, nie mniej krytyczną niż pierwsza, również szczęśliwie przebyto.

* * *

Nastała chwila trzecia.

Harmonja, która pomiędzy nami zapanowała, błogie uczucie wzajemności, braterstwa i wspólności, dreszczem rozkosznym przenikać nas zaczęły, zwiastując chwilę pożądaną.

Ów kielich słodyczy, który mamił i łudził nas tylokrotnie swym czarownym napojem, ów haszysz zabójczy, do którego jak ptactwo w noc ciemną do ognia, cisną się ludzie z życiem tutejszem nie obyci, od którego jak od widma śmierci uciekają ludzie w życiu tutejszem doświadczeni, ów kielich stał przed nami niczem już nie okryty. Spadły jedna za drugą zasłony, okrywające truciznę ponętną; należało przystąpić i pić, pić do zupełnego sił wyczerpania...

Pierwszy zagrał na cudnych strunach wspomnień rodzinnych Bartłomiej stary, roztaczając nam na złocistej kanwie swych pól sandomierskich obrazy pełne siły, prostoty i wdzięku.

Z rozwianym włosem bielejącym, rozognioną twarzą, wzrokiem natchnionym, jak stary prorok biblijny, ukazał nam najpiękniejsze ziemi rodzinnej niwy i łąki i lasy. Wiódł do siół, pod strzechę wieśniaczą; bolał nad niedolą, pod tą strzechą zagnieżdżoną; prowadził do świątyń, imię Pańskie sławiących.

I stał się cud pożądany: cel pragnień zatajonych, śniony na jawie nocy bezsennych, ziścił się. Ziemia daleka, powietrze rodzinne, słońce złociste były tu pomiędzy nami, w ciemnym pokoju pustkowia... My widzimy tę ziemię, czujemy ją, dotykamy... tu osadziliśmy ją całą! Tu umailiśmy ją zielenią, tu skrasiliśmy ją kwieciem, tu ozdobimy ją ozdobą najpiękniejszą — sercami, tylko dla tej ziemi bijącemi i trzymać tu będziemy oblubienicę swoją... dopóki ją utrzymać zdołamy wszystkich swych sił wytężeniem...

Czyż to nie praca?...

Praca... ale niech Bóg was od pracy takiej uchowa! Silni ludzie podejmowali ów kamień Syzyfa i dziś tylko kości, bielejące po cmentarzach, garść pijaków, tułających się po kabakach, kupka warjatów, dogorywających po szpitalach świadczy, że kamień ów nie do podniesienia,

że im wyżej go wtoczysz, nierozumny, z tem większą siłą zdruzgocze on twą głowę szaloną . . . . . .

. . . . . .

Szał ogarnął nas wszystkich; i z krwią nalanemi oczyma, rozdętemi nozdrzami, sercami, wyskakującemi z piersi zbolałych, podjęliśmy pracę nieludzką.

I biada teraz śmiałkowi, któryby się poważył dotknąć brutalnie złudzenia naszego! Biada nieszczęśliwemu, który nie będzie miał siły i osłabnie przedwcześnie! Przed śmiałkiem, nim się opamięta, błyśnie nóż, ujęty ręką, która nigdy noża nie dotykała. Nieszczęśliwiec zginie, jak giną owe zwierzęta słabsze, co padając w stadzie oszalałem, są przezeń bez litości tratowane.

* * *

Chór, z sześciu głosów złożony, brzmi echem rozgłośnem w wielkich pokojach pustkowia. Pieśni smutne i radosne idą biegiem naturalnym w tym porządku nieodmiennym, z którym wszystko spełnia się na świecie. Jeden Bartłomiej, bywalec po ziemi krakowskiej, ze swemi krakowiakami za dwóch starczy. Samo „Albośwa to jacy tacy“, mogłoby nasycić najzapaleńszego zwolennika rozkoszy wokalnych, tyleśmy je razy prześpiewali, ale iluż to z pomiędzy nas nie słyszało tej piosenki nie pięć, nie dziesięć, ale dwadzieścia lub i więcej lat nawet! Więc chociaż chrypnie już Bartłomiej, po raz piąty, ogólnym zapałem pobudzany, zawodzi:

„I kozicek, a stalowy, wyostrzony,
I do pochewki włożony,
I fajecka, i krzesiwko,
Na to dobre przyodziéwko,
Kochajze mnie moja dziéwko,
Dokolusieniecka
Moja kochanecka!“

A czy gorsza druga strofka: „I portecki na śnurecku do ściągania“ i t. d.? Nietylko nie gorsza, ale ładniejsza, więc powtarza się raz szósty i siódmy nawet. Zapał nieopisany wywołuje każde słowo tej pieśni, wdzięcznej i poetycznej swą prostotą naiwną. „Fech! co za pieśń! oto pieśń!“ wyrywają się krótkie pochwały i Bartłomiej, choć zawodzi bez przerwy, patrząc wokół triumfującym wzrokiem, nadąża na każdy wykrzyk taki odpowiedzieć krótko, ale wyraziście:

— Krakoska!...

Babiński łowi każdą nutę nowej piosenki lub pieśni i wygrywa ją jak pozytywka, powtarzając dyszkantem niezmiernie wysokim dwie sylaby tylko: „dyna, dyna, dyna, dyna“ i tak bez końca. On jednak śpiewa z największym zapałem, a silny ogromnie i ogniem wewnętrznym palony, straszny on teraz ze swemi pieśniami bez słów, w które wkłada wszystkie swe bóle i żale, nigdy słowami nie wypowiadane.

Wyczerpano i wyśpiewano nareszcie wszelkie pieśni przez nas znane; więcej nic nikt nie pamięta; ale szał, który nas ogarnął, doszedł teraz zenitu, musi więc być pieśń nowa, pieśń, której słowa i motywy, dając ujście niepomiernie wezbranemu uczuciu, odpowiadałyby ogólnemu nastrojowi.

* * *

W pieśniach największych naszego narodu, smutnych i radosnych, bolejących i weselnych, ale wspaniałych i wielkich głębią i spokojem uczucia, znajdujemy ujście pożądane — w pieśniach religijnych. Ubodzy to ludzie, którzy w pieśniach tych nic nie słyszą, nic nie czują. Pieśni wielkopostne, wielkanocne i Bożego Narodzenia — to największy spadek artystyczny, jaki nam przeszłość przekazała. Jedyna to sfera naszej twórczości artystycznej,

na którą nie oddzielne warstwy, nie oddzielne epoki, ale składał się naród cały, w ciągu wszystkich wieków swego istnienia, wkładając weń całą duszę swoją, wszystkie swe radości i bóle ziemskie.

I mamy też skarbnicę melodyj głębokich, jak dusza narodu, której nigdy uczucia miałkie i drobne nie poruszą, wielkich, jak wielkiem jest na ziemi istnienie, wiekami zmroczone.

Rzuć w tę głębię, ile chcesz smutków najczarniejszych, radości nieokiełznanych, nie zmącisz jej i z wierzchu nawet; na pioruny niebieskie odpowiada ona głuchem swych wód warczeniem, jednym taktem, zmienionem tempem zaznaczając je zaledwie!

Ze skarbnicy tej dotąd nie ocenionej należycie, zaczerpną kiedyś wielcy mistrze przyszłości, jak dziś czerpią z niej ludzie prawdziwie bolejący.

* * *

Któż nie zna powszechnej u nas pieśni religijnej: „Gwiazdo morza"? Pieśń ta jednak w niewielu, zdaje się, kościołach jest śpiewana na nutę, na którą tu ją śpiewaliśmy. Zanucona bez słów, dziwnie przypadła nam do serca; śpiewaliśmy ją tedy do końca. I słowa i melodja odpowiadały uczuciom naszym. Proste słowa pieśni były jakby dla nas napisane; swojski motyw nuty uroczystej i wzniosłej, koił piersi, tak srodze przez nas samych poranione. Bartłomiej pierwszy upadł na kolana, za nim poszli inni i popłynęła z ust naszych modlitwa szczera i gorąca, a gdy doszliśmy do słów: „Odwróć od nas głód, mór ciężki, zachowaj krwawej wojny", modliliśmy się z takiem przejęciem, że słysząc, nie słyszeliśmy i widząc, nie widzieliśmy, jak się podniósł Bartłomiej płaczący:

— Oj, nie usłysy Ociec litościwy takiej modlitwy wielgiej z tej jaskini zapowietrzonej! Do Pana przestwo-

rzów niebieskich na przestworzu pomodlić się trzeba! – zawołał i jak stał, wyszedł z pokoju.

Ale siły nasze już prawie wyczerpane, już nawet Babiński przestaje czasami śpiewać i tylko usta otwarte i ręka takt wybijająca wskazują, że w duszy swej śpiewa on jeszcze, gdy za drzwiami rozlega się głos potężny, elektryzujący nas znowu:

„Bóg się rodzi, moc truchleje!“

To Bartłomiej, przyprowadzony przez Eudoksję z „przestworzów“, wśród których zmarzłby niechybnie, kolęduje swym basem potężnym.

Nowe źródło, jeszcze dziś nietknięte, wytryska przed nami! A myśmy o niem zapomnieli?! Więc choć usta zaledwie poruszać się mogą, pijemy chciwie z nowej krynicy i chór zgodny z nową siłą zawodzi pieśń nową. Radosna pieśń Narodzenia Pańskiego unosi nas znowuż daleko, daleko za jakucką ziemię, nowym ogniem, ogniem wiary, ufności i nadziei serca nasze rozpalając.

I modliliśmy się długo i gorąco; nawet Eudoksja, modlitwą naszą pociągnięta, weszła ku nam, ze świętym obrazkiem, biła przed nim pokłony i powtarzała błagalnie: „*Tangara! Aj, Tangara! Aj, Tangara, urùj*“ [1]).

Petersburg, w grudniu r. 1887.

[1]) Boże, wielki Boże, zmiłuj sie!

PAN ANTONI.

I.

— Brzdęc z jednej — hhhuuff!

— Brzdęc z drugiej — hhhuuff!

— I znowu swoje: papier do zębów, ładunki zaś w lufy, stempelkiem je trzepnę i znowu swoje.

— Brzdęc z jednej i drugiej.

— I znowu swoje.

— Brzdęc raz i dwa.

— I znowu swoje.

— I z obu znowu!

— I znowu swoje.

I lakoniczność dalszej opowieści p. Antoniego już dalej jego słowami powtarzaną być nie może, a i to zresztą, com tu wiernie powtórzył, dopełnić należy.

Mały, okrągły, ale w piersiach szeroki i choć siwy już dobrze, dość krzepki jeszcze, p. Antoni, stojąc z nogą lekko naprzód wysuniętą i kijem w ręku, od pasa, zda się, całkowicie skamieniał, aby tchnąć wszystko swe życie, wysłać wszystką swą krew do góry i puścić tam w ruch gorączkowy, nieuchwytny, wszystkie nerwy i muskuły twarzy, rąk i krtani.

Ręce te, powiedziałbym, śmigały przed oczyma, jak skrzydła wiatraka, gdyby tylko szybkość ich obrotów określić mi należało, ale one niezmordowanie latały w różne strony i podobne były do tej idealnej maszyny, która kiedyś, może pracę rąk ludzkich zamieni, dowolnie w do-

wolnym kierunku wydłużając i skracając swe stalowe ramiona.

A i siłę w te ręce tchnął on teraz niemałą: wątpię czy można byłoby mu wyrwać ten kij, konwulsyjnie ściskany, wątpię czy łatwo dałoby się odgiąć choćby jeden palec, tak kurczowo przyrósł każdy do kija.

Organy głosowe idą o lepsze z rękami. Samo: „brzdęc", wyrzucane co chwila, choć krótkie i urywane, wymaga siły nielada, tyle dźwięku i huku wkłada p. Antoni w miłą dlań kombinację sześciu martwych zgłosek, a owo: „hhhuuff" nie z trzech nędznych, ale z kilkunastu żywych i pełnych składa się dźwięków. W ślad za trzaskiem spuszczonego półkurcza, zgęszczone „h" kotłuje się i przewala w lufie; wydęte, jak dwie banie, policzki p. Antoniego, sprawiają, że siedzący pomiędzy niemi mały i zadarty nosek przybiera formę guzika, banie rosną jednak i pęcznieją jeszcze i już, już, mają pęknąć chyba, gdy rozlega się huk gwałtowny, gwiżdże i jęczy kula i z oddali echem słabnącem jeszcze szemrze ci w uszach. Trudno jednak teraz ujrzeć twarz p. Antoniego; wprzód, nim on ją odejmie od prawego ramienia, wykonywa jeszcze jedną błyskawiczną czynność. Przechylona głowa kamienieje, lewe oko zamyka się jeszcze szczelniej, ale prawe zato, omal że nie wyskakuje ze swej orbity; promienie szczerniałej, rozszerzonej źrenicy ślizgają się po grzbiecie kija; jeszcze chwila i oczy p. Antoniego, już otwarte, oba błyszczą ogniem jaśniejszym, a ręka, ściskająca półkurcze, jak z procy wylata do góry: średni palec razem ze wskazicielem drgają kilkakrotnie i p. Antoni, oznajmiwszy co należało, znowu nab ja, składa się i wali.

Jakkolwiek nie odrazu zdałem sobie sprawę z owego walenia, nie przerywałem nigdy p. Antoniemu jego lakonicznej opowieści. Nie widziałem również, żeby i inni często to robili, chociaż zdarzało się to niekiedy, celem pośmiania się nad zawstydzoną fizjognomją zapalonego naratora.

P. Antoni w razie przerwy podobnej zupełnie nie wiedział co robić ze sobą, jak przerwać sobie wątek myśli, tak spoiście i organicznie w umyśle jego sformułowany, mówiąc krótko, głupiał on wtedy i długo, długo wodził wzrokiem rozpalonym po śmiejących się fizjognomjach obecnych, zanim zgasł w oczach jego płomień, wspomnieniami rozniecony i zamglony, posmutniały wzrok jego ujrzał nareszcie przed sobą inną zupełnie rzeczywistość. I rzecz dziwna, człowiek ten z gołębią duszą, ale prędki i popędliwy, człowiek, który gniewał się nieraz o byle pomyłkę w kartach, wprawdzie na chwilę jedną, aleć zawsze gniewał, tu, gdy śmiech homeryczny tłumił huk jego wystrzałów, nie gniewał się wcale. Pomimo wielkiego zakłopotania, z twarzy jego biła jakaś przewaga moralna, która pozwalała mu owe figle pobłażliwie oceniać. P. Antoni tylko smutniał wtedy.

— Ee, dzieciaki, dzieciaki jesteście, — powtarzał dobrodusznie.

Jeżeli jednak, co częściej się zdarzało, nikt mu nie przerywał, żywość i rozognienie jego rosły w stopniu niezwykłym. Z chwilą, w której szybkość działania wykluczała wszelkie szersze komentarze, p. Antoni, wiedząc zresztę, że słuchacze, już dostatecznie objaśnieni, rozumieją o co idzie, ograniczał się do jednosylabowych wykrzykników.

— Hhhuuff! Hhhuuff! — wylata już bez przerwy i wytchnienia, gdy ręce błyskawicznie pędzą do urojonej ładownicy, zęby odgryzają, stempelek przybija oba ładunki i p. Antoni składa się i „wali", nieodmiennie obwieszczając rezultat każdego wystrzału wyrzuceniem palców do góry. Pot kroplisty zrasza mu natenczas czoło, wystrzały rzednieją, p. Antoni jednak pracuje jeszcze wytrwalej i dość rzucić okiem na niego, aby zrozumieć stan rzeczy. To rozpalona dwururka nie pozwala na częstsze strzelanie i mistrzowsko prowadzone opowiadanie zmusza p. Anto-

niego do zwolnienia akcji. Nie próżnuje on jednak, tylko dwururka częściej przelata z ręki do ręki, p. Antoni przedmuchuje ją, chłodzi i dzięki temu zyskuje jednocześnie możność rozpoczęcia finału opowiadania; pierwsze słowo, które p. Antoni wymawia, wskazuje, że zbliżamy się do końca. — I tak — zaczyna on, a głos mu drży wyraźnie — hhhuuff! hhhuuff! i tak — powtarza, jeszcze staranniej przykładając głowę do ramienia, jak gdyby ukryć chciał swą twarz przed światem, — waląc i waląc, sięgam ręką do ładownicy. Jezusie Nazareński?... pusta!... przerzucam dwururkę w lewą, przeginam się w bok i podając w tył trochę, wyciągam prawą do Franka, który o jaki sążeń stał cokolwiek w tyle koło mnie — wymawia p. Antoni tchem jednym i gwałtownie odrzuciwszy prawą nogę od siebie, zgina ją w kolanie, kładąc na niem tułów, wyciągnięty z lewą nogą w prostą linję. Rozkrzyżowane ręce chronią od upadku tę dziwną figurę, w której środkowa część ciała zupełnie jakoś znika, a wielka głowa, sterczące bezpośrednio nad kolanem, jeszcze większą się wydaje.

— Wyciągnąłem, — powtarza tymczasem p. Antoni i czy to wskutek wysiłku wielkiego, czy podniecenia silniejszego, wyraźnie słychać jego ciężki oddech — wyciągnąłem, — powtarza raz jeszcze — i krzyknąłem: „A rzuć mi Franku garstkę!“ Krzyknąłem i czekam. A prędzejże u djabła, wrzasnąłem i dopiero, jakby mnie co tknęło, odwracam głowę i oglądam się za siebie.

I głowa maluczkiego człowieka, sterczącą nad kolanem, z wysiłkiem nadludzkim utrzymując się w swej niezwykłej pozie, odwracała się ku słuchaczom, a ile uczuć wybijało się na twarzy owej głowy wielkiej — opisać niepodobna.

Siła i potęga owych uczuć sprawiają, że p. Antoni znika mi z oczu zupełnie, przybierając kształty człowieka nie większego od swej nogi do kolana, tylko głowa jego

staje się przerażająco wielką, a twarz, którą teraz widzimy, skupia w sobie, jak w ognisku wszystką moc, wszystkie uczucia tego silnego człowieka.

I twarz ta straszna teraz nietylko swą potworną wielkością; oczy, w tył wywrócone, nie ukazują już źrenic i widnieją tylko ciałka, krwią nalane, a każdy muskuł jego oblicza płonie walką, zionie dziką męską energią.

Cóż to jednak za zmiana raptowna? Czy nie osłabł p. Antoni z wysiłku zbyt wielkiego? myśli każdy i zbliża się mimowoli do niego. Ale nie, p. Antoni stoi na swej nodze jak z kamienia wykuty, tylko twarz jego pokrywa się w oczach przezroczystą powłoką przerażenia wobec ciosu jakiegoś niespodzianego, który nawet i we wspomnieniach, nawet dotychczas tak widocznie razi go swem strasznem ostrzem.

Jak jadem gadu dotknięty, drga on i zrywa się z miejsca, a powiódłszy wokół dzikim wzrokiem, z jękiem zakrywa twarz rękami.

I stoi on jedno mgnienie, jak gromem porażony, zbyt silny, aby miał upaść pod ciężarem, który na niego spada i gniecie go swym ogromem, p. Antoni jednak kurczy się, nogi gną się pod nim i prawie przysiada przed słuchaczami.

Trwa to jednak również mgnienie tylko, p. Antoni zrywa się znowu i chwytając najbliżej stojącego za ramiona, wpija się weń nietylko rękami, które chwytają jak kleszcze, ale i wzrokiem swym obłąkanym.

I upływa kilka sekund długich, w ciągu których twarz jego łagodnieje wyrazem boleści rzewnej i głębokiej, nietylko usta, ale i zmarszczki na starej twarzy drżeć zaczynają wyraźnie i ustami otwierającemi się kilkakroć bezdźwięcznie, p. Antoni szepcze wreszcie jedno jedyne słowo:

— U...ciekli.

P. Antoni przerywa swą opowieść. Z wierną dwu-

rurką na ramieniu, głową zwisłą na piersi, maszeruje on z kąta do kąta. Człowiek nie maszyna przecie, uczuć wezbranych nie ujmie hamulcem, więc i p. Antoni maszerować musi dość długo, zanim głos odzyskać zdoła.

— Jak tego Boga wielkiego kocham — wymawia on wreszcie, przystając i podnosząc dwa palce do góry, — uciekli. Uciekli wszyscy — dodaje jeszcze dobitnie i powoli i wyrusza w marsz nowy. — Żeby ojciec rodzony, to, rozumie się, nie, bo ani ja sędzią ojca byćbym nie mógł, ani ojczysko poczciwy niby podobnego nigdy nie przypuścił, ale żeby tak brat rodzony był i powiedział, iż tak będzie, iż tak być może, a toż w łebbym mu. Boże odpuść, jak psu palnął, — ciągnął znowu p. Antoni, trzęsąc groźnie dwururką i maszerując bez przerwy.

Rosnące oburzenie znakomicie spółdziała odrodzeniu jego żywości i energji. P. Antoni zdwojonym krokiem przebiega pokój kilka razy i: „więc", z którem zatrzymuje się znowu, już po dawnemu dzwoni w uszach.

— Więc, cóż się okazuje? — ciągnie on już żywo, wystawiając lewą pięść z wielkim palcem, podniesionym do góry. — Więc... okazuje się, że ja nie słyszałem, kiedy oni uciekli i to jest raz. — I?... — i p. Antoni, szeroko rozstawiając nogi, uderza dwururką po palcu, — co jest ciekawsze i jest właśnie dwa: ja, sam jeden, w ciągu jakich piętnastu, a może i całych dwudziestu minut, utrzymałem jakich stu, a może, bo djabli ich wiedzą, ilu ich było, może i dwustu ludzi.

P. Antoni wyprostował się jak struna, podnosił głowę, kładł dwururkę na ramię i jeszcze przechadzał się parę razy.

— Ale nie tu koniec przecie, — rozlega się znowu głos jego, — bo żeby był koniec, nie gadałbym teraz z wami, ale byłoby ot, — i ręka p. Antoniego oznajmiała, co należało, — stało się jednak inaczej.

...Kiedym się obejrzał, zobaczył i zrozumiał, jak kulą w serce rażony, oślepłem, ogłuchłem, oniemiałem. Nic

nie widzę, nic nie słyszę, język mi zdrętwiał, ręcem tylko jak niemowlę wyciągnął, sam nie wiem do kogo.

Pierwsze oczy mi przejrzały. Smugą szeroką światło niebieskie uderzyło w nie z góry, ale już boję się spojrzeć wokoło i jak stałem, stoję i podnoszę wzrok do światła. Niebo jasne świeci nade mną, wielkie drzewa kiwają głowami, ale jakże cicho strasznie, cicho, jak w grobie, a duszno, gorąco, jak w ogniu...

I patrząc do góry, widzę, że spadają gałęzie i od drzewa, pod którem stałem, oddziela się gałązka malutka i powoli, powoli spada na dół za krzak, blisko rosnący. Jak zaczarowany ja za nią, a tam dolisko stare, ogromne, a w dole — chróstu po brzegi.

W jednem mgnieniu już stałem tam, całą górę chróstu, któregobym kiedy indziej i połowy nie dźwignął, podniosłem ponad siebie; dwururkę do boku, kordelas zaś w zęby, podsunąłem się, jak na brytwannie i razem z chróstem, że aż mi w piersiach jękło, brzdęc plecami w tę jamę!

Ledwiem zdążył się zwalić, ledwiem kordelas z zębów na piersi wypuścił i ręką go ujął — jakbym na inny świat się narodził, słyszę wszystko: Hhhuuff! hhhuuff! jak piorun, grom jeden, wichrem burzy szarpany, grzmi bez przerwy po lesie.

Leżałem noc, leżałem noc i dzień jeszcze, kiedym podniósł się z jamy.

Lusterka nie miałem, żeby zobaczyć, co się ze mną zrobiło, ale nie wypiękniałem chyba, a jeść? bracie kochany, djabła zjadłbym z rogami!

Wylazłem tedy, podziękowałem Bogu i ochędożywszy się trochę, dwururkę na plecy, kordelas do pasa, wyruszyłem ku światu.

Szedłem dobrych mil parę, a może i trzy nawet; wściekły byłem na ludzi, szedłem jak z łańcucha spuszczony.

I kiedy idę tak i podnoszę głowę: chłopiec wyrostek przedemną.

— Chodź ino tu, chodź, — krzyknąłem, — chwytając go za kołnierz i jak nie puszczę go wkoło. Pręcikiem. com go wyrznął był przed chwilą, wsypałem mu z piętnaście, zanim chłopczysko przerażony dobył głosu z siebie. Oprzytomniałem i ja wtedy, puściłem biedaka i powiadam: — „Jeżeliś nie podły, zbóju, jeść mi przynieś, bom nie jadł trzy dni, a jeżeli nie przyniesiesz, to żebyś mi pod ziemię się schował, znajdę cię i bić będę, jak biłem".

Chłopiec skoczył, jak oparzony; pomyślałem nawet. żem głupstwo zrobił, ale i pół godziny nie przeszło, jak leci poczciwiec z kobiałką, a w kobiałce dla dwóchby starczyło.

Eet, ludzie? — śmiał się gorzko p. Antoni, — a chłopczysko zacności się okazał, żywił mnie dni kilka i kiedy żegnać się wypadło, popłakaliśmy się oba.

II.

Tak p. Antoni zwykł był kończyć opowiadanie o wypadku, który za „najciekawszy“ w życiu swem uważał.

Dość jednak było posłuchać p. Antoniego, choćby kilka wieczorów, aby zauważyć, że określenie to dokładnem nie było. P. Antoni lubił pogadać, o niczem jednak nie mówił z taką miłością, tak żywo i gorączkowo, jak o owem zdarzeniu fatalnem i poniekąd szczęśliwem dlań zarazem. O niczem innem, tylko o tem jedynie gotów on był mówić w każdej porze dnia i nocy i jakkolwiek nie robiłem próby, nie wątpię, że rozbudzony i zapytany: „A jak to tam było?“ — p. Antoni przetarłszy oczy, zerwałby się, skoczył po dwururkę i wiódł rzecz do końca. A jaką prawdą tchnęło każde jego słowo, rozumiał to nawet i najbardziej sceptyczny słuchacz, patrząc na tę twarz zafrasowaną, zziajaną, płonącą ogniem walki lub zasnutą kirem wstydu i pohańbienia. Nikomu też i do głowy nie przychodziło wątpić o szczerości jego opowiadania, a jeżeli i był kiedy niedowiarek taki, nigdy nie odważył się wystąpić głośno ze swem wątpieniem, wobec tej wiary naturalnej i żywej.

Eks-wojskowy, syn urzędnika leśnego i sam kiedyś obowiązki podobne sprawujący, p. Antoni skończył klas kilka i takim, jakim był, mógł być dzięki wielu innym czynnikom, które nań od dzieciństwa działały, lub z któremi go życie późniejsze zetknęło. Miał on rodziców za-

cnych, miał ogólny wpływ epoki żywej, wyrabiającej charaktery, ale i inni to mieli, a jednak i przy wielu dodatkowych jeszcze, bardziej sprzyjających warunkach, takimi, jak p. Antoni, nie byli. P. Antoni był człowiekiem w szerszem, szlachetniejszem znaczeniu tego słowa. Ze sfery, do której należał urodzeniem, wykształceniem i stanowiskiem, wyróżniał się on, nie jak koń rasowy wyróżnia się z pomiędzy swych prostych, przygnębionych życiem i pracą, braci, ale owem czemś, co jest najdroższym dobytkiem wiekowej pracy ducha ludzkiego, zadatkiem i nadzieją jego lepszej doli. Niedość bowiem, że myślał on szlachetnie — szlachetne myśli przychodzą do głowy i złym ludziom, — p. Antoni, co ważniejsza, wtedy właśnie, w chwilach, w których interesy ciała biorą górę nad duchem i istoty, tytułujące się ludźmi, okazują się samozwańcami istot rozumnych, życie swe wedle swego myślenia szlachetnego regulował.

Zasadniczą cechą, głównym rysem jego charakteru, była niezwykła miękkość, czułość niewieścia ku wszelakiemu prawie stworzeniu, wyjątkowo upośledzonemu: powtarzam „wszelakiemu", gdyż sfera jego sympatji wychodziła daleko poza koło istot ludzkich, obejmując liczny świat zwierzęcy; podkreślam jednak prawie, gdyż p. Antoni, jako leśnik urodzony, był zapalonym myśliwym i wszystko, co na polowaniu zabitem być mogło, zabijanem przezeń było bez litości. Gdyby nie owa dziedziczność żyłki myśliwskiej, nie wątpię, że p. Antoni wobec najtłuściejszych zajęcy i najgłuchszych głuszców stałby z tą bezbronnością, z jaką stawał wobec dzieci i ludzi praktycznych, jednakowo zdolnych do najnielitościwszego eksploatowania osobników podobnych.

Znakomici obserwatorzy drobiazgów życiowych, a więc i najbardziej przez nas ukrywanych cech naszego charakteru — dzieci — pierwsze okazały mi ową najwydatniejszą cechę p. Antoniego. W domu, w którym mesz-

kał, był on zupełnie zawojowany przez dzieci, które robiły z nim wszystko, co zechciały. Nie zwracałem na to uwagi, dopókim nie zobaczył p. Antoniego w roli „prawdziwego konia", narzuconej mu przez czteroletniego malca. Z długim sznurem w ustach, w starych butach na rękach, biegał on wokoło pokoju, stukając „wszystkiemi czterema" nogami, wierzgając i rżąc „prawdziwie", popędzany również i biczem „prawdziwym". P. Antoni, czerwony jak rak, tłumaczył się zupełnie serjo:

— Sprytny urwis, zażył mnie z mańki: „Wszystkich proszę — powiada z płaczem — i nikt mi nie chce tego zrobić", więc na takie dictum, kiedy i szałapucie się nie odmawia, jakże oto takiemu odmówić?

Biegli w sztuce życia ludzie praktyczni, doprowadzający zdolności obserwacyjne dziecka do artyzmu prawdziwego, jeszcze prędzej poznali się na p. Antonim.

W czasie, kiedy poznaliśmy się, tracił on, a raczej grabiono mu po raz trzeci niewielkie mienie, rezultat ciężkiej kilkoletniej pracy w kopalniach złota. Cała ta operacja nie trwała zwykle i roku i odbywała się w sposób bardzo prosty. Przyjęty do domu państwa X. jako „towarzysz zacny", dopóki nie wykluje się dlań co „odpowiedniego", p. Antoni, otaczany pieczołowitością nie braterską, ale synowską, otwierał naoścież swą kieszeń i dopiero gdy ręka, gospodarująca w owej kieszeni miarkowała, że gospodarka podobna długo już nie potrwa, przyjaźń, okazywana starcowi, raptownie, jak pod powiewem mrozu, stygnąć zaczynała, „Drogi, kochany" stawał się „niedołęgą, do niczego, samochwalcą, łgarzem", wreszcie z zimną krwią wyrządzano mu obelgę za obelgą w sposób taki, że poczuć nie mógłby jej tylko głupiec, przyznać się jednak do wyrządzanej mu krzywdy mógłby chyba warjat. Rozumiał to dobrze p. Antoni, znosił wszystko czas jakiś w milczeniu, jak gdyby przeświadczając się, czy się nie myli i przeświadczywszy się, zbierał manatki,

dziękował za gościnność i wyjeżdżał do tajgi, aby zacząć tam na nowo swą syzyfową pracę. Spokój, który przytem zachowywał, był wszystkiem, czem karcił brzydką chciwość ludzką.

Dopiero wiedząc o tem, można było zrozumieć odpowiedź, udzieloną przezeń z powodu jego pobłażliwości zachciankom dziecinnym. W odpowiedzi tej zawarł on kwintesencję swego prostego, ale szlachetnego myślenia, ujawnił, że bezbronność jego wobec drapieżnych instynktów świata nie jest zwyczajną ślamazarnością człowieka bez charakteru, ale w znacznej mierze wynikiem dość określonych i konsekwentnie przezeń w życie przeprowadzanych zasad i pojęć.

Otóż jeżeli ziarna owych pojęć otrzymał on od rodziny i społeczeństwa, ostateczne sformowanie takowych odbyło się pod wpływem wstrząsającego wypadku. Wtedy w ogniu bólu i hańby pojęcia owe skrystalizowały się w metal szlachetny, wyrzucając precz brudy w żużle spalone.

Kto, wysłuchawszy opowiadania p. Antoniego, nie zrozumiał odrazu wielkiego nań wpływu owego zdarzenia, ten łatwo mógł się przekonać o tem, przysłuchując się jego zachowaniu się w czasie rozmów i sporów gorętszych.

W rozmowach takich nigdy nie brał on udziału czynnego, ale nigdy też — w ważniejszych przynajmniej — nie był i stroną zupełnie bierną. Wysłuchiwał w milczeniu zdań różnych i pod koniec zdobywał się na jedyny, stereotypowo przezeń powtarzany frazes:

— Racja, racja, dobrodzieju! Najzupełniej z tobą się zgadzam, bo i ja tak właśnie o tem myślałem, leżąc sobie w jamie.

I rzecz dziwna. Okazywało się, że mało było kwestyj ważniejszych, o którychby nie mógł sobie przypomnieć, że myślał o nich i myślał tylko wtedy właśnie.

Mylił się więc p. Antoni, tytułując ów wypadek „najciekawszym"; był on w życiu jego najważniejszym, zasadniczym, zwrotnym, był wypadkiem, który raz na zawsze naznaczył go tem piętnem szerszego człowieczeństwa, co raz nałożone, nie ulega działaniom najbardziej rozkładowych pierwiastków szarego życia powszedniego.

W jaki jednak sposób to wszystko w nim się odbyło, można było domyślać się tylko. P. Antoni, tak szczodry w opisywaniu całego zdarzenia przed wyjściem i po wyjściu ze swego ukrycia, zupełnie tracił język, gdy rzecz dochodziła do samego leżenia. Na wszystkie najostrożniejsze pytania: o czem i jak to on tam myślał? p. Antoni odpowiadał krótko:

— A myślało się, myślało się i o tem, i o owem.

Rozprawiać z p. Antonim o jakichkolwiek bądź kwestjach teoretycznie było dość trudno; wykształcenie jego było niedostatecznem, a i te wiadomości, jakie kiedyś w szkole posiadł, tylko bardzo nieczęsto odświeżane jakąś ciekawą powiastką historyczną, dawno mu już z głowy wywietrzały.

Zmusić go więc do mówienia, do zainteresowania się jakiemiś rozprawami było niełatwo, a fakt, że p. Antoni w żadne dociekania się nie wdawał, cały bowiem świat jego pojęć zjawiał się w nim jako wytwór całkowicie i harmonijnie zakończony, zupełnie przymus podobny uniemożebniał.

Wyjątkowo czemś zainteresowany, p. Antoni sięgał pamięcią do owego leżenia, jak my sięgamy po różne księgi informacyjne, odnajdował, co wówczas w głowie jego zapisanem zostało i wygłaszał bez pretensji na nieomylność krótko i węzłowato. Myśleć nad czemś na nowo p. Antoni nie chciał, a właściwie nie mógł, gdyż musiałby przerabiać i burzyć w swej głowie to, co już odeń zależnem nie było.

Że jednak p. Antoni o swem myśleniu przymusowem dotychczas pamiętał, że w formie krótkich maksym i przykazań wyniki owego myślenia dotychczas zachował, mówiło to wiele. Udowadniało to wyraźnie, że umysł p. Antoniego był wówczas zmuszonym do tak szerokiej i samodzielnej pracy, jakiej ani przedtem, ani potem nigdy już nie przedsiębrał.

Wszytkie wrażenia, wszystkie ślady jakichkolwiek pojęć, w głowie młodej istniejących, musiały wystąpić na widownię wtedy, gdy silny, rozogniony walką, rwący się do czynu organizm, leżał obezwładniony, a wielkie moralne wstrząśnienie i zagadkowość sytuacji zmuszały do stawiania pytań i ich rozwiązywania.

Młody i wrażliwy człowiek musiał skierować wszystkie swe siły na jedyne dostępne dlań pole myśli i dociekań oderwanych i skierowawszy, dojść do skojarzeń arcyzawiłych, które istniały w jego umyśle nieokreślenie, bezwiednie, jako materjał surowy, co nie odświeżony, nie pogłębiony tą pracą wielką, byłby wywietrzał, jak wietrzeje z tylu głów i dłużej i lepiej do myślenia przygotowanych, niż to było z głową p. Antoniego.

Pojęcia w takim stanie ostatecznie uświadomione wrzynały się w mózg młody, jak wrzyna się spiż gorący w najdrobniejsze zakręty formy glinianej, paląc i pogłębiając ledwie widzialne ślady z taką siłą, że pozostać już one miały na długo, do końca żywota p. Antoniego.

Że praca, podjęta wówczas przez niego była niemałą, potwierdzał to i on sam niedwuznacznie, gdy na uwagę: „że napróżno powołuje się na to, co kiedyś myślał, gdy mowa o tem, co się teraz myśli", odparł dobrodusznie:

— Eee, mój dobrodzieju! A to widzę, dobrze mi życzysz? — i zastanowiwszy się chwilę, dodał powoli — gdyby mi tak i teraz jeszcze myśleć nad tem wypadło, nad czem się wtedy dumało, bzika dostałbym święcie.

III.

Uprzywilejowane stanowisko p. Antoniego w domu państwa X. wkrótce uległo niespodziewanemu przeobrażeniu i przyjętym obyczajem już dawno byłby on wyjechał do tajgi, gdyby nie jakieś okoliczności, które zatrzymywały go na miejscu. Obdarzony czuciem delikatnem p. Antoni zwykle w czasie właściwym rwał słabnące węzły i zwłoka niespodziana teraz podziałała na jego stosunek do swych niedawnych przyjaciół.

Niezdolny do prowadzenia drobnej wojny domowej, p. Antoni zgóry kwitował ze wszelkiego oporu, zdając się na łaskę i niełaskę nieprzyjaciela.

Nieprzyjaciel jednak był zbyt niewspaniałomyślnym, — tak niewspaniałomyślnym, że jakkolwiek przelotnie, chwilowo, ale nieraz, boleść prawdziwa wybijała się na twarzy p. Antoniego. Nawet tak niewłaściwe, z całem jego usposobieniem sprzeczne błyski goryczy zjawiały się w oczach, tak jasno i pogodnie patrzących na cały świat Boży.

W chwilach tak przykrych uciekał on ze swą wiarą i nadzieją, nigdy nie słabnącą do swego serca młodego i kładł pasjanse arcyzłożone, których umiał moc wielką i zapomocą których odgadywał jedną jedyną, ciekawą dlań zagadkę: czy zobaczy on kiedy swe lasy mazowieckie?

Pasjanse, niemiłosiernie malwersowane, zawsze wychodziły i p. Antoni, zapominając o troskach codzien-

nych, weselej spoglądał na świat i ludzi. Zastawszy go raz przy jednym z najtrudniejszych i zwykle tylko zapomocą kunsztownych nadużyć szczęśliwie do końca doprowadzonych pasjansów, czekałem cierpliwie końca, gdyż witać się wówczas z nim można było, ale bez skutku. Zagłębiony w badaniu ciemnej przyszłości, p. Antoni podawał wprawdzie rękę, spoglądał nawet na wchodzącego, nawet i odpowiadał czasami, ale wykonywał to automatycznie, gdyż w rzeczywistości nic nie widział i nie słyszał koło siebie. Pasjans ów, kładziony w chwilach największego rozgoryczenia i, jak to rzekłem, nigdy w mojej przynajmniej obecności bez forsownych nadużyć nie wychodzący, dziwnym zbiegiem okoliczności wyszedł jakoś szczęśliwie i najuczciwiej — i błogość prawdziwa rozlała się na twarzy p. Antoniego. Długo wpatrywał się on w szeregi i kupki kunsztownie porozkładane i im dłużej trwało oglądanie kabalistycznej wyroczni, tem bardziej potęgowało się wrażenie pierwotnie otrzymane. Pykanie z lulki krótkiej, zwykle w ustach podczas rozkładania pasjansa trzymanej i często wówczas gasnącej, szło teraz tempem przyśpieszonem. Z lulki waliły kłęby iskier i dymu i wyglądająca z poza owych kłębów twarz p. Antoniego świeciła już nie radością dziecinną, ale rozrzewnieniem uczucia głębokiego, zwykle dobrze trzymanego na wodzy. Nie przewidując wcale poważnych, jak się okazało, następstw swego kroku, udawałem, że patrzę na to wszystko obojętnie i nie bez ironji zaproponowałem p. Antoniemu położenie drugiego pasjansu.

A to naco? — zapytał tak szczerze, że o małom nie cofnął swej propozycji.

– Dowiedzieć się, skąd pieniądze na ową podróż nadejdą.

Ku wielkiemu memu zdziwieniu odpowiedź ta nie zrobiła żadnego wrażenia. Przeciwnie, z poza kłębów dymu nietylko po dawnemu wyglądała twarz promieniejąca roz-

rzewnieniem, ale w oczach tej twarzy, w poruszeniach wąsów dość okazałych, zaczęło przebijać coś w rodzaju owej figlarności, błyszczącej w oku dziecka, gdy z zakrytą do połowy głową szczebiocze bez przerwy: „tiu — tiu dziecię!“ Tak, wątpić trudno. Im dłużej wpatruję się w p. Antoniego, tem wyraźniej i oczy i wąsy jego powtarzają mi: „tiu — tiu dziecię!“ Żywość jednak i ruchliwość jego nie pozwalają mu pozostawiać mnie zbyt długo w niepewności; jak z procy wyskakuje on z za stołu, pędzi do drzwi jednych i drugich, wygląda — i zadowolony z oględzin, biegnie ku mnie, zdaleka obydwoma rękami nakazując mi nieruchomość i milczenie. Milczę naturalnie i stoję jak wryty.

Podbiegłszy ku mnie, wspina się on na palcach, chwyta za szyję, przyciąga mą głowę ku sobie i zapytuje cichutko:

— Słuchaj, człowieku, przysięgniesz, że mnie nie wydasz?

— Przysięgam.

— Ale ba! „przysięgam“, jak orzech zgryzł! Słuchajże, bracie, to nie żarty przecie, przysięgasz szczerze, uroczyście?

Przekonany wreszcie, że w należytem skupieniu ducha wymawiam słowa uroczyste, p. Antoni jeszcze raz obejrzawszy się wokół i zakrywając najstaranniej garścią usta ode drzwi, wyszeptał mi urywkami w samo ucho:

— Mam braciszku!... mam pieniążki... tylko szaaa!... jeżeli Boga kochasz... bo wyciągną ze mnie... mam kilkaset rubli — i odskoczywszy jak oparzony, znowu oboje drzwi obejrzał i prawił dalej, nie podnosząc głosu: — Nie uwierzyłbym nie doświadczywszy, że takie głupie komedje potrzebne są między ludzmi. Z początku też przykro mi było, że i oczu podnieść nie śmiałem. Chodziłem ze swemi pieniądzmi, jakbym cudze ukradł. Ale teraz? Eech, ludziska! Widzę, żem dobrze zrobił. Rzeczywiście

sił mi ubywa. X. ma słuszność, śmiejąc się ze mnie, żem głuchy i ślepy, ma słuszność. To też zastanowiwszy się, odłożyłem trochę na wypadek drogi. Teraz to już nie moje pieniądze. Święte wymówił p. Antoni, rozstawiając każdą literę i stuknął pięścią po stole.

Od rozmowy powyższej upłynęło kilka miesięcy, w ciągu których p. Antoni wytrwale stał przy powziętem postanowieniu. Nadzieje wyjazdu jakoś stosownie do przepowiedni pasjansu również świtać zaczynały i p. Antoni być może podtrzymywany owemi nadziejami, mężnie stawił czoło najkunsztowniejszym zakusom, mającym jego kieszeń na celu. Jakkolwiek tedy długa oracja, na którą się zdobył, uzasadniając mi powzięte postanowienie, dość wymownie świadczyła, że sam on czuł chwiejność swej decyzji, zaczynałem już wierzyć, że wytrwa przy niej szczęśliwie. — Dopuszczony nawet przezeń kilkakrotnie do narad, czy nie dałoby się tak lub owak zrobić wyjątku dla jakiejś sumki niewielkiej, jak mogłem i umiałem podtrzymywałem jego chwalebną energję, głosując przeciwko wszelkim wyjątkom. Powoli p. Antoni tak przyzwyczaił się do mojej interwencji, że omal nie zdawał mi rachunku z każdego wydanego grosza. Nie widząc się dłużej, nawet w obecności postronnych porozumiewaliśmy się o stanie rzeczy. Na nieme moje pytanie jedno wąsów poruszenie odpowiadało mi, że *święte* kapitały w należytym porządku.

Zrozumie tedy każdy, z jakiem uczuciem, wszedłszy raz doń wieczorem, zamiast zwykłego obrazka, z tła niezmiennego pasjansu występującego, ujrzałem tuż przed nosem swoim rękę p. Antoniego, ku wielkiemu dość odartemu chłopiskowi wyciągniętą, chłopiskowi, wobec którego malusi p. Antoni jeszcze mniejszym się wydawał.

W wyciągniętej ręce szeleściały dwa papierki, chłopu podawane, papierki dwudziestopięcio-rublowe.

Złodziej, trochę sumienniejszy, na uczynku gorącym

złapany, wyglądałby zapewne mniej żałośnie, niż p. Antoni, gdy podniósłszy oczy, mnie przed sobą zobaczył.

– Weź, weź! powtarzał on prędko, zachęcając chłopa do szybkiego załatwienia wszystkiego.

Chłop pieniądze wziął, o schowaniu ich jednak ani myślał. Obejrzał on powoli oba papierki, obejrzał ze stron obu, wypuścił z głębi piersi sążniste westchnienie i wpatrzony w papierki, trzymane przed oczami, brzdęknął na kolana. Na p. Antoniego nie zwracał on najmniejszej uwagi, nie widział i nie słyszał go zresztą. Wzdychał długo, a coraz głębiej i żałośniej, nim przemówił nareszcie:

— O, Jezusie kochany! tyla pieniędzy odrazu wywalić, na takiego, jakem ja, chudeusa — to je wielga rzec przecie! Z pokłonem, panisku ty drogi, podyjść do cię na podziękę nie mogę, boś jest tero jako święty, dla mnie. Klęknąwsy, przysięgam, ze póki zyć, modlić się za ciebie będziewa, dobrodzieju nas wielgi. Bo oto je człek drugi i niech wie naród wszyćki, kto jesteś. Kiedy mi przysed papir z powrotem, myślałem w mig się zbierzewa. Gdzie zaś?! Ja i baba, to dwoje, dzieciaków tyz cworo, to seścioro, jak obsuł. Seść gębów do kazdego kawałka, a ręce jedne. No i z rąk walić mi się zaczęno. Siekiera nie siekiera, piła nie piła, jak mnie te myśli jak muchy oblepią, wsyćko mi z rąk leci. Przy najwięksej robocie ręce zwisną mi nikiej śnury i tylo. Ocy wytrzescę i stoję, nijak urzecony. — „Andrej znowu wrony *scyta*“ [1]), — śmieją się robotnicy. Oj scytam, bo scytam, to prawda, tylo nie wrony, a te kopiejki marne, bo miedziakami tylo składać mogę. Źle. Wtedy ja do swoich. Bez te ćtery miesiące kraj świata obleciałem i wsędy nic, wsędy niema i niema, choć z kamieniem i do wody. Siebie mi nie zal, dzieciaków najgorzy, *pocełdonieją*. A ty, dobrodzieju, sam niebogaty, tak scodrze darzys nędzę

[1]) Zamiast rosyjskiego: *sczytajet*, liczy.

nasą? Ot! to tero do samego Tomska nam starcy, a tam, powiadają, na statku i za robotą jechać mozna. Zara u Achmetki-Tatara konia kupię; mierzyna galantego dawno juz wypatrzułem i targowałem nawet, ale kiedy upar się i dwadzieścia pięć i dwadzieścia pięć i gadać nie chce. Dam mu tero, mierzyn je chwacki, do Tomska dojdzie na pewniaka i tam jesce kiepsko „cerwony" papierek mi przyniesie. A jak niema przynieść, kiedy i ciężaru będzie niewiela, kiedy baba siędzie tez, starse chłopaki podlatać mogą, osobliwie, kiedy wdrożą się trocha. A ja juz jakem przysed, tak i pójdę piechty kole nich. Eee! gdzie zaś piechty? na ćerakach dawnobym polaz, zeby nie dzieciaki! A tera wszyscy pódziewa i bez ciebie tylko, bez ciebie, opiekunie ty sierocki, prawdziwy. Konać będę, to dzieciakom jedno tylo, jako święte przykazanie, nakazować będę: „Hycle, módlta się za niego!"

Chłopisko zaszlochał.

— Niechze cię Bóg ukrzyzowany nagrodzi... — wyszeptał wreszcie, przypadając głową ku nogom p. Antoniego.

Chłop wyszedł, upłynęło już jednak czasu niemało, a p. Antoni ani myśli zaprzestać swego chodzenia. Jak ptak w klatce trzepocze się on w swoim pokoju, w którym ciasno i duszno mu teraz. Jak wolnego mieszkańca przestworów niebieskich, gniotą go cztery ściany i jak ów pierzasty, wysuwający głowę zziajaną poza pręty ciasnej klatki, tak i on wybiega i do sieni i na podwórze po owo powietrze inne.

Hej, ptaku, próżne wysiłki! Jak niemasz pożądanego powietrza poza prętami klatki, tak niemasz go dla p. Antoniego w sieni, niemasz w podwórzu, niemasz nigdzie, okrom jak gdzieś daleko za chmurami i górami podniebnemi, do których dotrzeć niełatwo.

I gdy siada on wreszcie, wygląda teraz, jak ów ptak z klatki wypuszczony, co po nieudanych próbach wzlece-

nia ku wyżynom odległym wchodzi sam pomiędzy ściany, które siły jego wyssały. I w oczach jego, zda mi się, łowię coś, jakby odblaskiem złowieszczym jego przyszłej doli będące...

Wypowiadam mu tedy wszystko, co mi do głowy przychodzi. Żal mi go. Wypowiadam więc bez ogródek. Barwami czarnemi rysuję mu przyszłość ponurą. P. Antoni nietylko mi nie przeczy, ale: „Tak, tak, prawda, święta prawda“ — przyświadcza mi co chwila. Rozdrażniony, zapytuję go wtedy, do kogóż on, jak ów chłop, rękę wyciągnie, przed kim płakać będzie. Kto wreszcie zrozumie ból jego i kto niewzywany podejdzie doń wtedy, gdy mu z bólu tego może konać wypadnie? Ale p. Antoni, poruszony jeszcze głębiej mnie już pocieszać zaczyna:

— Nie dopuszczajże sobie do głowy, bracie kochany, wielki Bóg miłosierny uchroni nas od końca takiego.

Rozwijam wtedy p. Antoniemu w całej nagości teorję samopomocy.

Słuchał mnie p. Antoni dość długo i słuchał cierpliwie. Gdym skończył, chodził jeszcze dłużej, myślał jeszcze cierpliwiej, ważąc widać dobrze to, co miał mi powiedzieć i gdy wreszcie zatrzymał się przede mną, twarz jego, zwykle tak dobrodusznie uśmiechnięta, tak zda się, zgóry potakująca myślom współtowarzysza, a w gruncie rzeczy świadomie czy bezwiednie dostrajająca każdego do pogodnego wyrazu na niej rozlanego — wyglądała teraz inaczej, nie podobna zupełnie nietylko do zwykłej, codziennej, ale i do tej ożywionej, tysiącami uczuć grającej fizjognomji opowiadacza „najciekawszego“ w życiu jego wypadku. Ruchliwe muskuły i zmarszczki zastygły w spokoju, a oczy, te oczy serdeczne i żywe, patrzyły surowo.

Dopiero teraz zaczynałem pojmować, że p. Antoni mógł być człowiekiem, którego poza powłoką codzienną nietylko poznać, ale i domyśleć się było niełatwo.

IV.

...Przeżyłem w życiu — zaczął p. Antoni — trzy chwile, które nie wiem jak nazwać, ale których nie życzyłbym dziś największemu wrogowi. „Najciekawszą", rozumie się, jest ta, od której się zaczęło i o której mówię tak często. Dlaczego jednak mówię o niej jednej, a milczę o drugich, również sam nie wiem dobrze. Chyba dlatego, że tam jest mówić o czem, a tu o niczem, tylko o myślach swoich. Tam odrazu dostałem jak kulą w łeb; świeczki w oczach mi stanęły, ale też i zgasły odrazu, więc też kwita z myta, panie dobrodzieju! Niema o czem i gadać dalej! Tu co innego, nie mówię już o trzeciej chwili, która o mało mnie rozumu nie pozbawiła, bo to dziś do rzeczy nie należy, ale o tem, co ze mną było, kiedym leżał w onej jamie, w którą wlazłem, jak kura do wody. Tu już byłem sam jeden z myślami swemi i pocóż mam ludziom pokazywać to, co niejeden może i wyśmiewać zacznie i co gorsza, wyśmiewać dlatego, że ja źle opowiem to, co w każdym razie śmiesznem nie jest. Ale jeżeli dziś, mój bracie, kochając mnie, mówisz mi, że powinienem inaczej postępować, że to mój obowiązek, to nie mogę odpowiedzieć ci krótko, iż ja nie znam takiego obowiązku, ale muszę powiedzieć, dlaczego nie uznam go nigdy.

— — — I długo znowu siedzi p. Antoni pogrążony w głęboką zadumę. I lulka sumiennie nałożona i wypalona

zgasła już dawno i usta już mu się kilkakrotnie otwierały, wydając jakieś nieokreślone dźwięki, ale p. Antoni jeszcze milczy. I słusznie. Świadomie czy bezwiednie czuje on, że mówić ma o narodzinach tych pojęć swoich, które dziś są istotą jego człowieczeństwa, o tem, co choćby i źle opowiedziane, „śmiesznem jednak nie jest".

Chwała Bogu, podnosi się nareszcie. Znak to niechybny u ludzi podobnych, że myśl już żywiej w nich zagrała. Żywsze poruszenia ciała popchną znowu i myśl samą do szybszego ruchu i aparat skomplikowany snuć zacznie złotą swą przędzę.

Rzeczywiście nie obszedł p. Antoni swego pokoju i dziesięciu razy, gdy ujrzałem przed sobą twarz jego z wyrazem tak żywego zapytania, iż gotów już byłem przypuścić, żem prawdziwie pytanie owo przesłyszał, gdy zaczął on wreszcie:

...I co to z człowieka — zapytywał powoli i z westchnieniem głębokiem — ludzie zrobić mogą?... Niech ich kule biją, powtarzam teraz z przyzwyczajenia, ale jak i co ja wtedy powtarzałem, dziś już tego nie powtórzę.

Kiedym się zwalił i usłyszał, co się dzieje, wróciła mi przytomność i pierwsza myśl, która mi przyszła do głowy, była, żem i ja uciekł także...

Ee hola, podli! Tak nie będzie, hańby nie zniosę! Z kordelasem, jak wściekły, rzucę się w kupę i oddam życie marne — i kordelas w ręku ścisnąwszy, dźwignąłem się do góry.

Tu jednak zaczęło się to, czegom i w bajkach nie słychiwał wcale.

Głowa mi gore, ale nogi, ręce, czuję, zlewać mi zaczyna pot zimny.

Jezus, Marja czyż ja nie wstanę?

Zebrałem jeszcze raz siły, wykręciłem się z wy-

siłkiem, dźwignąłem się trochę i jak snop upadłem twarzą w jamę.

Ee, żarty, panie bracie, panie losie głupi! Uparłeś się ty, ale uprę się i ja! Czy to ludzi mi wciąż zabijać, czy poto wstaję, czy to mało ich dziś nazabijałem? Dwururki w rękach utrzymać nie można było, a oko nie chybiało, ręka nie drżała mi przecie? Dosyć więc tego. Niechże i mnie zabiją.

Powietrza nabrałem pełne płuca, wykręciłem głowę, jak mogłem i: „bywaj, ktoś żyw!“ wrzasnąłem z całej mocy.

Wrzasnąłem, powiedziałem, alem źle ci powiedział, jam chciał wrzasnąć, a zaledwie wyszeptałem słowa swoje.

Razem z siłą i głos straciłem.

Pot zimny oblał mnie całego i jak skiba ziemi, pługiem poderznięta, leżałem rozciągniony na dnie jamy.

Błysła mi wtedy ostatnia nadzieja, rozpaczą już podsunięta.

Zabiję się, kordelas ostry wsadzę w siebie, żyły poprzerzynam. Kordelas jednak upadł mi gdzieś: był pode mną, czy z boku może, a ja?... I co to ludzie z człowieka zrobić mogą! Ja już nietylko całym sobą, ale i ręką ruszyć nie mogę...

Łzy strumieniem popłynęły mi wtedy z oczu na ziemię surową...

— — — P. Antoni przestał mówić.

...Jeszcze z początku, — zaczął on po chwili — dopókim słyszał lataninę, krzyki, głosy ludzkie, ot, ot lada chwila, myślałem, wyciągną mnie, ale gdy ucichło wszystko i cisza zapanowała koło mnie, poznałem, że jestem bezpowrotnie zgubiony i wtedy to, jak młotu uderzenie bić mi w uszach zaczęło: hańba, hańba!

W jednej chwili zrozumiałem, że to, czegom w zaślepieniu sam pragnął przed chwilą, żeby mnie stąd na śmierć wyciągnięto, spotka mnie teraz i spotka niechybnie.

A pohańbiony ja jeden będę.

I nikt ze mnie tej hańby nie zdejmie, ze mnie, com sam jeden, jak dudek na kościele, stał do końca, nic nie widząc i nie słysząc koło siebie.

Jak oszalały rwać się wtedy jeszcze raz ze swego grobu zacząłem.

Zziajany, mokry cały, leżałem znowu po chwili jak kłoda. Zimno trząść mnie zaczęło, a głowa jak w ogniu prawdziwym zapałała...

— — — P. Antoni przerwał znowu.

...Eech, mój bracie, — zaczął on wkrótce, — nie byłeś ty w wojsku, to nie wiesz, co to znaczy, gdy chłop przy chłopie, ramię przy ramieniu, staną w zwartym szeregu!

Toć to z jedną duszą, jedno ciało wielkie!

Nie wierz w te baśnie, że i najodważniejszy w boju strach poczuje. Jako żywo, kłamstwo to szczere. Jakżeż strach ci poczuć, jak pomyśleć o tem, kiedy myślisz nie o sobie, kiedy widzisz, słyszysz i czujesz, że piersi twoje — to piersi tysiące, że głowa twoja — to głów szeregi, a w piersiach tych serce jedno, a w głowach nie oczy — ale ognie gorejące?

Tak myślałem, tak czułem, tak wierzyłem w to wszystko, jak w Boga ukrzyżowanego.

I kiedym stanął na swem miejscu, złożył się i wypalił, tom czuł tylko, że lecę, jak na huśtawce, jakby w głębinę jakąś, że siła jakaś wielka mnie trąciła i ogarnęła całego.

Nie czułem już swej marności.

Po pierwszym strzale powiodłem okiem wokoło. Chłopy, jak dębczaki, oczy — węgle żarzące, a ręce jak śmigownice latają. Serce mi drgnęło; drgnęło, bracie, jak tej matce, gdy życie nowe w sobie poczuje.

— Ależ, Antku, chłopcze, — pomyślałem też zaraz, — bójże się Boga, gdzież rozglądać się teraz? pilnuj się, nie pokpij sprawy i nadążaj jak trzeba.

Co więc było dalej koło mnie, już nie wiem.

Wpiłem się oczami przed siebie.

Bałem się, że zginę wprzód, nim wszystkie naboje wystrzelę.

Boć trzydzieści ładunków — to nie ziarnko grochu z ust wypluć.

Ręceć, co prawda, inne i oko nie dzisiejsze były. Bywało, sarenka mignie tylko między drzewami, to kiedy dziś i na pięcie nie zdążyłbym się wykręcić, a wtedy: brzdęc! i fajt, panieneczko!

A zwijać się jednak musiałem, jak się i piskorz na patelni nie zwija!

Co nie plunę z dwururki, i do głowy mi nie przychodzi, że ja wyjdę stąd żywy. Ja już Panu Bogu za śmierć swoją dziękuję, abym chwilkę, abym sekundę miał wolną: „Przyjmij mnie, Panie, bom niegodzien oglądania chwały Twojej", powtarzam, jak modlitwę przedśmiertną i raptem ta chwila okropna... chwila, co, jak piorun Boga zagniewanego, spaliła mi wszystko, jedno to życie pozostawiając...

— — — P. Antoni umilkł. Umilkł; dość jednak przelotnie rzucić nań okiem, aby się przekonać, że wraz z ostatniem słowem o owej chwili strasznej zanika w nim i stan, wspomnieniem jej wywołany. Zmora hańby i poniżenia nie gniecie go więcej. Wąsy jego poruszają się, oczy wpiły się przed siebie i błyszczą natchnieniem, jak w ów dzień, gdy drgające w nim serce układało mu usta zapiekłe w szept modlitwy samoofiarnej.

Czy widzi on przed sobą owe serca, owe głowy ogniem gorejące? Gdzież one? Tu ich niema i wyobraźnia jego tak chorobliwie nie marzy.

Cóż tedy porusza go? Jaka siła wielka trąca go teraz swem skrzydłem tajemniczem i ogarnia całego?

P. Antoni długo milczeć nie może. — — —

...Ja nie chcę być zbrodniarzem! — woła on głosem podniesionym, a w głosie tym brzmią cudne dźwięki tej siły, co tchnieniem swem czarownem zarówno starca zgrzybiałego, jak i młodzieńca pełnego sił na piedestał wysoki podnosi.

Ja nie chcę być zbrodniarzem! — woła on głosem wielkim, a w głosie tym brzmi czysty, jak łza, wspaniały, jak świat, potężny akord tego hymnu Boskiego, co miłością bliźniego się zowie.

Nie chcę być, — powtarza — bo zbrodnią jest wielką zostawić człowieka, jak mnie zostawiono; bo leżąc tam ziemią zasypany, przysięgałem Bogu, że nigdy nikogo tak nie opuszczę, jak mnie opuszczono; że nikt, choćby wróg, gdy to w mocy mojej, tak przeklinać nie będzie, jak ja przeklinałem; że nikt, choćby wróg, gdy to w mocy mojej, nie zajęczy tym jękiem wielkim, jakim ja wtedy jęczałem...

— — — Głos p. Antoniego upada raptownie — siły widocznie opuszczają go. Nie zejdzie on jednak ze stanowiska... I rzeczywiście p. Antoni upiera się, odpycha mnie prawie, gdy sadzać go zaczynam i wsparty o stół, kończy urywkami, głosem cichym, ledwie słyszalnym nieraz:

...To też dziś, choćbym wroga, choćbym bydlę nieme zobaczył w opuszczeniu, patrzeć na to nie mogę.

Widzę bowiem przed sobą oną chwilę, gdym się obejrzał i zamiast ludzi żywych, pnie drewniane zobaczył...

I oną jamę grobową i w jamie tej siebie pogrzebionego i ciszę okropną koło siebie...

Ta cisza straszna otacza każdą niedolę,

Bo to życie, te zabiegi i kłopoty ludzkie nie dla oczu i nie dla uszu opuszczonego.

On nie słyszy nic, jak nie słyszałem i ja, gdy mi kule koło uszu świstały.

On nie widzi nic, jak nie widziałem i ja, gdy mi hańba cały świat Boży swym całunem zasnuła.

Nacóż mi te grosze nieszczęsne?

Niech raz sczeźnie ich siła przeklęta!

Czyż mam nosić i kryć to, na czem może i klątwa już legła?

Może jà dla tego chłopa byłem już ostatnim żywym człowiekiem, którego nie znalazłszy, on ujrzałby się wśród ludzi drewnianych?

Za takie pieniądze nie chcę wracać!

Pieszo dowlokę się powoli...

A nie dowlokę się? Pal je licho, cielsko grzeszne!

Niech gnije, gdzie będzie...

Ale dusza... bracie?... dusza mi pozostanie.

Chutor Otrada pod Zyzdrą w gubernji kałuskiej.

UROCZYSTA WIGILJA.

Na kilka dni przed wigilją, w czwartym roku mego pobytu w stolicy mrozów syberyjskich, przyszedł do nas kolega nasz, Małorus, eks-student kijowskiego uniwersytetu, aby podzielić się z nami wielce dla nas ciekawą nowiną: kolega jego bliższy, również student jakiegoś rosyjskiego uniwersytetu, a nasz — wspólnej niedoli, w powrocie z dalekiego jakuckiego ułusu, w którym przemieszkał trzy lata, w sam dzień wigilijny miał przyjechać do naszego grodu.

Ludzi, obznajomionych z życiem ułusów bliżej leżących, widywaliśmy często, widywaliśmy również mieszkańców czasowych i stałych, t. zw. miast jakuckich: Wierchojańska, Wilujska i Kałymska; jednakże i ułusy bliższe i owe nibyto miasta były to środowiska ludzkie zbyt dobrze zaludnione, aby w porównaniu z pustynnością ułusów odległych, o życiu tych pustyń północy mogły dać jakie takie pojęcie. Fakt, że najwięksi zbrodniarze, niekiedy w ułusach dalszych osiedlani, jednomyślnie przenosili powrót na katorgę nad pozostawanie tam na wolnej stopie, ilustrując powaby owego życia, nie dawał jednak o niem żadnych pozytywnych danych. Było tam źle, było bardzo źle; ale, jak źle, w jakiej mierze? o tem z tego nawet, cośmy już wiedzieli o życiu w miejscowościach mniej odległych, ogromnie trudno było cokolwiek bądź wnioskować.

Któż np. z tego, co nam wiadomem było, mógłby ośmielić się uprzytomnić sobie, odtworzyć, zrozumieć

i odczuć całkowicie te tysiące powszednich, codziennych szczegółów, z których szare monotonne życie się składa, a które dopiero samo życie, sama praktyka z przerażającą nagością odsłania i uwydatnia. Ze wszystkiego jasnem i pewnem dla nas było jedno tylko, że życie ludzkie, w miarę rzednienia ludności i posuwania się w kierunku odśrodkowym od naszego grodu, stawało się coraz cięższem, coraz smutniejszem.

Na południu, na dzikich płaskowzgórzach Ałdanu, na wschodzie, na stokach gór Stanowych, gdzie jedna rodzina tunguska dostatecznie zaludnia cały zlew rzeki, 300 wiorst długiej, na zachodzie — w dzikich wierzchowiskach Wiluja, około wielkiego jeziora Zerseja, na północy w tajemniczych zlewach Anabary, pustynnych obszarach Olenioka, Indygirki i Kołymy, stawało się ono jakiemś piekłem dantejskiem, zaklętem w śniegi, lody i zamiecie, krwawemi światłami zorzy północnej groźnie oświetlone.

Poprawiam się jednak: owe ziemie pustynne, wielkością przeszło pół Europy obejmujące, to jeszcze — nie samo piekło Sybiru — to przedpiekle dopiero, tam są jeszcze lasy; rzadkie, ubogie, karłowate, aleć zawsze lasy, a gdzie one „rodzime", jak je pieszczotliwie zowie posieleniec ruski, tam jest ogień, jest — życie.

Piekło niedoli człowieczej — poza lasów granicą.

Tam już tylko — lody i śniegi — lody, nawet latem na równinach nie wszędzie znikające i wśród tej strasznej pustyni — gdzie niegdzie ludzie ubodzy, siłą wroga zagnani.

* * *

Dopóki żyć będę, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego nieraz doznawałem, gdy mi o rysach znamiennych, o tych napozór drobnych, a przerażających szczegółach owego życia dowiadywać się wypadało. Nawet bardzo

określone pojęcia, terminy ścisłe, jakżeż inaczej się przedstawiają we właściwem oświetleniu niezwykłych warunków miejscowych.

Do dziś dźwięczy mi w uszach opowiadanie jakiegoś eks-urzędnika o tem, jak w czasie sprawowania przezeń obowiązków *isprawnika*[1]) w W. przysłano doń „jakiegoś jegomościa“ z rozkazem osiedlenia go w Zaszywersku.

...Miasto Zaszywersk, braciszku mój, — mówił eks-isprawnik — istnieje. Nawet na bardzo małych mapach Syberji, na wielkiej, białej szmacie z prawej strony każdy z łatwością odnajdzie Zaszywersk, a jeżeli pamięta geografję szkolną, to przypomni sobie, że zowie się ono „*zasztatnyj gorod Zaszywersk*“. Zostać za *sztatem* znaczy: spaść z etatu, dostać dymisję; względem miast jednak oznacza, że jest to miasto niepowiatowe, pobytem władz administracyjnych niezaszczycane, jednem słowem, jak gdyby w pełnieniu swych funkcyj należytego miasta częściowo zawieszone. W danym właśnie razie nazwa ta była odpowiednią, gdyż miasto Zaszywersk istnieje, ale tylko w fantazji kartografów i podręczników, w rzeczywistości zaś nie istnieje ono wcale, nie istnieje tak dalece, że na miejscu, gdzie na mapie oznaczają Zaszywersk, niema ani jednego domu, ani jednej jurty, ani jednego mieszkańca.

Kiedym przeczytał rozkaz, oczom wierzyć nie chciałem i chociaż byłem na czczo, myślałem, że mi się w oczach mieni.

Zawołałem drugiego urzędnika i owo dziwne rozporządzenie dałem mu do przeczytania. Stary to był wyga kancelaryjny, ale gdy przeczytał, papier wypadł mu z ręki

— Dokąd? — pytałem go tedy.

— Do Zaszywerska.

Spojrzeliśmy po sobie. Przeskrobał, widać, paniczyk

---

[1]) *Isprawnik*, to samo, co dawniej w Królestwie naczelnik powiatu.

niemało! A on stoi, patrzy i słucha i naturalnie nic nie rozumie. Chłop ładny, ale ponury i hardy widać.

Pytam się go o to i owo, czy mu czego nie potrzeba i jeszcze tam o coś, ale on tylko „tak — nie, tak — nie“ wkółko mi powtarza. Ehe, bratku, poczekajże trochę, wkrótce zaśpiewasz mi inaczej!

Żywo kazałem podać trzy trójki. Na jednej on z kozakami, na drugiej ja ze starym kozakiem, pamiętającym, gdzie to miał być ów Zaszywersk, na trzeciej prowizja i w drogę! Pierwszego dnia jechaliśmy, nie nocując, dobę całą, bo były jeszcze stacje i zmieniając konie, ujechaliśmy wiorst przeszło 200. Na drugi i trzeci dzień jechaliśmy, mając z sobą dwie trójki zapasowe, z noclegami w pustych *powarniach* [1]) i przez dwie doby ujechaliśmy też wiorst więcej niż półtorasta, ale już nigdzie duszy ludzkiej nie spotykając.

Ckliwo mu się widać zrobiło, bo i zagadywać mnie zaczął potrochu, na ostatnim noclegu zaczął nawet wypytywać o życie w Zaszywersku: ilé tam mieszkańców, jak miasto wygląda, czy znajdzie tam jakie zajęcie, może lekcje u kogo, ale teraz ja na jego nutę śpiewać musiałem: „tak? — tak; nie? — nie“ — odpowiadając.

Na czwarty dzień nad rankiem wjechaliśmy na pole lodowe, a właściwie na lodowiec na rozległej równinie, gdyż i latem lód tu nigdy całkowicie nie ginie. Ujechaliśmy wiorst z dziesięć po owym lodzie i stary kozak wskazał mi wreszcie miejsce, gdzie kiedyś, przed laty sześćdziesięciu, znajdowało się pięć jurt, które zasztatnem miastem Zaszywerskiem komuś nazwać się spodobało.

— Stój! — zawołałem. — Zdejmujcie rzeczy, a pan niech wysiada. Przyjechaliśmy na miejsce... Tu jest miasto Zaszywersk...

---

[1]) *Powarnie* — budynki w rodzaju stodoły bez okien i komina, tylko z paleniskiem wewnątrz do rozkładania ognia.

Naturalnie nie odrazu zrozumiał; wytrzeszczył oczy: myślał, że to żarty, albo, żem zwarjował wreszcie; musiałem tłumaczyć, objaśniać... zrozumiał... eks-isprawnik zaśmiał się sucho.— — —

...Dasz mi wiarę, czy nie, — ciągnął on znowu dalej — ale, ot: krzyż święty ci kładę, — i żegnał się sążniście, chyląc się ku obrazom — oczy słupem mu stanęły... a szczęki zalatały, jak ci w febrze nie zalatają... historja!...

I tu dopiero ja, stary służaka, uderzyłem się w czoło: i dureńże ja, dureń! Wtedy dopiero zrozumiałem wszystko. Z hardego panicza i śladu nie zostało; zmiękł mi jak wosk, a spokorniał?... Jedwabny!

— Na rany Chrystusa! — woła, ręca do mnie wyciągając — jeżeli Boga masz w sercu... przecieżem nie na śmierć skazany, boć i wina moja niewielka; tylko stawiłem się hardo...

— Aaa — powiadam — hardość jest grzechem wielkim.

I uwierzysz, czy nie uwierzysz, — ciągnął dalej eks-isprawnik — ale krzyż ci święty po raz drugi kładę, zapłakał, jak dziecko, gdym mu powiedział, że go do najbliższej jurty jakuckiej, 30 wiorst od zasztatnego miasta Zaszywerska odległej, odwiozę i klnę ci się po raz trzeci — płakał z radości... Chociaż i w tej jurcie nie o wiele lepiej było... I nie upłynęło pół roku, gdym odebrał wiadomość o jego śmierci...

* * *

Zrozumiecie teraz łatwo, szanowni czytelnicy, jak gorączkowo uchwyciliśmy wiadomość o przyjeździe człowieka, który gdzieś, na skraju świata, ale w warunkach zupełnie go od tego świata odcinających, całe trzy długie lata musiał wyżyć i jak wieść niosła, zdrów na ciele i du-

szy, znowu do świata tego powracał. My wszyscy, mieszkańcy w X., częściowo w warunkach podobnych znajdowaliśmy się, wszyscy jednak wiedzieliśmy, że warunki naszego życia były o całe niebo lepsze od tych, w których mogliśmy się znaleźć.

Poznać więc, poznać to życie, w całej jego niczem nieokraszonej nagocie, w całej jego grozie — stało się niejako żądzą naszą. Podtrzymywały zaś ją nietylko ciasny instynkt samozachowawczy, ale i szersze zasady.

Możność wytrwania tam, daleko, dobrze świadczyłaby o mocy i sile ducha ludzkiego wogóle; hart i energia jednego krzepiła i dwoiła wszystkich siły.

Posiadane przez nas dotychczasowe wiadomości o losach ludzi, borykających się na krańcach świata ze swą dolą, zbyt pocieszającemi nie były. Ponieważ i nauka i dotychczasowa praktyka ludzi prostych, zdaje się, zgodnie wskazywały, że życie na tych krańcach siedzib ludzkich jest niemożebnem, gdyż zahartowany, do życia arcytwardego przyzwyczajony chłop russki, idąc z katorgi na osiedlenie do ułusów jakuckich, z trudnością znosił życie tylko w ułusach najbliższych, najgęściej zaludnionych, najbogatszych, to zrozumie każdy, jak ważnem, palącem stawało się dla nas rozwiązanie pytania, czy ostatecznie można tam wyżyć, czy można wytrwać.

I oto raptem otrzymaliśmy wieść, że człowiek, pokrewny nam rozwojem umysłowym i całą sumą przyzwyczajeń i nałogów życiowych, wyżył i wytrwał całe trzy lata gdzieś w jurcie, położonej nie lepiej, niż owa jurta samotna, znajdująca się pod nieistniejącem miastem. Ten młodzieniec, którego nie znaliśmy, student obcego nam uniwersytetu, stał się dla nas wszystkich bliskim i drogim. My wszyscy, wspólną niedolą złączeni, Polacy i Rosjanie, postanowiliśmy uczcić jego powrót, a ponieważ przyjeżdżał on w samą wigilję, więc uczcić przedewszystkiem wigilją — wigilją uroczystą.

Jako w sprawach kulinarnych najbieglejszy, z pomocą studenta i przy współudziale całej naszej kolonji, miałem zająć się przygotowaniem owej wigilji. Zapewne, nigdy w życiu, ani ja, ani mój miły kuchta, nie przepracowaliśmy tak sumiennie bitych dwóch dni w kuchni, jak wówczas.

Student był jednym z najgorliwszych zbieraczy wszystkiego, co nietylko z naszem życiem związek miało, ale był i głębszym znawcą życia jakuckiego wogóle. Smażąc więc i gotując, opowiadaliśmy sobie nawzajem rzeczy ciekawsze i tak podniecaliśmy się wzajemnie, że uczta nasza, pierwotnie dość skromnie zakreślona, przybierać zaczęła lukullusowe rozmiary.

Obaj dokładnie wiedzieliśmy, jak nędznem jest życie w bliższych, zasobnych jurtach jakuckich; wiedzieliśmy, że brak najprostszych potraw kuchni, nie mówię europejskiej, ale ludu rolniczego wogóle, szczególniej zaś brak chleba zwykłego, powszedniego, najsilniej odczuwać się dawał nawet prostym, ubogim ludziom. Nic więc dziwnego, że przejęci swą rolą, rozgorączkowani wznawianemi w pamięci, coraz to bardziej ponuremi obrazami, któreśmy przed sobą roztaczali, obaj wpadliśmy w jakiś szał kucharski. Jak matka, przypominająca sobie potrawy dziecięcia dawno niewidzianego, którego powrotu w dzień zapowiedziany oczekuje, tak i my przemyśliwaliśmy, czemby mu najlepiej dogodzić. Co chwila jeden z nas zapytywał:

— A jak myślicie, kolego, czy nie zjadłby on tego?

— Ee? naturalnie, zjadłby i ze smakiem, boć pewno, licząc ze wszystkiem i z podróżą, z pięć lat strawy ludzkiej nie oglądał...

— Więc zróbmy mu? — Zrobimy! — I biegł jeden na rynek i do sklepów po zapasy, drugi po naczynia niezbędne i wkrótce nowa potrawa zwiększała naszą ucztę obfitą. I tylko brak naczyń, czasu i zupełne wyczerpanie fizyczne położyły kres naszym zabiegom. Zapał nasz, ze

względu na grunt podatny, udzielał się wszystkim, mającym uczestniczyć w wigilji i wszyscy szczerze byli zachwyceni naszą pomysłowością i energją. My zaś obaj ze studentem wprost byliśmy dumni ze swego dzieła.

Szczególniej chełpiliśmy się szczytem swej sztuki i pracy, olbrzymim 20-sto funtowym *tajmeniem*[1]), którego z wielkim wysiłkiem udało się nam ugotować w całości. Przypuszczaliśmy, że ten tajmeń wspaniały, jakimś haniebnie ostrym i słonym sosem musztardowym przyprawiony, czule przemówi do serc najtwardszych. Nie zapomnieliśmy i o małej choince, którą też dla gościa, najpiękniej jak się dało, ubraliśmy i przystroili.

* * *

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany. Student skoro świt wyjechał na stację najbliższą, aby tam oczekiwać powracającego i przywieźć go wprost do nas. Przed 2-gą, gdy się ściemniać zaczęło, zebrali się wszyscy i wkrótce po 2-ej odległy jęk dzwonków, zdala słyszalnych na mrozie wielkim, zawiadomił nas o przyjeździe studentów. Ubrawszy się co prędzej, wyszliśmy. Sanie i podróżni, zupełnie śniegiem zasypani, konie z długiemi soplami lodu u nozdrzy, całe szronem zlodowaciałym okryte, wpadały na podwórze; chwila — i już są przed domem. Cała gromadka nasza, w której znajdowali się ludzie w niedoli osiwiali, obnażyła głowy.

* * *

Nie opisuję i choćbym chciał, nie byłbym w stanie opisać pierwszego przywitania naszego! Nie znaliśmy się i jakżeż bliscy byliśmy zarazem. Wątpię, czy gdziekol-

[1]) *Tajmeń* — ryba poławiana w Lenie, duża i smaczna.

wiek i kiedykolwiek uda mi się być wśród gromadki ludzi, tak obcych pochodzeniem i tak zespolonych ze sobą, jak wówczas, gdyśmy gościa swojego witali!...

Mały on był i chudy, bardzo chudy... żółtszy i czarniejszy, niż my, cerą ziemistą, jak pręgierzem, na zawsze naznaczony i tylko oczy jego zapadłe, wyraziste i rozumne blaskiem fosforycznym gorzały.

Już było zupełnie ciemno, gdyśmy go ogrzanego i przebranego do uczty przygotowanej zasadzili; gwarno i szumno było w naszej chacie i radosny nastrój, jak fala wezbrana, zmywał wszelkie przejawy smutku i goryczy.

— Weselmy się! — coraz częściej rozlega się to stąd, to zowąd, a gdy gość nasz podchwycił ten okrzyk, uczucie radości rozjaśniło i najchmurniejsze oblicza. Dzielimy się opłatkiem. Wychylamy pierwsze kielichy. Mój kuchcik gorliwy, wielce rozczulony cudną pieśnią ukraińską, przenikającą do głębi uczuć, poetyczną bogactwem i prostotą swych przenośni, wita gościa ukochanego i zachęcony jego łzą radości, opanowywa go niepodzielnie. Opowiada mu, jak to my obaj dwie doby bez odpoczynku pracowaliśmy w pocie czoła, aby po tylu dniach głodu i postu godnie go teraz nakarmić; wylicza mu tradycyjne potrawy, swoją kutję ukochaną wysuwając na czoło, tuli się doń, obejmując go za szyję, śmiejąc się radośnie; i gość nasz śmieje się z nim razem, aż do łez radości, jak sądzimy.

I rośnie i wzrasta nasz nastrój weselny. Burza oklasków wita pierwszą potrawę. Student napełnia talerz gościa po brzegi. Śmiech i hałas ustępują wreszcie zgodnemu brzękowi łyżek, wybuchając na chwilę po pierwszej próbie w ogólnym wykrzyku: — Wyśmienite!

Oczarowany kuchcik szumnie wyraża swą radość, milknie wreszcie i on — zajadamy!

Ale cóż to u Boga? Jedzą wszyscy, tylko nasz gość, chociaż trzyma łyżkę i obraca ją w ręku, przelewa po-

karm w talerzu, nie je wcale i śmiechem wprawdzie tłumionym, śmieje się dotąd?...

— Co u Boga? Czemuż nie jecie, kolego? — odzywa się odrazu głosów kilka.

— To kuchta go rozstroił, precz ze studentem. Niech siądą obok ludzie poważni!

Student przesiada się potulnie; próbujemy jeść, ale gość nasz nie je znowu.

Co u Boga? Wszyscy jeść przestajemy i oczy wszystkie pytająco zwracają się ku niemu. Nasz niemy niepokój jest zbyt wyraźnym, widzi on to, czuje i tak mówi:

— Ja... darujcie... ja... z radości... ale jest mi bardzo przykro... ja nie chciałem przerywać... boję się popsuć ucztę waszą... i bardzo... bardzo proszę, bracia kochani, nie zwracajcie na mnie uwagi... to nic... to przejdzie — i wybucha śmiechem i płaczem jakimś.

— Jezus, Marja! — wykrzykujemy zgodnie.

Widzimy teraz wszyscy, że śmiech jego nie jest naturalny; nikt z nas nie myśli o jedzeniu i on, widząc niepokój ogólny, krzepi się, aby zapanować nad sobą, wstaje i wśród ciszy zupełnej mówi gorączkowo:

— Myślałem, że znacie życie, którem mi żyć trzy lata wypadło; widzę, że tak nie jest. Kiedym to spostrzegł, próbowałem, kiedyście pili i jeść zaczęli... próbowałem... przełknąć chleba kawałek... ale... teraz nie mogę... Nie mogę, bo widzicie... trzy lata... trzy lata nie widziałem soli... trzy lata jadłem bez soli... a ten chleb jest... bardzo słony, jest nadzwyczaj słony, wprost pali mnie i piecze i zapewne wszystkie potrawy są solone?

— Tak, solone, a niektóre i przesolone w gorączce i pośpiechu — odpowiadamy obaj z kuchtą moim.

— Więc jedzcież, bracia drodzy, ale ja nic jeść nie mogę, ja przecież z radością patrzeć będę, jedzcie, proszę was bardzo — i upadł na krzesełko, śmiejąc się i płacząc zarazem.

I teraz dopiero zrozumieliśmy, że to śmiech spazmatyczny, kurczowy...

I nie było nikogo między nami, ktoby po tych słowach, pokarm już w ustach trzymany, przełknąć zdołał.

Nędza istnienia, którą tak gorąco poznać pragnęliśmy, uchylała nam jedną ze swych osłon tajemniczych...

Wszyscy położyli łyżki, ponuro zwieszając głowy.

Jakże marnemi i nędznemi wydały się nam teraz nasze zabiegi niedawne około potraw wymyślnych!... Jakże dzikiem — nasze wesele dziecinne!...

I patrząc na tę twarz znędzniałą brata swego, śmiechem i płaczem spazmatycznym targaną, straszno nam się stało...

I zdało się nam, że z jurty samotnej, gdzieś pod zatraconem miastem Zaszywerskiem znajdującej się, widmo śmierci patrzy na nas swem okiem szklannem, lodowem...

Cisza grobowa zapanowała w gromadzie przerażonej.

Zakopane.

ŁZY.

Polały się łzy me czyste, rzęsiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i chmurną,
Na mój wiek męski, wiek klęski.

Mickiewicz.

Pokażcie mi bóle lub radości wasze, mówi mądrość wszystkich narodów — a pokażecie mi dusze swoje.

I mądrość powszechna, jak każde zbyt szerokie uogólnienie zjawisk zanadto złożonych — i myli się i jednocześnie jest wielce prawdziwą.

Te bóle i te radości, z których można poznać nietylko głąb duszy, ale choćby wielkość cierpienia — są zwykle nie do okazania. Jakże jednak często zato, gdy się je udaje zobaczyć, ich wymowa jest przerażającą — wymowa bez słów jakichkolwiek!

Nawet nieme zwierzęta, jak owe kamienie biblijne, mówią wtedy...

* * *

Nie znam w naszej literaturze słów, któreby krócej i piękniej niż czterowiersz wyżej wypisany, ból, przenikający nieraz serce i najsilniejszego człowieka, wyrażały. Jest bowiem w tych słowach rzewnych, prostych i dźwięcznych ta szczególniejsza siła męska, którą kiedyś jedynie mężowie greccy, nie wstydzący się łez swoich, posiadali. — Jest siła przekonania o czystości swych uczuć, jest męskość,

nie wstydząca się uczuć głębszych, jest wiara, że nasz ból odnajdzie w sercach ludzkich nie szyderstwo bezduszne, ale oddźwięk szlachetny.

To też, jeżeli nie zawsze, to często, gdy mi płakać wypadało, przypominałem sobie słowa poety.

I jeżeli same łzy są ulgą w cierpieniu, są jak gdyby klapą bezpieczeństwa, ochraniającą organizm od ciężkiej katastrofy, prześliczny czterowiersz był mi często tym balsamem cudownym, który chłonąłem w siebie. — On mi nieraz koił pierś poranioną; on uspakajał, godził z nędzą istnienia!...

Jednakże?...

Jednakże bywały wypadki, gdy balsam poezji nie miał swej siły kojącej, a powtórzony nieopatrznie, byłby chyba, jak wszelakie słowo ludzkie, urąganiem z cierpienia...

* * *

W jeden z pięknych dni letnich obaj z moim synem małym wyszliśmy na przechadzkę, aby, jak zwykle, obejść część wyspy, na której mieszkaliśmy i na której latem jedynie tylko w pewnej jej części przechadzka podobna była możliwą.

Wyspa bowiem owa, otoczona wokół wielkiemi wodami Leny i Kirengi, wskutek wiatrów silnych, stale tu panujących, była w miejscach na prądy powietrzne szczególniej wystawionych, dość wolną od plagi, zatruwającej człowiekowi wszędzie nad Leną chwile lata krótkiego. Taką plagą są tu mirjady komarów i mszyc, im drobniejszych, tem straszniejszych, mirjady, które poza wodami, okalającemi wyspę, na lądzie tajgą bezbrzeżną okrytym, a nawet i na wyspie samej poza prądami zbawczych wiatrów, nie pozwalały kroku jednego uczynić.

Zaopatrzeni więc w gałęzie brzeziny, bez których nigdy się tu na najkrótszy spacer nie wychodzi, szliśmy obaj

wesoło, rozkoszując się rzadką pięknością dnia ślicznego. Szliśmy samym brzegiem, aż do miejsca, w którem ponura i dzika Kirenga wlewa swe majestatyczne i zimne wody w nie mniej zimną, ale bardziej majestatyczną Lenę.

Obraz połączenia dwóch rzek wielkich, pełnowodnych, na ponurem tle wysokich, skalistych brzegów, okrytych tajgą odwieczną, w blaskach dnia słonecznego, jest tak pięknym, że siedziećby tam i napawać się widokiem można było zawsze, Bóg wie jak długo, ale wiatr już tu słabł znacznie, lasy były zbyt bliskie i roje komarów stawały się coraz gęstsze.

* * *

Napróżno jednak już kilkakrotnie wzywałem mego małego towarzysza do powrotu. Po długiej zimie tutejszej króciutkie lato jest dla dzieci takim rajem, o którym u nas chyba tylko dzieci największych nędzarzy, zmuszonych z braku wszelkiej odzieży przesiadywać całą zimę w zamknięciu, mogą mieć jakie takie pojęcie. Jakie takie tylko, gdyż i nasza zima łagodna, choć przelotnie, choć na krótko, nawet bosonogiego dzieciaka na świat Boży wypuszcza, a przyroda cała nie zamiera tak głęboko, śnieg nie okrywa wszystkiego tak starannie swym całunem śmiertelnym.

To też radość dzieci z lata krótkiego jest tutaj nieopisaną. Dziwy przyrody są dla nich tak wielkie i tak nieznane! Każde źdźbło trawy, każdy kwiatuszek — tak piękne, tak cudowne! Nawet widok wód płynących jest dla nich niezwykłym, a kamyki, obficie przez potężne wody na brzegi wyrzucane, lśnią w źrenicach, rozbiegających się wśród tych skarbów zaczarowanych, bajecznych...

I mój więc syn mały nietylko nie mógł być wyjątkiem, ale przeciwnie, słysząc w czasie długiej, nieskończonej zimy, ciągłe opowiadania o przyrodzie tej ziemi

ojczystej, której mu widzieć los dotąd nie pozwolił, rwał się do cudów nieznanych z tem większą ciekawością, spotykał je z tem większym zachwytem. Próżnemi więc były wszystkie moje nawoływania.

Już wszystkie, jakie tylko posiadał, kieszenie wypełnione były „prześlicznemi“ kamykami, gałąź brzozowa była dawno porzucona, a obie rączyny z trudnością obejmowały pęki traw i kwiatów „coraz śliczniejszych“. A kamienisty brzeg lśnił coraz cudowniejszemi barwami, a puszysty zielony kobierzec, rozpostarty tuż za kamienistą ławą, nęcił coraz większemi dziwami. — Więc chłopczyna biegał, jak motyl, to rozgrzebując misternie poszlifowane kamyki, to tonąc wśród bujnej zieleni dziwnej roślinności tutejszej — bujnej i barwnej, bujniejszej i barwniejszej, niż u nas, ale zupełnie pozbawionej tych przedziwnych zapachów, które, działając już nie na zmysł widzenia, zda się, głębiej przenikają w istność naszą — ni to żywa dusza natury — łączą się i zlewają w naszą duszę.

A roślinność dalekiej Syberji, nie wiem, czyto wskutek wielkiego kontrastu, gdy po długiej zimie oko, zmęczone oślepiającą białością śniegu, z rozkoszą spoczywa na barwach odmiennych, czyto wskutek niezwykle szybkiego wzrostu, posiada jakąś szczególniejszą, nieopisaną świeżość barw, z którą tylko najwcześniejsze, wiosenne barwy naszej roślinności mogą iść o lepsze.

Można więc sobie wyobrazić, jak pysznym jest tu widok niezmierzonych kobierców przeczystej, niepokalanej zieleni, gdy ją jeszcze barwy kwieciste ozdobią. Są to cuda prawdziwe.

Ale są to cuda zimne, bezduszne. I są one dziwnie do ludzi tutejszych podobne; ludzi silnych, wytrzymałych, przedsiębiorczych, rozumnych — ale zimnych, surowych, jakby pozbawionych najistotniejszej cechy człowieczeństwa łagodnej, głębokiej duszy ludzkiej.

* * *

Cóż więc dziwnego, że zmęczony ciągłem opędzaniem siebie i malca swego od coraz natrętniejszej, coraz dokuczliwszej plagi powietrznej, w miarę gęstnienia rojów nieuchwytnych, coraz gwałtowniej spadać zacząłem z wyżyn obserwacji piękna, przelotnie ujrzanego, w sferę rzeczywistości męczącej. Pomimo wszystkich mych wysiłków wielkie bąble na twarzyczce wesołej, radosnej, na rękach, ciągle zajętych i szyi dziecka, zlewały się już w jedną całość, na którą patrzeć i obcemu byłoby przykro, a cóż dopiero ojcu. — Im więc bardziej rozbawiało się dziecko, tem bardziej smutniałem, tem cięższe myśli opanowywać mnie zaczęły. Czy ujrzy on kiedy ziemię inną, czy też pozostanie na zawsze na tej ziemi surowej i może zaginie w niej na wieki, starty, zdeptany przez tę przyrodę okrutną, przez tych ludzi bezdusznych? Czy nie upodobni się wreszcie do swego środowiska strasznego?...

I choć krzepiłem się, jak mogłem i umiałem, coraz słabszą stawała się moja wola. I wtedy, gdy zachwyt i radość dziecka doszły do szczytu i otoczone rojami komarów, opróżniając na nowo wszystkie swoje kieszenie, aby po długiem przebieraniu włożyć na miejsce „brzydszych“ nowe „ładniejsze“ kamyki, nie czuło i nie widziało ono obsiadających je rojów, ja, coraz usilniej pracując nad spędzaniem zeń chmary krwiożerczej, poczułem wreszcie ból ostry, dotkliwy i po twarzy popłynęły mi łzy gorące...

* * *

Gdy jednak po chwili, nie dawszy zapewne zwykłej, natychmiastowej odpowiedzi na ciągle szczebiotania, poczułem na sobie badawcze, zaniepokojone spojrzenie swego wrażliwego towarzysza, już mogłem ukryć stan, w którym tylko co się znajdowałem. Łzy były ostre, gałąź pracowała ze zdwojoną energją, a wewnątrz chłonąłem w siebie przedziwny balsam przyrody.

I chociaż wszystko to bardzo krótko trwało, przerwało jednak moje nawoływania do powrotu i zanim, zajęty swym stanem, zdążyłem całkowicie wrócić na ziemię i powtórzyć znowu swe wezwanie. dziecko, zaciekawione czemś nowem, czego ja jeszcze dostrzec nie mogłem, popędziło brzegiem dalej i na teraz dalej, niż zwykle.

Nie bez uczucia głębszego wewnętrznego zadowolenia, żem nie zatruł swemu malutkiemu towarzyszowi wesela tak szczerego, skierowałem się za nim i wkrótce obaj staliśmy nad zjawiskiem, jakiego ani przedtem, ani potem już nigdy w życiu nie widziałem.

* * *

Na kamienistym brzegu Kirengi leżał koń, widocznie przywieziony tu i wyrzucony, koń znajdujący się w stanie tak okropnym, że jego właściciel nieludzki uznał oczywiście za wygodniejsze przywieźć go i porzucić na brzegu, niż zabijać i zdejmować zeń skórę, nie przedstawiającą żadnej wartości.

Koń był stary i zbiedzony ponad wszelakie pojęcie. Prawą tylną nogę miał złamaną, a całe ciało było okryte jakby jedną nieprzerwaną raną. Zupełnie starta, świeciła nietylko „żywem" mięsem, ale i kośćmi białemi; takież rany okrywały grzbiet i boki nieszczęśliwego zwierzęcia. Wszystko to zaś razem wzięte — i rany i ocalałe gdzie niegdzie cząstki zdrowsze, ujrzeliśmy nie odrazu, ale po spędzeniu całej szarej powłoki komarów, które ni to jedną ruchomą zasłoną okrywały leżącego — żywcem zjadając stworzenie bezbronne.

Tylna część ciała ze złamaną nogą leżała, ale przód, wsparty na kolanach nóg dwojga, dźwigał się jeszcze ku górze i głowa konia z wyciągniętą szyją nieruchomo sterczała nad tem ciałem, jeszcze widać czującem.

W pierwszej chwili, zanim nie spędziliśmy zeń rojów

mszyc i komarów, nie mogłem zrozumieć, dlaczego ten wielki nędzarz, zda się zupełnie wyczerpany, resztkami swych sił, a właściwie tym wysiłkiem końskim, o którym my, ludzie, nie mamy pojęcia, dźwiga nad sobą swą głowę zbiedzoną?

Charakterystyczne, nieprzyjemne, żałosne kwilenie, idące z jasnych przestrzeni podniebnych, rozwiązało zagadkę.

Wysoko, wysoko ponad nami olbrzymie sępy zataczały swe kręgi wspaniałe. Nieszczęśliwe stworzenie resztką sił chroniło się od oczekującej je przed śmiercią jeszcze jednej najstraszniejszej tortury: rozszarpania za życia dziobami i pazurami potworów powietrznych.

Ale dopiero, ochłonąwszy trochę, po spędzeniu zeń ostatnich rojów, ujrzeliśmy i pojęli głębię, znajdującego się przed nami cierpienia.

I już gotowi byliśmy zapłakać nad tem cierpieniem okrutnem, gdy ujrzeliśmy jeszcze i to, wobec czego nietylko słowa jakiekolwiek, ale nawet nasz płacz ludzki, byłby urągowiskiem nad tą niedolą bez miary.

...Po kościstej, długiej, jakby drewnianej twarzy konia powoli, powoli... toczyły się... jasne, perliste... wielkie... łzy...

...Koń płakał...

Kraków, w marcu r. 1906.

TREŚĆ.

	Str.
Słowo wstępne Adama Grzymały Siedleckiego	III
Srul z Lubartowa	1
Pan Jędrzej Krawczykowski	15
Maciej Mazur	31
Stolarz Kowalski	71
Przewoźnik	95
Hanusia	139
Dwie modlitwy	269
Pan Antoni	299
Uroczysta wigilja	329
Łzy	343

LIBRARY
DEC
14
UNIVERSITY OF TORONTO

Koło Towarzystwa Szkół Ludowych
im. Marji Konopnickiej

PG
7158
S8827S8
1921
c.1
ROBA